Happy is the man that findeth wisdom, and the man that getteth understanding.

Prov. 3:13

M. DYNOWSKA

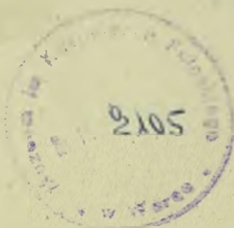
POLSKA

W ZWYCZAJU I OBYCZAJU

z 7 ilustracjami Kamila Mackiewicza

Nakład Sekcji Wydawniczej 3 Korpusu

Przedruk z wydania
KSIĄŻKA POLSKA
(Polish Books)
30 Kingsborough Gardens
Glasgow
W.2



WSTĘP

Książka niniejsza jest rodzajem antologii, w której pragniemy przedstawić obraz życia narodowego, jego obyczajów, obrzędów, uroczystości religijnych i zabaw, na podstawie cytat z dzieł naszych najcelniejszych autorów. Chcąc dać taki obraz i pragnąc odtworzyć przy tym charakter przyrody kraju naszego, która wpływa na jego zwyczaje, wybraliśmy, jako najlogiczniejszy, układ przeprowadzony według roku kościelnego. Rok ten zaczyna się adwentem. Stajemy tedy na progu zimy, nie kalendarzowej, ale rzeczywistej i na progu okresu świątecznego. Początek tego okresu — to oczekiwanie przyjścia Dzieciątka; w środku przypada radosne święto Bożego Narodzenia, na końcu zaś wesołe obrzędy, jeszcze z tym świętem w pewnej mierze związane. Przygotowanie do dni Męki Pańskiej, a po nich uroczystość triumfalna Zmartwychwstania, to drugi, wiosenny okres, zakończony wesołą nocką świętego Jana. Kwietna uroczystość Matki Boskiej Zielnej, obrzędy żniwa i dożynek składają się na okres trzeci, letni. Wreszcie zbliża się okres czwarty — jesienny. Wtedy to porzucają nas weseli śpiewacy pól i ogrodów, święta Urszula rozsuwa o poranku swe perły szronowe, a Matka Boża chodzi w Dzień Zaduszny po samotnych mogiłkach i światełka na nich zapala.

Tego więc porządku trzymać się będziemy w naszej książce.

M. D.

Z I M A

ADWENT

Już święty Marcin przyjechał na białym koniu. Padło w dni Jego tysiące gęsi, powróżono sobie z ich kości o zbliżającej się zimie cz będzie ostra, czy łagodna. Nadchodzą dni świętej Katarzyny i święteg Andrzeja. „Święta Katarzyna rada podskakuje, święty Andrzej zak zuje", mówi przysłowie ludu naszego. Inne znowu opowiada, ż „Święta Katarzyna klucze pogubiła, święty Andrzej znalazł, zamkną skrzypki zaraz". Oba zapowiadają początek adwentu, podczas któreg kościół zabrania tanecznej zabawy.

Wyraz adwent, z łacińskiego *adventus* — p r z y j ś c i e, oznacz ten okres w roku kościelnym, w którym wierni oczekują na zjawieni się na ziemi Syna Bożego, a więc na Boże Narodzenie. Niegdyś nosi on nazwę czterdziestnicy i trwał, tak samo jak wielki post, przez dn czterdzieści, tj. rozpoczynał się nazajutrz po świętym Marcinie. Dzi siejszy adwent obejmuje okres czterech niedziel przed Bożym Narodze niem. W kościele polskim adwent uświęcony jest od najdawniejszyc wieków wczesnym porannym nabożeństwem w niedzielę, ku czci Matk Chrystusowej. Nabożeństwo to nosi nazwę r o r a t ó w, od pierwszych słów śpiewanej przy nim pieśni: „*Rorate coeli* — s p u ś ć c i e r o s n i e b i o s a". W dawnej Polsce było zwyczajem, iż król, o ile si podczas nabożeństwa w kościele znajdował, podchodził do ołtarza i z słowami: „Otom gotowy na sąd Boży" wstawiał do najwyższeg lichtarza w siedmioramiennym świeczniku zapaloną świecę, świadcząc tym symbolicznym czynem o czystości swego sumienia i o gotowości stawie nia się w każdej chwili przed Bogiem. Po królu przystępował biskup czyniąc to samo w następnym lichtarzu, potem ziemianin, rycerz mieszczanin, na koniec siódmą świecę zakładał oracz. W ten sposób wszystkie stany brały udział w roratach.

Znany i zasłużony pracownik na polu etnografii, O s k a r K o l b e r g, tak opowiada o obyczajach adwentowych na Mazowszu:

„Podczas adwentu lud wiejski co niedzielę o godzinie czwarte

rano wychodzi do kościoła na roraty, tak że zaledwie jedna osoba pozostaje na straży w chacie. Przez cały adwent około godziny ósmej z wieczora wygrywają parobcy swe melodie na ligawkach, wyrobionych z wierzbowego lub lipowego drzewa, rozłupanego, następnie wyżłobionego wewnątrz, wreszcie złączonego znów i oklejonego smołą. Nabite jest ono obrączkami drewnianymi i ma u końca węższego bączek do zadęcia. Chcąc mieć odgłos jej mocniejszym i przyjemniejszym, kładą ligawkę w krypę do pojenia bydła i zamrażają. W czasie adwentu przychodzą niektórzy z tymi ligawkami do kościoła i grają na nich na chórze podczas Podniesienia".

Piękny ten obyczaj nabiera poniekąd symbolicznego znaczenia. Przyjście radosne maleńkiego Jezusa zapowiadają ligawki pastusze, te same ligawki, które, według ślicznej legendy, powitały Narodzenie Bożego Dzieciątka w noc wigilijną.

M. D.

STAROPOLSKIE RORATY

(W skróceniu.)

„*Rorate coeli!* górne niebiosa,
Niech z was wytryśnie zbawienna rosa,
Z górnych obłoków na ziemskie niwy
Niechaj się spuści mąż sprawiedliwy.
Niechaj się ziemska otworzy bryła,
Swojego Zbawcę by porodziła!"
Tak z Izajaszem ród ludzi woła,
Takim brzmią hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Bożych Narodzin...
Kiedy na wschodniej niebiosów stronie
Nieznana gwiazda wkrótce zapłonie,
Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
Kiedy ją wezwą na sądy Boże...

O, wiaro święta, Chrystusa wiaro!
Ty przodków cnotę budziłaś starą,
Bo ci przodkowie, ci nasi starzy,
Brali hart ducha od twych ołtarzy...
Bo swoje sprawy o każdej chwili
Bogiem poczęli, Bogiem kończyli.
Siedem cnót ducha człowiek posiadał,
A kraj ze siedmiu stanów się składał,
A w każdym stanie ziemica cała
Szczególną cnotę wygórowała,
Bo o dar cnoty, ziomkom przydatny,
Błagała Boga we mszy roratnej,
A gdy swe wota przed Panem złoży,
Gotowa była iść na sąd Boży.

*

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu, przed mszą roraty,
Siedmioramienny lichtarz bogaty.
A stany państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świeczkę rozżarza:
Król, który berłem potężnym włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic, co królów Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,
Chłopek, co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli —
Każdy na świeczkę grosz swój przyłoży
I każdy gotów iść na sąd Boży.

*

Ten, co przodkuje nad wszystkie stany,
W świetny dalmatyk król przyodziany,
Szedł do ołtarza, zapalał świecę
I kraj polecał boskiej opiece:
„Tyś Król najwyższy, Tyś Królem Króli!

Boże ! pierś Twoja niech nas przytuli,
Niechaj nie dozna bicza twej chłosty
Senat, rycerstwo i naród prosty.
Czy przeciw wrogom oręż wymierzę,
Czy z obcym państwem zawrę przymierze,
Dostojnych królów niech idę śladem,
By się mój jasny nie ćmił diadem.
Chociaż mi złoto uwieńcza skronie,
Noszę, jak Chrystus, ciernie w koronie;
Lecz jeśli Chrystus sił mi przymnoży,
Gotowy jestem na sąd Twój Boży".

*

Po królu przyszedł pierwszy z poddaństwa,
Pasterz gnieźnieński i prymas państwa;
Zapalił świeczkę na lichtarz drugi:
„Boże, co wspierasz Twe wierne sługi,
Pasterz pasterzów Twojego ludu,
Błagam Twej łaski i Twego cudu...
Niech z moich piersi iskra wystrzeli
W kmiotków, w kapłanów, w obywateli;
A gdy Twa łaska wzrok im otworzy,
Gotowy jestem na sąd Twój Boży".

*

Potem senator najpierwszy w radzie
Na czoło, na pierś znak krzyża kładzie;
Idzie przed ołtarz, przed lichtarz trzeci,
Na trzeciej świeczce ogień roznieci
I w myślach taką modlitwę mówi:
„Boże! gdy będę radził królowi,
Niech godnie spełnię radę i władzę,
Niech powinności mojej nie zdradzę.
Czy jak senator dam zdanie moje,
Czy jako hetman pójdę na boje,
Niech każda bitwa i każda rada
Na dobro ziomków moich wypada.
Czy jak marszałek nad braci głową

Będę podnosił laskę sejmową,
Czy się kanclerską pieczęć przyłoży,
Niech będę gotów na sąd Twój Boży!"

*

Potem szedł szlachcic, najpierwszy z ziemian,
Co pług i statut dzierżył na przemian,
Co opuściwszy sochę i bronę,
Na skronie królów wkładał koronę.
Szlachcic-ziemianin kląkł u ołtarza,
Na czwartej świeczce płomień rozżarza
I ze schyloną modli się głową:
„...Czy w imię kraju albo kościoła
Król pospolite ruszenie zwoła,
Czy na elekcję starsi powiodą,
Pragnę oddychać braterską zgodą;
A bratobójczych brzydząc się noży
Gotowy jestem na sąd Twój Boży".

*

Potem szedł żołnierz w zbroi ze stali,
I piątą świeczkę na ołtarz pali:
„Dałeś nam, Panie, w rękę pałasze,
„Dałeś pancerze na piersi nasze;
Naszym orężem, pierśmi, ramiony,
Jak gdyby murem, kraj ogrodzony.
Lecz gdy nas Twoje nie wzmocni ramię,
Wróg najmocniejsze mury przełamie,
Najkrzepszy hufiec podda się snadnie,
Najwarowniejsza baszta upadnie.
Czyśmy w obozie, czyśmy w pochodzie,
Niech Twoja wiara serca nam bodzie;
Czy po wygranej, czyśmy na leży,
Chroń nas od ducha brzydkiej łupieży;
Gdy mię nie przeklną słabi i chorzy,
Gotowy jestem na sąd Twój Boży".

*

Potem przychodzi przed ołtarz Pański
Sławetny kupiec z rzeszy mieszczańskiej
I stawiąc szóstą na ołtarz świecę,

Stan swój porucza Bożej opiece:
„Boże, coś nasze zaludnił miasta,
Przez Ciebie handel i przemysł wzrasta,
Przez Ciebie pieniądz zyski nam dawa,
Ty nam przez królów nadałeś prawa.
Ty się opiekuj wagą i miarą,
Krzew w naszych sercach poczciwość starą,
Sam kieruj szkutem albo wiciną,
Gdy polskie zboża w kraj cudzy płyną.
A gdy za moją obrotną pracę,
Bogacąc siebie, kraj mój bogacę,
Kiedy mój pieniądz zysk mu przysporzy,
Gotowy jestem na sąd Twój Boży".

*

Potem przychodzi rolnik w sukmanie
I z siódmą świeczką przed ołtarz stanie:
„...Bez Twojej łaski ziarno nie rodzi,
Łąka kwiecista zginie w powodzi,
Grad nasze kłosy wyniszczy w ziarnie,
Albo stodołę pożar ogarnie.
Dajże nam, Panie, chleba dostatek,
Miłość do serca, zgodę do chatek.
A gdy poczciwie zagon wyorzę,
Gotowy jestem na sądy Boże".

*

Tak siedem stanów z ziemicy całej
Siedmiu płomieńmi jasno gorzały.
Siedem modlitew treści odmiennej
Wyrażał lichtarz siedmioramienny,
Lecz roratnego całość lichtarza
Wspólną modlitwę kraju wyraża...

*

Ale zmądrzała Rzeczpospolita,
Siedmiu świeczkami ołtarz nie świta,
Siedmiu modlitew już zapomnieli,
Stary obyczaj Piastów wyśmieli.
Szli na roraty przed dniem, do fary

Tylko niewiasta lub dziadek stary..
Zardzewiał lichtarz siedmioramienny,
Los siedmiu stanów nastał odmienny...

. . . .

Anioł zatrąbił na sądy Boże.

Władysław Syrokomla
(Ludwik Kondratowicz.)

WIGILIA. BOŻE NARODZENIE

Zapowiedź wigilijnego święta stanowiły od dawien dawna opłatki Wypiekano je przy kościołach i po klasztorach, lejąc bardzo rzadkie ciasto pszenne w żelazne foremki. Foremki te odznaczały się nieraz artyzmem i subtelnością rysunku, rzniętego w metalu na ich ściankach

Przybycie organisty lub zakonnika z opłatkami było zawsze radosnym wydarzeniem. Zapowiadało ono koniec smutnego adwentu wesołe święta Narodzin Pańskich.

Za dawnych czasów przestrzegano surowo, by w dzień wigilijny jeść tylko raz na dzień, po zejściu pierwszej gwiazdy. Od rana trawiono czas na uroczystych przygotowaniach do tego wieczornego posiłku, zwanego wigilią, postnikiem albo pośnikiem.

Obyczaj uświęcania uroczystości religijnych ucztą jest bardzo stary i sięga czasów pogańskich. Może więc i nasza chrześcijańska wigilia łączy się tradycją z jakim świętem słowiańskim. Istnieją ślady, że święto takie obchodzono na początku zimy: miało ono na celu uproszenie urodzaju na rok następny. Z drugiej strony wigilijna uczta posiada pewne znamiona święta, obchodzonego ku czci zmarłych. Zwyczaj bowiem, powszechnie w Polsce panujący, nakazywał, by przy stole wigilijnym były nakrycia dodatkowe dla tych, co na zawsze odeszli Pol w swej „*Pieśni o domu naszym*“ tak pisze o tym obyczaju :

...trzy krzesła polskim strojem
Koło stołu stoją próżne
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dłużne.

I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy,
Bo w tych krzesłach siedzą duchy!
Nikt nie pyta, o kim mowa,
Wszyscy wiedzą, co się święci
I dla kogo serce chowa
Winną pamięć w tej pamięci.
Łzą się ucztę rozpoczyna,
Niemo liczy się drużyna
Ze strat wszystkich, z lat ubiegłych,
Z nieobecnych i poległych...

Zwyczaj przygotowywania nakryć dla zmarłych członków rodziny przechował się u ludu. Dziś zaciera się on, i w niektórych okolicach wieśniacy pozostawiają tylko po uczcie wigilijnej bochen chleba na stole, by zeń sobie Pan Jezus mógł ukrajać, kiedy w nocy przyjdzie po kolędzie.

Do obrzędów wigilijnych, wspólnych i dworom szlacheckim, i wiejskim chatom, należało ustawianie w kątach izby czy też komnaty snopów zboża, podkładanie siana pod obrus i łamanie się opłatkiem, a czasem u ludu kawałkiem chleba.

W domach zamożniejszych nie brakło licznych gości, w mniej zamożnych zbierała się w każdym razie cała rodzina. Po zapaleniu światła, po sproszeniu do stołu gości i domowników, gospodyni lub gospodarz przystępowali z opłatkiem do każdego, łamiąc się z nim życząc: Do siego roku. Wszyscy uczestnicy wieczerzy, nie wyłączając służby, mieli obowiązek powtórzenia onego przełamania się pomiędzy sobą. Ślicznego tego, braterskiego obyczaju nie zdołał czas dotąd wykorzenić.

Bo też wieczór wigilijny, to najserdeczniejsze, najbardziej uczuciowe święto polskie. Ślicznie też o nim pisze Lucjan Siemieński:

O ile nie radbym na wigilię błądzić wśród śnieżnej zamieci... o ile markotno by mi było... zajechać w tym dniu przed ganek obywatela świata. Nie dlatego, żebym miał być źle przyjęty lub nieopatrzony w wykwintne nawet wygody! — O, bynajmniej! — Przecież ten rodzaj ludzi należy do wielkich czcicieli komfortu. — Ale czego bym nie znalazł, jak dwa a dwa cztery, to powitania z opłatkiem w ręku, życzeń „Do siego roku", rybnej uczty, spożytej na sianku, w licznym

gronie rodziny i przyjaciół, piosnki, śpiewanej przez pastuszków, która się nazywa kolędą, a nade wszystko tego uroczystego spokoju, wesela i niebiańskiej harmonii, jak gdyby chór aniołów przygrywał na multankach i wiolach Nowonarodzonemu Dzieciątku. Zresztą, kto wie, może by się znalazło jedno i drugie... ale co byłoby najtrudniej, to znaleźć tę atmosferę patriarchalną, tę poezję swobody i wesela pod słomianą strzechą, która w cudownej tej nocy napełnia powietrze pieśnią: „Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

I dalej ten sam autor opowiada, jak w wieczór wigilijny pewien szlachcic polski, kopiąc się przez zaspy śnieżne wśród gęstej zadymki, zajechał, nie wiedząc o tym, przed dom swego największego wroga. Zajechał, wszedł do komnaty jadalnej w chwili, gdy gospodarstwo siadali do wieczerzy. Nieprzyjaciele, spojrzawszy sobie w oczy i poznawszy się wzajemnie, stanęli jak wryci. Ale pani domu podeszła do gościa z opłatkiem w ręku. To samo uczynił po chwili i mąż, za jej przykładem. Padło ciche, wahające się: „Do siego roku", a po nim stopniały dawne żale i pokój zapanował w zagniewanych dotąd sercach.

A jakimże drogim świętem była dla Polaka wigilia, obchodzona z dala od rodzinnej ziemi czy to w rozgwarze „paryskiego bruku", czy pod zaśnieżonym wygnańczym niebem północy, kiedy jedyne przypomnienie Polski stanowił okruch anielskiego chleba, z ojczyzny przysłany! Wtedy uczta wigilijna stawała się niby komunią, przy której spożywano wspólnie gorzki chleb tęsknoty, pito wspólnie z kielicha nadziei, co mistyczny i niewidzialny pochylał się jednak ku ustom spragnionym.

. . . .

Skład wigilii zależał od zamożności gospodarstwa. W dworach szlacheckich podawano barszcz z uszkami, zupę rybną lub migdałową, grzyby z kapustą, najrozmaitsze gatunki ryb, wśród których królował karp na szaro, szczupak po żydowsku i lin w galarecie. Na zakończenie szły lżejsze dania, a więc łamańce z makiem, kompoty z suszonych owoców. We wschodnich ziemiach kresowych obowiązywała kutia, tj. pszenica, omielana nieco, mieszana z miodem.

Uczty u ludu bywały, oczywiście, skromniejsze. Śledź zastępował ryby. Nie brakło jednak barszczu klusek na oleju, kapusty z grzybami kaszy jaglanej i ulubionych na Mazowszu klusek z makiem i z miodem.

Ilość potraw wigilijnych dosięgała czasem dwunastu. Jeśli ich było

niej, przestrzegano w niektórych okolicach parzystości liczby, aby unikać nieszczęścia w ciągu roku.

W niektórych okolicach Małopolski kładziono przy wieczerzy wigilijnej u ludu po kilka główek czosnku, który jakoby ma moc oddalania chorób. Pod stołem zaś układano żelazo od pługa, by krety nie psuły roli.

Izbę w Krakowskim stroją na wieczór wigilijny w światy, wycięte z kolorowych opłatków i wieszane u sufitu. Wieszają też u powały gałązie sośniny, strojne w jabłka i orzechy, na uciechę dla dzieci i czeladzi. Drzewka te wiszą nienaruszone do świętego Szczepana.

Ilość snopów słomy bywa rozmaita. Czasem jest ich aż cztery: z pszenicy, z żyta, z owsa i z jęczmienia, czasem mniej, zależnie od tego, jakie gatunki zboża się wysiewają. Przy wnoszeniu tych snopów gospodarz rad wymawia symboliczne słowa: „Słoma do chałupy, a bieda z chałupy". Jeden z tych snopów rozściela się na podłodze, inne, ustawia się w kącie. Poza tym długimi źdźbłami słomy pokrywa się stół. Niekiedy posypuje się go ziarnem, niekiedy tylko sianem się go zaściela.

Ze snopa, stojącego w kącie, wyciągają domownicy źdźbła i ciskają ku górze, by się uczepiły u stragarzy[1]). Z rzucania tego wyprowadzają rozmaite wróżby co do przyszłych urodzajów. Słoma ta, uczepiona pod sufitem, wisi do św. Szczepana. Potem podściela się ją kurom, by obficie niosły jaja.

Słomę z podłogi pali się w polu, aby chwasty nie głuszyły zboża. Wreszcie słomę ze stołu niesie się bydłu, wraz z okruchami opłatka.

Albowiem po wigilijnej wieczerzy w polskiej chacie idzie gospodarz do stajenki i obórki, by się z ich mieszkańcami podzielić resztkami jedzenia. Dawniej wierzono też powszechnie — i dziś jeszcze z tym wierzeniem się spotykamy — że w nocy Narodzenia Pańskiego zwierzęta ludzkim przemawiają głosem i że niebo się otwiera o północy, a kto jest wart tego, ten je oglądać może.

Po skończonej wigilii, gospodarz z gospodynią idą też do sadu i tym obwiązują drzewa lub też biją je powrósłami zrobionymi ze słomy, która była w izbie, a to dlatego, by obficiej rodziły. Czasem też grozi jedno z nich: „Zetnę cię, krzaku, kiejś nie urodził owocu na wilię".

---

[1]) Belka w suficie poprzeczna, in. tram albo siestrzan.

Drugie zaś odpowiada: „Nie trza go ścinać, tylko mu trza ze święc: nej słomy pasek zrobić".

To zboże bowiem, które podczas wieczoru wigilijnego było w izbi uchodzi za święcone i na śmietnik nigdy się go nie wyrzuca.

Kto ma pszczoły, ten je również odwiedza, pukając do ulów, by s w roku przyszłym obfitość miodu w nich znalazła.

Wieczór wigilijny był i jest po dzień dzisiejszy wieczorem wró: najrozmaitszych. Gospodarze liczą wyciągane ze snopa wigilijneg kłosy, rachują pełne i niepełne i z tego wysnuwają wnioski o przyszłyc urodzajach. Ze źdźbeł, wysnuwanych spod obrusa, wróżą parobcy dziewczęta, rychło-li ich wesele czeka. Źdźbło długie i zielone prz powiada ślub w najbliższym czasie; zwiędłe wróży, że jeszcze rok ca na męża lub żonę czekać trzeba. Źdźbło zupełnie zeschłe przepowiac staropanieństwo lub starokawalerstwo.

Z ilości polan drzewnych, ujętych jako naręcz, wyprowadza s też wnioski, z przyszłością związane. Naręcz parzysta jest, oczywiści dobrą wróżbą. O tym, z której strony ma się dziewczyna spodziewa przybycia narzeczonego, wróży się ze szczekania psa. Puszcza się t na podłogę głodnego koguta, z zawiązanymi oczami i znienacka zdj wszy mu zasłonę, obsypuje się go ziarnem. Na ten pokarm rzuca s ptak zgłodniały, a gdy się już najadł do woli, obecni liczą pozosta ziarna i z ich ilości parzystej lub nieparzystej wróżą o małżeństwie.

W dzień wigilijny nie należy płakać, bo się będzie płakało prz rok cały; nie należy też pożyczać pieniędzy. Dobrze jest natomia obmyć się wodą, do której kilka groszy wrzucono. Pić jednak wody n trzeba, boby się przez cały rok miało pragnienie. Zaleca się gryźć orz chy, ażeby do następnych godów zęby były zdrowe.

Kto chce, by mu zboże pięknie plonowało, ten powinien, jadąc lu idąc na pasterkę, najpierwszy stanąć w kościele.

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia święci lud nasz w skupieni poważnie. Dopiero od drugiego dnia świątecznego, od św. Szczepan rozpoczynają się odwiedziny krewniaków i znajomych, wesołe obrzęc kolędowe, chodzenie z szopką i z Herodami.

Górale w tymże dniu dają owies do święcenia w kościele, by s doczekać obfitszego urodzaju. W okolicach Rabki, podłaźnicy [1]), prz chodząc rano do chaty, sypią garście owsa po kątach izby, z życzenien

[1]) Ci, co chodzą na podłazy, tj. z powinszowaniem Wesołych Świą

Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie,
Żeby się darzyło w komorze!

W niektórych zaś okolicach Małopolski młodzi parobcy, myślący alotach, odwiedzają również w drugie święto chaty bogdanek i badają, ie panuje wzorowy porządek. Dziewczęta niedbałe o ład w chacie, mające śmieci pod progiem, muszą wtedy okupywać się wódką.

M. D.

PODCZAS OBLĘŻENIA

...Przyszedł wreszcie wiecór wigilijny. O pierwszej gwiaździe zamiały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, pogodna. Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szańcach, glądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy, i na myśl przydziły im ciepłe, mchami utkane chaty skandynawskie, żony, dzieci, inkowe drzewka, płonące od świeczek, i niejedna żelazna pierś wezbrawestchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą. A w twierdzy przy stołach, ytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że sy niedoli miną już rychło.

— Jutro szturm jeszcze, ale to już ostatni — powtarzali sobie księi żołnierze. Komu Bóg śmierć zapisze, niech dziękuje, że przedtem ożeństwa zażyć mu pozwoli i tym pewniej bramy niebieskie mu orzy, bo kto w dzień Bożego Narodzenia za wiarę zginie, ten do ały przyjęty być musi.

Życzyli sobie tedy wzajem pomyślności, długich lat lub niebieskiej ony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

A było przy przeorze jedno krzesło próżne, przed nim stał talerz, którym bielała paczka opłatków, niebieską wstążeczką obwiązana.

Gdy wszyscy zasiedli, owego zaś miejsca nikt nie zajął, pan miecznik kł:

— Widzę, ojcze wielebny, że starym zwyczajem i dla zagórskich ów miejsce jest gotowe?

— Nie dla zagórskich to panów — odrzekł ksiądz Augustyn — ale dla wspomnienia owego młodzieniaszka, któregośmy jak syna wszys kochali, a którego dusza patrzy teraz z uciechą na nas, żeśmy pam wdzięczną o nim zachowali.

— Dla Boga — rzekł miecznik sieradzki — lepiej teraz jemu nam. Słuszną winniśmy mu wdzięczność!

Ksiądz Kordecki miał łzy w oczach, a pan Czarniecki ozwał się

— O mniejszych w kronikach piszą. Jeśli mi Bóg życia pozwo ktokolwiek spyta mnie później, który był między wami żołnierze starożytnym bohaterom równy, powiem: Babinicz.

— On się nie nazywał Babinicz! — odrzekł ksiądz Kordecki.

— Jak to nie nazywał się Babinicz?

— Od dawna wiedziałem jego prawdziwe nazwisko, ale pod t jemnicą spowiedzi... I dopiero wychodząc przeciw owej kolubryn rzekł mi: „Jeśli zginę, niechajże wiedzą, ktom jest, ażeby uczciwa sław przy moim nazwisku została i dawne grzechy starła". Poszedł, zgin więc teraz mogę waćpanom powiedzieć: to był Kmicic!

— Ów litewski przesławny Kmicic! — zakrzyknął, porwawszy za czuprynę, pan Czarniecki.

— Tak jest! Tak łaska Boża zmienia serca!

— Dla Boga! Teraz rozumiem, że on się podjął tej wyprawy! Ter rozumiem, skąd się taka fantazja w nim brała, skąd ta odwaga, któ wszystkich przewyższał! Kmicic! Kmicic! Ów straszny Kmicic, któreg Litwa sławi.

— Inaczej go odtąd sławić będzie nie tylko Litwa, ale cała Rzeczp spolita.

— On to nas pierwszy ostrzegł przed Wrzeszczowiczem!

— Z jego to przyczyny bramyśmy dość wcześnie zamknęli i pr gotowania uczynili!

— On pierwszego Szweda z łuku ustrzelił!

— A ilu ich z armat napsuł. A de Fossisa kto położył?

— A owa kolubryna! Jeśli nam nie strach jutrzejszego szturm któż to sprawił?

— Niechże każdy z czcią wspomina i wysławia gdzie może im jego, ażeby sprawiedliwość się stała — rzekł ksiądz Kordecki — a te wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci — odpowiedział jeden
ór głosów...

— Wszelako dziwno mi to — rzekł pan miecznik sieradzki — że
wedzi nie pochwalili się jego śmiercią.

Ksiądz Kordecki westchnął:

— Musiały go prochy na miejscu rozerwać!

— Dałbym sobie rękę uciąć, żeby żył — krzyknął pan Czarniecki.
Ale żeby taki Kmicic pozwolił się prochom wysadzić!

— Dał swoje życie za nasze — odrzekł ksiądz Kordecki.

— To pewno — odpowiedział miecznik — że gdyby ta kolubryna
ała jeszcze na szańcu, nie myślałbym tak wesoło o jutrze.

— Jutro Bóg nam da nowe zwycięstwo! — rzekł ksiądz Kordecki —
owiem Arka Noego nie może zatonąć w potopie.

Tak oni ze sobą rozmawiali przy wilii, a potem porozchodzili się
konnicy do kościoła, żołnierze na cichy postój i strażowanie przy bra-
ach i murach. Lecz wielka czujność była zbyteczna; i w szwedzkim
bzie panowała niezamącona spokojność. Sami oni oddali się spoczyn-
wi i rozmyślaniom, bo i dla nich zbliżało się najuroczystsze ze świąt.

Noc była także uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniąc
różowo i błękitno. Blask księżyca barwił na zielono całuny śnieżne,
ściągnięte między fortecą a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał,
aka była cisza, jakiej od początku oblężenia pod tym klasztorem nie
wało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wynio-
ści tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem
więki dzwonów i dzwonków. Wesele, otucha i wielki spokój były w
h dźwiękach, i tym większe zwątpienie, tym większe uczucie niemocy
nęło serca szwedzkie.

Żołnierze polscy spod komendy Zbrożka i Kalińskiego, nie pytając
pozwolenie, podeszli pod same mury. Nie puszczono ich do środka
obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono
blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadą. Jedni poklę-
i na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną
ą albo bili się w piersi, ślubując sobie poprawę, a wszyscy słuchali
ozkoszą i ze łzami w oczach muzyki i pieśni, wedle starożytnego zwy-
u śpiewanych.

Tymczasem strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele,

chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także śpiewać i wkrótce ro
legła się po całym okręgu murów kolęda :

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu ?

Nazajutrz po południu huk dział zgłuszył na nowo wszystkie in
odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia drżała w posadach
leciały po staremu na dach kościelny ciężkie faskule i bomby, i granat
i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu, i p
chodnie bez oprawy, i sznury, i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieust
jący, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwaliła się na klasztor, le
między działami szwedzkimi nie było owej kolubryny, która sama jedn
mogła pokruszyć mur i wyłomy potrzebne do ataku uczynić.

Zresztą oblężeni tak już przywykli do ognia, tak każdy wiedział,
mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem.

Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk pociskiem, jeno wymierz
nym trafniej, bo spokojniej.

Pod wieczór wyjechał Müller, aby przy ostatnich błyskach zachodz
cego słońca skutki obejrzeć i wzrok jego padł na wieżę, rysującą się sp
kojnie na tle błękitu :

— Ten klasztor wieki wieków stać będzie ! — zakrzyknął w uniesi
niu.

— Amen ! — odpowiedział spokojnie Zbrożek.

Wieczorem zebrała się znów w generalnej kwaterze narada, jeszc
posępniejsza, niż zwykle. Zagaił ją sam Müller.

— Szturm dzisiejszy — rzekł — żadnych nie przyniósł rezultató
Prochy nasze się kończą ; lud zmarniał w połowie, reszta zniechęcon
klęski nie zwycięstwa wygląda. Zapasów już nie mamy, posiłków nie m
żem się spodziewać.

— A klasztor, jako pierwszego dnia oblężenia, nienaruszony stoi ! —
dodał Sadowski.

— Co nam pozostaje ?

— Hańba !

— Odebrałem rozkazy — rzekł generał — bym prędzej kończył l
odstąpił i szedł do Prus.

— Co nam pozostaje ? — powtórzył książę Heski.

Wszystkich oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł :
— Ratować honor !...
— ...Honor uratowali tylko polegli ! — rzekł Sadowski.
Müller począł tracić zimną krew :
— I ten klasztor stoi tam jeszcze ? Ta Jasna Góra, ten kurnik ? I ja nie zdobyłem ? ! I my odstępujemy ? Czary-li to, sen, czy mówię na ?...
Wtem Wrzeszczowicz głos zabrał i mówił zwolna i dobitnie :
— Nieraz trafiało się — rzekł — we wszystkich wojnach, że oblężona ca okupywała się oblegającym, a wówczas ci odchodzili, jak zwycię bo kto składa okup ten, tym samym, zwyciężonym się uznaje...
...Niech ten klasztor złoży nam jakikolwiek okup... wówczas nikt owie, żeśmy go zdobyć nie mogli, jeno żeśmy nie chcieli.
— Ale czy oni się zgodzą ? — spytał książę Heski.
— Moją głowę w zakład stawię — odparł Weyhard — i więcej nad mój honor żołnierski !...
Müller zwrócił się do Wrzeszczowicza.
— Niejedną ciężką, cięższą niż kiedykolwiek w życiu chwilę przeby z przyczyny waszych rad, panie hrabio, jednak za tę ostatnią dziękuję dzięczność zachowam.
Wszystkie piersi lżej odetchnęły. Rzeczywiście, nie mogło już chodzić o innego, jak o wycofanie się z honorem.
Nazajutrz, w dzień świętego Szczepana, oficerowie zgromadzili się co jednego, aby wysłuchać odpowiedzi księdza Kordeckiego na list Mül który obejmował propozycję okupu, a był wysłany od rana.
Przyszło długo czekać. Müller udawał wesołość, ale przymus był wi zny w jego twarzy. Nikt z oficerów nie mógł usiedzieć na miejscu. zystkim serca biły niespokojnie.
Książę Heski i Sadowski stali pod oknem, rozmawiając z cicha.
— Co waszmość myślisz ? Zgodzą się ? — zapytał pierwszy.
— Wszystko za tym mówi, że się zgodzą...
— Boję się tylko, czy generał nie za wiele zażądał.
— Ile zażądał ?
— Czterdzieści tysięcy talarów od mnichów, a dwadzieścia od szlachty.
— No, ale w najgorszym razie będą się chcieli potargować.
— Ustępujmy, na Boga ustępujmy ! Gdybym wiedział, że nie mają

pieniędzy, wolałbym im ze swoich pożyczyć, byle chociaż z pozorem noru pozwolili nam odejść...

Lecz tymczasem huk wystrzałów przerwał im dalszą rozmowę.

— Co to? Strzały z fortecy? — krzyknął Müller.

I zerwawszy się jak opętany, wybiegł z izby.

Wybiegli za nim wszyscy i poczęli nasłuchiwać. Odgłos regularny salw dochodził istotnie z fortecy.

— Dla Boga, jakie to może mieć znaczenie? Biją się w środku, c co?! — wołał Müller — nie rozumiem!

— Ja to waszej dostojności wytłumaczę — rzekł Zbrożek. — D święty Szczepan, imieniny panów Zamoyskich, ojca i syna, na ich to cz strzelają!

Wtem i okrzyki wiwatowe doszły z fotecy, a za nimi nowe salwy.

— Dość mają prochów — rzekł ponuro Müller. — To nowa dla n wskazówka.

Lecz los nie oszczędził mu i drugiej, bardzo bolesnej wskazówki. C żołnierze szwedzcy tak już byli zniechęceni i na duchu upadli, że na c głos strzałów fortecznych, oddziały, pilnujące najbliższych szańców, op ściły je w popłochu.

Müller widział cały jeden regiment wybornych strzelców smalanc kich, który w zamieszaniu schronił się aż pod jego kwaterę; słyszał tak; jak oficerowie powtarzali między sobą na ten widok:

— Czas, czas, czas odstąpić!

Lecz powoli uspokoiło się wszystko, jeno wrażenie przygnębiające z stało. Wódz a za nim podkomendni weszli znów do izby i czekali, czek niecierpliwie; nawet nieruchoma aż dotąd twarz Wrzeszczowicza zdradza niepokój. Na koniec brzęk ostróg rozległ się w sieni i wszedł trębacz, ca zarumieniony od mrozu, z wąsami, okrytymi szronem oddechu.

— Odpowiedź z klasztoru! — rzekł — oddając sporą paczkę, ow niętą w chustkę kolorową, związaną sznurkiem.

Müllerowi drżały nieco ręce, i wolał przeciąć sznurek puginałem, n odwiązywać go zwolna. Kilkanaście par oczu utkwionych było nieruchon w paczkę, oficerowie oddech wstrzymali.

Generał odwinął jeden skład chusty, drugi, trzeci i odwijał co spieszniej, aż wreszcie na stół wypadła paczka opłatków.

Wówczas pobladł, i choć nikt nie potrzebował objaśnienia, co zn dowało się w chustce, rzekł:

— Opłatki!

— Nic więcej? — spytał ktoś z tłumu.

— Nic więcej! — odpowiedział jak echo generał.

Nastała chwila milczenia, przerywana tylko głośnymi oddechami, n też rozległ się zgrzyt zębów, czasem trzaśnięcie rapierem.

— Panie Wrzeszczowicz! — rzekł wreszcie Müller strasznym i zło- n głosem.

— Nie ma go już! —odpowiedział jeden z oficerów.

I znów nastało milczenie.

Natomiast w nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła ie zagasły, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych od- w jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp v, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum, i wrzenie...

...Z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg . Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w nocy wszystkie sy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy... Pokrył cały klasztor i ół, jak gdyby go chciał okryć przed wzrokiem najezdników, otulić i ić przed ognistymi pociskami.

Na koniec poczęło szarzeć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy rze, strażujący przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było azdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą zerszeniałą szkapę.

Chłop począł „zabijać” ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam!

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dzbowa! Przywiozłem dobrodziejom zwierzynę.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho, nie masz już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Juże za nimi i ślady zasypało.

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze, jedni je- konno, drudzy szli piechotą ...a wszyscy z daleka już wołać zaczę-

— Nie masz Szwedów ! Nie masz !...

Wieść piorunem rozbiegła się w okrąg. Żołnierze dopadli dzwon uderzyli we wszystkie jakby na alarm... Podwórzec zaroił się zakonnik szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Radosne okrzyki rozle się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzeć, inni w chali śmiechem lub szlochaniem... W kilka godzin później pełno było l na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szer jak zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły, a owe głosy triumfu leciały w dal i słyszała je cała Rz pospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

H. Sienkie
(Potop)

WIGILIA W POLSKIM DWORZE

...Otworzyły się podwoje, i poszli wszyscy do obiadu. Stały tam stole na przemian : zupa migdałowa i barszcz z uszkami. Nastąpiły nich w zwykłym porządku: szczupak z szafranem, ryż z podróbkami. pusta z linem, ryby po lwowsku, placuszki z makiem, karp z miodo kiem, grzanki do oliwy i wina, ryby smażone i po nich zamiast komp jak zwykle, gruszki gotowane ze śliwkami i obwarzankami. Siano obrusem, dwie duże strucle wśród stołu, równoległe także, jak dwa wające szczupaki, wśród białego kanału, i paczka opłatków przed gos dynią uzupełniały wigilię. Pan Monvel, pierwszy raz przytomny tej ropolskiej, postnej uczcie, któremu się barszcz z uszkami dostał w udz sądził, kosztując go, iż Polacy chyba przez umartwienie takie w post ja potrawy. Widząc po nich następujące, lepszymi rzeczami obłożone miski i gęsto przy nich nalewane kieliszki wina, nie wiedział już, takowym rodzaju zbytku, jak o polskim trzymać poście. Tak to pow niśmy być wybaczającymi dla otaczających nas cudzoziemców i nie naz surowo sądzić o różnych obcych krajów obyczajach; gdyż to, co u każd narodu szanownym jest starożytnym zwyczajem i drogą po naddziad puścizną, dziwacznym się tylko obcym wydawać może. Co zaś szcze niejsze wrażenie Panu Monvel czyniło, to życzliwy, z siwym wąsem, polsku ubrany sąsiad, który, litując się nad nim, iż tak mało je i

mu nalewał kieliszki, dawnymi zachęcając go kolejno przyjętymi w ierze aksjomatami: „*Non est vinum, nisi Hungaricum. Post pisces, misces. Bis repetita placent. Omne trinum perfectum*"). Wszystkie »wiem maksymy nieznane były zupełnie Panu Monvel, z cycerońską łaciną obznajmionemu.

E. Jaraczewska
(Powieści narodowe. Pierwsza miłość. — Pierwsze uczucia.)

WIGILIA W POLSKIEJ CHACIE

Wieczór już stał u progu, słońce padało za bory, a czerwone zorze ały się po niebie krwawymi zatokami, że śniegi gorzeć się zdawały, zarzewiem posypane — ale wieś głuchła i przycichała. Nosili jeszcze ze stawu, rąbali drwa, to ktoś się śpieszył saniami, aż koniom śledziały, biegali jeszcze przez staw, skrzypiały wrótnie gdzieniegdzie, y się tu i ówdzie głosy różne, ale zwolna wraz z gaśnięciem zórz i opielną sinością, jaka się sypała na świat, ruch zamierał, przycichły ia, i pustoszały drogi... Dalekie pola zapadały w mrokach, zimowy ór prędko nastawał i brał ziemię w moc swoją, a mróz się podnosił ściskał, że głośniej grały śniegi pod trepami i szyby malowały się gi i kwiaty dziwne!

Wieś zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że rzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro iej niźli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy. W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak u komornika, jak i u edoty ostatniej, przystrajano się i czekano z namaszczeniem, a wszędy no w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły m bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej ty.

nkoś nie widne były zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy , bo skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać dymami sinymi i całkiem zatapiało się w burościach.

) Nie ma wina nad węgierskie. Po rybie możesz pić wino. Rzeczy rzone podobają się. Co potrójne — to doskonałe.

Józka z Witkiem dobrze byli przemarzli, bo stali na zwiadach p
gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest ! Jest ! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrzeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści że była tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony.
głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i zda się rosła w oc
leciała, pryskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej
aż Rocho ukląkł na śniegu, a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, betlejemska gwiazda, przy kt
blasku Pan nasz się narodził. Niech będzie święte imię Jego pochwalo

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość dal
w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad ś
tem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnośc
brały w siebie to światło czyste, jako ten ogień święty pleniący złe, j
sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już, niby kula ognista, błęk
smugi szły od niej, niby szprychy świętego koła, skrzyły się po śnieg
i świetlistymi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te sł
wierne, wychylały się z nieba inne a liczne nieprzeliczoną i nieprzejrz
gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad świa
modrą płachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździami.

—Czas wieczerzać, kiedy Słowo Ciałem się stało ! — rzekł R

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się
łożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, s
Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadała na krótko, bo trzeba był
jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich:
jedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworz
krzepi się tym chlebem świętym ! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym chlebie, a poja
wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach z ziemniak
całymi, a potem przyszły śledzie w mące obmaczane i smażone w o

onym, później zaś pszenne kluski z makiem, a potem szła kapusta rybami, olejem również omaszczona, a na ostatek podała Jagusia mak prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki z miodem zatarte i w wym oleju uprażone, a przegryzali to wszystko prostym chlebem, bo ni strucli, że z mlekiem i masłem były, nie godziło się jeść dnia

icho się w izbie stało, ciepło, serdecznie, nabożnie i tak uroczyście, między nimi leżało to święte Dzieciątko Jezus. Ogromny a ciągle zany ogień wesoło trzaskał na kominie i rozświetlał całą izbę, aż się szkła obrazów i czerwieniały zamarznięte szyby, a oni siedzieli wzdłuż ławy przed ogniem i poradzali z cicha a poważnie.

otem Jaguś nagotowała kawy, to słodzili ją suto i popijali zwolna.

Aż Rocho wyjął z zanadrza książkę, okręconą w różaniec, i zaczął czytać cichym a głęboko wzruszonym głosem:

„Jako to stała się nowina, Panna porodziła Syna; aż w judejskiej zie- Betlejem nie bardzo podłym mieście, narodził się Pan w ubóstwie, nie, w stajni lichej, między bydlątkami, co w tej radosnej nocy ci- yły mu bratami. — A ta sama gwiazda, co i dzisiaj świeci, spłonęła zas dla tej świętej Dzieciny — i drogę wskazywała trzem królom, co iż pogany i czarne jak sagany, a serca mieli czujące i z krajów da- zza mórz nieprzejrzanych, zza gór srogich przybiegli z darami, by zie dać świadectwo".

Długo czytał opowieść oną, a głos mu się wzmagał i rozmadlał, i w prawie przechodził, że jakby tę świętą litanię wygłaszał, a wszyscy eli w milczeniu pobożnym, w ciszy serc zasłuchanych, a w drżeniu olśnionych cudem, i w najszczerszym odczuciu łaski Pańskiej, naro- danej!

Hej, mój Jezus kochany! W stajence ci to lichej urodzić się przyszło, w tych krajach dalekich, między obcymi, między heretyki srogie, w wie takim, w taki mróz! O, biedoto przenajświętsza! O, dzieci- o słodka!... Myśleli i serca biły współczuciem, a dusze się zrywały y we świat, jako ci ptakowie, aż do tej ziemi narodzin, do tej szopy, ten żłób, nad którym śpiewali aniołowie, do świętych nóżek Dzie- przypadali sercami i całą mocą wiary ognistej i dufności oddawali e w te służki najwierniejsze, aż po wiek wieków amen!

A Rocho wciąż czytał, aż Józka, że to miękkie dziewuszysko było i czujące, zapłakała rzewliwie nad Pańską niedolą, a Jaguś, wsparł-

szy twarz na dłoniach, też płakała, aż jej łzy ciekły przez palce, że wała głowę za Jędrzycha, któren z otwartą gębą wpodle słuchał a tak wielce dziwował słyszanemu, aż raz po raz szarpał Szymka za kapo wykrzykiwał:

—Cie! Słuchasz to, Szymek! — ale wnet milknął, karcony sro wzrokiem matki.

— Nawet tej kolebeczki nie miała biedota!

— Dziw, że to nie zamarzło!

— I że to chciał Pan Jezus tyle wycierpieć! — powiadali, rozważa gdy skończył, a Rocho im na to:

— Bo ino — co ochfiarą swoją i cierpieniem mógł zbawić naró gdyby nie to, to już by Zły całkiem zapanował nad światem i wybi dusze la siebie.

. . . .

— Witek, zapal latarkę, do krów pójdziemy. W tę noc Narodz i każde bydlątko rozumie człowieczą mowę i przemówić jest zdolne, ż między nimi Pan się narodził. Kto ino bezgrzeszny zagadnie — ludz głosem odpowiedzą; równe są dzisiaj ludziom i społecznie z nimi czuj więc i opłatkiem trza się z nimi podzielić.

Ruszyli wszyscy do obory, a Witek ze światłem przodem.

Krowy leżały rzędem obok siebie i przeżuwały, glamiąc powoli, na światło i głosy jęły postękiwać, zbierać się ciężko do powstawani odwracać ciężkie, ogromne łby.

— Tyś gospodynią, Jaguś, to prawo twoje rozdzielić między wsz kie. Darzyć ci się będą lepiej i nie chorować; jeno jutro rano doić można, aż wieczorem: straciłyby mleko.

Jaguś połamała opłatek na pięć części i, przechylając się nad ka krową, czyniła krzyż święty między rogami, a wtykała po kawałku w bulę, na szerokie, ostre ozory.

— A koniom to nie dacie? — zagadnęła Józka.

— Nie było ich w onym czasie przy Narodzeniu, to nie można.

Wracali do izby, a Rocho mówił:

— Każde stworzenie, trawka każda, choćby i ta najmarniejsza, muszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko d czuje, wszystko wie — że Pan się narodził!

— Jezus kochany! Wszystko! to i ta ziemia, i te kamienie! — krzyknęła Jagna.

— Prawdę rzekłem, tak ci to i jest — wszystko ma swoją duszę. Co st na świecie, czującym jest i na swoją godzinę czeka, aż Jezus się e i rzeknie :

Wstań duszo, ożyj, zasługuj się niebu!"

o i robaczek najmniejszy, i ta trawka chwiejna, wszystko się po nu zasługuje i po swojemu chwały Pańskiej dostępuje. A w tę noc na rok cały wszystko się podnosi, przecyka, nasłuchuje a czeka tego

la jednych ono przychodzi, dla drugich jeszcze nie kolej, to legną w mrok, cierpliwie czekający świtu, kto kamieniem, wodą, ziemią, m, kto jeszcze czym innym, jak tam któremu Pan naznaczył.

milkli, rozważając, co powiedział, bo mądrze był rzekł, prosto do ale się to Borynie ni Dominikowej nie widziało czystą prawdą, bo e w głowie przekładali i tak i owak, a pojąć tego nie mogli. Juścić ska jest nieodgadniona a cuda czyniąca, ale żeby kamienie i wszys- zę swoją miało — nie mogli tego wymiarkować. I nie myśleli już m dłużej, bo przyszli kowalowie z dziećmi.

. . . .

tymczasem zaś Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli oboje do obory.

rzymając się za ręce i dygocząc ze strachu, a żegnając się raz po raz, się do obory, pomiędzy krowy.

rzyklęknęli przy największej, jakby przy matce całej obory. Tchu kowało, dusze się trzęsły, łzy nabiegały do oczów, serca przenikał święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale dufność ser- i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha ł drżąco:

— Siwula! Siwula!

ie odrzekła ni tym słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała łą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

rzyklęknęli przy drugiej, i znowu Witek zapytał, ale już z płaczem

— Łaciata! Łaciata!

rzywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamarłym tchem, ale nic yszeli, ani słowa, nic...

— Grześnismy pewnie, to nie usłyszymy, ino bezgrzesznym odpowia- my grzeszne...

— Prawda, Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne, mój Jezu prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzem stary... a i te... — nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal, i to czucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przew swoje a grzechy wszystkie...

Ale w izbie nikt nie spostrzegł ich braku; śpiewali teraz pieśni bożne, że to nie czas przed północkiem na kolędy.

. . . .

Umilkli naraz, bo ostry, przenikliwy głos sygnaturki przedzierał do izby.

— Sygnują na pasterkę, trza się nam zbierać !

Jakoż w pacierz może wyszli wszyscy... Noc była mroźna, rozisk na gwiazdami, modrawa.

Sygnaturka wciąż dzwoniła i jako ten ptaszek świergotała, zwołu do kościoła. Kto był żyw, do kościoła ciągnął, ostały ino po chałup całkiem stare, chore, albo kaleki.

Już z daleka widniały rozgorzałe okna kościelne i główne drzwi roścież wywarte a światłem buchające, naród zaś płynął przez nie i pł jak woda, zwolna zapełniając wnętrze, przystrojone w jodły i świerki jakby gęsty bór wyrósł w kościele, tulił się do białych ścian, obrastał rze, z ław się wynosił i prawie sięgał czubami sklepień a chwiał się i łysał pod naporem tej żywej fali i przysłaniał mgłą, parami oddechów, których ledwie migotały jarzące światła ołtarzów.

A naród wciąż jeszcze nadchodził i płynął bez końca...

Kościół był zapchany do cna, aż do tego ostatniego miejsca w kr cie, że którzy byli ostatni, to już na mrozie pod drzwiami pacierze mó

Ksiądz wyszedł ze mszą pierwszą, organy zagrały, a naród się za łysał, pochylił i na kolana padł przed majestatem Pańskim.

I już cicho było, nikt nie śpiewał, a modlił się każdy, wpatrzon księdza i w tę świeczkę, co płonęła wysoko nad ołtarzem; organy huc przyciszoną a tak tkliwą nutą, że mróz szedł przez kości, czasem ks się odwrócił, rozkładał ręce, powiadał w głos łacińskie święte słowo naród wyciągał ramiona, wzdychał głęboko, pochylał się w skrusze bożnej, bił się w piersi i modlił żarliwie.

Potem zaś, gdy się msza skończyła, ksiądz wlazł na ambonę i pr

nauczał o tym dniu świętym, przestrzegał przed złem, gromił, rę-
wytrząchał i grzmiał tym słowem palącym, że jaki taki westchnął, kto się bił w piersi, kto się w sumieniu z win kajał, kto się zamerywał, któren znów co miętszy, a kobiety zwłaszcza, płakał — bo mówił gorąco a tak mądrze, że każdemu to szło prosto do serca rozumu — juźci, że tym ino, co słuchali, bo wiela było takich, któpik morzył z gorąca.

A dopiero przed drugą mszą, kiej już naród skruszał nieco modlesię, huknęły znowu organy, i ksiądz zaśpiewał:

W żłobie leży, któż pobieży,

Naród się zakołysał, powstał z klęczek, wraz też pochwycił nutę i pełpiersiami a z mocą ryknął jednym głosem :

Kolędować małemu ?

Wł. St. Reymont
(Chłopi.)

WIGILIA WŚRÓD JAKUTÓW

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowia zgodzili się od razu na uroobchód wigilii. Bartłomiej i, co dziwniejsza, Horodelski opierali się żej... I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiezmiękczyła upór Bartłomieja, ustąpił od razu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki pasy i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, „pępkami"[1]) i gąem wcale pokaźnym. Zakąsiwszy więc po trosze i zakropiwszy co najszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkaprzygotowaniom, które Eudoksja pod kierunkiem Porankiewicza promiała. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu i, z conią w tył głową, jak zawsze, gdy usiłował trzymać się prościej, zniał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił owy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, któoczątku szczególniej dławiło go zupełnie. Chrząkanie ucichło naresz-

---

Pępki — brzuszki solone z wielkich i tłustych ryb, poławianych w

cie, i tylko łupanie drzazeg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuch
dawały nam znać, że owładnąwszy wzruszeniem, Porankiewicz skierow
wreszcie sprawy kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarniej się teraz zrobiło : Bartłomiej i Ho
delski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już teraz z kopyta; zaczęły
przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy nie widywali wigi
a gdy Bartłomiej zauważył, że warto by było „ochędożniej trochę zasi
do tych świętych godów", zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, j
gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął zabójcze kołnierzyki, aż do połowy p
liczków dochodzące, wdzięcznym fontaziem chustki kraciastej szyję s
ozdobiwszy. Bartłomiej wydobył ze skrzynki jakiś węzełek niewielki
szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej, krasnej, ws
żeczki, próbując nawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe i c
wykłe ręce nie słuchały go wcale i wstążeczka wymykała mu się
palców. Wtedy Bartłomiej, zwabiony widać wdzięcznym fontazi
szewca, zwrócił się doń z prośbą: — A niech no pon i mnie ot tyz !
Szewc wziął się do roboty, lecz czy to wziął się niedbale, czy też m
knął coś o błahości ozdoby, bo dopiero gdy Bartłomiej wymówił
cichu: — A dyć to jescej z domu — szewskie — Aaa ! — zabrzmi
innym tonem, i Bartłomiej, przeprowadzony do światła, otrzymał fon
z którym „choć w zalicanki idź śmiało". Bartłomiej chodził z fon
ziem, jak gdyby kij połknął, ale za to, gdy jeszcze i Babiński przyp
wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną
kietkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wyg
całej naszej kompanii harmonijnie licował z jej uroczystym wewnętrzn
nastrojem. Całej, powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pok
otwarły się na oścież, zjawił się w nich Porankiewicz, również świątecz
przybrany: w długim, wytartym surducie i choć z mniejszym kołnier
kiem, ale za to z fontaziem wcale nie gorszym od szewskiego.

*

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i tr
i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszyst
atencję głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacja gotowa, proszę do stołu !

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany
wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały, przykryciem bia-
jak należy, nakryty — przykryciem, przez którego dziury wyglą-
siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w
rze blaszane, dobrze pogięte, wetkniętymi; na jednym końcu stołu
zczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą
podrumienionych „oładi” [1]), na drugim końcu znajdowała się
z „pępkami”, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał
i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszym a różnorodnym otoczony.
Na samym zaś środku stołu, na jedynym niegdyś białym a dziś
łym i poszczerbionym talerzu, leżały okruszyny z przysłanego mi
ka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodzie-
więc też wrażenie, wywołane tylu niespodziewanymi akcesoriami,
potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz na-
i zbliżywszy do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem i pro-
się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył, i
wszyscy z najżywszą ciekawością oczekiwali całej oracji, wyrzekł
ym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy!

Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach
górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych
o rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimo
wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden i tylko pięcioro głów zwró-
ię ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka!

— Poświęcony? — z radosnym podziwem przerwał lękliwie
mniej.

— Spodziewam się! Innego by nie przysłali! — z głębokim prze-
zeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to
ciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy.

— Podzielimy! a juści, podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby
usta.

---

1) Rodzaj racuszków.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanem panu Babińskiemu — i skłonił mu się uniżenie — wszyscyśmy w tym oto pałacach niby gospodarze, więc spodziewam się, to jest, myślę, naj piej będzie, jeżeli pan jako gość, nas wszystkich obejdzie.

I pąsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi tale z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, kiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyj króciutki ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zb lał i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła przede mną nieruchoma jak z marmuru wykuta, i gdyby nie to, że wieki zalatały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy cz wiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały ustawicznie, i wątpię, czy wziął choćby jedną.

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlo jak dziecko, i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchani i ujmował prośbami rzewnymi: — Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę, baran! — nic to jednak nie pomagało.

Więc też kiedym podszedł do Bartłomieja, siły go już opadł nisko schylił swą głowę osiwiałą i wyciągając rękę po opłatek, zac głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo — wtórzył ciszej i — ryknął głosem wielkim...

*

Chór z sześciu głosów złożony brzmi echem rozgłośnym w wiel pokojach pustkowia... Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijn „Gwiazdo morza"? Pieśń ta jednak w niewielu zdaje się kościołach śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez sł dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. słowa, i melodia odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pie były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wznio koił piersi, tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierw upadł na kolana, za nim poszli inni i popłynęła z ust naszych modli szczera i gorąca, a gdy doszliśmy do słów: „Odwróć od nas głód,

i zachowaj krwawej wojny", modliliśmy się z takim przejęciem, że c, nie słyszeliśmy. i widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł bmiej płaczący:

-- Oj, nie usłyszy Ociec litościwy takiej modlitwy wielgiej z tej ii zapowietrzonej! Do Pana przestworzów niebieskich na przezu pomodlić się potrzeba! — zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje m śpiewać i tylko usta otwarte, i ręka takt wybijająca wskazują, duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos ny, elektryzujący nas znowu:

Bóg się rodzi! moc truchleje!

To Bartłomiej kolęduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nietknięte, wytryska przed nami! A y o nim zapomnieli. Więc choć usta zaledwie poruszać się mogą, chciwie z nowej krynicy i chór zgodny z nową siłą zawodzi nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowu o, daleko za jakucką ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności dziei serca nasze rozpalając!...

A. Szymański
(Szkice. Dwie modlitwy)

NA WYBRZEŻU BRAZYLIJSKIM

Zaraza febry żółtej rączo biegła wybrzeżem Atlantyku...

Było to 24 grudnia 1890 roku. Parowiec „Izabel" chyżo mknął od bcy. Owinięty u podnóża w szmatę piany białej i białością własną czący w słońcu, lekki, wytworny, zwinnie pląsa po falach atlanch... Przecież tu, w niezmierzonej pustyni wód, w jej powietrzu czystym nie ma chyba śladu zarazy.. Wtem ktoś z załogi zbliża oznajmia, że młody Polak, jadący z matką na kolonię, wzbudza jtzenie jako dotknięty zarazą. Pan kapitan nastroszył brwi krzao, myślał chwilę krótką i wydał polecenie:

— Niech sternik natychmiast skieruje do Superagui! Wysadzić na g chorego i pozostawić starania o nim policji zdrowia!

. . . .

Dwoje ludzi zostało na brzegu; staruszka srodze spłakana, letnia Małgorzata Nowakowa i syn jej, Maciek, parobek 24-letni. wrześniu opuścili Wojnowo, wieś pod Rypinem i po licznych przydach znaleźli się tu w wigilię Bożego Narodzenia.

. . . .

Wilia Bożego Narodzenia! Cóż za wartość ma dusza ludzka, kt nie skupiła w obrazach wrażeń dnia tego z czasów dziecięcych, kie się żyło pod strzechą rodzicielską?

Maciek bezwładny, nieprzytomny, leżał z głową opartą na podol matki. Jego wargi spieczone, prawie czarne, błyszczały suchością. B dość trupia pokryła lica wychudłe, pełne wyrazu szczerości pros dusznej...

— Boże, któryś przyszedł na świat po to, aby dać nieszczęśliwy ulgę w niedoli, zmiłuj się nade mną! — szeptała Małgorzata, wpatrzo w ocean daleki oczyma łez pełnymi. — Matko Boża Częstochowsk któraś wylewała łzy pod krzyżem męki syna Twego, zmiłuj się na mną!...

Po chwili wiatr jakiś świeży wionął od morza, muskając twarz m dzieńca. Maciek z trudem wzniósł powieki ociężałe, spojrzał na mat oczyma błędnymi, a wargi złożyły mu się do wymówienia wyrazu: Pić!

Uszczęśliwiona matka dobyła z tobołka blaszankę, raźno przynio wody ze strumienia, napoiła syna, zwilżyła mu skroń i czoło. Niebawe znowu zażądał wody i teraz pił bardzo długo. To go widać skrzepi gdyż zapytał głosem cichym:

— Co to za dzień jest dzisiaj?

— Wilia Bożego Narodzenia, mój synu!

Otwarł oczy szeroko i wzrokiem nieruchomym wpatrywał się ostrów zielony, gdzie przed chwilą zapadło stado czapli białych.

— Matusiu — szepnął — gęsi młynarskie w łące...

Spoglądał w dale oceanu, gdzie widniał sterczący maszt okr bardzo odległego.

— Grusza na polu Bartłomiejowym, hen, hen, pod Zbójnem.

To znowu majaczyły mu się Jeziora Wojnowskie, a nad nimi g sosnowe i brzozowe. Kiedy zamknął oczy, marzył dalej w gorączce

Matka z różańcem w ręku odmawiała pacierz i z łzą w oku trwo wie patrzyła na syna.

wary dnia milkły coraz bardziej, przyszła noc, której zmierzch nie
:lza w tych krajach. Inne zjawiska narzucały się teraz oku i uchu.
hory napił się wody, otwarł oczy, patrzył w górę. Właśnie prze-
latarnik wielki, świetlik Brazylii, zostawiając za sobą smugę jasną
skałą.

— Gwiazda betlejemska, matusiu, nad stodołą Wickową!
ean wrzał i huczał tak wyraźnie w nocy, zdawał się wyrzucać
swoich olbrzymią pieśń nad pieśniami wszechgłosów stworzonych.
k górski wtórował mu nieśmiało szumem łagodnym.

— Już czas, matusiu, pójdziemy na pasterkę. Słyszycie, śpiewają:
się rodzi, moc truchleje! — To musi, sami aniołowie śpie-
Co tu światła... Jak jasno... jasno... Powiedzcie Marysi, kiej
dkacie, że... że...

A. Dygasiński
(Na odlocie. Wigilia w Superagui.)

WIGILIA NA MURMANIE

...Czas płynął jak wartka rzeka. Ani się obejrzano, jak nadszedł
idnia.

W dniu wigilijnym służba w blokhauzie wypadła sierżantowi
ie z jego sekcją. Sekcja Hurmy w oddziale była znana z
iska „sekcji uprzykrzonych inteligentów"... Gdy inteligenci pod
em chwili tradycyjnej pogrążyli się w cichym roztęsknieniu, czynna
Hurmy wyjawiła się w innym kierunku. Hurma rozumował: —
odzi wigilia, to jest wigilia, i zachować ją trzeba, jak należy. Więc
ko ma się odbyć pod biegunem tak samo jak pod Inowrocławiem,
polskiego chłopa odbywało się od wieków...

Wnet stół nakryto sztuką namiotu. Nie omieszkano pod impro-
any obrus nasłać siana. W kącie lokalu ustawiono snopek żytniej
zdradzający jednak, że go wydarto po barbarzyńsku z nowego
ia cudzej strzechy. Na okrytym stole porządnie rozłożono poży-
od tubylców talerze i sztućce. Trochę tylko dziwnie wyglądał
gilijny stół polskiego żołnierza: w pośrodku nakryć stał kulomiot
ytnie rozstawionych nóżkach... niby potworny konik polny, wy-

suwający na dwór przez strzelnicę jadowity pyszczek lufy z muszką końcu. Z boku trajkotliwego owadu zwieszała się, niby pięknie fry wany pas, wstęga nabojów, lśniąca niklem i mosiądzem.

Po dokonaniu urządzeń, Hurma zlustrował rzecz jednym rzut oka i coś takiego sobie przypomniał, aż się ręką w czoło uderzył. I szedł do wioski, poleciwszy na odchodnym, aby czekano go z wiecze a on „przed pierwszą gwiazdą” wróci.

O zmierzchu powrócił, niosąc pieczołowicie pod pachą coś zawin tego w ręcznik.

— Te, inteligent, rozstąp się, kiej sierżant idzie! — upomniał m larza od Syreny, robiącego na progu fachowe spostrzeżenia co do g fioletu, który wieczorem zakwitł na śniegu długimi strugami, jak grzą astrów barwy lila.

Hurma, przystąpiwszy do stołu, jął odwijać owo coś. Oczom ciekawionych żołnierzy ukazał się omszały starością obraz Matki Bosk Częstochowskiej, zatulonej z Dzieciątkiem w metalowe „rizy” w st bizantyjskiego prawosławia. Lecz podwójna blizna, wymalowana na obliczu, świadczyła o przynależności do innego kościoła.

— Wzionem to u popa tych brodaczów — pojaśnił Hurma. Gadają, że święty jakisiś obraz i cuda rozliczne okazywał. Hale! Jeszc by cudów nie było — toż nasza polska Matka Boska!...

Wtem posterunek, wystawiony na zewnątrz, doniósł, że na nie zalśniła już wyczekiwana „pierwsza gwiazda”. Wówczas Hurma wz ze stołu talerz, w którym były nakruszone białe galety angielskie. Zeb dokoła siebie podkomendnych, z biskupim majestatem przeżegnał psze okruchy i przełamał się nimi jak opłatkiem, ze swoją sekcją.

Spoważnieli wszyscy; nawet malarz od Syreny czynił zadość t dycji z widocznym wzruszeniem. Po czym zasiedli do stołu, udeko wanego kulomiotem. Spożyto barszcz z uszkami, osobiście ugotowa przez Hurmę. Zabrano się do pieczonych i faszerowanych ryb z g tunków miejscowych. O tych rybach Hurma mawiał, że ani jedna s nazywa się po ludzku; istotnie nazwy brzmiały po samojedzku.

Za stołem długi czas panowało milczenie. Nie wieczerza to by lecz raczej msza dusz polskich, wpół tylko obecnych tam, gdzie cia Kto by to widział, nie dostrzegłby nic prócz pewnego skupienia twarzach biesiadników. Ale wszystkie piersi rozpierała smętna wielko roztęsknionego tułactwa w imię Tej, co nie zginęła, a zmartwychws

ı. Można było rzec słowami poety, że ich duch, „po słupie jasności ycowej odchodził na południe...”

Przy którymś daniu Hurma dał hasło do picia, umoczywszy wiechcie w w kubku z rumem. Nastrój od alkoholu się rozchwiał. Rozwiąsię języki. Rozmowa była niejako echem poprzedzającej zadumy...

W trakcie gawędy dał się słyszeć z nadworu okrzyk wartownika: ! Kto idzie?” potem chrzęst kroków na śniegu. I do blokhauzu ł komendant oddziału.

Wyglądał jak człowiek zwariowany lub w najlepszym razie spity ela. Na twarzy Hurmy odmalowało się zgorszenie; bolał go w ości każdy nietakt zwierzchników — oficerów. Wprawdzie chodziły zy żołnierzami legendy, iż komendant lubi „zalać robaka do poki”, lecz że nikt w oddziale nie był abstynentem, więc nikogo ta da nie gorszyła. Ale obecna pora, nawet przy święcie, była stazo za wczesna, by wyglądać do tyla zdezelowanym.

Komendant, po przebrnięciu zasp śnieżnych, jakiś czas łapał dech. jako tako odsapnął, stanął w postawę, która jego podkomendnym dobrze znaną, a zwiastowała dłuższą przemowę. Krasomówstwo słabą stroną komendanta. W przemówieniach zawsze go ponosił erament gołowąsego kapitana. Jeśli zaczynał od pochwały, kończył ymyślaniach, od których uszy więdły. Jeżeli wznosił za czyje zdrooast, to wieńczył go tyradą o wiecznym odpoczynku. Ten rys charu dostał się na języki żołnierskie i szelmowski krytycyzm względ zwierzchników, właściwy polskiemu żołnierzowi, płodził tak bae parodie tych przemówień, że boki zrywano ze śmiechu aż do j okazji.

Toteż malarz od Syreny, generalny odtwórca mów komendanta, sąsiada pięścią w bok i rzekł:

— Uwaga. Zaraz dogada się do stworzenia świata.

Komendant odchrząknął i otworzył już usta w sposób, będący zaedzią nie byle jak utoczonego okresu. Wtem — machnął ręką i ko wzruszonym głosem zawołał:

— At, co to gadać! Dajcie, moi chłopcy, lepiej pyska! Tylko co małem wiadomość: Polska jest wielka i wolna! Wszystko, co wie— łgarstwo!

I chwytając żołnierzy po kolei w ramiona, sypał w między-chwilach ami:

— Komendant Piłsudski w Warszawie. — Jest rząd. — Sztuba porozbrajali Niemców w całej Kongresówce. — Armia maszeruje Wilno. — Poznań nasz. — Muśnicki grzmoci Szwabów. — Pols będzie od morza do morza! — Trzymajcie mnie, bo zwariuję!

I zwariował — o ile łzy, ciurkiem płynące po twarzy żołnierza, szaleństwem. Za przykładem dowódcy powariowali żołnierze. Szar w zgromadzeniu znikły. Ściskano się i całowano bez względu na nie. I z gardzieli, założonych szlochem szczęścia, wyrwała się — razem wszystkich — pieśń zrodzona w godzinie najgłębszej niedoli naro Jej znana melodia jest posępna, jak psalm nieszporny. Lecz pie oskrzydlona bezdennym zapałem młodych dusz, brzmiała fanfarami, kich w sobie nie ma nawet płomienia Marsylianka. A słowa:

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz!

rozległy się pełnią takiego triumfu a zarazem groźby niezłomnej, zdało się, iż po nich nastąpi coś wspaniałego — że tu, w tym blokhauz stanie się naraz jakiś widomy znak, cud — tyle potęgi ducha zalewa śpiew i — wyszarpnęło się zeń, jak z pochwy wylata nagi, jasny mie

W tym śpiewie zbłąkani pod obcy biegun tułacze wołali z cał piersi na cześć Polski, co im przysłała o sobie szczęsną wieść. Tą „Rota żołnierze dobrowolni, swej Ojczyźnie urzędowo nie zaprzysiężen wszystką duszą zaprzysięgli się teraz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej śmierć, na życie, na dalszy tułaczy los...

Była to w ich życiu — wigilia najpiękniejsza i najpiękniejszą zost nie, bo się wielki cud w życiu nie powtarza.

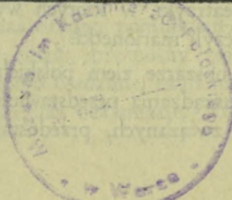
E. Małaczewski

(Koń na wzgórzu. Blokhauz pod Syrena

CHOINKA

Przejęty od Prusaków jest zwyczaj w Warszawie upominkiem d dzieci stawianie na wilię sosenki z orzechami włoskimi złocistymi, c kierkami, jabłuszkami i mnóstwem świeczek, lub kawałków stoczka różn kolorowego.

Czasem pomiędzy gęstwiną wyrobiona szopka i w niej Narodzen Pańskie, czyli z wosku starannie wyrobione Dziecię w żłóbku leżąc



patrząca nań czule N. Panna, św. Józef. Chuchają na Dziecinę wó osioł, przybiegają pastuszkowie, przylatują anioły, a wszystko jak naj gaciej oświetlone.

L. Gołębiowski
(Lud polski.)

SZOPKA I KANTYCZKI KOLĘDOWE

Według tradycji kościelnej św. Franciszek na lat kilka przed z nem przemyśliwał o tym, jakby podnieść, uświetnić uroczystość Boże Narodzenia i podniecić w ten sposób pobożność ludu włoskiego. W t celu, otrzymawszy zezwolenie papieża, wystawił w grocie ustronnej ż bek, sprowadził wołu i osła, zgromadził ludność wraz z bracią zakon i w tym otoczeniu, przy dźwiękach chóralnych pieśni, odprawione stało nabożeństwo, ku czci maleńkiego Jezusa. Tak to powstały pierws jasełka, a zwyczaj urządzania ich przeszedł wkrótce poza granice Wło i rozpowszechnił się po całej Europie zachodniej.

Rychło też pierwotna, bardzo prosta forma obchodu tego przest wystarczać. Wyobraźnia ludu, podniecona obrzędem, pracowała da Osoby, występujące na scenie jasełek, jęły się mnożyć. Obok Dz ciątka, Matki Jego i św. Józefa — pojawiły się inne jeszcze posta Z pieśni tworzyły się obszerniejsze kompozycje dramatyczne, do któr niejeden szczegół zupełnie świecki dodano. Długi czas grywano utwory po kościołach. Gdy jednak świeckich rysów zbyt wiele zacz przybywać, duchowieństwo usunęło przedstawienie z obrębu świątyń P skich. Nie straciły one przez to swej popularności. Nie straciły swego związku ze świętem Narodzin Pańskich. Tłumnie nawiedza były przez długie wieki ulubioną rozrywką pobożnych słuchaczy.

Obok utworów, odegrywanych przez żyjących aktorów, poja się też teatrzyki, w których wyznaczone sobie role grały poprzebie laleczki, czyli marionetki.

Na obszarze ziem polskich wszystko poszło tą samą koleją, s zwyczaj urządzania przedstawień dramatycznych, ze świętem Bożego rodzenia związanych, przedostał się do nas z zachodniej Europy.

:ku te przedstawienia odgrywane były w obrębie kościołów lub orów . W XVIII w. dla zbyt świeckiej treści usunięto je stamtąd. przestały jednak istnieć nadal i rozwijać się pomyślnie. Gromadki wnych aktorów wzięły je w swą opiekę. Często zastępowali tych ów żacy szkolni, którym przy tej sposobności niejeden grosz kapnął eszeni.

Biblioteki polskie przechowały w swych rękopisach pewną ilość w scenicznych, pochodzących z XVII i XVIII wieku, w których najdujemy rysy w późniejszych polskich jasełkach spotykane.

Oto np. w takim widowisku z XVIII w. mamy tak dobrze z jszych czasów znaną rozmowę.

sz Bartek. Szymek, Wojtek, Maciek, Walek, Tomek, Kuba,
[Stachu?
że się przecie który z was, bo umrę od wielkiego strachu!

Ono coś takiego,
Jak słońce jasnego,
Świeci na niebie!

przerażony Franek, widząc wielką łunę na niebie. Stach zaś, nieprzerażony widokiem aniołów, pyta :

Czego ci janieli,
Co się hań zlecieli,
Po nas żądają!

Dopiero Bartosz pojmuje, o co chodzi, i organizuje całą wyprawę opy betlejemskiej, na powitanie maleńkiego Jezusa.

czasem namnożyła się niesłychana ilość tekstów jasełkowych. okolica posiadała swych poetów, którzy przerabiali już istniejące nowe szczegóły, nowe postaci dodając zgodnie z wymaganiami

o przedstawienie, w których aktorami byli ludzie, przybrały nazwę odów" lub „Maryjek". Obok nich zaś drugim pomnikiem dawnych cznych widowisk jest „szopka", tj. mały, przenośny teatrzyk, w n występują lalki na drucikach ruchomo osadzone, czyli marionetki. arzom zaś pozostają jedynie śpiewki lub deklamacje, których te wypowiedzieć nie mogą.

Zdaje się, że pierwsze teatrzyki marionetkowe pojawiły się w Wa-
szawie na początku XVIII w. Rozwinęła się jednak potem polska szop
najbujniej w Krakowie i w jego okolicach.

Oczywiście zasadniczym jądrem całego przedstawienia pozost
sceny czerpane z legend i z N. Testamentu. Mamy więc tam zaws
i przede wszystkim budzenie pasterzy przez aniołów, niesienie dar
Dzieciątku, przybycie trzech królów, rozkaz rzezi, wydany przez tyra
wreszcie śmierć jego. Ale do tych scen zasadniczych przybywały w każ
okolicy nowe, z życiem miejscowej ludności związane. I jeślibyśmy
stawili teksty szopek całej Polski, śmiało rzec można, że te posta
Krakowiaków, górali, Mazurów, Kozaków, Żydów, szlachty i chłopko
mieszczan, rzemieślników itd. złożyłyby się na niezmiernie pełny, n
zmiernie charakterystyczny obraz życia naszego narodu.

Z biegiem lat jęła jednak tracić szopka polska swój właściwy, o
ginalny charakter. Obecnie pozostały z niej już tylko resztki. Pomy
dawne zbanalizowano. Wiele postaci szopkowych znikło już z życia
więc i przestało interesować widzów. Pseudokultura wielkomiejs
odwróciła się od tych naiwnych przedstawień, a i wieś straciła sw
kult dla jasełek. To zaś, co jeszcze z nich pozostało, razi często t
wialnością pomysłów i zupełnym brakiem świeżego, bezpretensjonalne
wdzięku, jaki cechował dawną szopkę polską.

Ślady jej pozostały w zbiorach kantyczek. Wszystkie kantyczki k
lędowe, w formę dialogu ujęte, to najprawdopodobniej resztki jaseł
wych przedstawień.

. . . .

Bo też obydwa te działy: jasełka i kantyczki kolędowe łączą
bardzo ściśle ze sobą i granicy dokładnej pomiędzy nimi nie podob
przeprowadzić. Jedno święto je zrodziło, wspólna ich treść i wspól
cechy zasadnicze. I tu, i tam odnajdujemy prostotę dziecinną niem
przy ogromnym częstokroć wdzięku oraz moc rodzimego humoru.

I tu, i tam wyczuwamy bardzo silny, serdeczny związek pomięd
bezimiennym twórcą jasełek lub kolęd a dziełem jego. Ten nieznan
poeta kocha to najcudniejsze ze świąt chrześcijańskich i jego główny
bohaterów. On ich mocą ukochania zbliża ku sobie, zbliża i ku t
wszystkim, którzy szopki jego lub kantyczek słuchać będą.

I oto stajemy wobec niezwykłego zgoła faktu. My, którzy w po
artystycznej, kunsztownej, w poezji urzędowej, tak chętnie naślado

w obce pomysły i niejednokrotnie tak słabo zaznaczaliśmy naszą cząść rodzimą, narodową, my, którym wśród wsi polskiej tak długo owały greckie Fauny a wymanierowane Dafnidy tęskniły do preonalnych Filonów, w szopce i w kolędach mówimy naszym własnym kiem, nadajemy tym utworom niesłychanie swoiste piętno i z tych głych dziejów, z Pisma świętego czerpanych, tworzymy rzeczy nadę polskie, jakby z głębin narodowego życia wysnute.

Zjawisko to zauważył już Adam Mickiewicz, który w swych prench paryskich silnie podkreślił tę rodzimość i treści i formy naszych l i jasełek.

M. D.

JASEŁKA

. była więc osóbka Pan Jezusa, a na boku Maria i Józef, stojący kolebce, w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podzina wyrażającej. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołkounoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający: „*Gloria in excelsis* . Toż dopiero w niejakiej odległości jednego od drugiego pasterze, jący na kolana przed narodzoną dzieciną, ofiarujący mu dary swoje; baranka, ów koźlę: dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie i niacy; jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy kący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między którymi ki rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażają: panów w karetach tych, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozą drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przeych chleby, niewiasty dojące krowy, Żydów, różne towary do sprzea na ręku trzymających i tym podobne akcje ludzkie.

Gdy nastąpiło święto Trzech Królów, przystawiano do tych jasełek ki pomienionych świętych, klęczących przed narodzonym Chrystui ofiarujących mu złoto, mirrę i kadzidło, a za nimi orszak ich zan i asystencji rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, ów [1]), mastalerzów prowadzących konie pod bogatymi siądzeniasłoniów i wielbłądów. Toż dopiero wojska rozmaitego gatunku:

---

[1]) Laufer — sługa, giermek.

jezdne i piesze, murzyńskie i białych ludzi hufce, namioty porozbija na koniec przez imaginacją za związek rzeczy występującą, regime uszykowane polskiej gwardii, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągw jezdne, husarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtarskie, węgierskie, inne rozmaite. Na takie jasełka sadzili się jedni nad drugich najbardz zakonnicy. Celowali zaś innych wszystkich wielością i kształtnością k pucyni, a gdy te jasełka rokrocznie w jednakowej postaci wystawia jako martwe posągi, nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawoś przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie, dla większego powabu lu do swoich kościołów, jasełkom przydali ruchawości, między osób stojące, mieszczając chwilami ruchome, które przez szpary, w rusztowan na ten koniec zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni, l inni posługacze klasztorni, rozmaite figle nimi wyrabiali. Tam Ży wytrząsał futrem, pokazując je z obu stron, jakby do sprzedania; dru Żyd mu je ukradł, stąd kłótnia wielka, aż Żyd skrzywdzony pokazał s z żołnierzami i instygatorem [1]), biorącym pod wartę złodzieja. G taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład: chłopów pijany bijących się albo szynkarka tańcująca z kawalerem, albo śmierć z diabłe najprzód tańcująca a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające. T znowu musztrujący się żołnierze, tracze drzewo trzący i inne tym dobne akcje ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecin tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełni bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włażący a gdy ta zgraja, tłocząc się i przemykając jedna przed drugą, zbliży się nad metę założoną do jasełek, wypadał wtenczas spod rusztowan na którym stały jasełka, jaki sługa kościelny z prętem, i kropiąc ni żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentację, dalszemu spekta rowi daleko śmieszniejszą od akcyj jasełkowych.

J. Kitowicz

(Opis obyczajów i zwyczajó

[1]) Instygator — oskarżyciel publiczny.

SZOPKA

Dzisiaj cywilizacja zepsuła nam już szopkę. Z kościołów przeniosła na do żaków, którzy przystroiwszy się cudacko i zbudowawszy sopiękne teatrum, przyozdobione jaskrawym papierem kolorowym, po- wali ludziom różne dziwowiska. A czasem lalki wypchane zastępo- zgoła ludzie żywi, owi żacy, co tym sposobem zarabiali sobie na którego nie zawsze mieli pod dostatkiem... W dziedzictwie po h wzięli szopkę chłopcy uliczni... Co oni też umieli kolęd i śpie- różnych, których teraz ani części nikt nie pamięta. Zebrane były wdzie owe kolędy w starym wydaniu kantyczek, ale większa część ek szopkowych zaginęła już z kretesem. Przekręcali je chłopcy, mieli, zmieniając często i stosując do okoliczności, zawsze jednak to składnie, mieli bowiem swoich poetów, którzy im czasem całe komponowali i układali... Dzisiaj zmieniły się rzeczy: tych kom- torów szopkowych nie stało już, nie wiedzieć, gdzie przepadli, dość zepadli jak kamień w wodę. Jeszcze tam po wsiach zachowują części dawne tradycje, ale w miastach szopka inny zupełnie przy- pozór. Szczególniej w Warszawie ani już poznasz dawnego wi- ska!... Nie ma dawnych śpiewek i owych wszystkich narodów, wszy od pasterzy ze swoją trzodą, aż do kusego Węgra z olejkami ną pomadą, którzy przychodzili się pokłonić Panu Jezusowi. Król d pozostał, ale przywdział na siebie strój z króla czerwiennego wany. Jego marszałek dworu występuje ze złotym puklerzem i śmierć wprawdzie przychodzi po staremu ścinać głowę, ale za to nie wyłazi tak, jak dawniej spod ziemi, ale spuszcza się z sufitu, rwać swoją ofiarę, i unosi Heroda w powietrze, przy czym kurtyna a...

Najlepiej by było zebrać szczątki z tych dawnych, prawdziwych pio- szopkowych i ułożyć je w jedną całość. Ale któż tego dokona? oczyści to wszystko z tych napływowych elukubracyj, które, jak wa popiołów, ciągle jedna nad drugą pokrywały rokrocznie to biedne owe Herkulanum?

W tych dawnych kolędach i jasełkach, jak we wszystkiego rodzaju ach ludowych, widne były dzieje biednego, ludowego życia. Jak to ntki, Bartki, Maćki i Kuby filozofują tam z sobą i witają Dzieciąt- owonarodzone, aż miło czasem posłuchać! Szczere serca, szczere

dusze! Ale znają swoje wady, jak na przykład ów Kuba, który wszedł do stajenki :

Dobył tak pięknego głosu baraniego,
Aż się Józef stary przestraszył od niego...
Więc rzecze mu Józef: „Nie śpiewaj tak pięknie.
Bo się Dzieciąteczko twego śpiewu zlęknie..."

Ale nic to! Kuba śpiewać umie za to różne prześliczne piosneczki choć czasem za huczne. Kiedy się nam tak dobra nowina stała i wszyscy idą Pana powitać, poczciwy Kuba chociaż śpiewem uraczy Dzieciątko Boże. A że mu się śpiew nie udał — no, to trudno — czym chata bogata, tym rada! Inni przynieśli barany i zboże, i zgoła nawet ch... już i kołacz gotowy, i różny dobytek, a zawsze z muzyką! Jak tam ... idzie, to idzie. Przekora Tomek złoił skrzypki Bartkowi — jakże mi... grać? Ale dobra chęć była zawsze...

Pomówny też co i o samym przedstawieniu. Jakżeż tam wybi... występują i jaskrawo się malują różne stany społeczeństwa, różne pr... wary i cnoty. Posłuchajcie no tylko piosnki o tym biednym wilczy... Musiał ją jakiś zapamiętały satyryk ludowy układać, a w każdym ra... był to wróg kobiet, może jaki wiejski Sokrates, któremu już żona ... dobre dojadła, a zbrakło mu filozofa greckiego cierpliwości i wyro... mienia.

O i patrzta, tam za górą wilczysko tańcuje!...
A czemuż to tak wesoła ta leśna bestyja?
Widać się nie ożeniła, kiedy tak wywija.

Ale niedługo tej radości i hasania, przyszła kreska na Matyska.

Wilczysko się ożeniło,
Na dół uszy opuściło.
— Au! au! au! au! cóżem ja zrobiło?

To cały dramat albo raczej komedia w tych kilku wierszach. N... bój się, wilku. Dzieciątko się narodziło — to na szczęście dla wsz... stworzeń, na poprawę dla złośliwych, więc i twoja żona opamięta ... udobrucha i sfolguje tobie.

Historia o Małgorzatce, co całe swoje życie przetańczyła z h... nami, to już wymysł nowszych czasów. Takich Małgorzatek nie b...

yś tutaj, dopiero kiedy niebo zachmurzyło się trochę, zaczęły one m wyrastać jak grzyby po niepogodzie.

A oto znów chłopki wstają i swarzą się, zaraz powstawszy, pewni kije i pięście będą niedługo w robocie: zwykła polska natura, o zgodzić się na jedno, choćby w najuroczystszej chwili. Ale jak bili, tak się i godzą zaraz, bo to i dobre, i uczciwe serca. Będzie hulanka!

Zabił Maciek wieprzka, a my o tym wiemy,
Nie pójdziemy nigdzie, aż kiełbaskę zjemy.
Kiełbaska na różnie, śpiewajmy spokojnie :
— Hej, kolęda, kolęda!

ędą więc spożywali dar Boży, ale i pieśni pobożne będą śpiewali ym, bo to nie sztuka zjeść, trzebaż za to dobro i Panu Bogu podzię. Ale cóż tam ludzie, nie dziwić się ludziom, co mają rozum, taj i nieme bydlęta przeczuwają jakieś wielkie szczęście dla siebie. przykład uczy nas o tem króciuchna piosnka o kozie:

Tańcujże, kozo, tańcuj, niebogo,
A da ci nasz pan półtora złotego.
A da ci nasz pan czerwony złoty,
A będziesz miała, kozo, na buty!

słusznie, wszak to zima, więc nawet i biednej kozie nogi muszą nąć...

Nie skończylibyśmy, gdybyśmy tu z kolei chcieli przechodzić wszy fazy jasełkowe. Więc lepiej przystąpmy od razu do króla Heroda, uwieńczenie dramatu, to jego sens moralny. Król Herod to *danse macabre*, znany taniec śmierci średniowiecznej, zawsze jeden sam wynik, historia dobrze znana. Nie lada to był mocarz, „miał ły świat z gwiazdami pod swoimi nogami", więc się nie lękał go, krom owego Dziecięcia, co to miało się na lichym sianie w narodzić. Ale miał on sposób i na to :

— Wołać tu mi marszałka!

Przychodzi marszałek :

— Niech mi będzie wszystko wysiekane, wyrąbane, żadnego pardo dawać!

w jednym mgnieniu oka spełniony rozkaz. Ale Herodowi coś

źle na sercu, nieborak przeczuwa biedę swoją. Więc mu się łzy zbi
a tymczasem słyszy śpiew :

Dziś dzień, Herodzie, dziś dzień bogaczu,
Dziś dzień wesela, ale nie płaczu.
Jak słońce świeci w srebrzystym kole,
Tak ty zlicz swoje troski i bole.

Tak zaprawdę, istny to wesela dzień, ale nie tobie radować s
Herodzie. Ot, patrzaj, przychodzi do ciebie śmierć, owa imość jas
koścista. Na próżno będziesz jej ofiarował i skarby twoje, i wład
złotą koronę i diamentowe berło, ona tylko głowy twojej pożąda.

I padł Herod, ów mocarz sławny, co to rozkazował wszystkim
dom świata, a diabeł przychodzi po jego duszę, jako po swoją własno
oszczędzając marszałka, bo ten nic nie winien, wszak on tylko rozka
wypełniał. A kiedy diabeł ów „zrodzony z ojca kruka, z matki w
ny" zabrał już tę duszę Herodową i ulokował ją na dobre w piek
wraca znów na scenę i śmieje się, i tańczy, i hula po swojemu.

A czy wieta, ludzie, czego ja się śmieję ?
Bo mi się na świecie teraz dobrze dzieje.

Zapewne, coć za krzywda diabłu ? Albo to teraz mało ludzi, k
rzy mu się zaprzedali i służbę mu pokorną czynią ? Przyjdzie jedn
i na niego kres i zgadnijcie, kto go zwalczy, i odeśle na powrót
piekła. Oto po prostu baba. Więc się skończyło wszystko i tylko w
chodzi dziad chudzina.

Stary dziadek brodą chwieje,
Bo mu zimno przy kościele.
Żeby państwo dobrzy byli,
W kościele piec postawili.

Piec w kościele postawić trudno, ale któż by chciał być tak niecz
i żałować kilku groszy na zakąskę i rozgrzanie się biednemu dziadzi
który się za nas wszystkich modli, a przebył ciężkie próby życia i ty
teraz o chwale Bożej myśli.

Wacław Szymanowski

(Tygodnik Illustrowany 1860

PASTORAŁKA GÓRALSKA NA BOŻE NARODZENIE,

którą kolędnicy w okolicach Krakowa, chodząc z szopką, reprezentują

(W skróceniu.)

Prolog

Jeden z kolędników występuje i tak przemawia:

Wszystkim wobec kolędy najprzód winszujemy,
Zanim wielką nowinę państwu opowiemy.
Naszym będzie staraniem, by niedługo bawić,
Raczcie tylko łaskawie ucha nam nadstawić.
Przez lat cztery tysiące od grzechu Adama
Wszystkim ludziom zamknięta była niebios brama.
Pod ciężarem przestępstwa jęczał naród cały,
Śmierć, grzech, mocy piekielne nad nim panowały.
A co większa, że ludzie i wszystkie stworzenia
Nie byli w stanie zgładzić tego przewinienia.
Lecz się Ojciec niebieski zlitował nad światem,
Zesłał Syna swojego, by się nam stał bratem.
Otóż się ten dziś dla nas z czystej Panny rodzi,
Pokój światu przynosi, ciężar życia słodzi.
Ten nas z Ojcem pojedna, ten z piekła wybawi,
Ten nam niebo otworzy i wiecznie nas zbawi.
Wystawimy tu państwu, w jakim przybył stanie,
Kogo wezwał na pierwsze sobie powitanie,
Co pasterze robili, zanim ich wezwano,
Jako się sposobili, gdy im iść kazano,
Na jakie się ofiary dla Pana zdobyli:
Zgoła wszystko ujrzycie, jakbyście tam byli.

A, *pierwszy pastuch, zaczyna wyganiać bydło w pole, wywijając woła: „a che! a che!”, a na owce: „byr! byr! byr! byr!”, a drudzy, za drzwiami, ryczą i beczą, udając bydło i owce. Potem śpiewa, jak następuje:*

Hej, bydełecko w pole, hej, owiecki moje,
Paściez mi się, paście, a w kupie oboje,
Hej, paściez mi się paście, a ja se usiędę,
Wezmę se skzypecki, grać wom pięknie będę.
Wej, nie tam owce, nie tam, wej, kędy się mają,
Do boru tak skacą, chociaz im nie grają.
Oj, zagram ja wam, zagram, bydełko piescone,

zaczyna grać i przestaje

Lec nie chcą grać skzypki, bo nie nastrojone!...

stroi skrzypce, a potem śpiewa, co następuje:

Paściez się owiecki około górecki,
Z onej strony pola zieleni się rola.

MAŚCIBRZUCH *nadchodzi*

Kto tu gra?

FURGOŁ

Dyć Kuba siedzący gra sobie

MAŚCIBRZUCH

Jako widzę na świecie sama rozkos tobie.
Ty tu siedzis, próznujes, nam cię sukać tzeba!

KUBA

Tak mi to dał Pan Bóg próznowanie z nieba

MAŚCIBRZUCH

A wiesze ty, gdzie teraz tzoda się twa pasie.
Ujzys wkrótce, ze będzies we wielkim hałasie,
Ty nigdy nie pilnujes, jak nalezy, tzody.

KUBA *rozgniewany*

Bodajze ci tę pascę zawaliły wzody,
Myślis, ze ja, choć stary, bydła nie pilnuję.
A któz lepsy nade mnie? Wsak ja tu psodkuję.

MAŚCIBRZUCH

Znom ja ciebie, znom dobrze, nie chwal ty sam siebie,
Przecieć ja tez musę być coś lepsy od ciebie.
Ojciec z dziada, ja z ojca jest zawse pastucha

Matka kozy pasała, a z nią siostra głucha.
Bywałem tez u ludzi, nie w domum się chował,
I z kuchtami dworskimi za pan brat obcował.

KUBA

Oj, jak widzę, toś ty to wysokiego łoza,
Kiej twój ojciec pasł świnie, a matka kiernoza.
Jakze się zwał twój ojciec?

MAŚCIBRZUCH

Dyć Sowula Kwietko
Co mnie kijem chędozył często a nie letko,
A kiedy mnie do dworu paść owce wyprawił,
To mi kozuch dał nowy, jesce błogosławił.
Dobze mi się tam działo, bom i w kuchni bywał,
Kuchazowi językiem rądelkim pomywał,
Dworscy mnie tez lubili, zem grywał na lize,
To mi często dawali oblizać talize.
Pijołek tez i wino, konfitury zjodał,
Co mi hajduk Kozera dawał, jak naskradał...

KUBA

Oj, jakiz z ciebie błazen! ja to znamienity
Pastucha, bo swą tzodę zawse w las obfity
Pozenę i nikomu nie ucynię skody,
Bezpiecnie podziękuję, kiedy psyjdą gody.

MAŚCIBRZUCH

Jaz to błaznem od ciebie mam być mianowany?
Wsak me słuzby są zawse bez wselkiej nagany.
Prawda, ze tu lepsego nad cię nie znajdziewa,
Pseto zdrowia twojego wsyscy szanujewa.
Jednak ześ mię tak grubo teraz pocęstował,
Błaznem niejakim nazwał, będzies ty załował.
Pójdźwa, Furgoł, od niego, niechaj tu sam lezy.

FURGOŁ

Oj, widzis ty, Maścibzuch, ono wilk hań biezy...

MAŚCIBRZUCH

Pójdźwa, pójdźwa, cem prędzej prosić on się będzie,
Skoro mu wilk barana lub owcę nasiędzie.

wychodzą

KUBA

Hej ! Hej ! słyscie, wróćcie się, moi bracia mili,
Hano wilcy i do mych owiec się zblizyli !...
Juz was prosę, pzeprosom, wróćcie się do zgody
I pomózcie mi wilków odegnać od tzody...

odpędziwszy wilki, wracają... siadają przy Kubie i Cedzimlek nadcho

KUBA.

A witajze, Cedzimlek ! kędyś się to bawił ?
Cyś barana którego lichocie zostawił ?

CEDZIMLEK

O, bodaj was kośnica [1]) srodze udeptała,
Dyć mi się to nadzwyczaj tzoda rozbiezała,
A potem mi we tzodzie nie stało barana,
Któregom prózno sukał od samego rana,
Boć mi się byli wilki do tzody pzymknęli,
A wpadsy między owce, barana mi wzięli.

KUBA

Jakiz to był ten baran ?

CEDZIMLEK

Kędziezawy, biały,
Zawse on pzodem chodził, łaskawy i śmiały...

KUBA

Jak to widzę, śmiałego psi kąsają potem.

CEDZIMLEK

Juz wos prosę, ani mnie wspominajcie o tym...

FURGOŁ

A jakze to, mój bracie ? Tzebać coś wilkowi,
Bo nie sieje, nie oze, dać nieborakowi...

---

[1]) Kośnica — śmierć.

CEDZIMLEK

Ej, cóż mi ta juz o tym gadać bardzo wiele.
Lepiej dobądź ty, Furgoł, butelki z kobiele.

tu wskazuje kijem na Furgoła, potem na Maścibrzucha

Albo ty, Maścibzuchu, olejku zytniego
Posukaj, a poczęstuj mnie sturbowanego.

FURGOŁ

Prowdę mówis, mój bracie, jo ci pzyznom tego,
Ze się warto jest napić trunku tak dobrego.

CEDZIMLEK

Dobywaj ze, Maścibzuch, z torby gozalicę...

MAŚCIBRZUCH

dobywszy z torby flaszki, pije z niej do Cedzimleka

Bodajeś zdechł, Cedzimlek, tak ci zdrowia zycę..

CEDZIMLEK

odbiera flaszkę od Maścibrzucha i pyta :

Jakaz to jest, Maścibzuch ? Mocna cy miętowa ?

MAŚCIBRZUCH

Oj, pij, a nie uwazaj, choćby anyzkowa...

FURGOŁ

On dopóty nie zgadnie, póki nie skostuje.

CEDZIMLEK

pije a potem szoruje się po brzuchu

Musi to być alkiermes, bo ją pępek cuje...

oddaje flaszkę Maścibrzuchowi...

KUBA

Dosyć tego chłeptania, teraz się pzespicie,
Jutro rano do tzody pzyjdziecie o świcie.
Ja zaś, jako najstarsy, pójdę pzyjzyć tzody,
Azebyśmy znów jakiej nie ponieśli skody.

Kuba wychodzi... inni kładą się na ziemi do snu

ANIOŁ *w ukryciu śpiewa*
Gloria, Gloria in excelsis Deo.

MAŚCIBRZUCH
podniósłszy cokolwiek głowę, pyta :
Cy to ty śpiewas, Furgoł, cy mi się tak zdaje ?

FURGOŁ
Spałbyś sobie, bajdura, cyć figlów, nie staje ?
Anioł śpiewa drugi raz: Gloria in excelsis Deo

MAŚCIBRZUCH *zrywa się*
Hej, pod pzysięgą mówię, scerą prawdę zgoła,
Ze się światłość pzełysła wedle nas dokoła.

FURGOŁ
Chyba ze ci kto pięścią skzesał ognia z nosa,
To ty myślis, ze świecą wśród nocy niebiosa

CEDZIMLEK
Zaświeć mu tam palicą dobze między ocy,
Będzie myślał, ze słońce świeci o północy.
znów zasypiają
Anioł, ukazując się, śpiewa po raz trzeci Gloria i znika

MAŚCIBRZUCH *zrywa się*
Pzysłuchajcie się, bracia, co to jest takiego.
Uwazajcie, by komu nie zrobiło złego.
Właśnie, jakby spod ziemi coś do nas mówiło,
A to mówię zaprawdę, bo mi się nie śniło.

FURGOŁ *leżąc*
Chybaby na choinie słowiki śpiewały,
Alboli tez na dębie gruchał gołąb stary,

CEDZIMLEK *leżąc*
Moze tez być, ze kury teraz po wsi pieją,
Albo się tez dziewuchy, idąc z karcmy, śmieją.

KUBA *wpada przestraszony*
Dziwy, dziwy, bratkowie, pzebóg, powstawajcie,

A co tylko tchu macie, ze mną uciekajcie!
Bo ktoś na nas z wysoka woła: — Pastuskowie!
Ze az mi oto włosy powstały na głowie
Uciekajmy! Uciekajmy! Uciekajmy!

MAŚCIBRZUCH i CEDZIMLEK

porywają się na nogi i także wołają:

Uciekajmy! Uciekajmy! Uciekajmy!

FURGOŁ *jeszcze leżąc*

Cekajcie! Cekajcie! Cekajcie!

wstawszy

Nie chodźcie, ja zawołam, wy pilnie słuchajcie,
W której stronie się ozwie, dobze uwazajcie.

wywija kijem, woła:

Hej! Ozwijno się, ozwij, powiedz, coć potzeba.

ANIOŁ *w ukryciu*

Z nieba

FURGOŁ

A pocoś tu zlozł z nieba? Jakieś mi paniątko!

ANIOŁ

Dzieciątko.

FURGOŁ

A gdzies to jest dzieciątko, powiadaj nom, chłopie.

ANIOŁ

W szopie.

FURGOŁ

Powiedzze, w której sopie, to z nas kto pobiezy.

ANIOŁ

Leży

FURGOŁ

A godajze dokładniej, bo wezmies tym kołem.

ANIOŁ

Z wołem.

FURGOŁ

Uciekajmy! Uciekajmy! Uciekajmy!

ANIOŁ *wychodzi z ukrycia*

Pastuszkowie, postójcie, co wam powiem, słuchajcie!
Do Betlejem miasteczka czym prędzej biegajcie,
Znajdziecie tam we żłobie złożonego Pana,
Gdy przyjdziecie, padnijcie przed nim na kolana.

KUBA

Bóg ci zapłać, Janiele, iześ nom powiedział,
Gdzie Pana sukać mamy, kozdy będzie wiedział.
Nasym tez drugim braciom o tem opowiemy,
I jak się wsyscy zbiezem, razem pobiezemy.

SZUFLA *wpada zdyszany*

Och! Och! Och! Och!

PASTUCHY

Sufla! Sufla! Powiedzze, co ci to? Co ci to?
Cyli cię kto pzestrasył, cy cię tez pobito?

SZUFLA

Niesłychana mię jasność zewsząd otocyła,
Nie wiem, cyli tez u was takze taka była.

KUBA

A dyć to, głupi duda, Pan Bóg się narodził,
Który będzie po świecie tutaj z nami chodził

SZUFLA

A kędyz to, bratkowie!

KUBA

Janioł nam powiedział,
Ze Go znajdziem w Betlejem, w sopie będzie lezał,
Pzetoz się zabierajmy! Pódźmy witać Jego!

SZUFLA

Ha, toćby dobze było wziąć tez co dla Niego.

KUBA

A cóz wezmiem, chyba to, co w kobiałkach mamy,
Potem jemu społecnie w podarunek damy.

SZUFLA

Jakze sobie postąpim, bo my proste chłopy,
Powiedzze nam, Furgole, gdy wnijdziem do sopy?

FURGOŁ

Ot, pokłonim się naprzód, padniem na kolana,
Dobędziem podarunków, połozym przed Pana...

MAŚCIBRZUCH

Idźwa więc juz w Bozy dar, w scęśliwą godzinę,
Aze przecie znajdziewa tę małą Dziecinę,
Mozem zagrać pzez drogę, drudzy niech śpiewają,
A tak jedni niech drugim ochoty dodają...

KUBA *rozporządza wszystkich*

Ja będę grał na skzypcach, wy idźcie po parze,
A Cedzimlek nam zagra na swojej fujarze...
Ty, Maścibzuch, idź w tyle ze swoją basicą,
A ty, Sufla i Furgoł, wywijaj kłonicą.

wszyscy idą, śpiewając i grając:

Hola! hola! pasteze z pola!
Idźcie, Pana witajcie, a co macie, to dajcie.
Wołali Janiołowie: „Pójdźcie, mali bratkowie"
Pójdźcie jeno w tym czasie, tzodę zawzeć w sałasie.
Pójdźmy, pójdźmy do sopy, weźmy serków pół kopy,
Dajmy Panu we złobie, co nas wabi ku sobie.
Pójdźmy wsyscy z weselem, do tego tu Betlejem,
Pójdźcie i wy skzypkowie, pójdźcie i wy dudkowie,
Zagraj, Maścibzuch, na lize, Cedzimlek w fujarę, a scyze.

CEDZIMLEK

A cy znajdziem tę sopę i w niej lezącego?

MAŚCIBRZUCH *wskazując kijem na szopę*

Ot ją widzis, a nawet i światło u Niego.

CEDZIMLEK

A dyćto juz Betlejem, dalibóg-ci pono,
Dziecię lezy we złobie, widzis, Furgoł, Ono.

FURGOŁ

O, jak piękna tam pzy Nim stoi Panienecka,
Starusek tez pilnuje tego Dzieciątecka.

KUBA

uszykowawszy pastuszków w szopie i gdy już padli na kolana, każe im mówić za sobą:

O, witajze, Panie ! A cóz się to stało,
Iz Cię górne niebo tu do nas zesłało ?
Lezys na gołem sianie, choćeś król bogaty.
Będąc Panem nad Pany, nie mas własnej chaty.
Drzys na tak cięzkim mrozie, miłe Dzieciątecko,
O jakze nom zal Ciebie, z nieba Paniątecko.

tu Kuba składa ofiary i mówi :

Na za to ode mnie ten masła gornusek,
Jesce ci pzydaję i susonych grusek.

MAŚCIBRZUCH

Ja bym Ci dał ten serek, lec suchy, nieboze,
A ten, kto ząbków nie ma, ugryźć go nie moze
Ale ci za to jutro, kiedy nie mas ząbków,
Na rosołek pzyniosę choć parę gołąbków.

FURGOŁ

Ja zaś nie mam ci co dać, bom Furgoł ubogi,
Ani Cię cem pzyodziać na taki mróz srogi,
Ale co mam, to pzyjmij : kozią gomułeckę,
Garnusecek masełka, chleba pzylepeckę.

CEDZIMLEK

Ja Ci zaś ofiaruję to małe jagniątko,
Pzyjmijze je ode mnie, najmilse Dzieciątko,
Nie załowałbym nawet tłustego barana,
Ale mi go lichotnik porwał wcora z rana.

SZUFLA

A ja tez, Sufla stary, cóz wam podaruję,
Mam trochę pzepalanki, to was poczęstuję.
Napijcie się, starusku, z Matuchną, bo drzycie,
W zimnie tzeba się napić, dobze o tem wiecie.
Pzyjmijcie więc ode mnie ten podarek mały,
A sprawcie to, by lepse gozałki bywały.

KUBA

Cas juz teroz do domu powracać kazdemu,
Gdyśmy wspólnie oddali chwałę Bogu swemu,
Bo oto się zblizają snać wielcy panowie,
Patzcie, co to tu wojska, pewnie to królowie.

odchodząc, śpiewając i grają

Hola! chłopy, dalej z sopy!
Pzyjechali królowie! wara, wara, bratkowie!
Umknijcie się panicom! niechaj skarby wylicom!
I pieniądze, i złoto, bo pzyjechali po to,
By Boga nawiedzili, łaski Jego nabyli...
Oj dyna! oj dyna! oj dyna!
Niech zyje Pan Jezus Dziecina!...

Pastorałki i kolędy z melodiami...
przez ks. X. M. M. M. zebrane: Kraków 1843

PRZY ŻŁÓBKU

I

Jezus malusieńki
Leży nagusieńki,
Płacze z zimna, nie dała Mu
Matusia sukienki.

Bo uboga była,
Rąbek z głowy zdjęła,
W który Dziecię uwinąwszy,
Siankiem go okryła.

Nie ma kolebeczki.
Ani poduszeczki,
We żłobie Mu położyła
Siana pod główeczki.

Dziecina się kwili,
Matusieńka: — Li-li!

W nóżki zimno, żłóbek twardy,
Stajenka się chyli.

Matusia truchleje,
Serdeczne łzy leje.
— O, Mój Synu! wola Twoja
Nie moja się dzieje.

Przestań płakać, proszę,
Bo żalu nie zniosę,
Dosyć go mam z męki Twojej,
Którą w sercu noszę.

Józefie starejki,
Daj z ogniem fajerki,
Grzać Dziecinę. Sam co prędzej
Podpierać stajenki.

Pokłon oddawajmy,
Bogiem Go wyznajmy,
To Dzieciątko ubożuchne
Ludziom ogłaszajmy.

Niech Go wszyscy znają,
Serdecznie kochają,
Za tak wielkie poniżenie
Chwałę Mu oddają.

O, najwyższy Panie,
Waleczny hetmanie,
Zwyciężyłeś, mając rączki
Miłością związane.

Leżysz na tym sianie,
Królu, nieba, ziemie.
Jak baranek na zabicie,
Za moje zbawienie.

Pójdź do serca mego,
Tobie otwartego,

Przysposób je do mieszkania
I w czasu Swojego.

Albo mi daj Twoje,
Wyrzuciwszy moje,
I tak będziesz miał pałace
Na mieszkanie Twoje.

II

Swarzyłam się z pastuchem w betlejemskiej szopie,
Który śpiewał Dzieciątku, siedzący na snopie:
— O, niestrojny dudalu! po jakiemu śpiewasz?
Hukasz, niby na wilki, a wszystko poziewasz!

Przestraszyłeś Dzieciątko, aż się rozpłakało.
Do Matusi na rączki prędko uciekało,
Idźże sobie, ziewaczu, do owieczek w pole,
Ja tu temu Panięciu sama śpiewać wolę.

Niech tu Kuba zostanie, co zagra w dudeczki,
Tomek też dopomoże, wziąwszy swe skrzypeczki;
Niechaj śliczne Dzieciątko cieszy się, słuchając,
I w tym twardym żłóbeczku mile zasypiając.

Wy też, bracia, wyskoczcie przed tym Dzieciąteczkiem,
Obróciwszy raz, drugi, dziesiąty kółeczkiem.
Lilaj, lilaj, Dziecino śliczna i kochana,
Śpij smaczniuchno, miluchno do samego rana.

A ja, biedna pasterka, kołysać Cię będę,
Tu u Twojej kolebki ochotnie usiędę,
Prosząc Twojej Mateńki, żeby pozwoliła,
I, jak Dziecięciu śpiewać, by mnie nauczyła.

III

Ty piekielny smoku, koniec ci w tym roku,
Już ci łeb zdeptano, jako obiecano.

Już ci nic nie sprawisz, darmo się tu bawisz.
W raju-ś nas z zazdrości pozbawił radości.

Co Ewa straciła, Panna naprawiła,
Porodziła Syna — dziwna to nowina.

Anieli śpiewają, pokłon ogłaszają.
Na ziemi wesele, że Bóg żyje w ciele.

Wszystko się zmieniło, jak nigdy nie było;
Wino rzeką ciecze, ciepło jakby w lecie.

Lwami drzewo wożą, niedźwiedziami orzą;
Zając z chartem siedzą, z jednej misy jedzą.

Liszka pasie kury, kot myszy i szczury,
Wilk owcom nie szkodzi, wespół z nimi chodzi.

Ptacy też wspomnieli, co przedtem umieli,
Gdyż zgodnie śpiewają i prześlicznie grają.

Skowronek dyszkantem, a sikora altem ;
Wróbel zaś tenorem; gawron jest kantorem.

Żuraw organistą, a bocian lutnistą ;
Sroka gra w cymbały, wrona zaś w regały [1]).

A kaczor na flecie, gąsior na klarnecie ;
Kos skrzypki szykuje, kruk smyczek smaruje.

Bąk dudy nadyma, sowa puzon trzyma.
Dudek w szałamaje [2]), łabędź takty daje.

I drzewa też znają, opak owoc dają:
Jabłka na dębinie, gruszki na sośninie.

Na wierzbinie wiśnie, na śliwinie trześnie,
Bez zakwitł figami, jasion rodzynkami.

Na głogu brzoskwinie, migdał na tarninie,
Miód płynie z kloniny, oliwa z brzeziny.

Gruda też grudniowa, jak pigułka zdrowa ;
Śnieg i lód styczniowy słodki, jak cukrowy.

---

[1]) i [2]) Regały, szałamaje — gatunek piszczałek.

IV

W dzień Bożego Narodzenia
Radość wszelkiego stworzenia :
Ptaszki do szopy zlatują,
Jezusowi przyśpiewują.

Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem.

Wróbel, ptaszek nieboraczek,
Uziąbłszy, śpiewa jak żaczek:
— Dziw, dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Narodził się Bóg prawdziwy.

A mazurek [1]) z swoim synem
Tak świergocze za kominem :
— Cierp, cierp, cierp, cierp, miły Panie,
Póki ten mróz nie ustanie.

I żurawie w swoje nosy
Wykrzykują pod niebiosy ;
Czajka w górę podlatuje,
Chwałę Panu wyśpiewuje.

Sroka, wlazłszy na jedlinę,
Otarła sobie łysinę,
I choć gołe świeci czoło,
Gwarzy jednak dość wesoło.

Kur na grzędzie krzyczy wszędzie :
— Wstańcie ludzie, bo dzień będzie ;
Do Betlejem pośpieszajcie,
Boga w ciele powitajcie.

---

[1]) Mazurek — gatunek wróbla.

V

— Dokąd, pastuszkowie, śpieszycie w zawody,
Opuściwszy liczne bydła swego trzody?
— Pośpieszamy do tej szopy,
Z której to już lecą snopy,
Cała przeźroczysta,
Wiatr w niej, gdzie chce, śwista,
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Co czynić będziecie? ciekawość mnie bierze.
Powiedzcie mi, proszę, powiedzcie mi szczerze.
— Upadniemy na kolana,
Powitamy w niebie Pana,
Co leży w żłóbeczku,
W Betlejem, miasteczku.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Na co instrumenta ze sobą bierzecie?
Czy nie lepiej było zostawić je przecie?
—Toć to może się i przyda,
Wszakże Bartosz dobrze dyda,
Kuba dmie na rogu:
Będzie chwała Bogu.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Czy jakich podarków nie niesiecie Panu,
Każdy według swego pasterskiego stanu?
— Damy mu, na co stać chłopa,
Barana, kozę lub skopa;
Mleka lub śmietany,
Serek podpuszczany.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Z jakąż ceremonią wszystko odprawicie,
Chcąc przywitać godnie to niebieskie Dziecię?
— Nie traćże nam darmo czasu?
Chcesz wiedzieć? wyjdźże z szałasu.

Jak się powrócimy,
To ci opowiemy.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— Czyście wolny, wspólny mieli przystęp w szopie?
Czyli nie mówiono: „Wara ci tu chłopie?"
— Nie tylko nic nie mówiono,
Ale zaraz nas wpuszczono,
Choć byli Anieli,
Stojący tam w bieli.
Hi! Hi! Hi! Hi!

— Skąd krzyki i huki, i wesołe pienia?
Skąd głosy w niebiosy idą bez spocznienia?
— Oddaliśmy Dzieciąteczku
Pokłon, które jest w żłóbeczku.
Stąd sobie wesoło
Wykrzykujem w koło!
He! He! He! He!

— A dary, ofiary czy daliście przecie?
Czy czołem wesołym przyjęło to Dziecię?
— Jak Dziecina ta miluchna
I święta Jego Matuchna,
Tak staruszek mile
Przyjął w tejże chwile.
Hu! Hu! Hu! Hu!

— A na lirze szczerze czyście grali Panu,
Pląsając, hulając, od nocy ku ranu?
— I gra była i śpiewanie,
Tak, że aż niebieskie Panię
Rączkami klaskało,
Nóżkami tupało.
Ho! Ho! Ho! Ho!

— A z bliska igrzyskaście zrobili Panu,
Grając i skakając, od nocy ku ranu?
— Gdy Stach blisko czynił pląsy,

Paniczek go łap za wąsy,
Gdy krzyczeć poczyna,
Śmiała się Dziecina.
Ha! Ha! Ha! Ha!

— Czy mogę w tę drogę puścić ja się śmiele,
Do szopy w te tropy Boga widzieć w ciele?
— Śpiesz się, nie przerywaj chwały,
I daj onę przez wiek cały.
Chcemy nieba Pana
Od nocy do rana.
Ho! He! Hi! Ha!

Pastorałki i kolędy
Kraków 1843
Kantyczki
Poznań 1885

KOLĘDA

Począwszy od wigilijnego wieczoru aż do Nowego Roku a czas
i dłużej jeszcze, obdarzano się, wedle starego polskiego obyczaju, pod
runkami, które nosiły miano kolędy.

Oto co o kolędzie pisze ksiądz Jędrzej Kitowicz w p
miętnikach z czasów saskich:

„Kolęda jest to obrządek kościelny pewny, który się zaczyna od N
wego Roku i trwa do wielkiego postu. Księża plebani lub ich wikarius
wie w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach albo po miastach chodzą
domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyjście na świat Słowa Wc
lonego, życzą błogosławieństw wszelkich niebieskich i ziemskich i po sko
czonej perorze egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. A
stujący księdzu do tej kolędy organista z bakałarzem, gdzie jest i ki
chłopców, śpiewają na wchodzeniu i wychodzeniu jaką pieśń o Bożym N
rodzeniu. Po wyjściu księdza, dziewki ubiegają się do stołka, na któr
ksiądz siedział. Która pierwsza usiądzie, ma sobie za wróżbę, że te
roku za mąż pójdzie. Po wsiach chłopi w Wielkiej i Małej Polsce da

dzu kawałki słoniny, serki, orzechy, grzyby suche i owoce, kokosze, rócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś same tylko pieniądze, na kogo stać; toż samo i po dworach szlacheckich, w których pospolicie, odbytej kolędzie, raczą się gospodarz z księdzem.

Łukasz Gołębiowski zaś tak nam opowiada o daiu podarunków w dniu Nowego Roku na magnackim dworze:

„Był dawny obyczaj dawania podarunków na Nowy Rók. Oto jest upominków, przez Kazanowskiego marszałka przeznaczonych dla zan na Nowy Rok 1638. P. koniuszemu koń siwo-jabłkowaty, z rzę srebrnym i kutaskami jedwabnymi ; P. sekretarzowi Jasińskiemu kie-) altembasowa z rysiami i klamrą srebrną; P. sekretarzowi Kulczycu kiereja z popielicami ; P. inspektorowi pacholików pas z zapinką nakiem [2]); P. inspektorowi domu żupan adamaszkowy czerwony, [3]) kołpak soboli ; P. piwniczemu czapka z sobolami. Każdemu z paków nowy żupan według nowego kroju i po 8 złotych, każdemu ze zych służebnych po złp. 7, każdemu z średnich po 6, każdemu z młodh po 3, każdy ciura weźmie złp. 2, każdy popychacz złp. 1. Ichmość P. rotmistrze wezmą po szabli roboty Andrzeja z starego miasta, inni P. towarzysze starsi wybiorą, jak im się upodoba, po parze pistoletów ego arsenaliku, młodzi zaś po szabli roboty Jonsona z Podwala. Jeśli y z młodszych towarzyszów nie ma teraz konia, to mu wolno wybrać zeciej mojej stajni. Ksiądz kapelan weźmie z moich antyków, co mu upodoba, a kaznodzieja pierścień z wizerunkiem Pana miłościwego; rdian zaś bernardyński, nasz spowiednik, asygnację na 20 wozów zbo- Szpitalowi na Mostowej ulicy daję asygnację na tyleż wozów, szpitaśw. Ducha na wozów 10. Moi przyboczni wezmą po 20 złotych, a by został pominion, niech śmiało przyjdzie do mnie, przypomni, a ie obdarzon".

Wśród anegdot historycznych XVI wieku mamy zabawne wspomnieo kolędzie błazna królewskiego, doby Zygmuntów, sławnego Stańczy- Zygmunt August, niezadowolony z jakiegoś ostrego przycinku, omi-

---

[1]) Kiereja — suknia wierzchnia turecka, futrem podbita.
[2]) Kanak — naszyjnik.
[3]) Item łac. — również.

nął go był przy rozdawaniu noworocznych podarunków. Staruszek chodı więc osowiały, podczas gdy senatorowie, licznie zebrani, składali monarsz życzenia Nowego Roku. Zapytany o powód smutku, odpowiedział ta głośno, by go król mógł słyszeć:

— Dla mnie rok nie nowy, bo suknie stare!

Zygmunt August, usłyszawszy tę skargę, rozczulił się i udarow błazna nowymi szaty.

I rozdawanie kolędy i tak zwane „chodzenie po kolędzie" pociągał za sobą moc wesołych obrządków. Gromadki młodzieży wiejskiej przed wszystkim, a często i miejskiej, obchodziły domostwa i chaty, doprasza jąc się datków. Uczestnicy tych wędrówek przebierali się w najrozmaitsz sposób za Cyganów. Czasem prowadzono przy tym żywe zwierzęta. Na częściej przystrajali się jednak sami kolędnicy w przeróżne skóry zwierzę ce, naśladując niedźwiedzia, tura, kozę, bociana.

Stary R e j, wspominając o kimś, kto: „Lata, by z wilczą skór po kolędzie", świadczy, jak dawnym był ten zwyczaj świątecznych prze bieranek.

Ż e g o t a P a u l i, znany zbieracz pieśni ludowych, opisuje ow peregrynacje „po kolędzie":

„W drugi dzień świąt rano chodzą małe chłopczyki od chaty do cha ty, recytując mowę rymową. Wieczorem zaś dnia tego, zebrani parobcy przebrawszy się w różne postaci, czasem też wodząc ze sobą tura lub wilk wypchanego, obchodzą z muzyką i śpiewem po kolei gospodarzy, za co oc tychże nieco potraw świątecznych w darze otrzymują".

Tenże pisarz przytacza pieśń, którą kolędnicy śpiewają po przybyciu:

A w niedzielę rano
Do dziewczyny jadą,
Niosą podarunki,
Złociste pierścionki.

Kończą po otrzymaniu darów:

Bywajże nam zdrowa,
Namś kolędę dała.
Tobie wina beczka,
A nam kolędeczka.

Gdy zaś podarunków im poskąpiono, wtedy śpiewają:

...aszych dzieweczek
...ry porządeczek:
...ie w piecu ryją,
naczynie myją,
...żki pod ławą
...sły murawą.
Krowy nie wydoi,
Ogona się boi
Izby nie zamiecie,
Kupą stoi śmiecie.
Kolędy nie dają,
Wszyscy powracają.

Dostosowywanie treści noworocznego powinszowania do tego czy ...dchodzi z pełnymi, czy też z pustymi rękami, jest zresztą zwykłym ...skiem u kolędników. Po hojnym datku śpiewają oni:

Żeby wam się rodziło
Żytko, jak korytko,
Pszenica, jak rękawica,
Bób, jak żłób,
Owies, jak skopiec.

Odchodząc zaś bez podarunku, życzą:

Żeby się wam rodził kąkol, stokłosa,
Babie do pół nosa.

Ponieważ kolędująca drużyna miewa dobre apetyty i nieraz może ...używa gościnności gospodarzy, więc też pozostała w Rzeszowskiem we- kolęda złodziejska:

...n zabił wieprza,
...mu było nie trza.
...dniki, jak się zbiegli,
...go mu zjedli.
...i oni, jedli,
... sobie mówili:
...Uciekajmy po jednemu,
...nas będą bili.
Jak się jeden został,
Dobrze on tam dostał.
Jak się kija domacał,
Dobrze tam się obracał.
Jak się stamtąd wyrwał,
Sam do siebie gadał:
— Oj, będę ja tę kolędę
Każdemu powiadał.

Wędrówki kolędników kierowały się oczywiście i do szlacheckiego ...ru. Odebrawszy stosowny datek, dziękowali zań przybysze:

...ował nas
gospodarz
...dzo hojnie
...rzystojnie...
Boga proście,
Niech mu roście
Na oborze
I w komorze.
Amen.

Żacy szkolni, chodząc po domach, taką pieśnią wypraszali sobie kolędowe dary :

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały,
Dobrej z alembika i do niej piernika,
Hej, kolęda, kolęda !

Chleba pytlowego i masła do niego,
Każ stoły nakrywać i talerze zmywać.
Każ dać obiad hojny, boś pan bogobojny,
Hej, kolęda, kolęda !

Kaczka do rosołu, sztuka mięsa z wołu,
Z gęsi przysmażanie, zjemy to, mospanie,
I cząber zajęczy, i do niego więcej,
Hej, itd.

Indyk do podlewy, panie miłościwy.
I to czarne prosię, pomieści i to się,
Każ upiec pieczonki, weźmiem do kieszonki,
Hej, itd.

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ dać butel wina, bo w brzuchu ruina.
Dla większej ofiary, daj dobrej gorzały,
Hej, itd.

Piwo będziem pili, będziem się cieszyli,
Nie czekaj ruiny, daj połeć słoniny,
Dla większej ochoty daj czerwony złoty
Hej, itd.

Albo talar bity, boś pan wyśmienity,
Daj i buty stare albo nowych parę,
Daj i żupan stary, i grosik do fary,
Hej, itd.

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy nasporzyć;

Żyta ze trzy wory i wołu z obory,
Hej, itd.

Na piwa jęczmienia, koni do ciągnienia;
Jagły, jeśli macie, to nam korzec dacie,
Tatarki na kaszę; kocham przyjaźń waszę,
Hej, itd.

Grochu choć z pół woru z tutejszego dworu,
Na mąkę pszenicy, zjemy społem wszyscy;
Owsa ze trzy miary dla większej ofiary,
Hej, itd.

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę;
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej, itd.

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ upiec kiełbaskę,
Którą kiedy zjemy, to podziękujemy.
Hej, itd.

Chodzenie po kolędzie wzmaga się przed Nowym Rokiem i powtarza jeszcze potem z okazji Trzech Króli. W przeddzień tego święta kolęjący chłopcy wędrują po chatach „z gwiazdą", wyklejoną z różnokolo-ego papieru i oświetloną wewnątrz świecą.

Wigilię Trzech Króli nazywa lud nasz Szczodrym Wieczorem, na miątkę darów, jakie monarchowie u żłóbka maleńkiego Jezusa złożyli.

W dniu przedświątecznym pieką po wsiach małe kukiełki, zwane zodrakami.

Ubogie dzieci wiejskie, chodząc po chatach i prosząc o owe kukiełki, śpiewają :

Czy piekliście szczodraczki, bochnaczki ?
Dajcież nam.
Nagrodzi wam Pan Jezus
I święty Jan.

Obdarowani wychodzą z dobrym życzeniem :

Niech się wam rodzi pszenica — jak rękawica,
A jęczmień tak wielki — jak koń.

Gdy zaś szczodraków nie ma w chacie, wtedy dziatwa żartobliwie złorzeczy :

Kiedyś nie miesiła,
Bodajeś się powiesiła !

Szczodry Wieczór jest ostatnim z tzw. Świętych Wieczorów, które rozpoczynają się od wieczerzy wigilijnej. W wieczory te nie należy się trudnić ciężką pracą. Od dawien dawna były one spędzane na śpiewaniu pieśni pobożnych i na rozrywkach towarzyskich.

M. D.

PRZĄDKI

Do bardzo starych zwyczajów polskich zaliczyć można tak zwane „prządki", czyli „wieczory prządkowe", które odbywały się w chatach i we dworach.

Po przeprowadzonej starannie w miesiącach wiosennych i letnich uprawie lnu i konopi, po zebraniu obu tych roślin i przygotowaniu ich do przędzenia przez miesiące jesienne, przędzono je w długie wieczory zimowe.

We dworze, w izbie czeladnej, pani, len pomiędzy dziewczęta i niewiasty służebne rozdzieliwszy, nieraz sama wśród nich z robotą zasiadała. Ogień płonął wesoło na kominie, kręciły się wrzeciona, furkotały kołowrotki, czasem popłynęła piosenka, czasem najwymowniejsza z prządek opowiadała bajkę, pełną cudów lub tajemniczej grozy. I tak schodził wieczór za wieczorem. Rosły motki szarego przędziwa, które z kolei zabierali tkacze wioskowi, by je przerobić na płótno.

H a u r , pisarz XVII wieku, który w swej *Oekonomice ziemiańskiej* wiele rad i praktycznych, ze sprawami gospodarczymi związanych przepisów pozostawił, poucza, iż tkaczów tych „dobierać było trzeba, aby dobrze i gęsto tkali".

Podaje on dokładny rachunek, ile na jakie płótno należało wydzielić przędziwa i kończy praktyczną uwagą, że „dla sieci naprawy, powrozów,

ostronków z sznurków, także gwoli innym potrzebom i wygodzie domo-
ej, pamiętać należy zostawić konopi nieczesanych".

W podobny sposób odbywały się wieczory prządkowe po chatach i o domach szlachty zagonowej. Na cel ten wybierano domostwo, które ajobszerniejszą izbę posiadało i tu się schodzono dla przędzenia, czasem la tkania lub dla darcia pierza. M i c h a ł F e d e r o w s k i, et-graf polski z doby obecnej pisze, iż zwykle uczestnicy takich wieczorów edzą do wieczerzy, w dnie zaś poprzedzające święta i niedziele dopiero północy lub nad ranem rozchodzą się na spoczynek. Czas, w którym rządki zaczynają się schodzić, przypada w drugiej połowie listopada i rzedłuża się do ostatnich dni mięsopustu. Lud ma przysłowie: „Od Go-ów do Nowego Roku siedzą prządki do zmroku, a od Nowego Roku Trzech Króli do samej wieczerzy".

Jednak nie znaczy to, by w tych dniach świątecznych robota trwała do chwli rozejścia się. W te tzw. Ś w i ę t e W i e c z o r y ze-rane pracownice przędły tylko do zmroku. Reszta czasu schodziła im na iewaniu kolęd i pieśni nabożnych. Każda dziewczyna, idąca na „prząd-" musiała mieć ze sobą potrzebne przybory, więc przęślicę, kręziołek i otowidło oraz coś do przegryzienia, gdyż poczęstunku na tych wieczo-ch, o ile się po chatach odbywały, zwykle nie rozdawano.

Czasem gromadka wesołych parobczaków, czasem ktoś z wiejskiej arszyzny dotrzymywał towarzystwa prządkom. Po chatach, po małych workach, zarówno jak w czeladnej izbie wielkich dworów, urozmaicano bie czas przy pracy śpiewem lub opowiadaniem bajek. Nieraz też ostrzył dowcip zebranych na zagadkach, często niełatwych do odgadnięcia.

Oto jak niektóre z nich brzmiały:

— G a d a j m i t o : Ma wiele ran, a jest bardzo mocno iązan, upomina nas ku robocie, ma wielką dziurę w żywocie, maca, lubo st bez rąk, a chodzi, nie mając nóg, każdy się nim sprawuje, bowiem nam rozkazuje; powróz wszystko dokonawa, bo mu tę naukę dawa.

O d p o w i e d ź : Jest tam zegar. Tam powrozy naciągają, na órych wagi wieszają.

G a d a j m i t o : Czego Pan Bóg nie zna, papież rzadko, ale osty człowiek na każdy dzień?

O o p o w i e d ź : Sobie równego.

G a d a j m i t o : Leciał ptak bez pierza na drzewo, będące bez ścia. Przyszła pani bez ust i zjadła tego ptaka.

Odpowiedź: Upadł śnieg na drzewo w zimie. Przyszło słońce i stopiło go.

Dziś, wobec rozwoju przemysłu fabrycznego, wobec upadku domowego tkactwa, len i konopie wędrują od razu do fabryk, a sztuka przędzenia zanika po dworach i po chatach, zanikają też wieczory prządkowe. Szkoda tego miłego, prastarego obyczaju, szkoda tych zebrań, na których wielki i ciekawy skarb pieśni, podań, gadek i przypowieści ludowych tak bujnie się przejawiał.

M. D.

PRZĄDKI

Przyszedł nowy rok 1652. Styczeń był mroźny, ale suchy, zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy: w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężałej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie, szare ptactwo stukało dziobem do szyb, szedzią i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tym łacniej, że między jej dziewkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te, robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnymi były, a w zamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewek traktowania. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swoją, panną Kulwiecówną, siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach: wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie ze zwieszonym okapem paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę, jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim,

ikowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe viazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w cieple, a zza belek wyądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tuckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był nimi założony. Po ianach ciemnych błyszczały, jakoby gwiazdy, statki cynowe większe i niejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, ucząc pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwała milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie kwiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze; one zaś rękoma wzniesionymi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, awą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowymi ojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na bystrymi oczkami a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekianiu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie, ale robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały wrzeona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin żarna huczał.

H. Sienkiewicz
(Potop.)

PRZY KĄDZIELI

. . . Już o dobrym wieczorze zaczęli się schodzić do Kłębów na oną ęślicową wieczornicę.

Kłębowa sprosiła głównie same starsze kobiety, powinowate sobie, bo w kumostwie będące. Przychodziły też w porę jedna za drugą, ni wodząc, ni się zbytnio opóźniając, boć każda kuma rada ciągnęła do ugiej, aby się zgwarzyć społecznie i co nowego posłuchać.

Najpierwsza, jak to miała we zwyczaju, przyszła Wachmikowa, z akiem wełny w zapasce i z wrzecionami zapasowymi pod pachą; potem zyszła Gołębowa, Mateusza matka, skrzywiona, kiej po occie, z obwiąną gembą, narzekająca wiecznie i cięgiem się skarżąca na wszystko; a niej, niby ta rozgdakana, odęta kwoka, przyszła Walentowa, po niej korzyna, chuda, kiej miotła, turkot baba i w sąsiedzkich swarach najzatsza; a po niej wtoczyła się, gruba kiej beczka, Płoszkowa, czerwona

na gembie, spaśna, zestrojona zawdy, dufna w siebie, dworująca nad wszystkie i wyszczekana, jak mało która, ale ogólnie nielubiana; tuż za nią wsunęła się cicho, czająco kiej ten koczur, Balcerkowa, sucha, mała, zawiędła, ponura a sielna procesownica, która z pół wsią za łeb się wodziła i co miesiąc stawała na sądy; a po nich wlazła hardo, choć i nieproszona, Kobusowa, Wojtka żona, pleciuch najgorszy i zazdrośnica niepomierna, że strzegli się jej przyjacielstwa kiej ognia... Przyszła i stara Sochowa, mać Kłębowego zięcia, cicha kobieta, pobożna wielce i wraz z Dominikową najwięcej w kościele przesiadująca; przyszły i drugie jeszcze insze, ale już nie tak wybrane, o których nie wiada, co rzec, bo podobne sobie, kiej te gąski w stadzie, że nie rozpoznał jednej od drugiej, chyba jeno po obleczeniu — a zeszło się razem sporo babiego narodu i z czym która miała: to z wełną do oprzędu, to ze lnem, to z pakułami, a niektóre z szyciem, albo z tą przygarścią pierza do zdarcia, by ino nie dać pozoru, jako się zeszły po próżnicy, na rajcowanie.

Sadowiły się wielkim kołem w pośrodku izby, pod lampą, wiszącą u pułapu, kiej te krze na szerokiej grzędzie, rozrosłe, dostałe i późną jesienią owarzone, bo starsze już były, prawie jednolatki.

Kłębowa wszystkim zarówno była rada, witając się z każdą cicho, że to słabowała na piersi i głos miała cedzący, zadychliwy; Kłąb zaś, jako człowiek ludzki, mądry i zgodę ze wszystkimi trzymający, to prawił miłe słowa i sam stołki a ławy podsuwał.

Nadeszła później nieco Jagusia z Józką i Nastką, a z nimi jeszcze parę dziewczyn, za którymi ściągali w pojedynkę parobcy.

Sporo ludu się nabrało, boć i wieczory były długie, roboty nie mieli żadnej. Zima szła sroga i przykre dnie, to cknило się chodzić spać razem z kurami, gdyż i tak do świtania tyla się jeszcze wyspał i wyleżał, aż boki bolały.

Porozsadzali się, jak mogli, kto na ławach, kto na skrzyniach, którym zaś parobkom Kłębiaki pieńki przynosili ze dwora, a jeszcze miejsca dosyć ostawało w izbie, bo dom był wielki, choć niski, starą modą pobudowany, pono jeszcze przez Kłębowego pradziada, że rachowali mu ze sto pięćdziesiąt roków z okładem; w ziemię też już zapadał, przygarbił się, kiej staruch, i strzechami płotów dotykał, aż musieli podporami go wspierać, by się do cna nie zwalił.

Gwar się czynił zwolna, bo cicho jeszcze pogadywały, między sobą

lko, wrzeciona jeno furkotały i dudniły po podłodze, a gdzieniegdzie kółko warczało, ale niewiele, bo nie dowierzały zbytnio tym nowoodnym wymysłom, woląc prząść po staremu, na przęślicach.

Kłębiaki, a czterech było młodziaków wyrosłych jak sosny i już iwie pod wąsem, skręcali powrósła przy drzwiach, reszta zaś parobków ozwalała się po kątatach, kurząc papierosy, szczerząc zęby i prześmiewac się z dziewczynami, że co trochę cała izba się trzęsła od chichotów, a rsze jeszcze rade dokładały swoje, by więcej było do śmiechów i zawy.

Przyszedł w końcu i wyczekiwany Rocho, a tuż za nim Mateusz.

— Byli już z niedźwiedziem? — zagadnął Rocho...

— Ino ich patrzeć, bo są u organistów.

— Które to chodzą?

— A dyć te wisielaki Gulbasowe, i Filipki chłopaki!

— Idą już — idą! — zaczęły wołać dziewczyny, bo się rozległ rzed domem długi ryk, a po nim głosy różnych zwierząt zaczęły się ozlegać w sieni, bo kogut piał, owce beczały, koń rżał, a przewodził im tosik na piszczałce; wreszcie drzwi się otwarły, i przodem wlazł chłoak, przyodziany w kożuch do góry wełną, z czapką wysoką, przysmoiny na gembie, że jak cygan się widział, a ciągnął za sobą na długim owróśle onego niedźwiedzia, przybranego całkiem w grochowiny, z koszanym łbem, z ruchającymi się uszami z papieru i z ozorem czerwoym, może na łokieć wywalonym; do rąk zaś miał przywiązane kije, kręcone w grochowiny i wrażone w trepy, że chodził niby na czworaach, a za nim szedł tuż drugi wodziciel, ze słomianą pytą i kijem, ostryi kołkami najeżonym, na których tkwiły kawałki słoniny, to chleby, jakieś pękate torbeczki wisiały, a dopiero za nimi Michał od organisty, a piszczałce przygrywający, i cała hurma chłopaków z kijami, bijąc mi w podłogę i pokrzykując z całej mocy.

Niedźwiednik pochwalił Boga, zapiał potem kiej kokot, zabeczał k baran, zarżał niby ogier i zaczął wykrzykiwać.

— Niedźwiedniki my, z kraju dalekiego, zza morza szerokiego, lasu ielgachnego, gdzie ludzie do góry nogami chodzą, gdzie płoty kiełbami grodzą, a ogniem się chłodzą; gdzie garnki do słońca przystawiają, inie po wodach pływają i deszcze gorzałką padają. Niedźwiedzia my ogiego wodzim i po świecie chodzim! Powiedzieli nam ludzie, że

w tej wsi są gospodarze bogacze, gospodynie użyczliwe, a dzieuchy piękne. Tośmy przyszli z kraju dalekiego, zza dunaju szerokiego, by nas opatrzyli, grzecznie przyjęli i na drogę co dali. Amen.

— Pokażcie, co umiecie, a może się la was znajdzie co w komorze — rzekł Kłąb.

— Pokażemy wraz! Hej! graj piszczało! tańcuj Misiu, tańcuj! — zakrzyczał, kropiąc go kijem, a na to piszczałka wrzasnęła przebieraną nutę, chłopaki rypnęli kijami w podłogę i nuż przykrzykiwać; wodziciel udawał różne głosy, a niedźwiadek jął skakać na czworakach, ruchał uszami, kłapał ozorem, wierzgał, za dzieuchami gonił, a wodziciel niby go powstrzymywał a pytą wokół prał, co wlazło, i krzykał:

— Nie znalazłaś se mężyny, naści, babo, grochowiny!

Krzyk się podniósł w izbie, wrzaski, rwetes, bieganina, przegony, piski, a taka uciecha zapanowała, aż się za boki brali, niedźwiedź zaś wciąż baraszkował, figle stroił, przewalał się na ziem, ryczał, uciesznie skakał, to dziewczyny brał wpół tymi drewnianymi kulasami i wciągał w tan, do taktu Michałowej piszczałki, a rzekome niedźwiedniki wraz z chłopakami tak dokazywali, że dziw się chałupa nie rozwaliła od tych wrzasków, gonów i śmiechów.

Opatrzyła ich suto Kłębowa, że wreszcie się wynieśli, ale długo jeszcze słychać było na drodze wrzaski i naszczekiwania psów...

...Usadzili się znowu na dawne miejsca i pogwarzali wesoło, dziewczyny zaś z Józką na czele, jako najśmielszą, nacisnęły Rocha pod kominem i nuż go molestować, i milić się przed nim, by opowiedział jaką historię, jak to u Borynów na jesieni... Przysunęli mu stołek pod lampę, rozstąpili się nieco, że usiadł w pośrodku, kiej ten stary, siwy dąb na polanie, otoczony półkolem zwartych, pochylonych krzy, i zaczął prawić zwolna i nie głośno.

Cichość ogarnęła izbę, że jeno wrzeciona warkotały, a czasem ogień trzasnął na kominie albo czyjeś westchnienie zaszemrało, a Rocho opowiadał cudeńka różne i historie o królach, o wojnach srogich, o górach, gdzie śpi wojsko zaklęte, czekając jeno zatrąbienia, by się zbudzić i paść na nieprzyjacioły, i pobić, i ziemię ze złego oczyścić... o krajach, gdzie ludzie kiej drzewa, gdzie mocarze, co górami rzucają, gdzie skarby nie przebrane, przez smoki one piekielne strzeżone, gdzie ptaki-żary, gdzie Madeje, gdzie kije samobije, a one Lele-Polele, a one Południce, upiory

achy, czary, dziwości! — a drugie jeszcze insze a cudne i wprost nie wiary, że wrzeciona z rąk leciały, a dusze się niesły w zaczarowane iaty, oczy gorzały, łzy ciekły z nieopowiedzianej lubości, i serca dziw e wyskoczyły z piersi z utęsknienia i podziwu.

Długie a głębokie milczenie padło na wszystkich; każden rozważał szane i każden pełen był świętej cichości, podziwu, dobrotliwości i ku... A potem zaś zwolna poczęli pogadywać o tym i owym, jak zwyjnie.

Młódź zaczęła między sobą się prześmiewać, bo Tereska żołnierka dawała parobkom zagadki ucieszne...

„Przez ciała, przez duszy, a pod pierzyną się ruszy?"

Co to jest?

— Chleb, chleb, każdy wie! — wołali, skupiając się koło niej.

— Albo to: „Gonią się goście po lipowym moście".

— Przetak i groch.

— Każde dziecko o takich zagadkach wie.

— To mówcie drugie, mądrzejsze!

„W koszuli się na świat rodzi, a po świecie nago chodzi".

Długo zgadywali, aż dopiero Mateusz powiedział, że to ser, i sam dał taką zagadkę:

„Lipowe drzewo wesoło śpiwa, a koń na baranie ogonem kiwa".

Z trudem się domyślili, iż to ma znaczyć skrzypce.

Tereska zaś powiedziała jeszcze trudniejszą:

„Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha, a kaj się obróci, wszędy se mucha!"

Wiater to miało znaczyć; zaczęli się o to swarzyć, prześmiewać i oraz uciesznie jsze zagadki powiadać, aż się izba roztrzęsła gwarem i wesołością.

Wł. St. Reymont
(Chłopi)

WIECZORNICA

Zmrok zimowy... Śnieg bogaty
Wieś zasypał, drogi, chaty...
Świat tumani wichrów wrzawa,
Hula, kłębi się kurniawa! [1])
Ziemię ścisnął mróz złowieszczy,
Że aż cała chata trzeszczy.

Gdy na dworze wszystko skrzepło,
W izbie miło, swojsko, ciepło.
Z czerwonego paleniska
Płomień głowni skrami pryska,
Blaskiem złoci się świetlica...
Miła będzie wieczornica!
Dziewek rój kwitnący, świeży
Zszedł się razem po wieczerzy,
Spędzić czas przy wspólnym dziele.
Poznosiły swe kądziele,
A staruchy w młódek grono
Siadły... Kręć się, kręć, wrzeciono!

Na kądzieli lnu czupryna
Włos dziew złoty przypomina,
Taki jasny, tak radosny,
Że w świetlicy tchnie czar wiosny,
Wonny urok kwietnia, mimo
Że na dworze kurzy zimą...
Nić się snuje nieznużenie,
Jako złote ich marzenie,
Urodzone w tęsknot głuszy —
Bo też wiosnę mają w duszy...

---

[1]) Zadymka.

„Jakież krasne, urodziwe!”
Patrzą na nie baby siwe.
Aż je dziw i zazdrość bierze.
Zwiędłe, skubią białe pierze,
Białe jako śnieg, co zlata,
Jak ich włosy i ich lata.
Czasem kiwną wpół głowami,
Gdy je krótka drzemka zmami,
Wnet znów pierze-śnieg z rąk prószy —
Bo też zimę mają w duszy.

Cicho w krąg, poważne lica...
A na dworze dujawica [1])
Huczy, świszcze, jęczy, wyje...
Istne piekło, czarcie chryje!
Świerszcz zajęczał zza bierwiona,
Niby dusza potępiona,
Kot w popiele miejsca szuka...
Tuż, tuż w szybę Złe zapuka.
Chyba skryć się za nalepą...
W oknie straszno, czarno, ślepo:
Ujrzysz świeczki wilkołaka
Lub się zjawa zwidzi jaka...
Pies to skomli, to zaszczeka,
Musi, że nie na człowieka.

W kąt niejedna zerknie skrycie:
Jakoś coś niesamowicie.
Trzeba cichcem się przeżegnać,
By nieczystą siłę przegnać...
Kreślą się znakami krzyża,
Kupią się: noc dusze zbliża...
Więcej drew! Niech raźniej płoną!
Kręć się, kręć się, kręć wrzeciono...

---

[1]) Wichura, zadymka.

Blask rozprasza dreszcz przerażeń...
Ile wrzecion, tyle marzeń,
Ile bladych rąk jak woski
Targa pierze, tyle troski...
Troską, troską wspomnień szczątki...
Nuże, raźniej, młode prządki!
Dalej, roju dziewek młody!
Na wyprzódki, prząść w zawody!
Najpilniejsza, gdy ochota,
Dziewięć pasem łatwo zmota...
A że będziem noc mieć długą,
Bajaj, siostro, Pleć-pleciugo!

Mknie wrzeciono, nić się zwija...
Czyja pierwsza gwara, czyja?
Nie da prosić się kumoszka.
Jedna troszka, druga troszka,
A języki jako motki
Rozwikłały się: Raj — plotki!
Ten jest sknera, choć bogaty,
Ten do tamtej posłał swaty,
Ten się żeni, ten rozchodzi,
Owych znowu tamten godzi...
...I tak wyraz za wyrazem
Mówią teraz wszystkie razem.
Kto jest prędszy z tego grona,
Czy języki, czy wrzeciona?
Lecz się stary język nuży,
Głowa spada, oko mruży.

Wtedy młodych głosów kolej...
Pięknych bajek słuchać wolej,
Co się działy w dawnej dobie:
„Był raz sobie... Był raz sobie..."
Snuje się wraz z wątkiem nici
Czar, którego myśl nie schwyci;
Urok dziwu snem się przędzie:

Coś co nigdzie — a co wszędzie,
Coś co nigdy — a co zawsze,
Najsmutniejsze, najłaskawsze,
Znane a nieodgadnione,
Posiadane a stracone,
Coś z żałoby a pociechy,
Coś przez łzy i półuśmiechy...

To nie pląsy leśnych dziewic,
Nie jadący w bój królewic,
Nie darami hojna wróżka,
Nie ów cudny los Kopciuszka,
Lecz lot uszczęśliwia zawdy
Z bólu prawdy w sen nieprawdy.
Północ już: im nie dość długo...
Jeszcze siostro, Pleć-pleciugo,
O tych baśni mów nam krasie.
Nie masz nowych klechd w zapasie?
Stare wznawiaj więc obrazy,
Po dwa razy i sto razy,
Niech je nasze serca chłoną..."
Kręć się, kręć się, kręć wrzeciono!

Więc baśń tęczowymi słowy
Płynie. Czasem dźwigną głowy
Zadrzemane babki z kąta...
Coś im się po myślach pląta,
Przetrą oczy półprzytomne,
Szepczą cicho: „Pomnę, pomnę".
Coś im się przez chwilę zdaje,
Że dzieciństwa wskrzesły raje,
Że młodości i miłości
Wiosna znowu w koło gości...
Spojrzą: Pierze... Śnieg... Tęcz nie ma...
W polu zima... w duszy zima...
Bajka brzmi... li słowa biegą...
Bajka: sen obudzonego.

Już nie zdrzemnie żadna: słucha
Jak na wskrzeszonego ducha
Swej młodości, tej jedynej,
Patrzy, patrzy na dziewczyny...
W oczach łza jej lśni żałosna,
Że przeminie młódek wiosna,
Że im przyjdzie zima, starość,
Przyjdzie grobom trawą zarość,
Nie ustrzeże wrot zasuwa,
Choć dziś żadna nie przeczuwa.
Ale starym dola padła
Służyć młodym za zwierciadła.

Och! Och! Młodość! Miłość! Krasa!

W palenisku żar dogasa,
Gdy na dworze wicher tańczy
Z śniegiem taniec opętańczy...
Kot przeciąga się, sierść wznosi,
Ze szczeliny świerszcz się głosi...
Choć wrzeciona mkną niezmiennie,
W izbie jakoś dziwnie sennie,
Baśń gnuśniejszą płynie strugą...
„Jeszcze siostry, Pleć-pleciugo!..."

Chodzi czapla, w bagnie pleszcze,
Czy wam opowiadać jeszcze?

Leopold Staff

MYŚLISTWO W DAWNEJ POLSCE

Mnóstwo wzmianek o zapalonych myśliwych i o myślistwie, jakie odnajdujemy na kartach naszego piśmiennictwa, świadczą o tym, jak ulubioną rozrywką w Polsce były łowy. Polował od dziecinnych lat Krzywousty, o czym mówią kroniki Gallusa i Długosza. Tenże Długosz opowiada, że łowy były przyczyną śmierci Kazimierza Wielkiego, że Jagiełło dla polowania nieraz o poważnych sprawach państwowych zapominał, a Kazimierz Jagiellończyk umiał polować zimą podczas

ajcięższych chłodów, gdy ludziom odmrażały się uszy i nosy. Myśliwem parał się i „ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy", i Batory którego równie jak i Kazimierza Wielkiego łowy o śmierć przyprawiły.

Umiejętność łowiecka dostarczała nie tylko miłej rozrywki, jak o m poucza nas Rej w swym *Żywocie człowieka poczciwego*, gdy się zepióreczkę ugoni, zajączka poszczuje, gdy się ubije sarnę lub wilka ikryje siecią. Ona stanowiła poniekąd obowiązek każdego rycerskiego eka. Dlatego to Górnicki każe swemu Dworzaninowi ać myśliwskie rzemiosło. Dlatego też nie brakło u nas dzieł specjalnych, óre nabycie tej znajomości ułatwiać miały.

Myśliwiec, wydany w końcu XVI w., wierszowany utwór Biewskiego, podaje w dość zresztą nieudolnych rymach wskazówki do różnych „obrotów" myśliwego.

Musić każdy w tej nizinie
Czuwać o swojej zwierzynie.
Nikomu w garść ptak nie skoczy.
Leci precz, gdy go człek zoczy.

Dlatego też poucza autor:

Nie sadź się na swe rozumy:
Mało znajdą takie dumy.
Ucz się, czytając me rymy,
Chceszli dostawać zwierzyny...

Mać świat, bracie, wiele bydła,
A na każde trzeba sidła.
Zabić wilka — piękna sztuka,
Lecz ten ubieży nieuka.

Masz wiedzieć przebieg niedźwiedzi,
Zając, gdzie sarn, jeleń siedzi.
Nie uciekajże przed wieprzem.
Kwaśnojuchy dobry z pieprzem.

Należy też umieć zażyć i łosia, i żubra, i tura, ba, autor pofolgowawszy fantazji twierdzi, że i o smoka i o salamandrę w ogniu warto ę pokusić. Najważniejszą jednak rzeczą jest, by myśliwy nie powracał wyprawy z pustymi rękami, gdyż torba, napełniona zwierzyną, zawsze wszędzie zapewnia dobre przyjęcie.

Nie rymami ale prozą poucza nas Ostroróg w pierwszych latach XVII w., jakie ma być *Myślistwo z ogary*. Wreszcie Cygański. współczesny Bielawskiemu, w swym *Myślistwie ptaszym* udziela wskazówwek, jak polować na ptaki i jak układać do łowów orły, sokoły, krogulce i jastrzębie.

Zależnie od zwierzyny i od sposobów zdobywania jej, rozróżniano w Polsce rozmaite gatunki łowów.

Otaczano las siecią, ściągając ją coraz krócej i krócej. W ten sposób, opowiada Bielawski, lubił polować król Batory, co

> . . . Siecią trzeciomilną
> Otoczywszy, zwierzynę bierał nieomylną,
> Tak pomału sieć onę zaraz ukracano,
> Zwierza siecią stuliwszy, co król kazał, brano.

Z rusznicą wyprawiano się na żubry, tury, łosie, sarny i jelenie, wypłoszone poprzednio z ukrycia lesistego przez psy myśliwskie. Broń palna służyła i na niedźwiedzia, którego nieraz wypadało dobijać oszczepem, godząc w serce i jeszcze toporem w ostatecznej chwili sobie często pomagając. Dzik, choć kulą trafiony, bywał częstokroć bardzo groźny, gdyż podrażniony strzałem, wpadał pędem na myśliwego. Wtedy uskoczenie mu z drogi na pierwszy lepszy pieniek było zwykłym ratunkiem, zanim powtórny strzał nie zabił rozjuszonego zwierza. Gdy jednak na tę chwilową ucieczkę czasu nie stało, jedynie silny, przytomnie zadany cios kordelasem wybawiał myśliwego od śmierci.

W zimie, gdy wielkie gromady wilków włóczyły się po okolicy, szkody we wsiach czyniące, polowano na nie z prosięciem, którego kwik zwabiał drapieżne i zgłodniałe zwierzęta. Wtedy myśliwi, jadący gromadnie na wiejskich saniach, zaprzężonych w dobre konie, razili napastników gęstymi strzałami. Czasem jednak, gdy stada wilków były zbyt liczne, gdy konie, spłoszywszy się wywróciły sanki, tragicznym zgonem wszystkich uczestników kończyły się te łowy.

Wyjazd na polowanie stawał się pewnego rodzaju uroczystością. Wyprawą kierował najdoświadczeńszy z myśliwych. Ruszano zwykle o pierwszym bszasku, wśród wesołego gwaru. Jeśli pora była po temu, niesiono na ręku zakapturzone, dziwnie ustrojone sokoły i jastrzębie. Prowadzono na sforach psy, zwołane uprzednio umiejętnym trąbieniem, a gdy za-

rzmiały wesołe nawoływania: — Ho do la sa, la la, nuże do la sa — ·tenczas bór cały wiedział, jakich będzie miał gości.

Dobry, dobrze ułożony pies był niesłychanie ważną pomocą w polo- aniu. Dlatego to Ostroróg we wspomnianym powyżej dziełku twierdzi, :. „myśliwiec jest jakoby hetman, wódz i sprawca psi, który niemi rządzić ıa i sprawować je, używając ich rozrywki i zmysłu, i mocy do słusznego zukania, prędkiego znalezienia — i ugonienia zwierzęcia. Czemu aby osyć czynił, trzeba, aby go psi słuchali, a to będzie, kiedy go będą ııłować i wierzyć mu. Żeby go tedy miłowali, ma się doma między iemi bawić, głaskać, karmić nie tylko u koryta, ale i z wacka [1]) czem- olwiek na potkaniu, co najczęściej ma się z niemi pieścić, rozmaicie igrać niemi..."

Specjalnym kunsztem było trąbienie na psy. Gdy je myśliwy zwo- wał, by na sforę przed łowami ująć, wtedy trąbił z przewłoką, to jest ełnym tonem, dodymając, co najdłużej. Psy, zwoływane tym odgło- em zwykle do jedzenia, gromadziły się chętnie. Podczas gonitwy za wierzem grzmiała trąbka krótko i stawała co cztery takty. Wreszcie po zczęśliwie odbytych łowach, jak pisze Al. Maciejowski w dziele *Polska Ruś* „chełpiący się ze zwycięstwa strzelec, na psy wołając: — Herab, erab! — powolnym trąbieniem dawał znak rozjuszonej zgrai, że już ıoże odpocząć sobie i zwątlone pokrzepić siły".

Najbardziej używane nazwy psów bywały: Zagraj, Dyszkant, Kan- or, Grzmilas, Cymbał, Tenor, Urwis, Zagrzyż, Szumlas, Hałas, Ucichł, Dzwonek, Słowik, Trębacz, Przełaj, Zadaj, Kasztan. Samicom dawano nıiona: Duda, Skrzypka, Lutnia, Płaksa, Lotka, Sarna, Chwytka, Cytra. Vśród chartów najpospolitsze, najczęstsze imiona bywały: Dolot, Capaj, Doskocz, Chwytaj, Połóż, Sokół, Strzałka, Zoczna, Szpilka, Sława.

Myśliwi miewali i mają zabobony. W niedzielę lub święta nie na- ·ży wychodzić na polowanie, bo się nie poszczęści. Na osadę strzelby rzewo tak ściąć trzeba, by od razu, bez oparcia się, na ziemię padło. cięcie to ma się odbywać przed zachodem słońca. W takiej osadzie ızja za każdym razem jest pewna. Spotkanie baby nieszczęsne łowy ro- ıje i jedynym na to ratunkiem — prosić ją, by życzyła pomyślnej ıbawy.

Na ogół jednak myśliwy winien wystrzegać się życzeń dobrych

[1]) Z worka.

łowów, bo one działają wręcz przeciwnie. Pantofel lub trzewik zniszczony, znaleziony na drodze — jest niepomyślną wróżbą. Niedobrze też, gdy się przed łowami śni myśliwemu, że poluje na karym koniu w towarzystwie czarnych psów gończych.

Natomiast spotkanie dzieci, młodych dziewcząt, lub też praczek, piorących bieliznę nad potokiem, przynosi szczęście.

O obyczajach myśliwskich tak pisze Łukasz Gołębiowski:

Gdy kto spudłował, roztartym w wodzie lub wódce prochem twarz mu całą obmazano i tak przez czas łowów chodzić musiał... Jeśli kto pierwszy raz ubił znaczniejszą zwierzynę, przy trąb odgłosie niesiono ją z aplauzem pod nogi szczęśliwego strzelca, gdy się wszyscy zebrali.

Zaprawiano go do myślistwa i dalszej k'niemu ochoty, krwią obmazując. Tak zjuszony, pozostać musiał czas jakiś, aż mu się obmyć dozwolono. Kara myśliwska za niedopełnienie w czym zwyczajów, przepisów lub uchybienie przeciw językowi myśliwskiemu była taka: Winnego kładą na dzika, jelenia lub sarnę, dają mu trzy płazy kordelasem, wołając tyleżkroć — ho, ho! — pierwszy odgłos zwyż wymieniony dla najstarszego z przytomnych, drugi dla orszaku myśliwych, trzeci dla szlachetnego prawa łowieckiego. Wtenczas w koło stoją wszyscy i prawą ręką trzymają dobyty na kilka cali z pochwy kordelas. Uciechą jeszcze było — wypchanego lub dawno ubitego i skrzepłego już podstawić komu zająca, kaczkę swojską, zamiast dzikiej, i do strzału namówić, a potem wyśmiewać. Bawiło również pieczenią wilczą, lisią, bigosem lub kiełbasą z tych zwierząt nakarmić wszystkich myśliwych albo tego, który pierwszy raz na polowaniu i za przedmiot szyderstwa obrany. Wtenczas ozwały się trąbki, wycia, podobne wilkom, psów szczekania i puste śmiechy łowczej zgrai.

Obok psów myśliwskich, ogarów, wyżłów czy też chartów, pomocnikami w łowach bywały odpowiednio ułożone ptaki drapieżne, które polowały na drobniejsze czworonożne zwierzęta i na ptactwo. Najpierwszymi wśród tych łowców był sokół, którego najrozmaitsze odmiany rozróżniano, a więc sokół białozór, sokół raróg, sokół drzemlik, sokół kobiec. Oprócz sokoła i jastrząb bywał pożyteczny przy polowaniu czy to gołębiarz, czy też krogulec.

Mateusz Cygański we wspomnianym powyżej *Myślistwie ptaszym* tak ptakom tym przemawiać każe:

RARÓG

Z zwierzęty walczę, mam nad wszystkie ptaki [1]).
Dank mi ten wszyscy muszą poddać taki.
Stłukę zająca, by i największego.
Skosztuj, a pewnie doświadczysz się tego.

SOKÓŁ

Jeden rodzaj i gniazdo, jeden życia mawa [2])
Sposób i ten jednaki pożytek podawa.
Kaczkę ja, ten zająca na placu zostawi.
Zażyje krotofile, kto się z nami bawi.

JASTRZĄB

Mężny ptak, jastrząb, kiedy się unosi.
Nie rad, kto go ma, o zwierzynę prosi.
Przyjąwszy k'sobie krogulaszka brata,
Jedź w pole z wiosny, w jesieni, wśród lata.

KROGULEC

Mniejsze mnie pole, mniejszy ptak przystoi,
Przepióreczka, słowik niech się mnie boi.
Piękna zabawka ze mną w polu bywa,
Gdy mię ćwiczony myśliwy używa.

Łowy z ptactwem rozpoczynały się zwykle po żniwach. Najpierw lowano na kuropatwy i cietrzewie, potem ku jesieni na zające. Od ździernika przedmiotem łowów były dzikie gęsi, czaple. W zimie edne szaraki, widoczne na śniegu, musiały się pilnie strzec przed sokom lub jastrzębiem. Unikano jednak łowów w dni zbyt wilgotne, gdyż ki łowieckie chorzały od mgły i deszczu.

Kazimierz Wodzicki, znany polski ornitolog, podaje nam kawe szczegóły o tym, jak łowiono sokoły. Najlepiej było, po odkryu gniazda, wyjąć z niego młode, ale już odchowane ptaki. Dojrzałe koły łowiono też w siecie lub w samotrzaski. Te jednak były porniejsze przy tresowaniu.

W podobny sposób łapano też i jastrzębie. Nie były one jednak

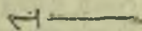
---

[1]) Tzn. górują nad wszystkimi ptakami.
[2]) Mamy.

nigdy w takiej estymie jak sokoły, które myśliwy cenił zawsze bardzo wysoko, nieraz ogromne sumy wydając na te ptaki, strojąc je barwnie na łowy i tak się pysząc nimi, jak pan Mohort stadniną a chartami Asesor i Rejent w *„Panu Tadeuszu"*.

Bo też, jak pisze W ó j c i c k i, „prawo mienia sokoła tak oznaczało szlachcica, jak noszenie szabli lub szpady... Polowanie z sokołem było szczególnie ulubioną rozrywką: wzrok jego bystry, długość skrzydeł, a z tym połączona szybkość lotu, ostrze i siła dzioba, moc kości, zapał i śmiałość, tyle usposabiają go do użytku w łowach, ile wrodzona dzikość i obawa ludzi utrudnia jego oswojenie..." A dalej tak opowiada tenże sam autor o układaniu sokołów do polowania:

„Sposoby, którymi sokolnicy ułaskawiali dawniej tego ptaka myśliwców, są godne uwagi. Ażeby usposobić sokoła do nauki, trzeba mu było odjąć wrodzoną dzikość, do czego przerywanie snu było jedynym środkiem. Sadzano go zwykle na obręczy, wiszącej z powały na sznurze, a przeto mogącej się poruszać. Jeżeli sokół choć cokolwiek okazywał chęci zasypiania, trącano i rozkołysano obręcz, przez co zagrożony spadnięciem nie mógł usnąć. Tym sposobem męczono go przez trzy lub cztery dni, a myśliwi odmieniali się w czuwaniu, by i chwili nie zdrzemnął. Przez ciągły i tak długi niewczas wpadał sokół w rodzaj odurzenia, zapominał dawnego stanu, zwolna przyzwyczajał się do otaczających go osób i swojej niewoli, a oraz stawał się pojętniejszym i sposobniejszym do mającej nastąpić nauki. Głód znowu w tej nauce był jedynym środkiem, a sokół musiał sobie najmniejszy kęs chleba lub mięsa dobrym sprawowaniem zasługiwać. Nogi objęto mu w skórzane kajdany, a metalowa obrączka wokoło tychże nosiła napis, zawierający nazwę i godność właściciela. Wieszano mu dzwonek u szyi, by dosłyszeć, gdzie się znajduje, jeśli się za daleko zapędził na polowaniu, lubo najczęściej sznur długi, którego koniec spoczywał w ręku myśliwego, utrzymywał na wodzy lot i zapał sokoła. Częste niewczasy coraz bardziej dzikość jego poskramiać musiały, a jeśli jeszcze niekiedy uporczywym się okazywał, za karę go głową w zimną wodę wtrącano. Pierwotnie szczwano go na nieżywe lub wypchane ptactwo, a gdy już usposabiał się do tego, na prawdziwe brano go łowy. Wtedy myśliwy niósł na ręce swego sokoła, który kapturem miał zakryte oczy; gdy okazało się co z ptactwa, zdejmował kaptur i puszczał; sokół w jednym pędzie dościgał zdobycz i w ostrych szponach niósł ją złożyć u nóg swego pana".





Na zakończenie wypada jeszcze dodać, że przygody myśliwskie, podniecając wyobraźnię, były źródłem licznych anegdot łowieckich, w których jednak ta zbytnio rozbudzona fantazja bujała nieraz, z drogi prawdy na manowce kłamstwa schodząc. Kłamstwo to, niewinne zresztą, było zjawiskiem tak powszechnym, że mu się nie dziwiono zgoła. Najbardziej znanym z tych fantastycznych opowieści był książę Radziwiłł Panie kochanku, którego anegdoty myśliwskie, mniej lub więcej nieprawdopodobne, krążyły po całej Polsce. *M. D.*

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE

Kto idzie na niedźwiedzia, gotuj łóżko, kto na dzika — mary.

Rusznica, jako chleb, zawsze się przygodzi.

Koń swawolny, broń tępa, rusznica niepewna do potrzeby niedobre są.

Koń wymorzony w drogę, chart odkarmiony w pole, mieszek czysty do targu — wszyscy niewiele sprawią.

Włóczy się za nim państwo, by za sarną ogon.

Wysilił się w rozum, by sarna w ogon.

Z szwagrem na zająca, z bratem na niedźwiedzia.

Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku.

Na zająca z rarogiem, na sarny z sieciami, na kuropatwy z jastrząbkiem — najpewniejszy łów.

K. W. Wójcicki
(Stare gawędy i obrazy. Łowiec.)

PIEŚŃ MYŚLIWSKA

Otóż ponowa, zawołaj myśliwych,
Boć to jest dla nas ten dzień szczęśliwych,
Niech sforują pieski nasze.
Pojedziemy na objaszę [1] .

Idźże ty, chłopcze, puszczaj ze sfory
Psy, a zaciągaj z dala do góry ;

---

[1]) Na objechanie kniei.

Ja tu będę stał na tropie,
A dojeżdżaj dobrze, chłopie.

Słuchaj — podobno Iska tam stawa,
Wisła trafia, Hałas poprawia;
Ktoś tam strzelił rycht do capa,
To go pewnie zaraz złapa...

Otrąbcie na psy, i daj odprawę [1]).
Ależeć słychać truskot [2]) i wrzawę!
Huku, puku, pilnie bieży,
I strzelłem, i już leży.

Trąb podjezdnego, niechaj się schodzą,
Niechaj daremnie śniegu nie brodzą.
Jaki taki do flaszeczki:
Dul, dul, dul, dul, gorzałeczki.

Żegota Pauli
(Pieśni ludu polskiego w Galicji)

POLOWANIE NA WILKI

Na drugi dzień po Matce Boskiej Gromnicznej zjechało się osim-stu myśliwych z sąsiedztwa. Sanie były urządzone z ławami, na któ-ch siedzieć wygodnie mogli; z tyłu siedzenie bezpieczne dla strzelca, ry gniótł prosię, ażeby kwikiem swoim przywabiało wilki. Tymczasem długim sznurze przywiązana wiązka grochowin zwodziła łakome ierzę, jakoby sama była łakomym kąskiem...

Do zaprzężonych czterema chyżymi końmi sań zasiedli. Każdy, rócz dubeltówki, opatrzony był w parę pistoletów; kilka sztuk broni bitej na zapas, za poradą starego strzelca, wzięto na sanie...

Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu, gniecionego kutymi i żkimi saniami, i kwik przerywany prosięcia ogłaszały przejazd tej ojnej, radosnej czeredy...

[1]) Odprawa — pokarm dla psów.
[2]) Truskot — szmer, trzask.

Im bliżej dojeżdżali lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa... Stary strzelec i doświadczony opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły. Treścią ich była śmierć odważnych myśliwych, którzy z podobnym jak oni wybrali się wabikiem na wilki.

— Będzie temu — mówił — lat z dziesięć. Podobnie jak teraz, wybraliśmy się na wilki. Pięć dzielnych zaprzężono koni. Wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały ćmy wilków nienaliczone, bez wystrzału nawet ledwie uciekliśmy!

— Tchórzu — zawołał Czesław, stojący blisko starego strzelca — we dwudziestu i obawiać się jeszcze!...

Strzelec nagniótł silnie prosiaka, który zakwiczał przeciągle; wtedy odrzekł:

— Zła wróżba, mój panie. Prosię długim głosem zakwiczało.

— I cóż z tego? — zapytało kilku z myśliwych...

— Bo tak było — mówił dalej stary strzelec — kiedy szesnastu łowców wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem!

Na te słowa czy wiatr zimniejszy powiał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mróz przeszył...

— Jakże to było? — zapytało wielu razem. Strzelec nie odrzekł słowa, podniósł się z ławy, spojrzał wokoło. Śnieg drobny a gęsty nie dozwalał dojrzeć daleko. Nagle odwrócił się. Jakby odpowiadając na pytanie: — Jak było, tak będzie — rzekł ponuro i wskazał palcem. Wśród śnieżnej zawiei z początku nic myśliwi dojrzeć nie mogli.

— Co ci się przewidziało, stary? Ot, śnieg na polu roztajał, to czerni się ziemia! — zawołał Czesław, wpatrujący się pilnie.

— Widzicie to pole! — mówił z cicha strzelec — to nie pole, jeno taka ćma wilków, stado, jak pole długie i szerokie. Już nas zwietrzyły. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy!

— Strzelać! — odezwali się niektórzy. — Przecież tyle ludzi i broni!

— Cicho! — zawołał strzelec z gniewem. — Usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. „Strzelać, strzelać!" wołacie, a cóż będzie z tego? Zabijesz pięciu albo dwudziestu, a sto rzuci się i pożre!

Wszyscy na groźne starego strzelca słowa posiadali na ławach. Konie jakby poczuły niebezpieczeństwo, w chyżym biegu ledwie dotykały ziemi.

— Jeśli dostaniemy się prędzej na otwarty gościniec, ocalejemy zdro-
o! Rachujcie teraz, panowie, wilki, co to się wam strzelać zachciało!
Czesław spojrzał. Co zdawało się, wśród zamieci śnieżnej, kawałem
ola, była to gromada burych wilków. Szły w gęstej masie. Kilka tylko
ybiegło naprzód. Przy zmroku coraz większym błyskały ogniem oczy
adłych i zgłodniałych zwierząt...
Strzelec nagle odwrócił głowę... Widać było na jego twarzy bladość,
ra zsiniały... Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił
razu. Uniósł się z ławy, a widząc, że już blisko szeroka droga, do
i prowadząca, wysadzana lipami, których jeno suche, nagie konary
erczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię i z zamachem
eko wyrzucił z sanek...
Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się, porwała zdobycz...
yskoczyło więcej wilków, ale śnieżyca nie dozwalała rozpoznać, jak się
ieliły tak drobnym dla nich łupem. Wszyscy przeziębli od mrozu i
atru, które powiększał postrach... i wlepili oczy w twarz starego
zelca, chcąc w niej wyczytać ocalenie lub zgubę.
Woźnica rzekł z cicha: — Już widać we wsi dzwonnicę!
Strzelec wtedy wstał na nogi, obejrzał dubeltówkę: — No, pano-
e, jeszcze dla nas nie wybiła ostatnia godzina, lecz trzymajcie się moc-
, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilków... A
az, Macieju, co koń wyskoczy!...
Trzymając się mocno na saniach, odwiódł zamki od dubeltówki i
wołał: — Panowie, który może, do mnie się niechaj obróci, i ognia
em!
Zadrżała ziemia od huku strzałów. Po nich usłyszano głuche wycie
lków. — Ognia znowu! — krzyknął strzelec, i tak raz po raz rozle-
ły się strzały, których echem było okropne wycie...
Już blisko byli opłotków, a stado goniące wilków ani się na chwilę
zatrzymało. Psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór,
ugie skryte po izbach, żałośnie wyły. Zuchwalsze, które się przed do-
m pokazały, w oczach myśliwych rozszarpane zostały bez znaku. Le-
ły sanie przez wieś, grzmiące wystrzałami.
Janusz ze swą małżonką, siedząc przed ciepłym kominem, co przed
wilą brali za poświst burzy, teraz rozpoznali, że to strzały. Sędziwa
wiasta poczęła płakać, Janusz porwał za strzelbę i z domownikami
biegł na ganek.

Sanie na dziedzińcu już są z myśliwymi. Wszyscy wyskakują z nich co żywo, wpadając na ganek, biegną do domu... Zatarasowano podwoje, stado wściekłych wilków napełniło dziedziniec. Maciej woźnica, tyle przytomny, obciął koniom postronki, a te w stajni znalazły ochronę. Sam po drabinie wdrapał się na dach dworski. Ogromne brytany i kundle, wyżły, gończe, charty, przeszło dwadzieścia psów w jednej chwili rozszarpały wilki. Strzelcy i domownicy, rozstawiwszy się w oknach, ciągłym je ogniem razili...

. . . .

Znowu wrócił spokój do tego domostwa, naniecono duży ogień na kominie... Janusz kazał podać wieczerzę...

Uderzyła godzina spoczynku. Na sianie strudzeni myśliwi spali jak po łaźni. Równo ze świtem już zerwał się Janusz. Mało nie płakał po stracie tylu psów ulubionych, lecz wkrótce pocieszył się widokiem tylu zabitych wilków. Długą miał naradę z kucharzem, po czym dał staremu strzelcowi trąbkę myśliwską, bogato oprawną, a czterem domownikom rogowe, i ustawił ich w sieni.

Myśliwcy już wstali; obniesiono wódkę i Janusz zaprosił wszystkich do zastawionego śniadania.

Na pierwsze danie przyniesiono ogromną pieczeń z cebulą i gdy zaczęli ją kosztować, zagrzmiały w sieni trąbki myśliwskie, a Janusz rzucił na stół ogon wilczy, na znak, że to była wilcza pieczeń.

Na pamiątkę zaś, że Czesław jedynak szczęśliwie uszedł z tak groźnych łowów, zębami z dwudziestu wilków kazał rząd ozdobić na konie i podarował go synowi w dzień jego imienin.

K. W. Wójcicki
(Stare gawędy i obrazy.)

W PUSZCZY PRZED WIEKAMI

Biegli leśnicy poczęli pod wodzą wielkiego łowczego rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń ułatwiającą strzały z kusz i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za którymi taili się borowi, „nawrotnicy", których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom, lub jeśli nie dając się spłoszyć, zaplątywał się w sieciach, dobijać go oszcze

ımi. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak ,aną otokę, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębi leśnych na ılanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by ,ierz, który zdoła przedrzeć się przez ich szereg, został nią powstrzy- ny i w jej skrętach dobity.

Książę stanął w pośrodku szeregu w lekkim zagłębieniu, które biegło ez całą szerokość polany. Główny łowczy, Mrokota z Mocarzewa, wy- ł mu to stanowisko, wiedząc, że tym właśnie wgłębieniem będzie po- kał przed otoką najgrubszy zwierz z puszczy. Sam książę miał w ręku szę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco tyłu trzymali się dwaj „brońcy", z toporami na ramionach, ogromni, do leśnych podobni, którzy, prócz toporów, mieli jeszcze gotowe napięte ısze dla podania księciu w razie potrzeby...

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpie- ie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuły [1]) po czym nastała cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w erzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki.

Myśliwi wytężyli oczy na białą, pustą przestrzeń, na której wiatr po- szał oszronionym sitowiem i bezlistnymi krzami wikliny. Każdy czekał niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu — w ogóle wróżono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiła się od żub- w, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi, óre zbudzone w ten sposób, chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, myślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen mowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak eka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, któ- zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich uszczony widocznie za wcześnie albo też włóczący się luzem za chło- mi, ukazał się na polanie, i, przebiegłszy ją całą z nosem ku ziemi, zeszedł między myśliwcami!

I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle jak ucy, dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie. Jakoż

[1]) Krzywuła — krzywa trąba wojenna.

po upływie kilku pacierzy, na skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zwietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei poczęły biec długim, czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne z dala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyma, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymał się, słuchał, wietrzył, zawracał i znów słuchał: wyboczył się ku sieciom i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów, i póki pierwsza krew nie splamiła bladej, śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się okrzyk, i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły na oślep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiła się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nie tylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszcz jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie — gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w nim zamieszanie — dziwili się niepomału tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnej i dwórkach, jak żuraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić począł on już był nudzić się, marznąc w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane ze sobą, wichrzące po polanie, oślepione trwogą i szukające na próżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dwórki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapał myśliwski...

Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem, najciekawsza a zara-

tem najbardziej niebezpieczna ich chwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustać kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie oślepłe z trwogi, raczej groźne, niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą — ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady, ze łbami nisko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk, do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przednimi nogami, zdawały się upatrywać spod grzyw krwawymi oczyma ukrytego nieprzyjaciela. Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzały rogi i piszczałki; zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmiderem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice, mające przy sobie młode. Idące dotąd zwolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, po czym, ujrzawszy o kilkadziesiąt kroków pomiędzy drzewami konie, zatrzymał się, i hucząc, począł orać rogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: „Księżna! Księżna! ratujcie panią!" Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych zginąć w obronie córki Kiejstuta — a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot, i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie. Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się jak burza, wprost na panią, lecz nagle, z niemniejszym pędem, wypadł spomiędzy drzew mężny de Lorche i pochylony na koniu, z kopią wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopię, utkwioną w karku

byka, która wnet wygięła się jak pałąk i prysła w drobne złamki, za czym olbrzymi, rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche, i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, i rumak i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sypnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza. Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżnej i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w ręku, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. „Zginął! zginął!" — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już nadbiegali dwaj potężni „brońcy", byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich darowany przez Jagienkę Zbyszkowi Czech, Hlawa. Ten dopadł przed nimi, i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął, jak gromem rażony, z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym, lecz padając, przygniótł Zbyszka. Obaj „brońcy" odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia, zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzika.

On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale zachwiał się, upadł na kolana... Po czym wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę.

H. Sienkiewicz

(Krzyżacy.)

POLOWANIE NA DZIKA

Zimowy las milczał jak zaklęty, drzewa w swych śnieżnych futrach spały wspaniale. Jeżeli gdzie osunął się szmat śniegu i rozproszony przez niższe gałęzie, spadał srebrnymi puchami, to było raczej oznaką zbliżającej się odwilży, niż jakiegokolwiek ruchu w lesie...

Odezwał się z daleka sygnał trąbki — odpowiedział drugi, znacząc skrajne posterunki ruszającej na myśliwych naganki. I bardzo słaby jeszcze, ale szeroki i radosny doleciał okrzyk idącego tłumu.

Michał chwycił sztuciec, odwiódł kurki i, przyglądając się własnym rękom, stwierdził, że drżą. Wysiłkiem rozumowania doprowadził się do spokoju. Stojąc nieruchomie jak pień, oczyma tylko lustrował, jak mógł najgłębiej, zwikłane przepaście leśne.

Od czasu do czasu grał sygnał z daleka to na prawo, to na lewo... Ale naraz zadzwoniło hasło gwałtowne, grane na wielu trąbach w różnych miejscach, fałszywe od wzruszenia i pośpiechu — jednocześnie wybuchł spośród naganki wrzask niby zgrozy i trwogi. Tam już zobaczono dziki.

Nie działo się jeszcze nic w promieniu widoku Michała. Tylko śnieg, zakołysany wrzawą, oderwał się tu i ówdzie od drzew i chlapnął miękko na ziemię, tylko parę sójek zbudzonych żerwało się, wrzeszcząc i sypiąc białe strumienie z miejsc swego odlotu.

Aliści ta pewność, że w pobliżu są dziki, napełniła bór drżącym niepokojem. — Coś dudni? — Nie, to chyba naganka się zbliża. Dudni coraz wyraźniej, trzeszczą chrusty — i znowu przycichło, a nawet okrzyk naganki, choć bliższy, nie tak już namiętny... Teraz idą niewątpliwie, słychać, jak łamie się przez gąszcz stado — w powietrzu rozszedł się lekki swąd chlewni i załaskotał nozdrza Michała jak edeński jakiś zapach. Gdyby tędy! gdyby w tę rzadszą zatokę! Każdy nerw, każdy muskuł młodego strzelca prężył się i pożądał.

Idą! idą — ale gdzie? — Śmigają na lewo, jeden, dwa, trzy... jeszcze parę... zaledwie plamy ciemne, szybko przesuwające się poza tą nienawistną przędzą gąszczu i śniegu — cienie, mrzonki już, wspomnienia. I prawdopodobnie zdobycz dla innych!... Gdy tak zżymał się Michał, usłyszał na prawo przed sobą skrzypienie śniegu, jakby kto w ciężkich butach zbliżał się kłusem. Już pewno strzelec z naganki nadchodzi! Dość obojętnie zwrócił się w tamtą stronę i naraz osłupiał.

Ogromny odyniec wynurzył się z gąszczu i w chwili gdy go ujrzał Michał, stanął przed nim ryjem wprost o jakie czterdzieści kroków. Mgnienie było wzajemnego namysłu strzelca i zwierza.

— Strzelić go w ryj? Nie podobna! — uprzytomnił sobie Michał.

— Wróg! śmierć! — charknął rozgłośnie potwór, i będąc już blisko linii, runął przez nią w najbliższe chaszcze za ostęp.

Ale Rajecki trzymał go już pod wymierzoną lufą, przeprowadził przez linię i w chwili gdy odyniec zasuwał się w krzak, strzelił. Poczuł, jak mocna kula z biczowym trzaskiem wywinęła się z gwintów, usłyszał, jak palnęła w śmigające cielsko niby w bęben, i jedno mgnienie czekał, bez oddechu. Dzik migał jeszcze przez krzaki ze dwadzieścia kroków gładko i ciężko jak ciągnięta mechanicznie czarna kłoda. W chwili gdy Michał chciał pociągnąć za drugi cyngiel, odyniec powalił się o ziemię, aż stęknęła.

Strzelec przykucnął, potem wspiął się na palce, wychylał na boki, aby poprzez opadający dym i zwikłane zarośla pożreć oczyma swą zdobycz. Pamiętał jednak, że ze stanowiska zejść mu nie wolno przed dojściem naganki... Czekał niedługo, bo już naganka ciekawie dochodziła; dwaj strzelcy mundurowi, dążąc po ogromnym tropie, zmiarkowali już po głosie strzału, że dzik dostał, zobaczyli go teraz leżącego i, winszując Michałowi, podnieśli trąbki do ust. Zadzwoniła triumfalna fanfara: śmierć dzika!

Spiesznie schodzili się na ten odgłos myśliwi, przewidując niezwykły wynik. Ze stada odstrzelono dwa warchlaki, ale mało kto na nie patrzał. Tutaj, gdzie grają trąby, musi być dopiero coś do obejrzenia.

Kilku myśliwych zebrało się wnet na stanowisku Rajeckiego, który starał się opanować gotującą się w nim dumną radość i spokojnie udzielać objaśnień. Patrzono mu w oczy z zazdrością i z uszanowaniem...

Z innej strony przybywał książe Jerzy...

Dzik leżał na miejscu, gdzie padł otoczony wiankiem chłopów z naganki, trzymających się jednak opodal od powalonego potwora. Myśliwi i służba łowiecka ruszyli teraz do niego.

— Niech książe pan uważa: dzik żywy — rusza zadnią nogą! — ostrzegł łowczy.

Przystanęło całe towarzystwo, naganka odstąpiła jeszcze dalej w niejakim popłochu. Łowczy zaś zawołał jednego z umundurowanych strzelców:

— Hej, Koper, dobądź no kozika i uspokój tego jegomościa!

Więc Koper obnażył długi kordelas i skulony drapieżnie ruszył ku

dzikowi. Ale zanim doszedł, odskoczył. Nieruchoma kłoda ożywiła się niepojętym ruchem. Jakby zbudzony piorunem, dzik odbił się od ziemi z szaloną sprężystością i stanął ogromny, najeżony na karku, mierząc ryjem w zwartą kupę myśliwych, głośno kłapiąc i furkając paszczęką, z której błyskały ogromne kły zakrzywione.

Z wrzaskiem rozbiegła się naganka; wielu powłaziło na drzewa. Tylko myśliwi skamienieli na miejscu, chociaż rozbrojeni i niegotowi do strzału. Ta ich postawa zdecydowała dzika, że nie natarł na nich. Sztywnym ruchem cielska zwrócił się w inną stronę, gdzie mu drogi nie zastępowano, i przezorny, choć wściekły, runął między drzewa, trafił na sanie zajeżdżające... spłoszył konie i dostał się do gąszczu, przez który sunął zdrowo i silnie, aż zniknął. Padło za nim parę strzałów bezskutecznie.

Dopiero myśliwi, ochłonąwszy, zaczęli rozważać niepospolity wypadek... Śmiano się nerwowo, ale i biadano. Trzeba przecie posłać w trop za taką sztuką. — Jest ciężko ranny, skoro leżał bez ruchu. Jak to długo on leżał? Pewno kwadrans albo i więcej. — Ostatecznie źle strzelony.

Nazajutrz osacznik przywiózł do pałacu dzika postrzelonego przez Michała. Dzik szedł jeszcze kilka wiorst, kosztował dużo fatygi i parę strzałów. Odyniec tęgi, ważył przeszło pięćset funtów.

J. Weyssenhoff
(Soból i panna.)

NAPAD DZIKÓW NA WIEŚ W GÓRACH

Śnieg był tak wielki upadł, że dziki nie mogły się dostać do żeru w lesie, więc zgłodniałe spuściły się wielkim stadem do wsi. Słychać było zrazu straszliwe ujadanie psów, które w miarę tego cichło, jak się dziki zbliżały. Bo dziki wycięły wszystkie psy po drodze, nie tylko psy, ale i trzodę chlewną, bo gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w oka mgnieniu i pożarły trzodę. O obronie nie można ου było myśleć. Jeden odgłos dzwonów zdawał się na chwilę zatrzymywać stado naprzeciwko dworu. Rzeczywiście zwróciły się dziki przed obejściem dworskim w bok, przeszły rzekę, a gdy z plebanii był już do rzeki ślad przetorowany, wpadły na dziedziniec plebanii całym stadem tym szlakiem i obległy w dziedzińcu, znalazłszy tu w kopcach

przeszło dwieście korcy ziemniaków. Kopce te znikły w jednym mgnieniu oka. Ludzie w plebanii uciekli na strychy i dachy. Przez cały dzień rozlegały się głosy wołające ratunku, a dziki, rozłożywszy się po nawozach i gumnie, leżały sobie spokojnie w barłogu. We dworze miałem tylko dwie dubeltówki, ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych oddzieliły śniegi ode wsi, i zresztą nie miałem żadnego wyobrażenia o tym, jakby w myśliwski sposób można zaradzić w takim razie.

Sołtys powiedział mi, że jeżeli kilka kóp okłotów [1]) dam na to, to może się uda odpędzić nocą dziki ode wsi. — Ale mądrze trzeba się, panie, wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest przeszło trzy tysiące korcy w gumnie, a jak niemądrze ruszymy dziki, to się do nas spuszczą i zjedzą ziemniaki, i gorzelnia stanie, i niedołożone woły pognamy na targ!

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym pomyślał nawet o tym, że to był właściwie najazd dzików na ziemniaki, w których już na późnej jesieni wielkie robiły szkody.

— Z plebanii nie trudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy ruszą, ale cała sztuka, żeby dziki odwrócić na działy, a nie dopuścić tej najezdni na powrót do wsi. Wypada tedy tak zrobić, że ja z gromadą zastąpię im od dworu i rzeki i oprzem się aż o dzwonnicę, a pan z innymi ludźmi ruszysz dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze, a oto toporniki już idą, to złagodzim tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielowe w piramidy ułożone: rozebraliśmy jedną, a wybierając co najtęższe i najgładsze tyki, przyrządzali je naprędce topornicy.

W kierunku przez sołtysa oznaczonym, od dworskich ogrodów w poprzek rzeki ku dzwonnicy wyrobiono szlak wołami, wszakże w sposób takowy, że się z żadnym innym szlakiem nie łączył. Na tym szlaku co kroków osim albo dziesięć kazał sołtys przygotować po dwa okłoty, a oprócz tego kilka kóp mierzwiastej słomy przed szlakiem. Na tej robocie upłynął prawie cały dzień. Kilka kagańców podróżnych było we dworze, więc robiono przez cały dzień gałki żywiczne, ale nie tylko

[1]) Okłoty — wiązki wymłóconej słomy.

gałki, bo krajano nawet stare wory, maczano je w żywicy i przywiązywano jak chorągiewki na końcu tyk.

Pod wieczór zeszła się prawie cała gromada do dworu. Z najtęższymi chłopami stanął sołtys na szlaku od granicy obejścia dworskiego ku dzwonnicy. Chłopcy obsiedli dachy, a gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy wszystkie dworskie konie pod ludzi, tyki ze smolnymi wiciami i ruszyliśmy ku rzece. Plebania leżała nad rzeką na wysokim zabrzeżu, i droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę, pomiędzy dwoma budynkami. Podjechawszy tedy, nie byliśmy widziani od dzików. Jeden z górali, który miał w szmacie ogień ukryty, podniósł go teraz nieco w górę. Trzymaliśmy wszystkie nasze smolne tyki w kupie i płomień buchnął od razu okazale w górę.

Wąwóz był przez dziki dobrze utarty, ruszyliśmy tedy cwałem i z wielkim hałasem w górę, z płonącymi chorągiewkami, i zajęliśmy ów ciasny oszyjek pomiędzy dwoma budynkami w samej bramie.

Zrazu porwały się dziki bardzo strwożone z barłogu. Tu padły tedy cztery strzały silne, lecz te strzały nie odstraszyły tyle dzików, ile dzwonienie w żelaza od pługów. Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku obejścia, i była groźna chwila, bo duże samury wybijały się na czoło, i zdało się, że pójdą na ogień przebojem. Lecz tu padło nowych cztery strzały, i dwa rozpalone kagańce rzucono na stado. Wówczas poczęły się fukać i pryskać, samury rzuciły się w bok, wywaliły kilka płotów i ryły się w śniegach, wyszedłszy w pole.

Wyłom ten nie był szeroki: przelecieliśmy przez dziedziniec i stanęliśmy na tym wyłomie, zakładając teraz palące się okłoty na tyki, których każdy miał dwa na koniu przy sobie. Stado dzików przesuwało się powoli, stawało co chwila i obracało się na powrót do ognia. Rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie na szlak. Dziki, nałożywszy nieco drogi, polem zwróciły się ku dzwonnicy, chcąc się spuścić na powrót do wsi, ale w mgnieniu oka, na znak dany przez sołtysa, rozgorzały na tykach okłoty, a na kupach słoma mierzwiasta, i uderzono we dzwony. Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi niepokój i mozołę pięciu dni osłodził! Dziki, widząc, że się do wsi dostać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły na graniczny dział w sąsiednie lasy.

W. Pol

(Obrazy z życia i natury.)

ZIMOWA ZAMIEĆ W GÓRACH

Przed północą zerwała się straszna burza, która śniegiem miotła. Był to pierwszy rok zamieszkania mego w górach. Nieoswojony z tego rodzaju burzami rozumiałem, że drewniany dom od węgła zabierze, tak straszliwie trzeszczał dach i strzelało po węgłach. Już z wieczora słyszałem, że wartownik od strony wiatru pozamykał okiennice, ale nie domyślałem się wówczas, że na bardzo długo zostaną zamknięte.

Psy zaczęły wyć straszliwie, tuląc się do domu.

W stajni wołowej, która była za rzeką, poczęło ryczeć bydło, choć woły stały w murowanej, ciepłej i dobrze zamkniętej stajni. Straszliwa była to noc! Ubrałem się na powrót, zaświeciłem światło i zalałem kłodę na kominie, bo kiedy wiatr nagle w komin uderzył, miotło jarzącymi węglami i iskrami po całym pokoju. Niepewny, co by począć, posłyszałem jakiś ruch we dworze, więc poszedłem do piekarni. I tu wygaszono ognie i świecono tylko łuczywem. Całą drużynę dworską, wszystkich parobków i dziewki skupiła tu trwoga. Na środku kuchni stała kadź, pełna wody, a całe pół kuchni założono drzewem i łomem, tak że ledwo małe przejście do drzwi spiżarni pozostało, chociaż do wody i do drwalni nie było jak kilkanaście kroków od dworu. Stara mielniczka, przybywszy z pobliskiego młyna, wydała taką dyspozycję i powitała mnie wesoło gdym wstąpił do kuchni.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— Na świecie fujawica![1] — rzekła mi młynarka — to może jaki tydzień wypadnie posiedzieć w domu, to kazałam czeladzi nanieść wody i drzewa i zabrać drób do piekarni.

Zrozumiałem i po tej mowie, i po osępieniu ludzi, że coś niedobrego idzie. Młynarka prosiła, aby ludziom dać poczesne[2]), bo juściż noc wypadnie przeczuwać i przesiedzieć razem. Gdy częstowała ludzi, otworzyły się drzwi do kuchni, i najprzód wszedł kowal, a za nim dwóch górali, i każdy z nich zadyszany niósł wór węgla na plecach, i rzucił go teraz na ziemię.

— Mądryś jest, kowalu, i dostaniesz za to wódki — rzekła stara młynarka.

---

[1]) Zadymka.

[2]) Poczesne — podarek, poczęstunek.

— Babą [1]) — odpowie mi — trzeba pozatykać kominy, więc tylko przy węglu będzie można gotować.

Burza wzmagała się tymczasem coraz więcej. Uderzenia orkanu były tak gwałtowne, powtarzające się co kilka minut, że się ludzie z miejsc podrywali, przymknięto wszystkie okiennice z niemałą trudnością, czego nie robiono nigdy. Zrozumiałem, że trzeba z ludźmi razem noc przeczuwać: jakoż dodawała stara młynarka ducha, kazała jasno zaświecić łuczywo, rozdała kądziel między dziewki, napędziła chłopców do robienia siatki, zasadziła parobków około wielkiego kloca, aby z suchej buczyny szczypki robili, kazała mi z pokoju przynieść krzesło i usadowiwszy wszystkich, opowiadała, jakie to kurniawy nieraz za jej życia były i jak cudownie nieraz Pan Bóg wybawiał ludzi z tej przygody.

Tak przesiedzieliśmy długą noc zimową. Gdy się dzień zrobił, począł mądry Bryś dobijać się do drzwi od kuchni. Uchylono drzwi, a za nim razem wpadła część zaspy, co na drzwiach leżała, do izby, i wleciało kilka wróbli zziębłych, które się z trwogi i zimna tuliły pod strzechę. Bryś był cały śniegiem i lodem obmarznięty i oczy mu się tylko świeciły. Skomlał i jęczał z cicha, choć był bardzo silny i wytrwały. Młynarka, litując się nad nim, zagrzała mu słodkiego mleka na węglach, które się w wielkim saganie żelaznym jarzyły przed piekarskim piecem, parobcy wytarli go słomą, obrywając sople lodu z ogromnych kudłów, a dziewczęta rozgrzewały w rękach biedne wróble, które się nie bały i nie broniły, widząc, że nikt im krzywdy robić nie chce, ale jadły z ręki i szczególniej piły chciwie wodę, a ogrzawszy się, furkotały wesoło po izbie.

Gdy się dzień zrobił, nie ustawała burza. Drzew, które na kilka kroków przed domem rosły, widać nie było, tak kręciło śniegiem i niosło zamiecią a cała połowa domu stała już pod zaspą, która powyżej dachu sięgała. Przed oknami siadały wrony i trznadle przypadały na przyspę. Przeszedłem do moich pokoi, ale tu była noc zupełna. Zaspy okryły całe ściany domu i ani promyk światła nie wchodził przez okiennice. Zamieć zabiła cały komin śniegiem tak twardo, że później go wyrąbać trzeba było, a strugi wody ze śniegu, który topniał, płynęły wzdłuż całych pokoi.

Trzy noce i dwa dni trwała ta burza, a kiedy ustała, nie można się było rozpoznać z obejściem ani z okolicą, tak bardzo pozmieniały ją

[1]) Baba — zakrycie komina, zabezpieczające podczas zadymki.

zaspy olbrzymie! Tu i ówdzie sterczało jakieś drzewo lub czernił się szczyt chaty. Wszystkie wąwozy, drogi i potoki były zawiane, a nawet na rzece nie dobywała się nigdzie woda. Wodospad na jazie tylko szumiał spod zaspy i ginął pod zaspą.

Jak burza ustała, prosiła stara młynarka, aby zapalić przed Matką Boską lampę i zmówić razem z ludźmi litanię na podziękowanie Panu Bogu, żeśmy cało z burzy wyszli.

W. Pol

(Obrazy i życia i natury.)

ŚWIĘTO M. B. GROMNICZNEJ

Święto oczyszczenia N. Panny nosi w Polsce nazwę Matki Boskiej Gromnicznej. Na dzień ten przysposabia się duże, ozdobnie ustrojone świece woskowe, dawniej robione po wsiach z własnego wosku, dziś po większej części kupowane. Świece te niesie się w dniu święta do kościoła i tam zostają one przez księdza podczas nabożeństwa poświęcone. Lud nasz widzi w nich ochronę od uderzenia piorunu, więc też pali się je podczas burzy. Według prastarego obyczaju polskiego zapala się też gromnicę przy konającym i daje mu się ją do ręki.

Z gromnicą w dłoni rozpoczynał niegdyś gospodarz w Polsce wszystkie obrzędy, związane z pracą około roli, a więc wypędzał bydło w pole, odkładał pierwszą skibę na wiosnę, pierwsze ziarno rzucał w ziemię. Z nią też otwierał on i zakończał żniwa.

Jeśli w dniu M. B. Gromnicznej mrozu nie ma, zapowiedź to późnej wiosny. Jeśli przeciwnie — mróz trzyma — to ciepła wiosenne nadejdą niedługo. Stąd też przysłowie:

Na Gromniczną Maryją
Niedźwiedź budę rozwali lub poprawi ja.

M. D.

MATKA BOSKA GROMNICZNA

Nie tylko ludzie, lecz wszystko, co żywie, w Maryi Panny zostaje opiece; Ona się światem troszczy dobrotliwie, muszką w powietrrzu, drobną rybką w rzece, ptaszyną małą z pisklęty drobnymi, nawet robakiem, co wypełza z ziemi na Zwiastowanie, gdy się zbudzi wiosna; bo Ona świata jest Matka litosna!

Dobytek ludzki ochrania od szkody i nawet wilki z żarłoczną paszczęką w zimowe noce od wiejskiej zagrody odgania sama opiekuńczą ręką.

Święty Mikołaj, co je w ryzach trzyma, gdy spadną śniegi i nadejdzie zima, ich dziką hordę na części rozbija, aby za jego wyłącznym nakazem na ludzkie dobro nie spadały razem: więc mają sobie działy wyznaczone i każdy idzie tylko w swoją stronę, gdzie mu wyznaczył Święty legowisko, od ludzi z dala, od siebie nie blisko.

A na Gromniczną, gdy się z kniei zwłóczą i jak rabusie po polach rozłażą, za łupem węszą, a złowrogo mruczą i między sobą na śniegu się swarzą, i głodnym zębem kłapią, i dokoła robią wyprawę na uśpione sioła, Panienka święta staje im na drodze z gromnicą w ręku, wśród tumanów śniegu i wilcze stada zatrzymuje w biegu.

I tak na straży cichej wioski stoi, więc napaść przed nią cofa się i boi, i nie śmie naprzód iść, gdy światło zoczy.

Gdy wystraszone stado się rozskoczy, to w jaką stronę cofnie się wilczysko, w tę już umykać musi przed gromnicą; zielone ślepia wściekłością mu świecą, ale łeb zwiesza i wyciąga szyję, jak pies skulony chyłkiem w śniegu brodzi i w ciemne lasy spłoszony uchodzi.

Gdy w noc miesięczną wilki w polach wyją, ludzie się ze snu budzą z wielkim strachem, i słychać szepty pod słomianym dachem:

W Twoją opiekę weźmij nas, Maryjo!

I znów zasypia z tą ufnością wioska, że w śniegach nad nią czuwa Matka Boska.

M. Gawalewicz
(Królowa Niebios.)

ZWYCZAJE ZAPUSTNE. POPIELEC

Zapusty, tj. czas karnawałowy, były w Polsce, tak samo jak i u innych narodów, dorocznym okresem bujnej, kipiącej wesołością zabawy. Wzmagała się ona jeszcze w ostatki, które zwano mięsopustem, szalonymi lub kusymi dniami albo też po prostu kusakami.

W dworach szlacheckich bawiono się na kuligach i szlichtadach. Urządzano też huczne zabawy taneczne, urozmaicone tzw. maszkarami, o których tak pisze Al. M a c i e j o w s k i :

„Z włoskiej ziemi nastał do nas zwyczaj przebierania się dla ro-

zrywki. Przekształciwszy się na sposób narodowy, uchodziła ta zabawa pod nazwiskiem maszkar, nie same tylko charakterystyczne maski, lecz najczęściej błazeństwa przedstawiając.

Kto chciał gości dobrze uraczyć, nie tylko im ucztę, ale i maskaradę wyprawić musiał. Radząc pan z panią, jaką dać biesiadę, radzili oraz o tym, kto się miał ubrać w maszkarę dla rozweselenia gości. Im dziwaczniej był ubrany maszkarnik, tym więcej bawił. Sto płatów różnych kolorów niejeden brał na siebie, albo błazna udawał z lutnią w ręku tańcując w towarzyskim kole, albo poważnie stąpał, staroświeckie, z dziejów wyjęte, naśladując osoby".

Lud wiejski uprawiał też i uprawia dziś jeszcze mnóstwo wesołych zapustnych obrzędów. Przebierano się z dawna, podobnie jak i na Boże Narodzenie, za Żydów, za Cyganów i za przeróżne zwierzęta, więc za kozę, niedźwiedzia, tura.

„Mięsopustnego tura dzieci się strachają" pisze A. M. Fredro w XVII w., a Wójcicki, w swych *Zarysach Domowych* tak nam opisuje owego tura czy też turońka.

„Dwóch parobków trzyma trzeciego na powrozie, przebranego za tura. Głowa, na to umyślnie z drzewa zrobiona, może się za pomocą rąk otwierać i zamykać; w paszczy język z czerwonego sukna, pod szczęką zaś gęsta, kosmata broda, a na niej dzwonek mały. Muzyka, złożona ze skrzypiec i basetli, przygrywa. Tur się wydziera, kłapie paszczęką i rozmaite płata figle".

W okolicach Częstochowy, chłopak, przebrany za niedźwiednika. zbiera datki w koszyk, śpiewając przy tym:

Jak ja ci doskoczę
Do komina z cicha!
Bo się tam gotuje
Kiełbasa i kicha.
Czy brać, czy nie brać,
Czy na drugich zaczekać?

Na Mazowszu, u Kurpiów, chodzi tzw. Zapust, czyli Konik, który we wtorek o północy wygania z karczmy wesołych biesiadników.

I Kraków i jego okolice słyną od wieków z bardzo ciekawych obrzędów zapustowych. O nich opowiada Anczyc w *Obrazach Krakowskich*. A więc chodzi od chaty do chaty, od domu do domu pięknie

ustrojony brodaty Zapust, w towarzystwie dwóch jeszcze, równie cudacznie ubranych postaci.

Jeden z towarzyszy Zapusta zaczyna od progu swą przemowę:

Z przechodu naszego
Wstępujemy do domostwa waszego,
Od mantuańskiego książęcia,
Od księcia Zapusta,
I pytamy, jestli u was
Kura tłusta,
Kawałeczek kiełbaski albo szklaneczka miodu,
Bo mu się brzuszek pokrzywił od głodu.

Po tej oracji wkracza do izby sam Zapust ze słowami:

Ja jestem Zapust, mantuańskie książę,
Idę z dalekiego kraju,
Gdzie psi ogonami szczekają,
Ludzie gadają łokciami,
A jedzą uszami.
Słońce o wschodzie zachodzi,
A kurczę kokosze rodzi.
Każdy na opak gada,
A deszcz z ziemi do nieba pada.

Ponieważ Zapustowi towarzyszy pachołek przebrany za osła, więc książę z Mantui tak go przedstawia gospodarzowi:

To jest uczony osioł, co mieszka w stodole;
Jest profesorem, uczy dzieci w szkole.

Cała zabawę kończy poczęstunek i śpiew przybyszów:

Zapust, Zapust, zapustowe dziecię,
Ucieszcie się chwilkę, bo go nie ujrzycie,
Bó go nie ujrzycie, aż na przyszły roczek,
Aże mu od żuru na nic schudnie boczek.

W Tłusty Czwartek urządzały przekupki krakowskie wesoły obchód „combra”, czyli huczną zabawę na Rynku. W dniu tym roił się on od tłumów, które przysłuchiwały się rade muzyce i chętny brały udział

w tańcach i pląsach, gdzie rej wodziły królujące przy straganach jejmoście.

Damom tym, poprzebieranym bardzo śmiesznie za strojne panie, z wiórami na głowie, naśladującymi loki, wszystko w dniu onym było wolno, a przodowała wśród nich jakaś nieznana bliżej „mądra Maryna", której wesołe śpiewki słynęły z dowcipu.

Rozochocone kumoszki nie przepuszczały nikomu. Jadących zmuszały do wychodzenia z powozów, pieszych zatrzymywały i kto im się datkiem nie wykupił, tego porywały w taniec, wołając głośno: „Comber! Comber!" Gloger opowiada, że niefortunną przygodę z podpitymi niewiastami miał poeta z czasów stanisławowskich, Jacek Przybylski. Skąpy on był i nie chciał się zdobyć na żaden datek. Więc też wesołe przekupki zmusiły go do przetańczenia z nimi paru ulic i dopiero na pół żywego ze zmęczenia puściły do domu. Kolberg opisuje istniejący na Mazowszu obyczaj zabijania lub palenia grajka. Obrzęd ten odbywa się w ostatni wtorek. Grajka wywożą w pole, tam jeden z uczestników zabawy wypuszcza kota, który uciekając, ma przedstawiać duszę niby to uśmierconego, w rzeczywistości tylko obsypanego popiołem muzykanta. Niekiedy wyrok spalenia ofiary wykonywują we Wstępną, tj. Popielcową Środę dziewczęta, które nie zdołały wyjść za mąż. One to, przez zemstę, nakładają na ramiona grajkowi więź słomy i podpalają ją. Oczywiście słoma jest tak nałożona, by ją bez niczyjej szkody łatwo można było otrząsnąć.

Ta Popielcowa Środa — to termin ostateczny dla dziewczyn, pragnących zamążpójścia. Która z nich nie zdołała przez czas zapustny zdobyć sobie męża, ta go już przez cały wielki post nie dostanie. Nie dziw też, że dziewczyny na Mazowszu tak śpiewają:

Już mięsopust schodzi.
Już schyla się z brzega,
Już mi tego roku
Kawalera trzeba.
Mięsopustu tego,
Jeśli się nie wydam

To ja będę patrzeć
Sposobu innego.
Albo go otruję,
Albo oczaruję,
Takem się zawzięła,
Że mu nie daruję.

Nieszczęśliwa zaś dziewoja, której się zamążpójście nie udało, musi wysłuchiwać innej śpiewki:

Już to koniec tego mięsopustu,
Bierze matka córkę, prowadzi do chrustu:
— Siedźże mi tu teraz, mój miły boboku,
Nie wydałaś mi się jeszcze tego roku,
Siedźcie mi tu teraz, moje piękne oczy,
Czy was kto nie weźmie choć po Wielkiejnocy.

W czasie zapust, a szczególnie w mięsopusty nie żałowano sobie jadła ni napitku. Każdy sadził się na wykwintne, suto omaszczone potrawy, a zajadając i zapijając, wyśpiewywał:

Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą państwo kapusty,
Wolą sarny, jelenie,
I żubrowe pieczenie.
Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panie kapusty,
Pięknie za stołem siędą,
Kuropatwy jeść będą.

A kuropatwy zjadłszy,
Do taneczka powstawszy,
Po tańcu z małmazyją
I tak sobie podpiją.
Mięsopusty, zapusty,
Nie chcą panny kapusty,
Wolałyby zwierzynę,
Niźli prostą jarzynę...

Z nadejściem postu ustawało oczywiście panowanie tych przysmaków. Więc też przed Środą Popielcową śpiewano:

Któż się to tam na przypiecku krząta:
Wstępna Środa żurowi uprząta,
Wstępna Środa następuje,
Pani matka żur gotuje,
A pan ojciec siedzi w dziurze:
— A witajże, mości żurze!
Wiwat, wiwat, wiwat.

Po tej zaś przemowie taka szła piosenka:

A jakże się miewasz,
Mój panie Żurowski,
Będzie cię zajadał
I sam pan Krakowski.
A sprawię ja tobie,
Mój panie Żurowski,

Zieloną kapotę,
Czerwone pończoszki.
Będziesz miał, Żurowski,
Cały post robotę,
Stanieć tej roboty
Do Wielkiej Soboty.

Wesołe zaś niewiasty wiejskie, zebrane w karczmie w ostatni wtorek lub we Środę Popielcową rano, przy postnym poczęstunku, tak śpiewają, dzieląc się na dwa obozy: gospodyń i komornic:

GOSPODYNIE

Jedzie Zapust na koniu. Wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą jeść w poście.

KOMORNICE

Stoi beczka śledzi,
Niech każda je, w domu siedzi.

GOSPODYNIE

Jedzie Zapust na koniu, wywija po moście,
Frasują się komornice, co będą jeść w poście.

KOMORNICE

Stoi beczka piwa,
Niech każda pije, póki żywa.

GOSPODYNIE

Jedzie Zapust na wozie,
Ciągnie mięso na powrozie,
I przyjechał k'nam, k'nam.

KOMORNICE

Krzyknął: — Chude gąski mam!
Wypuszczę je na murawkę,
Niech zieloną szczypią trawkę.
A tu zima — trawy nie ma.
Gąski pozdychały,
Gosposie się oblizały.

Bo też Popielec, to święto wiejskich gospodyń. W dniu tym zbierają się one, jak już zaznaczono powyżej, w karczmie na poczęstunek. Niekiedy przychodzą tam z workami pełnymi popiołu i przy piekielnym hałasie patelni, w które biją drewnianymi patykami, obsypują tym popiołem każdego przybysza, który im się musi wykupić.

W okolicach Częstochowy starsze mężatki, przebrawszy się za mężczyzn, porywają młode niewiasty, wydane za mąż w karnawale, i wiozą do karczmy na taczkach. Wśród śmiechów mężowie muszą wykupić porwane żony. Wtedy też odbywają wesołe tany, przy których

odskakuje się wysoko, aby len i konopie też wysoko w ciągu lata wyrosły. Owo skakanie „na len” wiejskich kobiet ustaje po sumie. Głowy, osypane popiołem, trzeźwieją.

Jako ostatnie echo karnawałowej swawoli — istniał zwyczaj wieszania przez całą Środę Popielcową po kryjomu, cichaczem, klocków drzewa lub innych jakich drobiazgów tym osobom, które w zapusty nie weszły w śluby małżeńskie. Szczególnie Warszawa uprawiała i aż po dni dzisiejsze uprawia tę swawolę, o której zabawne wzmianki przekazał nam Kurier Codzienny z 1869 r.

„Wczoraj, jako w Środę Popielcową, przypinano z tyłu klocki drzewa. Oprócz klocków także tu i ówdzie kacze lub indycze nogi albo z jaj skorupy. Dostaliśmy dwa autentyki wierszowe, dotyczące obdarowanych klockami. Przytaczamy obydwa. Jeden ze starzejących się kawalerów przez posłańca otrzymał, jako klocek, fujarkę drewnianą na haczyku i wiersz:

Panie Antoni, karnawał skończony.
Wstępna Środa, Popielec, a ty nie masz żony.
Za to więc, żeś ciemięga i kawaler stary,
Dźwigajże dziś fujarę i bądź z nią do pary.

Zniecierpliwiona luba, dla której karnawał upłynął pomimo westchnień, a nie spełnił życzenia, posłała swemu wybranemu wiersz, którego jedną strofkę zamieszczamy:

Toć ptaki na niebie
Już śmieją się z ciebie
Wołając: — Żeń, żeń się, żeń, żeń się!... —
Rzuć więc stan bezżenny
I odtąd odmienny
Wiedź żywot, i dla mnie odmień się.

Dopiero po Środzie Popielcowej milkną te ostatnie odgłosy zapust wielki post poważniejsze myśli napędza do głowy.

M. D.

O ZAPUSTACH I KULIGACH.

Lubo wielcy panowie i można szlachta przez cały rok zabawiali się bankietami i tańcami, bardzo często spraszając do siebie gości z rozmaitych okazyj... najwięcej jednak takowych ochót sprawiali sobie począwszy od Tłustego Czwartku aż do Wstępnej Środy; często zaś bardzo rozhulawszy się, choć przy postnych potrawach, gwałcili tańcami i pijatyką i Wstępną Środę, i Wstępny Czwartek... W domach atoli biskupich i duchownych tańce nie trwały dłużej, jak do święta Wstępnej Środy, i to tylko tam, gdzie się młodzieży zbyt nogi rozbiegały, a gospodarz łagodny... nie chciał im psuć wesołej fantazji. Bo u skrupulatów... nad 12 godzinę północną w ostatni wtorek na środę ani raz w tańcu nogą posunąć nie wolno było...

Takowe uciechy działy się po pańskich domach między przyjaciółmi zaproszonymi. Niższej zaś fortuny szlachta wyprawiała kuligi, które były takowe. Dwóch albo trzech sąsiadów zmówili się z sobą, zabrali z sobą żony, córki, synów, czeladź służącą i co tylko mieli w domu dorosłego, nie zostawując w nim, tylko małe dzieci pod dozorem jakich dwojga osób, mężczyzny i kobiety. Sami zaś, wpakowawszy się na sanki albo gdy sanny nie było, na kolaski, karety, wózki, na konie wierzchowe, jak kto mógł, jechali do sąsiada pobliższego ani proszeni od niego, ani przestrzegłszy go, żeby się im nie skrył albo nie ujechał z domu. Tam go zaskoczywszy, rozkazywali sobie dawać jeść, pić koniom i ludziom bez wszelkiej ceremonii... póty u niego bawiąc, póki do szczętu nie wypróżnili mu piwnicy, śpiżarni i śpichlerza; gdy już wyżarli i wypili wszystko, co było, brali owego nieboraka z sobą, z całą jego familią, i ciągnęli do innego sąsiada, któremu podobnież pustki zrobiwszy, ciągnęli dalej, aż póki w kolej do tych, którzy zaczęli kulig, nie doszli...

Poczynały się te kuligi zwyczajnie w przedostatni tydzień zapustny i trwały do Wstępnej Środy...

Tak na kuligu, jak też i bez niego w kuse dni zapustne (tak albowiem nazywano ostatnie trzy dni zapustne) przestrajali się i przekształcali w różne figury: mężczyźni za Żydów, za Cyganów, za olejkarzów, za chłopów, za dziadów. Niewiasty podobnież za Żydówki, za Cyganki, za wiejskie kobiety i dziewki, udając mową i gestami takie osoby, jakich postaci na siebie brali. W ostatni zaś wtorek jeden z między kompanii ubrał się za księdza, włożywszy na suknię, zamiast komży, koszulę, a



zamiast stuły pas na szyi zawiesiwszy, stanął w kącie pokoju na stołku kobiercem do ściany przybitym, wpół pasa zasłoniony, wydając się jak w ambonie, miał kazanie z jakiej śmiesznej materii; a to było już po skończonych tańcach na kształt pożegnania zapustnego.

Po wieczerzy mięsnej w ostatni wtorek dawali około godziny dwu-nastej północnej mleko, jajca i śledzie, przygrywając niejako tymi potra-wami następującemu postowi i niby po stopniach od mięsa przez nabia- do niego przystępując. Ta maślana kolacja zwała się podkurek, był wszędzie w używaniu, tak w wielkich domach, jako też w małych.

Po wielkich miastach we Wstępną Środę czeladź jakiego cechu poubierawszy się za dziadów i Cyganów, a jednego z między siebie ustro-wszy za niedźwiedzia, czarnym kożuchem, futrem na wierzch wywróco-nym, okrytego i około nóg czysto, jak niedźwiedź, poobwiązywanego wodzili od domu do domu, różnych figlów z nim dokazując, którym grosze i trunki z pospólstwa chciwego na takie widoki wyłudzali. Inni znowu, spory kloc do łańcucha przyprawiwszy, chwytali dziewki słu-żebne; złapaną wprzęgali do pomienionego kloca, przymuszając do cią-gnienia póty od domu do domu, póki innej nie złapali dla uwolnienia pierwszej... Podobne swawole praktykowały się i po wsiach między parobkami i dziewkami, ale najwięcej na wsiach w ostatni wtorek by-wało we zwyczaju obnoszenie po chałupach przez parobczaków kurka drewnianego, na dwóch kółkach małych z dyszlem, czyli raczej kijem osadzonego, na którego kurka, jakby na prawdziwego koguta, dziewki i gospodynie zapraszali, a te rozumiejąc tę ceremonię, dawały im ser, masło, szperki, kiełbasy, jajca, z czego w samej rzeczy mogli zrobić ucztę nie lada jaką, przykupiwszy do tego gorzałki i piwa, bez czego się nie obeszło.

J. Kitowicz
(Opis obyczajów i zwyczajów.)

SZLICHTADA

Tę ulubioną Polaków zabawę, to jest przejażdżkę zimową, z rzadkim przepychem odbyto dnia 21 stycznia 1695 r. w Warszawie. Wezwane znakomite osoby zjechały się do pałacu Daniłowiczów, gdzie później Biblioteka Załuskich była. O trzeciej z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył, jak następuje: 24 Tatarów konno ze służby kró

ewicza Jakuba. Dziesięcioro sań po 4 konie, jeden przed drugim, czyli, ak zową, szydłem. Na każdych sankach inna muzyka, to jest Żydzi z ymbałami, Ukraińcy z teorbanami, trębacze, fajfry [1]), janczarowie zerani z różnych dworów. Następowały sanie, okryte perskimi kobiercani albo lampartami, sobolami i różnymi drogimi futrami... Koni było każdych sań po cugu, strojonych w pióra, czuby, kokardy, kutasy, na iżdych saniach państwo po kilka osób płci obojej, a około sań młodzież worska konno. Takich ekwipażów było 107. Trudno dać któremu z ich pierwszeństwo, bo wszystkie celowały doborem koni, kosztownością uter i liberii, osobliwie hajduków. Na końcu były sanki w kształcie egaza. Siedziało w nich 8 młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze, łożone już dawniej przez Ustrzyckiego i Chróścińskiego. Zamykał tę aradę oddział drabantów.

Wszyscy goście zajechali naprzód do dworu sapieżyńskiego, potem o księżny Radziwiłłowej, siostry królewskiej, potem do wojewody Pockiego, do młodego księcia Lubomirskiego, do pana kasztelana luelskiego i do Ujazdowa. Gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddał lucz od piwnicy, a gospodyni od śpiżarni. Każdemu z gości wolno było o częstowania brać wszystko według woli. Wszędzie grała kapela. ańczono chwilę i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, dzie oboje królestwo Ichmość byli gościom radzi z całego serca. Częstowano wszystkich, a nawet służbę dworską, co trwało do późna. Cały rszak wracał przy pochodniach, których było 800.

Kurier Warszawski
1827 r.

KULIG

Z Opatowskiego, w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny owiśla, na wskróś jedynego na świecie sandomierskiego płaskowzgórza, nał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym łosem dzwonków, brzmiącym łoskotem janczarów, trzaskaniem batów na tery konie, wrzawą okrzyków, bębnów, fujarek, melodią śpiewów i uzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymac w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekina w czarnej ma-

---

[1]) Muzycy, grający na piszczałkach.

sce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomyk. Blask złotych ogni, w dymie płatami rozdzierających noc, o kilka wio na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zaspy, parowy, urwiska wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna.

Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich mrozach, leżały pierzastymi z spami. Tu i ówdzie wypełniły po brzegi wąwóz, których tyle w tamt okolicy, gdzie indziej zadęły opłotki, a nawet wioszczyny, przytulone urwisk. Mglistymi kępy i drgającymi żywo światełkami znaczyły s dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w w wary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arleki Kulig nie znał przeszkód. Tworząc ogromny korowód, leciały san najrozmaitsze. Jedne były snycerskiej roboty, pozłacane lub posrebrzan z czasów jeszcze saskich i stanisławowskich, w kształcie łabędzi z dłu gimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami piórach i czubach, inne zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieś pomalowane *lubryką* lub na zielono, a ciągnione przez fornalki rozmait maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi jak chety z jednaką brawurą życiem rzucały się w zaspy niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach!

Kapela, złożona z klimontowskich Żydków, rżnęła od ucha mazur oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodia przygasał jak od zachwytu, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby spo śniegu dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni. Więc jednej strony słychać było tkliwe dyszkanty damskie:

„Ścieni dąbek, ścieni, już się nie zieleni!
Dałam chłopcu słowo, już się nie odmieni!”

A z innej naigrawały się potężne basy męskie:

„A ja sama nie wiem, co to za przyczyna:
Gustuję w brunecie, wzdycham do blondyna!”

Zaraz odcinał się chór panieński:

„Granatowy fraczek, woskowane buty,
Teraźniejsza młodzież same bałamuty.”

I znowu z góry, donośnie, siarczyście zanosiły się skrzypce, basy flety, głusząc wszystko.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Pierwsz

› raz w życiu dostał od ojca pozwolenie zażycia faworytnej „Baśki”, łodej klaczki swego chowu. Baśka liczyła sobie dopiero trzy wiosny. ochodziła z ojca czystej krwi araba i matki polki. Była płocha, żywa, przecie nad wszelkie słowo rozumna. Główkę miała maleńką, śliczną. wa sierść okrywała jej skórę, cienką jak jedwabnica. Klacz szła w pląch, stroiła ogniste skoki. Bawiła się jak człowiek; to nastawiwszy zka i rozdymając nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią żartkich lansadach szła, niosąc jeźdźca rozkosznie, jak w kolebce. Rał był szczęśliwy co się zowie. Kieliszek starego węgrzyna wypity gdzieś ostatnim dworze, w Górkach, Ossolinie czy Nasławicach, rzucił jego zucia, jakoby na ptasie skrzydła. Koń niósł go wskroś tych zasp, któch zimny oddech tak miłośnie mu twarz ochładzał. A w saniach lecąch przed nim te dwie panie... Jedna starsza, mężatka czy wdowa, uga młodziutka dziewczyna. W blasku księżyca widział ich głowy i łpaczki: u jednej starożytny, sobolowy, z kitką osadzoną wśród brytów, u drugiej okrągły, suty, z gronostajów cynkowanych...

Sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granawy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z ychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogatą z pawim piórem. Pas kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o rzemię...

„Bo nie masz krainy, nie masz takiej strony,
Gdzieby nie kochali chłopcy cudzej żony!...

— wyleciały jak z procy skądś aż z ostatnich sanek swawolne słowa..

Jeden głos męski potężny, drżący od siły i wesela, śpiewał w nocy:

„Nie będę się żenił, nie będę się śpieszył...

— Jeszcze czego! — wołał drugi:

„Będę się umizgał i dziewczęta cieszył”...

ągnął pierwszy z taką szczerą prawdomównością w każdym tonie, że szystkie sanie wybuchnęły śmiechem radosnym, prawdziwym aż do saego dna. Był to jak gdyby akord tej samej pieśni, jakby okrzyk zgody ułej, jakby potwierdzenie prawdy nieomylnej a długo zamąconej przez łamców.

Z dala od przednich sań leciała piosenka:

— A ja się stanę małą ptaszyną
I okryję się gęstą krzewiną —
Jednak ja twoją nie będę!

— Mają cieślowie takie topory,
Że wycinają lasy i bory —
Jednak ty moją być musisz!...

. Wrzawa na saniach, jadących przodem, wzmagała się coraz bardziej. Bliżej, rozgłośniej słychać było jedną i drugą kapelę. Pochodnie uwijały się gdzieś w dole... Rafał podniósł głowę i spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich...

W nizinie, nad brzegiem rzeki utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono od początku świata w bród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego taflę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekano na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało sań coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięły zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „turon a", czyli „kłapacza" tj. chłopa, przebranego za straszydło z wysoką szyją, jak u żyrafy, i ruchomą paszczęką, czerwonym suknem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgiełk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wybuch wesela. Turoń posuwał się zwolna między saniami, kłapiąc dolną żuchwą i nachylając się to tu, to tam... — Gromada chłopów, zwołana przez umyślnych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innym, dostępnym miejscu, ale znowu lód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę; inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopcy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty — a nam co po moście? Który się podejmie przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedyńczy!

— Zimna woda, jaśnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę — krzyknął drugi, ściągając z ramion zwierzchni kożuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i na pół odzianych brało na bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprzężone konie i w

rugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam, siedzących w aniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo rwało. Wkrótce jednak na przeciwległej stronie zgrupował się zastęp iemały. Zmącona woda chlupała, gdy chłopstwo podsadzało się pod anice i brnęło środkiem.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! czerwony złoty na głowę! — zachęcał projektodawca.

— Kapelę nam tu dawajcie, kapelę! — dopominała się młodzież. Co tu mamy próżnujący czekać!

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcie no eden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg a równo, twardo!

— Żydy, mazura!

— Pejsate Żydy, naszego!

— Kulig! — wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad łowy wszystkich.

Żydki urżnęły od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany, niby najdoskonalsza osadzka. Oczekując na przybycie wszystkich, puszczono się w pląsy, atoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy, otaczając koło, przyklaskiwali, a młódź hulała o tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, więc je rzuano w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie i gruby, bujny, miotliwy blask oświetlił miejsce. Zabłysły kółka pasów, barwne kierezje, vszywane gorsety, białe rękawy koszul...

W koło tańczących wtłoczyły się saneczki arlekina i czarna jego naska wynurzyła na światło.

— Do Tarnin, kto żyw! — wołał głośno, trzepiąc swą rózgą wooło a szczególnie mężczyzn, blisko stojących. — Do Tarnin!... Cóż a stoicie, mazgaje?

Wszyscy ruszyli się do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszuiwanie i wdziewanie rzuconych futer i burek... Ogromny wąż zaprzęów ruszył się z miejsca... Ognie, okrzyki, śpiewy znowu napełniły olinę.

Stefan Żeromski
(Popioły.)

KRAKOWSKIE WESELE

Ciemno było, wiatr słabł, zamieć ustawała, i tu i ówdzie w zielon tafli nieba drgały gwiazdy. Miało się jakby na większy mróz, śni skrzypiał pod nogami, i wierciło w nozdrzach.

Naraz psy zaszczekały wściekle i rzuciły się całą hurmą ku bram Jeszcze daleko, pod lasami zamajaczyły jakieś brzaski szybko rosnące.

— Kulig jedzie! kulig! — wołali już parobcy, biegnący wywier bramy.

Po chwili pochodnie wystrzeliły w mrokach rozmigotanymi, krw wymi miotłami, długi, kręty wąż sań zaczerniał na śniegach, jezdni p dzili na oślep przez zaspy i pola; zabrzęczały dzwonki i janczary, hukn ły śpiewania i muzyka urznęła od ucha siarczyście na bij zabij.

Hej! kuligiem jechali, kuligiem nad kuligami. Sto sań skrzypiał po śnieżystej grudzie, sto sań leciało z wichrami w zawody, sto sań niosł się z grzmotem, jak burza rozśpiewana weselem, pijana mocą i radości oszalała. Konie widziały się podobne smokom w brzękadłach, siatkach pozłocistych rzędach i wstęgach barwistych, puszczonych na wiatr, rwały aż ziemia jęczała, i spod kopyt śniegi tryskały fontannami.

Na przedzie, w siwe ogiery w purpurowych siatkach i pióropuszach jechał weselny starosta wraz ze starościną, za nimi Żydy muzykanty gra ły ze wszystkiej mocy. A potem migotał nieskończony łańcuch: sanie z saniami, para za parą, sunęły rozgłośnie, rzęsiście i bujnie przysłonięt płomienistymi wichrami pochodni. Jakoby zjawiona w nocnej godzini bajka o zaklętych korowodach mar i upiorów.

Pędzili w skok, runęli w bramę, zatoczyli wielkim półkolem w dzie dzińcu i zmierzali w największym pędzie pod ganek. Zdało się patrzą cym, jako uderzą w dwór, rozniosą go na kopytach i we wszystek świa popędzą, niczym niepowstrzymani.

— Krakowskie wesele! krakowskie wesele! — buchnęły krzyki ni wiadomo skąd, i wraz Trzaskowa kapela uderzyła w niebo przeciągłą grzmiącą fanfarą. Stanęli. Powstał nieopisany zamęt, a od pochodn uczyniło się widno jak przy pożarze. Krzyżują się wołania, lecą śmiechy parskają konie, strzelają.

Starosta weselny, z rózgą przybraną kwiatami, prawi na ganku po witalną oracją. Onufry replikuje, zapraszając kompanię pod dach, Żydy w lisich czapkach, w śniegu po kolana rzępolą skocznego krakowiaka.

Skończyły się ceregiele, i dworska kapela zagrała uroczystego poloneza. Rwetes, gwałt i krzyki na podjeździe, splątane konie rżą i biją kopytami, rzegoczą janczary, psy naszczekują zajadle, damy ze sań wynoszą na rękach, szuby i kapuzy lecą, gdzie popadło, mrowią się oszroniałe postacie, wąsy w soplach, twarze wyszczypane mrozem, głosy schrypnięte a w oczach ognisty animusz. Cisną się ulicą rozmigotanych pochodni i prosto ze śniegów i zamieci, hurmą walą na ganek, w drygach nijają sień ogromną, zerwą się w akuratne pary w bawialnym i do sali już płyną posuwistym, godnym polonezem. Zda się, tęcza spadła w białe ściany dworu i wije się stubarwnym, rozmigotanym przędziwem: panny z chłopska we wzorzystych spódnicach, gęsto naszywanych wstęgami, kawalerowie w granatowych żupanach, srebrem lamowanych, i w karmazynowanych krakuskach z pękami pawich piór i wstążek. Wiedzie ich weselny starosta w białej katance, ze starościną w czepcu misternym, w koralach do pół piersi, w rzęsistej, amarantowej jubce. Pląsają zwolna, i za nimi coraz nowe pary stają, już starsi spłynęli do korowodu, już dostojne damy w robronach, już męże w kontuszach, czerwonych butach i przy karabelach. Okrążyli sale raz i drugi, pękły dzwona koliska, rozsypali się po komnatach.

— Oberka na rozgrzewkę! Oberka — dysponuje wielkim głosem starosta.

Za czym z chóru kapela gruchnęła siarczystego. Żydy, usadzone pod piecem, przywtórzyli.

Dreszcz wstrząsnął serca, kawalery skoczyli do panien, stają w tanecznym ordynku, takt biją nogami, nabierają tchu, prężą się, runęli naraz w tan z grzmotem, jakby kto z harmat wystrzelił. Z miejsca wzięli pęd największy, i oberek poszedł wściekły, zapamiętały, na odsiebkę!

Jakby wrzeciona zafurkotały szalonym wirem. Ni twarzy rozeznać, ni dojrzeć jaką personę, jedno kłębowisko, taczające się od ściany do ściany, że tylko wieją wstęgi, wieją pióra, wieją spódnice i wieją lite, płowe warkocze. Rznie para za parą i biją obcasy, aż ściany dygoczą, pobrzękują do wtóru szkliwa pająków.

Kapeliści z nagła zmienili nutę, zawiedli tkliwie o tym owczareczku, co to owce pogubił i sfrasowany idzie i płacze, i podśpiewuje. Oberek postać inną przybiera, noszą się zwolna, kolebiąco, pojrzą sobie w oczy, komuś przyśpiewka wyrwie się z serca, któraś śmiechem zadzwoni. Na radości padły cienie udręczeń. Panna się boczy, odsuwa precz, rękę po-

daje z daleka, gniewne liczko odwraca, srogie miny wyrabia, zasię ka
ler wąsa szarpie, słodko przekłada, molestuje, czapką ziemię zam
gotów na kolanach afektów wiecznych przysięgać.

Na darmo: dziewka nie słucha, z rąk się wyrywa, ucieka.

Ale kapeliści wrzasnęli w instrumenty, trwogę nieco i sposób pod

Krew buchnęła warem, kawaler na rapt się waży, wpół chw
bogdankę, porywa wichrem, zawrócił na odsiebkę, przyklękuje, hołu
mi trzaska i w zawrotny, zwycięski tan ją ponosi, że panna słania
się w ramiona i gotowa już takiej mocy i determinacji pozwolić
wszystko.

Z takim wigorem przeszedł oberek, i tak samo wzięli się do mazu

Wł. St. Reymont

(Rok 1794. Nil desperandu

POLSKIE TAŃCE

Taniec stanowił od najdawniejszych czasów ulubioną rozrywkę Po
ków. W czasach pogańskich był on ważnym pierwiastkiem obrzędów r
gijnych. Święto Kupały czyli Kupalnocka nie obywała się bez wesoły
nieraz aż do szaleństwa wesołych tańców młodzieży. A później, gdy z
gańskiego obrzędu pozostała w Polsce wesoła uroczystość sobótki, nie
niedbywano tanów w pogodną noc świętojańską. O tanecznej ochocie
wią bardzo wyraźnie panny bylicą przepasane, w *„Sobótce"* Koch
nowskiego. Wszakże jedna z nich otwarcie się przyznaje:

To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada...

Wnet jednak dodaje :

Powiedzcież mi, me sąsiady,
Czy jest która bez tej wady !

Poza tańcami obrzędowymi, których wspomnieniem są sobótkowe
sy, żadna huczniejsza, weselsza zabawa nie odbywała się w Polsce
tanów. Do ruchów tanecznych należało niejednokrotnie klaskanie w r
stąd taniec, zwany klaskanym, będący, jak pisze Gloger w
Encyklopedii staropolskiej, pewną odmianą poloneza.

O tanecznej ochocie świadczą pisma naszych kronikarzy. D ł u g o s z opowiada o hulankach i tańcach, urządzanych przez Popiela. On też wspomina o zamiłowaniu do tanów Anny Giedyminówny, żony Kazimierza Wielkiego. Jadwiga, przed ostatecznym zerwaniem z Wilhelmem, zabawiała się z nim nieraz tańcami w refektarzu oo. franciszkanów. Lubił taniec król Olbracht. Poważny królewicz Zygmunt, późniejszy Zygmunt Stary, za swych lat młodzieńczych mieszkając w Krakowie u zamożnego mieszczanina, pana Kacpra Bara, w wesoły karnawałowy wieczór, podczas zabawy, urządzonej dla pięknych Barówien, nie tylko że rad pląsał, ale i grajka hojnie dukatem obdarzył.

Nie zawsze tańczyli mężczyźni z kobietami. W *Sobótce* tańczą same panny. P a s e k zaś, opisując w swych *Pamiętnikach* wesołe tany, bityką zakończone, powiada wyraźnie: — Po wieczerzy poszedł Szembek w taniec. Żelecki mówi do mnie: „Pójdź no mu służyć...” — (to znaczy towarzyszyć w tańcu). Oczywiście jednak najczęściej, najzwyklej tańczyły obie płcie razem, a nawet Górnicki w *Dworzaninie* przestrzega, aby białogłowy, w tan idąc, tańczyły przystojnie i tancerzom nie okazywały „zbytniej ochoty”.

Tańczono dostojnie, spokojnie poloneza, inaczej wielkim, pieszym lub polskim zwanego. O tańcu tym tak pisze K a r o l C z e r n i a w s k i:

„Jest to taniec mężów już dojrzałych, senatorów. Toteż rozmowa jako wizerunek obrad, wchodziła do niego i zastępowała pieśni w tańcach młodszej braci. Poloneza zaczynała osoba najpoważniejsza, potem szła para za parą po starszeństwie lub nie; tu wszyscy poważni i wolni. To król — za królem senat... Cudny to był widok: sto par! Pod pachą czapka — w tył wyloty, głowa siwa, podgolona, często porąbana. Szli poważnie, posuwisto, jednak nieraz usłyszałeś brzęk szabli, stuknięcie podkówki; ujrzałeś na wpół zgięte przed matroną kolano, a na zawrocie, kiedy w tańcach młodzieży wpół się biorą i kółkiem wirowym je kończą, tu tylko robili półkole, jakby przypominek lat młodych: matrona z prawej strony na lewą przechodziła, i szli dalej, prowadząc stateczną rozmowę, aż ktoś z braci, pomnąc na owo przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, klaśnięciem ręki dobijał się przodkowania, odbijał matronę pierwszej parze i prowadził n i e s k o ń c z o n e g o. Poprzednik przechodził do drugiej pary, to jest zachodził w ogólne szlachty bractwo, i tak dalej, aż ostatni wychodził całkiem z koła jako wdowiec bez towarzyszki, jeśli nie miał śmiałości odbić pierwszej pary i sam stanąć na czele”.

Oprócz poloneza tańczono w Polsce najczęściej aż po dzień dzisiejsz krakowiaka, mazura i oberka. Charakterystyczną cechą krakowiaka są prz śpiewki, improwizowane zwykle *ad hoc* przez pierwszego tancerza, gdy z swą tancerką przed muzyką stanie. Za parą przodującą idą następne i sy pią się wesołe piosenki, do okoliczności zastosowane, nieraz w cześć bo danki nucone. Krakowiak, jak twierdzi Czerniawski „wyszedł z ludu, przez szlachtę ukształcony, stał się jej ulubionym tańcem. Z tymiż sa mymi cechami społeczności słowiańskiej, co i polonez, to jest gromadą jednym przodkującym, był on tańcem młodszej braci szlachty i międz nimi nabierał czasem charakteru wojennego. Tańczyli go bowiem częst sami mężczyźni, jeden drugiemu służąc w parę, jak szeregowy rycerzc wi...” „Krakowiak, jak z ludu wyszedł, tak znowu w lud stopiony, za chowuje się dotąd u wieśniaków krakowskich z całą swą krasą ubiorów śpiewek i ochoczego Krakowian życia, szlacheckim wyrobieniem dużo pod niesionego”.

Najbardziej szlacheckim tańcem był mazur. Czerniawski w swej zaj mującej rozprawie dowodzi z zupełną słusznością, iż tańca tego „cudzo ziemiec nie odda dobrze, bo krok mazura nie cierpi ściśnień prawidło wych. On potrzebuje swobody. Trzeba go improwizować, tworzyć, wię trzeba mieć ducha miejscowości, trzeba być synem i wychowańcem te ziemi naszej, by pięknym tchem piękną formę utworzyć”.

„Do mazura wchodzą wszystkie tańca pierwiastki. Dużo w nim jest pierwiastku wojennego. Sam krok jego przedstawia nam dobitnie jeźdźca, hasającego na koniu. Tupanie nogą — to bicie niecierpliwego rumaka ; hołubce — to spinanie konia ostrogą, a żywy, więcej skoczny jak posuwisty krok tańcującego, raz w cwał, drugi raz kłusa, to znowu stępa oznacza. Poruszenia głowy — to jest toczenie rumakiem. Jeździec raz zręcznie zawraca, to znowu rozbieżony na miejscu osadza, zatrzymu jąc się nagle, podkówką w takt palnąwszy”.

„Młodzieniec, trzymając dziewicę prawą ręką, lekko ją za sobą uno si, jakby na koniu uprowadzał. Ona zaś trochę się ociąga, tocząc walkę miłości z przyrodzoną kobiet naszych wstydliwością. Nareszcie po długie podróży rycerz wpół ją chwyta i zakończa kółkiem wirowym — znak połączenia, dokonanych ślubów”.

Oberek, jakkolwiek chętnie, z rozmachem tańczony po szlacheckich dworach, jest może najbardziej ludowym z naszych tańców. I w nim pod

kreśla Czerniawski zasadę słowiańskiej społeczności. I w nim mamy przodownika i gromadę.

„W oberku nigdy jedna para nie puści się osobno w taniec. Zawsze jakiś Bartek staje na czele i czeka na gromadę lub gromada na Bartka, który, wpół ujęty ze swą dziewoją, prowadzi cały taniec... Obszedłszy w polonezowej procesji całą izbę lub obiegłszy ją skoczniejszym krokiem mazura, nachyla głowę z zadumą, jakby sobie coś przypominał i mijając grajka, co wyrzyna na skrzypcach, wykrzykuje dopiero — hu, ha! — i puszcza się młynkiem w oberka na lewo, a cała drużyna za nim. Potem nagle przed muzyką stawa, dawszy około swej dziewy ogromnego susa, i całą gromadę zatrzymuje. Czasem, jak w krakowiaku, coś zaśpiewa, np.:

Oj, zawracaj od komina,
A uważaj, której nie ma.
Jest tu Kaśka i Maryna,
Tylko mojej Baśki nie ma.

Hu! Ha! i znowu młynkiem w tany. Często znowu w samym tańcu nagle z lewej w prawą stronę się zawraca i cała gromada, nieraz tym zwrotem potężnie uderzona, czas jakiś miesza się, przystaje, i dalej za Bartkiem na prawo. Ale nigdy żadna para nie opuści gromady w środku tańca, choćby się na śmierć miała zatańczyć”.

Bardzo pokrewnym oberkowi jest kujawiak, na Kujawach zapamiętale tańczony.

Jak polonez w *Panu Tadeuszu* M i c k i e w i c z a, krakowiak w *Wiesławie* *B r o d z i ń s k i e g o*, tak oberek znalazł literackiego odtwórcę w R e y m o n c i e. Pod piórem tego pisarza huczy on całą siłą swego rozmachu czy to w *Nil desperandum*, czy w *Chłopach* podczas wesela Boryny, czy też w noweli *Tomek Baran*, podczas onej zimowej ochoty w karczmie, która „...aż się trzęsła od hołubców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem.

— Hop! hop! hop! — leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej się obracali w kole”.

„Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami, niby maki w polu dostałego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe

zamarznięte szybki karczmy smugi rudawego światła, a mały kagane tkwiący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał, jakby w takt h łubców...”

„Dyle podłogi, pod ciężkimi przycinaniami obcasów, skrzypiały cora cięższej, a basy, umieszczone wysoko na kłodzie z kapustą, śpiewały cora grubiej :

Bom, cyk, cyk ! Bom, cyk, cyk !

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki :

Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity !

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno, niby chłop Żyda za łeb, uderzał w skórę do taktu skrzypkowi:

— Dyz, dyz, dyz ! — brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem i tupot był zaraz siarczysty, i pokrzywki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopcił sadzą na powiewające, niby płaszcze kapoty”.

Jeśli dostojność tańca polskiego, jego wdzięk i rozmach siarczysty znalazły swe malownicze odbicie pod piórem naszych wielkich pisarzy to znana i niestety, tak często przejawiająca się lekkomyślność społeczeństwa polskiego, umiejącego i lubiącego tańczyć w momentach smutku, w momentach żałoby ogólnej lub ogólnego niebezpieczeństwa, zasługiwała nieraz na silne wyrazy potępienia ze strony tychże pisarzy. Kajetan Koźmian w epoce porozbiorowej piętnuje z bólem ową taneczną ochotę :

O, dzięki ci, wyborne Polek wychowanie !
Polska ginie: tańcujmy, póki czasu stanie,
Tańcujmy i nie myślmy, co nastąpi potem,
I skończmy godnie scenę płochych głów zawrotem.

Mickiewicz ze wzgardą maluje w *Dziadach* nikczemność tych, co nie wahają się tańczyć, gdy naród gnie się pod przemocą ucisku. Nowaczyński w swym *Dymitrze Samozwańcu* wkłada w usta jednego ze szlachty polskiej, która tańczy na Kremlu, nie bacząc, że to taniec na wulkanie, te przejmujące słowa :

Niech kto mówi jako chce,
Wesoło tu. jak w Polsce,
Śpiewają nam *requiem*,
My tańcujem i żyjem.

Najdobitniej wreszcie, najdosadniej kontrast pomiędzy grozą rzeczywistości o lekkomyślnym roztańczeniem naszym odtworzył W y s p i a ń s k i w końcowej scenie *Wesela*, kiedy to pod batutą Chochoła cały korowód weselników tańczy w tragicznej chwili, nie bacząc na to, że złoty róg zginął, a ostał się „jeno sznur".

M. D.

O DAWNYCH TAŃCACH

Starzy szli do tańca pieszego, to jest do polskiego czyli poloneza, jak go dziś zowiemy; młodsi wywijali, już to pląsając, już to rękami klaszcząc, a dla wygody i wdzięku, chłodny wietrzyk robiąc magierką. Pląsając, tańczyli albo skocznego, albo gonionego. Jeden i drugi rodzaj tańca był rozmaity, jako to: cenar, świeczkowy, gniewus, lipka, drobuszka, taniec Macieja i Konrata, hajduk, wyrwaniec, sejduk. To były narodowe tańce. Z obcych zaś najwięcej lubiane były: padwan, galarda, pasamez, kapreola, bergamaszka.

Gniewus, drobusz, hajduk i wyrwaniec snać były ruskie tańce, tak nazwane od różnych poruszeń ciała tańcujących. Tancerz, uderzywszy po rusku czołem przed tancerką, kształtnie się wywijał, skocznie otaczając ją kołem, co nazywano drobuszką albo dorobuską, już to posuwając się ku niej i goniąc ją, już to mijając ją i niby gniewając się na nią (goniony, gniewus). Młodzież szczególniej lubiła te tańce.

Hajduk był taniec skoczny, ulubiony żołdakom. Do starodawnych słowiańskich tańców liczy go Starowolski, uwagę czyniąc, że go niegdyś tańczono spośród rzędem utkwionych mieczów. Wyrwaniec przystojny był do włoskich fochów. Ujāwszy się z bliska, tancerz z tancerką, wodzili się niby za nosy, bo tak blisko siebie byli, że zdawali się spowiadać sobie w tańcu z popełnionych grzechów, a mianowicie, kto taktu chybił i ile razy. Zdawało się oraz, że tańczący naznaczali sobie karę i za pokutę tańcując do upadłego, coraz prędzej i prędzej obracają się w koło. Po tej ciężkiej pracy i niejako oczyszczeniu się z grzechów, młynkiem kończyły pary swój taniec. Któż w tym tańcu nie widzi skocznego krakowiaka, kończącego się zwykle tak zwanym obertasem? Któż w owym, mianującym się g n i e w u s nie dostrzeże podobieństwa z dzisiejszym tańcem, m a z u r zwanym? Nieraz dobrana młodzież, wesołego otoczywszy tancerza,

jedni ze szklenicą, drudzy ze świecą, tańczyli około niego świeczkowego zręcznie okazując sztuki. Padwan i galarda — włoskie były tańce. Tamte go tańcząc, oraz i śpiewać należało, przy tym potrzeba było podrygać.

. . . .

Były przy stole i piosenki, którymi się wyszydzały różne pokolenia po ziemicy polskiej. O Mazurach śpiewano :

Mazurowie mili,
Gdzieście się popili?
W Warce na gorzałce,
W Czersku na złym piwsku.

Mazurowie naszy
Po jaglanej kaszy
Słone wąsy mają,
Piwem je maczają.
Skoro się popiją,
Wnet chłopa zabiją.

Przytomny temu Mazur, bynajmniej się tym nie obrażając, tak Wielko i Małopolanom przycinał:

Znaj, Polaku, pany,
Zacne Mazowszany.
Gotowi do boju
W zwadzie i w pokoju.

A niewiele mierzą,
Śmiejąc się, uderzą.
Chocia w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.

W. Al. Maciejowski
(Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII wieku.)

POPIELEC

...Przy kościołach, we Wstępną Środę, po miastach chłopcy, studencikowie czatowali na wchodzącą do kościoła białą płeć, której przypinali na plecach kurze nogi, skorupy od jajec, indycze szyje, rury wołowe i inne tym podobne materklasy [1]. Tak zaś to sprawnie robili, że tego

[1]) Odpadki, rupiecie.

osoba dostająca nie czuła, bo to plugastwo było uwiązane na sznurku lub nici, do końca której była przyprawiona szpilka zakrzywiona, jak wędka. Więc chłopiec, do takich figlów wyćwiczony, byle się dotknął ową szpilką sukni, wraz i figla na osobie zawiesił. A ta, nic o tym nie wiedząc, pięknie przybrana i częstokroć będąc dystyngowaną, postępowała w kościół z dobrą miną, gdy tymczasem wiszącym na plecach kawalcem pustym głowom śmiech z siebie czyniła, którym się i sama, na koniec od kogo roztropnego uwolniona od wisielca, zarumienić musiała...

. . . .

Na Popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy katolickiego wyznania, panowie nawet najwięksi nigdy go nie opuszczali. Ale że nie wszyscy byli sposobni w Wstępną Środę do przyjęcia tego obrządku, przeto dawano go drugi raz po kościołach, mianowicie po wsiach, w pierwszą niedzielę postu...

...Natomiast ...swawolna młodzież rozdawała go sobie sama, trzepiąc się po głowach workami, popiołem napełnionymi, albo też wysypując zdradą jedni drugim obojej płci na głowy pełne miski popiołów. Ta jednak swawola nie praktykowała się po wielkich domach, tylko po małych szlacheckich i po miastach między pospólstwem.

Druga ceremonia nie kościelna, ale światowa z popiołem bywała długo w używaniu po miastach i po wsiach, która zawisła na tym, że jaki młokos przed przechodzącą lub tuż za przechodzącą niewiastą albo jaka dziewka przed lub za przechodzącym mężczyzną rzucała na ziemię garnek, popiołem suchym napełniony, trafiając tym pociskiem tak blisko osoby, że popiół z garnka rozbitego, wzniesiony na powietrze, musiał ją obsypać, albo obkurzyć. Co zrobiwszy, swawolnica lub swawolnik, zawoławszy : — Popielec, mości panie ! — lub — mościa pani ! — albo — panno ! — uciekł. Że zaś nie każdy mógł znieść cierpliwie taki ceremoniał, sukni i oczom szkodliwy... trafiało się, że stąd wynikały zwady i bitwy.

J. Kitowicz

(Opis obyczajów i zwyczajów w Polsce.)

POSTY W DAWNEJ POLSCE

Oprócz postów, od kościoła nakazanych, pobożni pościli poniedziałki środy, piątki i soboty. W sobotę zachowywano post największy, obchodzono się o chlebie samym, raz na dzień język piwem nieco zakropiwszy. W insze dnie postne używano do potraw oleju lub oliwy. Piątki suszono, wstrzymując się od picia wina. Ci, którzy w nabożeństwie przesadzali, zamiast mięsa używali masła we dni powszednie, to jest do postów nie przeznaczone ; nawet nigdy nie jadali mięsa, lecz w miejsce tego używali ryb; za napój postny zwykle używano przewarzonej wody.

Kiedy w XVI w. Erazm Ciołek, biskup płocki, przywiózł z Rzymu papieskie pozwolenie, ażeby wolno było we środę mięso jadać, nie znalazł się wtedy nikt w całym królestwie polskim, który by chciał z pozwolenia tego korzystać.

Zmieniła się postać rzeczy za panowania Zygmunta Augusta. Na stypie, którą on ojcu swemu we środę na krakowskim wyprawiał zamku, po raz pierwszy pokazało się mięso na królewskim stole, z powodu, że przy nim siedzieli Niemcy postów nie zachowujący, których uraczyć trzeba było. To było hasłem do rozwolnienia postów tak dalece, że już niektórzy nawet w Kwietnią Niedzielą mięso jedli, udając, że niby cieszą się z tego, iż w następnym tygodniu Pan Jezus zmartwychwstanie.

. . . .

Postny obiad zaczynał się od zupy z piwa, po której pływały grzanki, miasto karasków. Następnie dawano różne potrawy rybne, zastawiając węgorze, śledzie, a obok nich wizinę i łososia, tudzież solone szczuki, karpie. Smakosze zajadali dziwnym sposobem przyprawiane węgorze. Nakropiwszy kawał sukna małmazją, obwijali nim rybę i piekli ją w gorącym popiele, obłożonym z daleka żarzącym węglem. Insze ryby inaczej przyprawiano. Karpia i lina gotowano z czarną juchą (sosem), jesiotra i szczupaka dawano w rosole. Śliże smażone z imbirem dawano z octem, suma i raki, tudzież sandacza, dorsza i pstrągi z masłem zastawiano. Na zimno jadano płotki, liny, kiełbie i flądry.

W. Al. Maciejowski

(Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII wieku.)

GREGORIANKI

W czasie uroczystości świętego Grzegorza, tj. 12 marca, z początkiem wiosny, prowadzą rodzice po wsiach do szkoły ustrojone swe dzieci, które Gregoriankami zowią. Zgromadzone żaki obchodzą uroczystość tę, świętem Gregorianek nazwaną, różnymi zabawami: tak np. bakałarza, udzielającego naukę, opasywano sznurem, nawleczonym obwarzankami; bakałarz uciekał a dzieci, szarpiąc obwarzanki, goniły za nim. Chodzą także dnia tego żaki po wsi, od chaty do chaty, śpiewając i odmawiając załączone tu mowy Gregorianek:

Ja mały żaczek,
Wylazłem na krzaczek,
Z krzaczka wpadłem w wodę,
Zbiłem sobie o kamień brodę.
Zobaczył Pan Jezus z nieba
Dał mi kawałeczek chleba
I obwarzanków kupę,
I białego sera łupę.
Ja mały maluta
Pogubiłem pamputa[1].
Chodziłem do nieba
Za kawałkiem chleba.
Chciałem się wrócić,
Nie chcieli mnie puścić.

Przyjmcie mię, państwo, za ciurę,
Będę ja łapał sąsiadową kurę.
Stoi ciura w płocie,
Będzie kij w robocie.
Jak urznie malutę poza ucha,
Zaraz bieda zostanie głucha.

Wylazłem na banię[2]),
Powiadałem kazanie,

---

[1]) Pantofle.
[2]) Tu kopuła na wieży.

Powiadałbym jeszcze,
Ale mi się jeść chce.
Zleciał Anioł z nieba,
Dał mi kromę chleba,
A ja jemu za to
Trzewiki na lato,
Buciki na zimę
A sam hoc, kiec pod pierzynę.

Żegota Pauli
(Pieśni ludu polskiego w Galicji)

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE ZIMOWE

1 *st.*: Na Nowy Rok przybyło dnia na zajęczy skok.

Styczeń — do pieca się przyczyń.

6 *st.*: Na Trzech Króli każdy się do pieca tuli.

Od Trzech Króli będą mrozy do Gertruli.

Gdy Trzy Króle pogodą obdarzą, nie zasypiaj ranków gospodarzu.

Królowie pod szopę, dnia na kurzą stopę.

21 *st.*: Święta Agnieszka wypuściła skowronka z mieszka.

Święta Agnieszka zagrzeje kamyszka.

25 *st.*: Na nawrócenie świętego Pawła, połowa zimy przepadła.

1 *luty*: Spyta luty — Maszli buty?

Kiedy luty — obuj buty.

2 *luty*: Na święto gromnicy napije się bydło na ulicy.

4 *luty*: Święta Weronika, słonko pomyka.

5 *luty*: Sól świętej Agaty broni z ognia chaty.

(W dzień ten niesie kmieć sól do kościoła do poświęcenia; takową nazywa „sól świętej Agaty" i przyznaje jej władzę gaszenia pożaru).

6 *luty*: O świętej Dorocie wyschną chusty na płocie.

23 *luty*: Święty Piotr gdy się rozgrzeje, wiosna prędko nie przyśpieje.

24 *luty*: Święty Maciej zimę traci albo ją bogaci.

Gdy święty Maciej lodu nie roztopi, będą długo chuchali w zimne ręce chłopi.

Na świętego Macieja, pierwsza wiosny nadzieja.

Jeśli na święty Maciej ciepło, to się będzie długo wlekło.

1 *marca*: W marcu jak w garncu.

Kiedy marzec przeżył starzec — będzie zdrów, kiedy baba w marcu słaba — pacierz mów.

Co marzec wypiecze, to kwiecień wysiecze.

Suchy marzec, mokry maj — będzie żyto, jako gaj.

4 *marca*: Na świętego Kazimierza wyjdzie skowronek spod pierza.

Na świętego Kazimierza czajka przybieża.

Na święty Kazimierz, dzień z nocą zmierz.

10 *marca*: Czterdziestu męczenników jakich, będzie czterdzieści dni takich.

12 *marca*: Na świętego Grzegorza, idzie zima do morza.

19 *marca*: Gdy bocian na święty Józef przyleci, to na skrzydłach przynosi resztkę śnieżnej zamieci.

Święty Józek wiezie trawy wózek, ale czasem smuci, bo śniegiem przyrzuci.

21 *marca*: Na święty Benedyk, kaczka jajko myk (znosi).

25 *marca*: Na Zwiastowanie przybywaj, bocianie!

Na Zwiastowanie jaskółki się ukazują, ludziom wiosnę zwiastują.

O. Kolberg
(Lud.)
K. Wł. Wójcicki
(Archiwum domowe.)

W I O S N A

SKOWRONEK

Z tych wszystkich, którzy za granicę uciekają, on pierwszy powrócił. Toż zima trwała jeszcze, dopiero się luty skończył i nie wiadomo było, co święty Maciej przyniesie, a ty, śpiewaku, już przybyłeś!...

Do bryłki ziemi zupełnie podobny! „Niech oraczowi nie będzie smutno, gdy rolę uprawia!" — rzekł Stwórca świata i w przestwory rzucił grudkę ziemi, a ta ożyła i zaczęła śpiewać.

On z ziemi lubi patrzeć w odkryte niebo, spod nieba — na odkrytą ziemię...

Dziwny twój zawód, pieśniarzu — opiewać światu swe szczęście, nadzieję, a może — niedolę. Uczucie, niby błyskawica, przebiegło przez całą istność, jego echa rozlegają się po duszy, jego dreszcze przejmują cię całego i ty musisz, koniecznie musisz się wypowiedzieć w pieśni.

Przecież on tylko śpiewa, a jednak najpierwszy z pracowników dziennych do pracy śpieszy, ostatni na spoczynek idzie. Kocha, widać, tę sztukę swoją i z całą namiętnością jej się oddaje.

Wzbija się oto po linii, skręconej jak muszla, zatrzymuje się w powietrzu, trzepocze skrzydełkami — coś w rodzaju powietrznych pląsów — rozpoczyna swe hymny. Zapala się, wzlatuje wyżej, wisi w błękicie, „jako plamka szara", nareszcie zupełnie znika ze wzroku i tylko dźwięki pieśni jego słychać.

Opada, zniża się powoli, to lekko spływa, rozpostarłszy skrzydła, to znów przystaje, wydobywa z siebie ostatnie dźwięki. Skończył, wyśpiewał już wszystko, tchu nie czuje w sobie. Zwinął skrzydła i jak kamień martwy całym pędem spadł na niwę swoją.

A. Dygasiński
(Na odlocie.)

BOCIAN

Kiedy on to tam od nas odleciał, a teraz oto na święty Józef w przedniej straży bocianów przybył i bez żadnej ceremonii, z całą poufałością, żajął stare gniazdo na grzbiecie chłopskiej chałupy. Wyglądał tak, jak gdyby stąd wcale nie odlatywał...

Bocian na chłopskiej chałupie sam jak chłop żyje. Rano po rosie śpieszy do pracy, w południe przybywa odpocząć, a po południu, kiedy ludzie idą do roboty, on — także. Na noc też z nimi razem powraca. Dopiero gdy się dochowa dzieci, wtedy zmienia tak samo sposób życia, jak każdy człowiek. — „Ptak a ma rozum lepszy nieraz od drugiego chłopa”. Istotnie wzór to surowych obyczajów jednożeństwa, zapobiegliwości i gorliwości rodzicielskiej, a przy tym — niepospolitego praktycznego rozumu. Stojąc na gnieździe, bocian zda się obserwować okolicę, czynności różnych ludzi swego otoczenia i stosownie do tego urządza swoje życie, okazuje względem współmieszkańców ufność lub niedowierzanie.

Jakiż jest poważny, kiedy na łące odbywa łowy na żaby! Istny profesor, zatopiony w studiach botanicznych. Ale nie tylko w tej postawie jest on charakterystyczny. Nieraz oto szalony wicher dmie; człowiek zaledwie może ustać na nogach, a bocian się trzyma na jednej, nastawiwszy pierś wiatrom, które go daremnie usiłują strącić z grzbietu stodoły. To znowu w powietrzu zatacza wielkie koła, jak gdyby chciał doświadczyć dzielności swych skrzydeł; wówczas cień jego pada na ziemię, a domowe ptactwo pierzcha w popłochu, mniemając, że to wielki łupieżnik, jastrząb.

A. Dygasiński
(Na odlocie.)

WIELKI TYDZIEŃ

Najwcześniejszą zapowiedzią radosnego święta Zmartwychwstania jest obyczaj tłuczenia garnków glinianych w niedzielę środopostną. Dawniej wróżyło to smutny los postnemu żurowi, który od Środy Popielcowej do Wielkiej Soboty królował w kuchni i na stole polskich domów. W środopoście chodzi też w niektórych okolicach dziatwa wiejska po chatach z wystruganym z drzewa bocianem — którego powrót wiosnę zapowiada.

Właściwe obrzędy wielkanocne rozpoczynały i rozpoczynają się jednak dopiero na tydzień przed świętami.

W dawnej Polsce był zwyczaj wycinania w Srodę Popielcową gałązek wierzbowych, malinowych lub porzeczkowych i wstawiania ich do naczynia z wodą. Gdy zazieleniły się i zakwitły na Palmową, czyli Kwietną Niedzielę, chłostano się nimi żartobliwie, z wołaniem:

Nie ja biję — palma bije.
Za tydzień — Wielki Dzień.
Za sześć noc — Wielka Noc!

Palmy te święcono w kościele podczas nabożeństwa i przechowywano aż do następnej Palmowej Niedzieli, przypisując pączkom wierzbowym, które w ich skład weszły, lecznicze własności. Przez rok cały tkwiły uschłe już gałązki za obrazami świętymi, na ścianie. Po czym z nadejściem następnych świąt wielkanocnych rzucano je w ogień.

Zwyczaj ten przetrwał aż do dni naszych. Tylko że dziś nie czeka się na zakwitnięcie gałązek od Środy Popielcowej, lecz się je zbiera z drzew pąkujących przed samym świętem. a w miastach gotowe, ze wsi przyniesione palmy kupuje się na straganach przed kościołem.

Wielki Tydzień. rozpoczynający się w Palmową, czyli Kwietną albo jak dawniej mówiono, Wierzbną Niedzielę, jest okresem uroczystych nabożeństw, poświęconych wspomnieniom Męki Pańskiej. Nie brakło też w nim, od dawnych lat, pewnych specjalnych obyczajów i obrzędów, z których bardzo wiele dziś już zaginęło.

Ażeby w dniu Palmowej Niedzieli dodać świętu uroczystości i pobudzić umysły do żywszego przejęcia się pobożnymi uczuciami, grywano po kościołach dialogi o Męce Pańskiej. Poza tym po skończonym nabożeństwie młodzież szkolna i nieszkolna, uszykowawszy się w świątyni we dwa rzędy, wypowiadała żartobliwie oracje o śledziu, o poście, o przysmakach wielkanocnych. Ponieważ jednak obyczaj ten przybrał charakter, nie licujący z powagą domu Bożego, więc duchowieństwo skasowało go i od czasów Augusta III te wesołe przemówienia odbywały się po domach prywatnych.

W Krakowskiem obyczaj chodzenia z oracją w Kwietną Niedzielę przechował się aż do naszych czasów. K o l b e r g opowiada o tak zwanych „puchernikach" [1]), którzy, wymazawszy się sadzą, wędrują po chatach, prawiąc wesołe oracje i prosząc o dary.

---

[1]) Od wyrazu puer — chłopiec po łac.

W minionych wiekach urządzano też w Polsce w Kwietną Niedzielę procesję, mającą wyobrażać wjazd Chrystusa Pana do Jerozolimy. Uczestnicy jej nieśli w ręku palmy, które ksiądz błogosławił przed ołtarzem. Potem wychodziła procesja ta na cmentarz, a po obejściu go, przy śpiewie antyfon, powracała do kościoła, gdzie odprawiano mszę. Lud wprowadził do tego obchodu drewnianą figurę osiołka, którą do niedawna można było jeszcze widzieć w krakowskich kościołach pośród starych rekwizytów.

„W Wielką Środę — mówi w swych *Pamiętnikach* Kitowicz — po odprawionej jutrzni w kościele, która się nazywa Ciemną Jutrznią, dlatego, iż za każdym psalmem odśpiewanym gaszą po jednej świecy, jest zwyczaj na znak tego zamieszania, które się stało w naturze przy Męce Chrystusowej, że księża psałterzami i brewiarzami uderzają kilka razy w ławki, robiąc mały tym sposobem łoskot. Chłopcy swawolni, naśladując księży, pozbiegawszy się do kościoła z kijami, tłukli nimi o ławki z całej mocy, czyniąc grzmot po kościele jak największy tak długo, aż dziadowie i słudzy kościelni, przypadłszy z gandżarami [1]), nie wyparowali ich z kościoła. Ale chłopcy, szybciejsi w nogach od starych dziadów, urwawszy tego i owego po plecach kijem, sami zdążyli przed gandżarą umknąć z kościoła. Toż dopiero zrobiwszy bałwan z jakich starych gałganów, wypchany słomą, na znak Judasza, wyprawili z nim na wieżę kościelną jednego lub dwóch spomiędzy siebie, a drudzy z kijami na pogotowiu przed kościołem stanęli. Skoro Judasz został zrzucony z wieży, natychmiast jeden porwawszy za postronek uwiązany u szyi tego Judasza, włóczył go po ulicy, biegając z nim tu i ówdzie, a drudzy, goniąc za nim, bili go kijami nieprzestannie, wołając, co gardła: — Judasz! — póki owego bałwana wniwecz nie popsuli... Lecz ta swawola chłopców, w zwyczaj wprowadzona, jako pokrzywdzająca domy boskie, sługi kościelne... za wdaniem się w to szkolnych profesorów i rządców publicznych... nareszcie ustała.

Zostały się chłopcom do zabawki grzechotki. Te miały początek w Wielki Czwartek, a koniec w Wielką Sobotę: trwały przez ten czas, przez który kościół nie używa dzwonów do dzwonienia, tylko klekotów do kołatania. Jak prędko na wieży kościelnej odezwała się klekota, chłopcy natychmiast nie omieszkali biegać po ulicach z swoimi grzechotkami, czyniąc nimi przykry hałas w uszach przechodzącym...

---

[1]) Gandżara — rodzaj batoga.

Klekot kościelny wiele miał części podobnych do tego instrumentu którym len chędożą i był osadzony na kółkach jak taczki, dla sposobności toczenia go po ulicy około kościoła, dla oznajmienia ludowi czasu zbliżającego się nabożeństwa".

W Wielki Czwartek czci kościół katolicki pamiątkę Ostatniej Wieczerzy, podczas której Chrystus chleb i wino na Ciało swe i na Krew swą poświęcił. W dniu tym odbywa się po kościołach katedralnych uroczysty obrządek mycia nóg dwunastu ubogim starcom. Aktu tego dokonywują biskupi ze swoim klerem. Dawniej czynili to królowie polscy. Ma on na celu przypomnienie pokory, z jaką Zbawiciel, przed Ostatnią Wieczerzą, obmył stopy uczniów swoich.

W Wielki Piątek, po nabożeństwie, pięknie ustrojony i rzęsiście oświetlony grób Chrystusowy ściąga liczne rzesze pobożnych do kościoła. Jest on jedynym dziś przypomnieniem przedstawień pasyjnych, które się niegdyś na równi z jasełkami po świątyniach odbywały. Najstarsze z takich widowisk — to przedstawienie odgrywane w Katedrze Krakowskiej w XIII a może już i w XII wieku. Brało w nim udział siedem osób: a więc dwóch chłopców, którzy trzymali straż przy grobie, i pięciu zakonników, grających role Trzech Maryj i dwóch apostołów: św. Piotra i św. Jana. Odbywało się to widowisko w nawie głównej pomiędzy chórem a zakrystią.

W Wielki Piątek też obchodzi się w niektórych okolicach Małopolski z uroczystą procesją pola lub też zakopuje się w roli maleńkie krzyżyki, by urodzaj wyprosić.

W Wielką Sobotę ważnym u ludu naszego obrządkiem jest święcenie ognia. Po chatach gaszą wtedy stary ogień, a przynoszą z kościoła na rozniecenie nowego poświęcone, płonące świece.

Zakończeniem nabożeństw wielkotygodniowych jest rezurekcja. Dawniej, według ogólnie przyjętego obyczaju, podczas odprawiania jej strzelano w stolicy z armat, w chwili gdy ksiądz intonował wesołe „Alleluja", a uczestnicy nabożeństwa powtarzali pomiędzy sobą ten wyraz, niby radosne pozdrowienie. Przestrzegano też pilnie, by się na rezurekcję nie spóźnić. Kto nabożeństwo zaspał, ten nie miał prawa jeść święconego. A kara to była sroga. O przysmakach wielkanocnych marzono bowiem przez post cały. Gotowano się też ochoczo do zemsty nad żurem i nad śledziem, które królowały niepodzielnie w kuchni od Środy Popielcowej aż do Wielkiej Soboty.

„W Piątek Wielki wieczorem — dodaje jeszcze Kitowicz — albo w sobotę rano, drużyna dworska przy małych dworach, uwiązawszy śledzia na długim i grubym powrozie, do którego był nicią cienką przyczepiony, wieszała nad drogą na suchej wierzbie albo inszym drzewie, karząc go niby za to, że przez sześć niedziel panował nad mięsem, morząc żołądki ludzkie słabym posiłkiem swoim.

Żur wynosili z kuchni, jako już dłużej niepotrzebny, co było sidłem dla zwiedzenia jakiego prostaka. Namówili go, żeby garnek z żurem w kawale sieci wziął na plecy i niósł go tak, albo na głowie trzymając, niby do pogrzebu. Za niosącym frant jeden szedł z rydlem, mający dół kopać żurowi i w nim go pochować. Gdy się wyprowadzili z kuchni na dziedziniec, ów, co szedł z rydlem, uderzył w garnek, a żur natychmiast oblał niosącego i sprawił śmiech asystującym temu zmyślonemu pogrzebowi żurowemu i patrzącym na niego".

Tak mszczono się na chudej strawie wielkopostnej, marząc o delicjach święconego.

M. D.

ŚWIĘCONE

Uroczystość Wielkanocy była w Polsce od najdawniejszych czasów uświetniana obfitą ucztą, która tradycyjnie łączy się z ucztami pogańskimi, urządzonymi przy obchodach, podczas których witano radośnie powracającą wiosnę. Oczywiście uczta ta, połączona ze świętem chrześcijańskim przyjęła chrześcijańskie znamiona. Posiłek bowiem, jaki się podczas niej spożywa, musi być przedtem p o ś w i ę c o n y, stąd nazwa ś w i ę c o n e g o.

Więc też podczas gdy kościół przygotowywał się uroczyście do dnia Pańskiego Zmartwychwstania, podczas kiedy wygłodzone żołądki i pokrzywdzone strawą postną podniebienia wzdychały do wielkanocnych specjałów, ród białogłowski, jak Polska szeroka i długa, trudził się około przyrządzania ich tak, aby tradycyjne święcone nie zrobiło wstydu gospodyni domu i liczne rzesze gości suto i smacznie nakarmić mogło.

Na wielkopańskich dworach dopomagali pani domu uczeni kuchmistrze. Po skromniejszych dworkach szlacheckich wypadało jednak samej dołożyć i ręką i głową, by dobrej sławy domu na szwank nie narazić.

Więc też ślęczała jejmość już od Kwietnej Niedzieli nad pożółkłymi seksternami, gdzie się kryły zazdrośnie przed okiem sąsiadek-rywalek tajemnice sztuki kulinarnej, ręką prababek spisane.

Wielka Sobota kładła kres trudom około święconego. Wtedy na stole, biało nakrytym, ustrojonym zielenią, ustawiano obok siebie wykonane arcydzieła. Na środku królował baranek, tj. po prostu jagnię, na sucho upieczone. Z czasem zastąpił je baranek wyrobiony z masła, a później jeszcze, po miastach, z cukru sfabrykowany i kupiony w cukierni.

Dookoła niego widniały mięsiwa strojne w gałązki bukszpanu, jaja gotowane na twardo, ser, po bokach rozkładały się słodycze mazurkowe, a straż nad tym wszystkim dzierżyły baby, dostojne w swych czepcach z białego cukru, posypanego kolorowym maczkiem.

Wreszcie przychodziła chwila uroczysta: przybywał ksiądz proboszcz, by poświęcić te specjały.

Święcone w chatach wiejskich bywało oczywiście skromniejsze. Nie brakło w nim jednak kawałka wędzonego mięsa, białego, słodkiego kołacza, sera, chrzanu i tradycyjnego jajka.

Lud nasz wytworzył nawet specjalną gałąź zdobnictwa, strojąc jajka wielkanocne w różnobarwne, nieraz bardzo subtelnie i artystycznie pomyślane desenie. Malowanie tych jajek, czyli tzw. pisanek wykonywa się techniką tak modnego dziś batiku.

Święcone swe a przynajmniej jego część najważniejszą, tj. sól, jaja i pieczywo, niosły gosposie wiejskie w Wielką Sobotę do kościoła lub do dworu, gdzie je ksiądz proboszcz święcił.

Jeśli uczta wigilijna była świętem raczej rodzinnym, to w dniu Wielkanocy otwierały się gościnnie podwoje polskiego dworu na przyjęcie rozlicznych gości, a gospodarstwo, obchodząc przybyszów z poświęconym jajkiem, zachęcali ich radośnie do spożywania nagromadzonych przysmaków w myśl słów Reja: „Używaj, miła duszo!" — boć Wielkanoc bywa tylko raz do roku.

M. D.



ZA DAWNYCH CZASÓW

Wojewoda Sapieha w Dereczynie takie wyprawił święcone, na któr[e] zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku by[ł] baranek, wyobrażający *Agnus Dei* z chorągiewką, calutki z pistacjam[i]. Ten specjał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stało cztery przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części roku. Każd[y] dzik miał w sobie wieprzowinę, *alias* [1]) szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuch[mistrz] mistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu tych odyńców. Stało *tandem* [2]) dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych z złocistymi ro[-]gami, całe do admirowania. Nadziane były rozmaitą zwierzyną *alias* zają[-]cami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest pięćdziesiąt dwa, cale cudne placki, mazury, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za nimi było trzysta sześćdziesiąt pięć babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każda była adornowana inskrypcjami, floresami, że niejeden tylko czytał a nie jadł. Co zaś do bibendy, było cztery puhary *exemplum* [3]) czterech pór roku, napełnione winem jeszcze od czasów kró[-]la Stefana. *Tandem* dwanaście konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie. Te konewki *exemplum* dwunastu miesięcy. *Tandem* było pięćdziesiąt dwie baryłek także srebrnych *in gratiam* [4]) pięćdziesięciu dwóch tygodni było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej trzysta sześćdziesiąt pięć gąsiorków z winem węgierskim, *alias* tyle gą[-]siorków, ile w roku. A dla czeladzi dworskiej osim tysięcy siedemset sześćdziesiąt kwart miodu, to jest tyle, ile godzin w roku.

Kurier Warszawski

1828 r.

---

[1]) Alias — czyli.

[2]) Tandem — zatem.

[3]) Na wzór.

[4]) Na pamiątkę, w cześć.

ŚWIĘCONE U RADZIWIŁŁA

...Przez cały Wielki Tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie łykając pył książek, które w księgarni J. O. księcia, że były długo nie czytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W Sobotę Wielką, gdy pan Harmider z działami i puszkarzami wyruszył na rezurekcję, udałem się także do Nieświeża, abym przytomny był letycji [1]) i allelujom. Rezurekcja odbyła się, jak należy — książę pan z przyjacielem swoim, J. P. Abrahamem Duninem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszej ławce, karmazynami wybitej, a w procesji nieśli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerny przed kościołem, wysłany makatami i liściem ajeru, wydawał się jak łąka kwiecista...

. . . .

Po skończonej rezurekcji, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc: „Christos woskres"[2]), całował się ze wszystkimi, po czym zawołał: „Mości Panowie... proszę za mną do bramy na litanię. Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednej z bram, gdzie był obraz Matki Boskiej. Brama była wąska i ciemna jak spelunka, a jedna tylko lampa wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął J. O. książę z aksamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klękliśmy rzędem; wtenczas małe pacholę, sierota, którego książę chował przy sobie i bardzo lubił dlatego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiewał, wystąpiło w białym ubraniu i klęknąwszy przed J. O. księciem, twarzą do Matki Boskiej, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości :

Regina coeli laetare alleluia,
Quia quem meruisti portare alleluia,
Resurrexit sicut dixit alleluia [3]).

. . . .

W zamku czekał nas aspekt niespodziewany. Skoro bowiem otworzono drzwi do pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura przesiąkła zapachem

---

[1]) Letycja — radość.

[2]) Po białorusku — Chrystus zmartwychwstał.

[3]) Ucieszysz się, Królowo niebieska, ponieważ zmartwychwstał, jak obiecał, Ten którego godna byłaś zrodzić. Alleluja.

święconego, które urządził kucharz pierwszy. J. O. księcia, Włoch Loga ku krotochfili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy, książę zawołał: „Mości panowie, do ataku!” Co wymówiwszy, zdjął z pierwszego pasztetu czapkę, i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kuropatw, jemiełuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które, potłukłszy okna, powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzje, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak że czasami wlatywał szrut do sali i spadał gradem, od pułapu odbity, na nasze łysiny — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekł zwierzyny; kucharz się tłumaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie, stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekł w niej całego Laokonta z wężami — a gdy to wytłumaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historię Eneasza przez Wirgiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtem J. O. książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną, nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, aż się rozleciała — i ujrzeliśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrępowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!” krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz Loga niby zawstydzony odezwał się: „Decoctus erat, sed resurrexit” [1]). — „Może to być — rzekł pan Sierotka — a w trzecim pasztecie co?” — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda, przykuta do skały łańcuchami a smokowi oddana na pożarcie. — Jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu, znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Dianę, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowę dzika z paszczęką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem...

Nie mając już co robić w pierwszej owej sali, gdzie już tylko smok i owe salcesony, którymi były skrępowane karły, mogły być ku pożywieniu, weszliśmy za księciem panem do sali drugiej, gdzie już czekały na nas niewiasty i małżonki owych panów, którzy byli do księcia na święcone

---

[1]) Był ugotowany, lecz ożył.

sproszeni... Kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne afektu — a nareszcie i piastunce swojej, która w kącie stojąc, płakała z rozczulenia podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę, która go wzięła za głowę i uścisnęła jak dziecko swoje...

Książę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: „M. panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami... ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozbawia apetytu — proszę się rozgościć".

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencją księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi ale i myśli było przyjemnym. Wsali tej albowiem, wśród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka z wyspą, zielonym owsem pokryta, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkułów, ze skarbcu J. O. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzonych. Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje, niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem wśród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szarymi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonymi na piersiach, jako jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży...

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, roztruchanów, czar złotych i srebrnych, i kryształowych, i win różnych, i miodów, i małmazjów, które się tam obficie znajdowały, a żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później, w pustyniach głód cierpiąc, wspomniało się na owo święcone z niejakim żalem i z chciwością nieprzystojną filozofowi.

Juliusz Słowacki

(Preliminaria peregrynacji do Ziemi Świętej.)

ŚWIĘCONE W POLSKIM DWORZE

...O, ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na ur czyste święta! Błogi wieku dziecinny, jakże ci mało do uszczęśliwien potrzeba, jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinn serce, jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinny jestestwem! Student z Borun, z jakimże uniesieniem postrzegłem daleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić mi łem. Wielkanoc, święto najweselsze! Święto wiosny! Święto odżywi jącej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!...

...Ostatni suchar i ostatni śledź w wieczór ostatniej soboty sp żyty; i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, miłe zal tywały wonie, gdy huczne salwy artylerii księdza proboszcza dawa hasło rezurekcji. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołym *Alleluja*, dzień zaświtał wśród nabożeństwa dzień piękny, wiosenny! Gromadnie i hucznie wychodzono z kościoła „Chrystos woskres! Chrystos woskres!" odzywa się naokoło; pozdro wienia te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeź wość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc przez ulice chałupek około każdej z nich familia poczciwych chłopków, w kupkę zebrana czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do do mu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywa liśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla po dobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał. W pierwszym po koju, świeżą wysypanym jedlinką, długi stół, okryty najsmakowitszym święconym. Tu, na środku, baranek z czerwoną chorągiewką na grzbie cie trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwia stując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem...; dalej indyk utuczony który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niej, dla zapewnienia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcia szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgąskach, ozorach, zającach, cietrzewiach zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt? Na obu końcach stołu siadły

szerokie, przysadziste jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne *Baby*. Ach! bez nich cóż by całe święcone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach jak na twarzy pijaka gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lipka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smacznymi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło.

Oczekiwano księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milczano lub szeptano z cicha. Kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką i Filonek tańcował około stołu.

Przybywa na koniec i ksiądz proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając ze sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi orację przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycji i jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność i respekt dla jego pasterskiej godności, *acuminose* [1]) połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowie, córki i zięciowie ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy...

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanym jajem i nie opuścił najmniejszego dziecka; a z uczuciem równie życzliwym podawał talerz swym dzieciom, jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytwornym, lecz równie obfitym święconym... O, Boże! gdzież się to wszystko podziało? Gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? Gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nieszczęśliwym?... Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

I. Chodźko

(Obrazy litewskie — Dworek mojego dziadka.)

---

[1]) Subtelnie.

ŚWIĘCONE U BORYNÓW

...W Borynowej izbie już się wzięli szykować święcone...

Izba była wymyta i piaskiem wysypana, okna czyste i ściany a obraz omiecione z pajęczyn, Jagusine zaś łóżko pięknie chustką przykryte.

Hanka z Jagusią i Dominikową... ustawiły pod szczytowym oknem wpodle Borynowego łóżka duży stół, nakryty cieniuśką, białną płachtą, któ rej wyręby oblepiła Jagusia szerokim pasem czerwonych wystrzyganek. N środku z kraja od okna postawili wysoką pasyjkę, przybraną papierowym kwiatami, a przed nią, na wywróconej donicy baranka z masła, tak zmyśl nie przez Jagnę uczynionego, że kiej żywy się widział; oczy miał ze ziarn różańcowych wlepione, a ogon, uszy i kopytka, i chorągiewkę z czerwone postrzępionej wełny. Dopiero zaś pierwszym kołem legły chleby pytlow i kołacze pszenne, z masłem zagniatane i na mleku, po nich następowa placki żółciuchne, a rodzynkami, kieby tymi gwoździami gęsto ponabijane były i mniejsze, Józine i dzieci, były i takie specjały z serem i drugi jajeczne cukrem posypane i tym maczkiem słodziuśkim, a na ostatku posta wili wielką michę ze zwojem kiełbas, ubranych jajkami obłupanymi, a n brytwance całą świńską nogę i galanty karwas głowizny, wszystko zaś po ubierane jajkami kraszonymi, czekając jeszcze na Witka, by ponatyka zielonej borowiny i tymi zajęczymi wąsami opleść stół cały.

A tyle co skończyły, sąsiadki jęły zwolna znosić swoje na miskach niecułkach a donicach i ustawiać je na ławie pobok stołu, gdyż ino w kilku chałupach co przedniejszych gospodarzy zbierać się ze święconem ksiądz nakazywał, że mu to czasu brakowało chodzić po wszystkich...

Porozchodziły się bez dłuższej pogwary, by zdążyć jeszcze do kościoła na uroczystość poświęcenia ognia i wody, zalewając przedtem ogniska w chałupach, by je znowu rozniecić tym młodym, poświęconym ogniem. Dopiero w samo południe powracały kobiety, ostrożnie przysłaniając i chroniąc świece zapalone w kościele.

Zaraz z południa zrobiło się na wsi jakby święto, jeszcze tu i ówdzie doganiali grubszej roboty, ale już głównie zajęli się przyodziewkiem świątecznym... i wypatrywali niecierpliwie księdza, któren przyjechał ze dworów dopiero przed zmrokiem i zaraz zjawił się na wsi, w komżę ubrany..

Ściemniało się zwolna, zmierzch cichuśko sypał się na ziemię, zatapiając sady, domy i pola okólne w modrawym, ledwie przejrzanym mącie

bielały kajś niekaj ściany z przypadłych do ziemi chałup i trzęsły się wskroś sadów zapalone światła, górą zaś na niebie jasnym wyrzynał się blady sierp młodego miesiąca.

Wł. St. Reymont
(Chłopi.)

W OGRODZIE OLIWNYM

W wieczór, poprzedzający pojmanie Zbawiciela, poszedł On z gromadką uczniów do gaju oliwnego, by spędzić noc na modłach i rozmyślaniu. Apostołowie, jako ludzie, posnęli wkrótce, sił do czuwania w sobie nie znajdując. Jezus zaś trwał w modłach i w myślach nad męką tak już bliską i tak okrutną.

A że Bogiem był ale i człowiekiem zarazem, więc co boskiego w Nim było, to szło na spotkanie onej męki, co zaś ludzkiego, to się przed nią cofało. I przyszła nań chwila zgrozy takiej, że całe Jego ciało drżeć poczęło, że Mu pot krwawy na czoło wystąpił, a On modlił się głośno pobladłymi usty, błagając Ojca Niebieskiego :

— Jeśli możesz, odwróć ten kielich goryczy ode mnie. Wszelako nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola.

A mówiąc te słowa, wsparł się o drobne, nikłe drzewko osiki, utrudzony wielce i niemal omdlewający w swoim cierpieniu.

Tę jego trwogę, to drżenie przejęła w swe gałązki litościwa drzewina i po dziś dzień ukoić się nie może, a drobne jej listki drżą z szelestem, bo pamiętają o tych bolesnych chwilach przedśmiertnej męki Zbawiciela.

M. D.
(W betlejemskiej szopce.)

W DRODZE NA GOLGOTĘ

Ubiczowany, ukoronowany cierniem, pod ciężarem krzyża upadający, szedł Chrystus na Golgotę, a za nim szły tłumy złego, ciemnego ludu, który się naigrywał z męki Zbawiciela. W onej godzinie nawet głazy przydrożne litość w sobie serdeczną uczuły i gorzkimi zapłakały łzami nad męką Jezusa, ale serca ludzkie twardsze były od głazów.

Wstępował więc Zbawiciel coraz wyżej i wyżej po zboczu góry, krew spływała ze skroni Jego, cierniem poranionych, spływała z ran Jeg ubiczowanego ciała i wsiąkała w ziemię. A gdzie tylko kropla tej krw upadła, tam wyrastała drobna, zielona roślinka o listeczkach okrągłych znaczyła ślad krzyżowej drogi Syna Bożego.

Ludzie roślinkę tę rutą nazwali. Dziś pleni się ona przy wiejskic chatach. Niewiasty strzegą jej przed złym chwastem, dziewczęta plotą w swe wieńce, a kocha ją lud cały, pamiętny na to, że jej drobne, okrągł listeczki wyrosły z krwi męczeńskiej Zbawiciela.

M. D.

(W betlejemskiej szopce

OBRZĘDY WIELKANOCNE

DYNGUS, EMAUS, NOWE LATKO, MAIK-GAIK

W drugi dzień świąt rozpoczyna się chodzenie dziatwy szkolne wiejskich chłopaków i dziewcząt „po święconem", „po wykupie", lub „p dyngusie". Idą oni do dworu, od chaty do chaty wędrują z piosenkam aby sobie nimi wyjednać odpowiedni poczęstunek.

Dziewczęta śpiewają:

Pan gospodarz w środku stoła,
Suknia na nim w złote koła,
Pani gospodyni brzęka kluczykami,
Stąpa koreczkami,
Dla nas darów szuka.
Szukaj, pani, maszli szukać,
Bo nam długo tutaj czekać.
Boć my wózkiem nie jedziemy,
Co nam dacie, to weźmiemy,
Chłopcy, dajcie nam na szpilki,
Kupim sobie za te chwilki,
Bośmy długo w drodze były,
W drodze szpilki pogubiły,
Alleluja

Żegota Pauli przytacza starą, dawniej dobrze znaną piosenkę wielkanocną żaków szkolnych.

Spod kamienia grobowego Chrystus zmartwychwstaje
I dobywa nożyka na święcone jaje.
Krajcie i pijcie — pociecha jedyna,
I dajcie mi skosztować — ja — mała dziecina!
Ja, mała dziecina,
Nie wiem, co łacina,
Niewiele wiem,
Niewiele powiem.
Powiem wam nowinę,
Że będziemy dziś jedli jajko i słoninę,
I jajka farbowane,
I ser przekładany,
I święcone prosię,
I chrzan gorzkawy, co kręci w nosie.

Często chłopcy, chodzący po święconem, przebierają się za Cyganów, dziadów i baby. Czasem też w piosence ich mieści się żartobliwa groźba kradzieży lub obmowy:

Opatrzcie, opatrzcie biednego pacholika,
Żeby wam nie zginęło co z kołka.
Wyjdźcie na werek [1]),
Zdejmijcie nam serek,
Wyjdźcie na faskę,
Zdejmijcie kiełbaskę.
Dajcie nam parę jajek,
Nie narobimy na was bajek,
Dajcie miareczkę prosa,
Będzie wam córeczka rosła.
Dajcie nam sera,
Przyprowadzim wam kawalera.
Zagranicy, na ulicy wojnę my toczyły,
Siedemdziesiąt siedem Niemców my ubiły!

---

[1]) Werek — podniesienie z desek, rodzaj łóżka.

Często też przy obchodzeniu domostw wodzi dziatwa wiejska tz k o g u t k a, który zrobiony jest z piór kapłonich, ustrojony ozdoba z papieru, a toczy się na dwóch kółkach. Przy tym wodzeniu śpiewają:

A my z kurkiem rano wstali,
Pierwszą rosę otrząsali.
Nasz kureczek rano pieje:
— Wstańcie, panny, do kądziele,
A wy, matki, jeszcze śpijcie,
Bo się przez dzień narobicie.
Panie gospodarzu, dla zbawienia,
Dajcie szperki do smażenia.
Pani gospodyni, dla zbawienia,
Dajcie jaj kopę do smażenia.

Z obyczajem wypraszania datków wielkanocnych łączył się od najdawniejszych w Polsce i obyczaj oblewania się wodą w drugi dzi świąt, dyngusem, śmigurstem lub śmigusem nazwany. Już w wieka średnich powstawał przeciw tym obyczajom kościół, widząc w nich źród wyzysku lub swawoli. „Dyngowanie" więc czyli ciąganie do wody byw wielokrotnie przez duchowieństwo potępiane. Pomimo to przetrwał dy gus aż do naszych czasów, z upływem wieków tylko przybierając łagodni sze, bardziej cywilizowane formy. Oto, co o nim pisze tyle razy już cy wany K i t o w i c z :

„Była to swawola powszechna w całym kraju, tak między posp stwem, jako też między dystyngowanymi. W poniedziałek wielkanoc mężczyźni oblewali wodą kobiety, a we wtorek i inne następujące d kobiety mężczyzn, uzurpując sobie tego prawa aż do Zielonych Świąt ale nie praktykując dłużej, jak do kilku dni.

Oblewali się rozmaitym sposobem i amanci dystyngowani; chcąc ceremonię odprawić na amantkach swoich bez ich przykrości, oblewali lekko, różaną lub inną pachnącą wodą po ręce małą jaką sikawką a flaszeczką... Którzy zaś przekładali swawolę nad dyskrecją, nie ma do niej żadnej racji, oblewali damy wodą prostą, chlustając garnka szklenicami, dużymi sikawkami prosto w twarz... A gdy się rozswawo kompania, panowie i dworzanie, panie, panny, nie czekając dnia swe lali jedni drugich wszelkimi statkami, jakich dopaść mogli. Hajducy i kaje donosili cebrami wody, a kompania dystyngwowana, czerpając od ni goniła się i oblewała od stóp do głów, tak iż wszyscy zmoczeni byli jak

wyszli z jakiego potopu... Bywało nieraz, iż osoba, zlana wodą jak mysz a jeszcze w dzień zimny, dostała stąd febry, na co bynajmniej nie zważano, byle się zadosyć stało powszechnemu zwyczajowi.

Takież dyngusy odprawiały się i po miastach między osobami poufałymi. Parobcy zaś po wsiach łapali dziewki, które się w ten dzień, jak mogły, kryły. Złapaną zawlekli do stawu albo do rzeki i tam, wziąwszy za nogi i ręce, wrzucili albo też włożywszy w koryto przy studni, lali wodą póty, póki się im podobało.

Po ulicach zaś w miastach i wsiach, młodzież obojej płci czatowała z sikawkami i garnkami z wodą na przechodzących ; i nieraz chcąc dziewka oblać jakiego gargasa [1]) albo chłopiec dziewczynę, oblał inną jaką osobę słuszną i nieznajomą, czasem księdza, starca poważnego lub starą babę. Kobiety, wiedzące, iż im mężczyźni mogą sto razy lepiej oddać, nigdy dyngusa nie zaczynały i rade były, gdy się bez niego obejść mogły, ale zaczepione od mężczyzn, podług możności oddawały za swoje".

Wbrew tym słowom Kitowicza dodać jednak należy, że u ludu oblanie wodą dziewczyny było poniekąd wyróżnieniem jej wśród towarzyszek. Więc też dziewczęta ceniły sobie ten honor, o czym świadczy piosenka:

Żałowałeś kapki wody,
Precz ode mnie, od urody.
Nie potańczę na dożynku
Z tobą, niemrawo, Jasinku !

Dziatwa i młódź wiejska, korzystając z dyngusu, by sobie poczęstunek wyprosić, śpiewała i śpiewa przy tym :

Przyszliśmy tu po dyngusie,
Zaśpiewamy o Jezusie,
O Jezusie, o Chrystusie...

Oczywiście śpiewka kończy się aluzją do datku wielkanocnego :

Pójdźmy, bracia, do kościoła,
Bo tam będzie Boża chwała.
W tym kościele uklękniemy
I po paciorku zmówiemy.
A z kościoła do oracza,
Da nam chleba i kołacza,

[1]) Gargas — chłopiec, z litewsk.

Od oracza do młynarza,
Będziem skakać u przełaza.
Wyjdzie z młyna młynareczka,
Wyniesie nam dwa jajeczka,
Od młynarza do rataja,
Da nam chleba i dwa jaja.
Od rataja do każdego
Ubogiego, bogatego...

W drugi dzień świąt odbywał się dawniej w polskich miastach t
emaus, tj. rodzaj zabawy ludowej pod otwartym niebem, w miejscu, st
na to zbiorowisko wybranym i oznaczonym. Obrządek ten miał przypo
nać spotkanie zmartwychwstałego Chrystusa z apostołami, dążącymi
Emaus. Kraków po dzień dzisiejszy zachował ten obyczaj. Liczne tłu
ludności wędrują tam w poniedziałek wielkanocny na Zwierzyniec, gd
w pobliżu kościoła SS. Norbertanek stragany z łakociami i kramy pr
nośne czekają na przybyszów.

Uroczystością wiosenną, odprawianą czasem w niedzielę środopost
często jednak przesuwaną ku Wielkiejnocy a nawet ku Zielonym Świ
kom, jest obnoszenie lalki słomianej, zwanej dziś śmiercią albo „śmi
teczką" a dawniej „marzanną". O marzannie, czyli śmierci wspomi
Długosz, który też opowiada o topieniu jej na wiosnę. Akt t
był symbolicznym zaznaczeniem, że zima, śmierć niosąca przyrodzie, k
czy się i że nadchodzi wiosna, a z nią ożywienie zmartwiałych sił natu

Lud nasz przechował resztki dawnego pogańskiego obyczaju, nie
zumiejąc już dziś jego znaczenia. Lalkę, czyli „śmierteczkę" topi się
bagnie albo też pali się ją u kopców granicznych, a po dokonaniu te
aktu zniszczenia, uczestnicy obchodu przynoszą do wsi drzewko zielo
ustrojone we wstążki, ze śpiewaniem: — Śmierć wynieśliśmy ze wsi.
kochane latko przynosimy z powrotem do wsi!

Ponieważ obrzęd ten jest powitaniem nadchodzącej wiosny, term
jego nie może być ściśle określony i zależny bywa od wiosennego rozkw
ziemi.

W niektórych okolicach noszenie „śmierteczki" daje też powód
prośby o datek. Wtedy to dziewczęta, niosące ją, śpiewają:

Szła śmierteczka z miasta,
Pan Jezus do miasta.
Dziewczęta ją niosą,
O jajeczka proszą,
Żebyście im dali,
A nie żałowali.

Pokrewnym z wynoszeniem śmierci, lecz nieco późniejszym, bo do-
iero od Wielkanocy odbywającym się obrzędem jest maik, czyli gaik. W dniu tego obrzędu chłopcy lub dziewczęta obnoszą ustrojoną pięknie ałąź choiny, śpiewając przy tym przed domem, do którego przyszli:

Do tego domu wstępujemy,
Zdrowia, szczęścia winszujemy,
Zdrowia, szczęścia i wszystkiego
Od Jezusa, od samego,
Na ten nowy rok,
Co go nam Pan Bóg dał.
Nasz gaik zielony, pięknie ustrojony!

Nasz gaiczek z lasu idzie,
Przypatrują mu się ludzie,
Idzie po lipowym moście,
Przypatrują mu się goście.
Nasz gaiczek z boru idzie,
Dziwują się wszyscy ludzie,
Dziwuje się wszystka szlachta,
Że nasz gaik idzie z miasta
Nasz gaik zielony, pięknie ustrojony.



Oczywiście i przy gaiku chodzi o poczęstunek. Otrzymawszy go, tak ń dziękują wędrownicy :

Dziękujemy za te dary,
Coście nam je darowali.
Żebyście tu sto lat żyli
I co rano wino pili,
Wino, winko i wineczko
I co rano śniadaneczko.

Takimi to obrzędami, dziś już w wielu okolicach zanikającymi, święno w Polsce Święto Zmartwychwstania i radosny powrót wiosny.

M. D.

RĘKAWKA

Trzeciego dnia świąt wielkanocnych w Krakowie jest obchód r kawki, do którego powodem miłość i wdzięczność. Ponad przedmieście Podgórze, na prawym brzegu Wisły wznoszą się góry skaliste, nazwa Krzemionkami; przy nich mogiła Krakusa. Kochali go poddani i na gr wodza, łzami skropiwszy, tysiące rąk znosiło po garstce ziemi z różny części krainy, czym kto mógł, i w rękawach od sukni czy koszuli zw zanych: stąd powstała Krakusa mogiła, i wspomnienie rękawki. Gdy wia chrześcijańska wprowadzoną została, wszelką pamiątkę z religijnym łącz no obrządkiem. W bliskości mogiły znajduje się kapliczka mała, tam trzeci dzień świąt wielkanocnych uroczyste bywa nabożeństwo. Z ra lud wiejski licznie się zewsząd gromadzi i dzień cały tam obozuje. Ko trzeciej z południa wszystko prawie, co żyje, w tej stolicy dawnej, śpies na oddanie popiołom założyciela wieczystej czci i hołdu. Dzień zwyk bywa pogodny, mnóstwo powozów, tysiące pieszo idących ugina mo na Wiśle, okrywa potem całe wzgórze Krzemionek i mogiłę Krakusa. N bardziej zachwycającego, nic mocniej przemawiającego do serca znale nie można. Wesołość prosta i niewinna jaśnieje na twarzy wszystkich. Pr mogile Krakusa nie ma różnicy stanów; wszystko bez ładu zmieszane zd je się przypominać, że za owych czasów błogich równość i szczerość p nowała, że nie znano wyższych, tylko przez wyższość w cnotach. Bywa dawniej w użyciu rozmaite zapasy ludu i młodzieży szkolnej na palca (ślad to może igrzysk pierwotnych), że niejeden powracał uszkodzon zniesiono je później. Dziś tylko jeden zwyczaj dość zabawny istnieje. T my chłopców miejskich i wiejskich trzymają od rana w oblężeniu cz góry, na której się wznosi kaplica; stąd im bywają rzucane orzechy, jabłk bułki, pierniki itp. rzeczy, za którymi na złamanie szyi spycha jeden dr giego na dół; chwytają, co który może, czasem jeden orzech dziesię i piętnastu na ziemi zbije, a ten, który go zdobywa, kilkanaście pocisk od swoich współzapaśników odnosi w przydatku. Smutek wielki, jeż deszcz lub zimno przyjemność tej zabawy odejmuje. Mogiła Krakusa całym ciągu lata przez mieszkańców odwiedzaną bywa, w święto rękaw z obowiązku niejako.

L. Gołębiowski

(Gry i zabawy.)

KRÓL KURKOWY

„Dla wprawy do odpierania najazdów nieprzyjacielskich — pisze Gołębiowski — była w Krakowie szkoła strzelecka. Od niepamiętnych czasów istniała aż do ostatniego rozbioru Polski. Ćwiczyła się w niej młodzież pierwiastkowo do strzelania z łuków, kusz itp. narzędzi, a za wynalazkiem broni ognistej, z rusznic. Od władców Polski mieli nadane sobie przywileje, a król kurkowy pewne zaszczyty i swobody. Magistrat krakowski rozmaite przepisy udzielał dla tego stowarzyszenia".

Zawody w strzelaniu rozpoczynały się od przewodniego poniedziałku i trwały do świętego Michała. Strzały były najrozmaitsze, bo do różnych celów kierowane. Najważniejszy strzał „do kurka" rozpoczynał się w oktawę po Bożym Ciele. „Kto tego kurka, tj. kogutka drewnianego aż do zniszczenia zupełnego ustrzelił, ten na rok cały mianowany był królem kurkowym". Strzelec, który strzelał przedostatni, a więc ten, kto dobrze poturbował kogutka, nie rozbijając go jednak doszczętnie, otrzymywał na rok cały buławę marszałkowską.

Królestwo kurkowe było godnością nie tylko zaszczytną, lecz i korzystną pod względem materialnym. Zapewniało ono wolność od ceł przy sprowadzaniu wina zza granicy. Oprócz tego otrzymywał król parę metrów purpurowego sukna na szatę godową, rękawice i wieniec.

Członków towarzystwa strzeleckiego obowiązywały pewne przepisy moralne. Za złorzeczenie, kłótnie, zniewagi wzajemne karani byli pieniężnie, kłamstwo było wśród nich surowo potępione. Kto po nieudanym strzale uniósł się gniewem i w tym uniesieniu kuszę od siebie odrzucił, obowiązany był ją podnieść, grosz kary zapłacić i jeszcze dodatkowo spojrzeć na wymalowanego na ścianie azynusa, czyli osła.

Królowie polscy, jak Zygmunt III, Władysław IV, Jan Kazimierz, Sasi — dbali o szkołę strzelecką, odnawiając stale jej odwieczne przywileje. Uległy te przywileje zmianie dopiero za pierwszych lat panowania Stan. Augusta. Wtedy to bowiem komisja skarbowa skasowała swobody, jakimi się cieszył król kurkowy i zamieniła je na stałą pensję 3.000 złp rocznie.

Za czasów przebywania królów polskich w Krakowie, cała rodzina królewska wraz z dworem bywała na obrzędzie obioru króla kurkowego. Uroczystość rozpoczynało nabożeństwo u Panny Marii. Uczestniczyły w nim, oczywiście, wszystkie cechy, z dyrektorem szkoły strzeleckiej na czele. Po skończonej mszy i po odśpiewaniu *Veni Creator*, kierowano się

w pochodzie na ulicę Mikołajską, do tzw. Celestatu, tj. miejsc gdzie odbywały się strzeleckie zapasy.

Przodem szli, wykrzykując i wyśpiewując wesoło, tzw. „lekka strzelba", czyli kozernicy, ustrojeni w perskie, tureckie i tatarskie szaty. Piosenka ich przechowała się aż do czasów Augusta II.

Śpiewali oni rozgłośnie :

A dalejże, kozernicy,
Krzeszcie kurki u rusznicy.
Który postrzeli koguta,
Temu zabrzmi wdzięczna nuta,
A kto kurka zbije,
Vivat król, niech żyje !

A dalejże, kozernicy,
Wsypcie prochu do rusznicy,
Niech będzie suchy, siarczysty,
Posuwisty i ziarnisty ;
A kto kurka zbije,
Vivat król, niech żyje.

A dalejże, kozernicy,
Wbijcie kulkę do rusznicy,
Niechaj będzie okrągluchna,
Smagła, jak weselna druchna ;
A kto kurka zbije,
Vivat król, niech żyje.

A dalejże, kozernicy,
Wprawiajcież się do rusznicy,
A gdy przyjdzie czubić Turka,
Popamięta pies na kurka.
Bóg da — te bestyje
Król kurkowy zbije !

Za kozernikami szły cechy, otaczające bractwo kurkowe, wśród którego kroczył król, niosący na piersiach na srebrnym łańcuchu srebrnego kurka. W końcu całego pochodu posuwały się pojazdy panów i urzędników.

W chwili gdy kozernicy wkraczali do Celestatu, huczne trąby ogłaszały całemu miastu bezkrólewie. Po czym senat, mający wydać wyrok, zajmował przeznaczone sobie miejsce i rozpoczynały się popisy strzeleckie. Śledził ich przebieg liczny tłum widzów, rozmieszczonych nie tylko na ulicy, lecz i na dachach, na kominach i dymnikach.

Gdy kurek został zbity, trębacz z wieży kościoła Mariackiego ogłaszał imię nowego króla.

Wtedy dopiero dawny władca zdawał swemu następcy łańcuch z kurkiem, a dawny marszałek nowemu marszałkowi buławę. Po czym wśród wesołych okrzyków odprowadzano zwycięzcę do domu, gdzie przyjmował on i magistrat i zgromadzenie strzeleckie hojną biesiadą.

M. D.

POLOWANIE NA GŁUSZCA

— Tut panoczek, blisko już. Staniem i poczujem — odezwał się Moroz przejmującym szeptem.

Stanęli obaj nieruchomi i ciemni, jak dwa pnie na sążeń przycięte. Las był około nich znowu sosnowy, młody i śmigły. Giętką choinę zapowiedź świtu głaskała bezdźwięcznym powiewem, czuby jej chwiały się lekuchno, jakby potakując solennemu oczekiwaniu myśliwych.

— Będzie on, będzie.

Taka była w powietrzu elektryczna pewność nadzwyczajnych wzruszeń, że gdy Edward utkwił spojrzenie porozumiewawcze w twarz Moroza, stary wyga leśny na nieme zapytanie skinął dwa razy głową potakująco, jak te sosny:

— Będzie on, będzie!

Krzyk przenikliwy, jakby zbudzonego ze snu kapryśnego dziecka, rozdarł ciszę. Kotowicz drgnął i zapytał wymownym gestem :

— Co to?

— Sowa — objaśnił niemym poruszeniem warg Moroz.

Stali znowu w milczeniu głębokim. Budziły się po lesie kształty; drzewa zaczęły się rozbierać ze swych czarnych burnusów i okazywać wdzięki rozkrzewień. Jakieś się pono otworzyły kwiaty, bo powstawały

wonie ich wiosenne. Przeciągła cisza zaczęła niepokoić Kotowicza. Sp glądał na Moroza, który stał wciąż z półotwartymi ustami, wpatrzony nieokreśloną przestrzeń, ogólnym pozorem wyrażając bezradną biernoś Tylko powieki drgały mu ciągle, znacząc na śniadym zegarze jego twarz nieustanną robotę wewnętrznego organizmu. Raz poruszył ramionami, ra brodę głasnął szybko, jakby odmierzał tymi ruchami upływające minuty kwadranse.

Przyszła nareszcie chwila. Wypłynęła z oddali tak nieznacznie, ż Kotowicz wcale by jej nie zauważył, gdyby nie był wpatrzony posłuszni w Moroza. Strzelec skulił się w szyi, oczyma błysnął fosforycznie, chwyci jak w kleszcze, ramię Edwarda i wyrzekł szeptem przenikliwym, rozmiłc wanym :

— Hraje ! [1])

— Gdzie ? — odszepnął Kotowicz, szukając uchem dźwięku po nie mym lesie.

Moroz zmarszczył tylko twarz na znak milczenia, nasłuchiwał znowu chwilę, dosłyszał, nerwowym skinieniem potwierdził — i chwycił Kotowicza silnym objęciem za prawe ramię.

— Ciapier so mnoj ! [2]) — raz, dwa, tri !

Żelazny dziad uniósł z sobą lekkiego Edwarda na trzy skoki, potem osadził go nieruchomie w pozie, w jakiej oba zapadli. Chwila ciszy i znowu porwał go Moroz na trzy kroki posuwiste. — Znowu cisza kamienna — Edward czuł elektryczne drżenie dłoni Moroza, słyszał takt serc podwójny.

Za następnym porwaniem się w skok zrozumiał Kotowicz nareszcie głos płynący z puszczy, który dotychczas był mu jakby dalekim gadaniem starego, ochrypłego zegara :

— Tyk-tyk-tykut, tykut, tykut — szcze-cze-cze–cze–cze–ta–szka...

Więc to jest słynna pieśń ? — głucha, drewniana — jakaś dziwna

Wiedział z opisów, że pieśń ta składa się z trzech motywów: z bąkania, telękania i czyhitania, że tylko podczas ostatniego kogut doszczętnie głuchnie i wtedy można skakać, łamać gałęzie, nawet strzelić bez zwrócenia uwagi głuszca. W przerwach i podczas bąkania trzeba się zachowywać jak pień leśny, gdyż wielki książę puszczy, na śmierć zacietrzewiony w swe

---

[1]) Gra — po białorusku.

[2]) Teraz ze mną.

pieśni miłosnej, czujny jest w przerwach i nieufny, jak żaden z mniejszych uskrzydlonych matadorów.

Po paru jeszcze wspólnych posunięciach Kotowicz oświadczył, że sam już potrafi skakać, niech tylko Moroz idzie naprzód. Kilka słów niezbędnych do tego porozumienia przekroczyło jednak może granice „pieśni”, bo umilkła na kilka minut. Ale myśliwi stali osłonięci choiną i opodal jeszcze od głuszca, więc śpiewak namyślił się po przerwie i ostrożnie przebąknął — raz.

Kotowicz już się nachylił do skoku, ale go Moroz zatrzymał groźną miną. Dopiero gdy się znowu głuszec rozczyhitał, skoczyli obaj i zbliżyli się do głuszca o kilka posunięć, teraz już nie po trzy ale po dwa kroki.

Wtem w rytmicznej harmonii pieśni i podkradów zgrzytnął fałsz tak maleńki, że nie obudziłby chyba czujności lisa : Kotowicz, kończąc skok, stąpił na suchą gałąź, która trzasła między mchem i butem — już po pieśni. Moroz drgnął i skamieniał, przeczuwając nieszczęście. Jakoż zamiast nowej pieśni, spodziewanej od choiny, gdzie już czuli głuszca myśliwi, spłynął wśród igliwia cień ogromny, rozskrzydlony i oddalił się z lekkim łopotem.

— Nie poszancowało ! [1]) — rzekł głośno Moroz, odwracając do Kotowicza twarz mocno niezadowoloną.

— Poleciał ! — stwierdził Edward żałośnie fakt oczywisty.

Moroz zdjął czapkę, przetarł ręką twarz, podrapał się niecierpliwie w głowę. Po chwili znowu czapkę narzucił i rzekł ochoczo:

— Poczekaj, panoczek: drugoho majem. Ja jego czuwał, kiedy my do tego skakali. Tylko już panoczek na haljo nie polezaj [2]).

Kotowicz przyjął bez obrazy zasłużoną uwagę i stąpał odtąd ostrożniej po gruncie mszystym, w którym noga grzęzła miękko i cicho, a przeszkody coraz łatwiej było omijać, bo przybywało światła. Zaledwie uszli ze sto kroków, odezwała się wyraźnie pieśń, tym razem bliższa, bardziej jeszcze upragniona, bo już ją Edward znał i miał wyrytą w mózgu, jako formułę nowej, z niczym nieporównanej rozkoszy. Chociaż niezbyt często polował, pamiętał przecie silne łowieckie emocje, spotykał się z dzikiem w kniei, gonił konno za lisem i jeleniem. To było co innego. Dzisiejsza

[1]) Nie poszczęściło się.
[2]) Nie właź na chrust.

pieśń przypominała mu raczej śpiew słowika w romantyczną noc majową. Chociaż pozbawiony melodii, szklano-drewniany ten kurant niósł tak do kochania puszczy, jak fletniowy trel słowika do kochania dziewczyny.

— Tyk-tykut, tykut... — i szmerfhel fałszywy a pyszny, niby zgrzyt po szkle — skąd niektórzy nazywają z niemiecka koniec pieśni „szlifowaniem".

Skakali z Morozem łatwo i cicho, wykręcając swą drogę na pnie grubsze i miejsca osłonięte. Znaleźli się wreszcie przed bukietem sośniny, z którego wypływał ten czar pociągający, prawie równie przygłuszony z bliska jak z oddalenia, ten głos pełen tajemnicy i samczej zawziętości. Stanęli „pod pieśnią".

Ale gdzie on jest? Moroz go już widzi, bo nie skacze dalej, choć głuszec tnie pieśń za pieśnią. Bada spojrzeniem Kotowicza, czy i on go widzi. Nie! — Coś w tej choinie siedzi niepojętego, co gra, ale ptaka, wielkości indora, nie widać.

Moroz wznosi podczas pieśni rękę i palcem wskazuje w jedno miejsce.

Za kierunkiem tego palca Edward zapuszcza spojrzenie w zagmatwaną choinę, wypatruje, ślepi. — Jakieś zgrubienie gałęzi... to byłby on?

Nie, to kiść igliwia. — Ale Moroz trzyma wciąż rękę wyciągniętą, nieruchomą jak drogowskaz. Powtórnie spoziera Kotowicz w to miejsce. Może to i głuszec? Taki mały, jak ciemny gołąb z wyciągniętą szyją? O! ruszył się! Zmienił pozycję — siedzi teraz, jak jastrząb w poprzek gałęzi.

I znowu pieśń — to on!

Kotowicz podniósł strzelbę, złożył się — nie widział w półmroku ani lufy, ani muszki, ale przecie strzelba znajoma — palnął.

Wielki cień rozskrzydlony zsunął się z gałęzi, uciekając z wyraźniejszym tylko łopotem, niż poprzedni.

— No, i cóż?! — zawołał Moroz prawie groźnie, a twarz miał znękaną i zgorszoną.

— No, i nic — poleciał! Nie rozumiem.

Edward poczuł, że nie może śliny przełknąć, tak mu zaschło w gardle, i ogarnęło go dotkliwie rozczarowanie, podobne do żalu za snem pięknym, niedośnionym. Świt się rozwidniał, głuszca już dzisiaj nie będzie. — Jakże on cudownie grał!

Moroz odpowiedział tęsknym echem na niewyrażoną myśl Kotowicza:

— Pieun [1]) był sławny!...

Spowszedniało na świecie: dzień jasny zaczynał oblewać całe niebo i wykrawać z mroku nieprzeliczone leśne profile. Świt nienawistny, bez nadziei, bez głuszca!

Kotowicz i Moroz powracali do furmanek niedbale, zrazu milcząc. Potem zaczęli się pocieszać i tłumaczyć sobie niewowodzenia...

Różne ptaki obudzone, gwiżdżąc i plotkując, śmiały się z myśliwych, powracających z próżnymi rękami.

J. Weyssenhoff
(Puszcza.)

DO HAL

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada owiec, krów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach.

Zamknięci za skalnymi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, osypywani gradem, ogłuszani piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonieni dziurawym dachem i ścianami, przeświecającymi na przestrzał, żyją oni życiem twardym i dzikim, pasterskim życiem koczowniczych plemion...

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przeginą śniegi w górach, i zima wygląda tylko z ciemnych kominów i żlebów, wybierają się pasterze z „dziedzin", ze wsi, na hale.

Płowe niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga zza wirchów; brzegi potoków świecą się stokrotkami, dzwonkami, lśnią się jaskrem i gwiazdami podbiela; potoki pozdzierały i uniosły zawalające ich dna bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego. Jałówki i owce beczą i pozierają ku halom, a niestrzeżone uciekają z szopy w wirchy, między turnie, na zielone upłazki, na których wysypują się trawy i kwiaty.

W dniu umówionym wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z b a c ą i zdają mu na jego odpowiedzialność.

---

[1]) Śpiewak albo kogut.

Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciupagą na drodze, i cały kierdel[1]) z bekiem i brzękami dzwonków, z naszczekiwaniem psów wędruje kamienistymi drogami, przez lasy ciemne, przez wirchy i jary, brnąc przez potoki, coraz wyżej do szałasów na halach.

Białe, zbite stado pstrzy się gdzieniegdzie plamami czarnych baranów; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnymi kudłami na skroniach, podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczyma czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką, krótką sierścią; na zadnich kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta. Tryki, mniejsze od owiec, niosą na zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobkowane rogi.

Idą krowy łaciaste, jęcząc ogromnymi, miedzianymi dzwonami, wiszącymi u podbródka; konie niosą na grzbiecie, przyczepione do terlic, rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie.

Stary baca, sam z twarzą owczą, z długimi kręconymi włosami, idzie spięty pasem szerokim, jak gorset, świecącym nabitymi guzikami i wielkimi mosiężnymi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty. Juhasi — w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach lśniących, jak cerata od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach i portkach odartych, z ogromnymi pasiastymi torbami wełnianymi, których długie na łokieć frędzle dyndają się im u kolan. Juhaski — w pomarańczowych chustach, w czerwonych płachtach lub serdakach obcisłych na piersi, w granatowych spódnicach; nogi ich obwinięte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce.

Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnym i czystym powietrzu, oblana słońcem, wesoła i budząca swymi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy echa, drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór...

Na koniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i oto wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z obdartym dachem. Czarne, zakopcone wnętrze, zasypywane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z

---

[1]) Stado.

w a t r y, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szałasisku, zazierał swoim czarnym ślepskiem przez szpary; jacy tu źli ludzie albo też samo „złe" siadywało w tej pustce! Toteż baca, wchodząc do pustego szałasu, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" W ogóle całe to pasterstwo otoczone jest mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do s t r ą g i, zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc okadza strągę trzy razy od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed strągą i z juhasami na klęczkach odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecedzaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa.

Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach w a t r a chwieje się czerwonym płomykiem, dym napełnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy; całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć wpół godziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi, rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjściu stad na halę zjawiają się gazdowie, właściciele owiec, i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska dla przekonania się, jaką jest pasza i jaki udój; nazywa się to: przejść d o m i r u. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda, wydoiwszy swoje do g i e l e t y, bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znak, jak wysoko sięgało mleko w gielecie. Jeden patyk zabiera ze sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do dziedziny, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napełniają gieletę wodą, na wysokość miary, oznaczonej na patyku — wodę tę ważą: ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania, jakkolwiek pierwotny — jest jednak dość skomplikowany.

Baca jest panem z ojcowską władzą na szałasie; jest on tak jak i juhasi płatny serkami, przy czym gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części letniego zysku.

St. Witkiewicz
(Na przełęczy)

MUZYKA I TANIEC GÓRALÓW

Obraz Podhalan w ogólności, a w szczególności ich pasterstwa nie byłby zupełny, gdybym nie powiedział coś o ich muzyce i tańcu. Muzyka i taniec są w ich życiu, są w chwilach pełniejszych czuciem i wdziękiem, są więc ważną częścią tego życia, nieobojętnym rysem jego oblicza dwustronnego: wewnętrznego i zewnętrznego.

Narzędzia muzyczne najpowszechniejsze między góralami są: skrzypce, gęśl, bas, lira czyli kobza i dudy, to jest dwie piszczałki wprawione w miech z koziej skóry, ale najpowszechniejsze są flety, piszczałki, fujarki i dudki rozmaitego rodzaju, na koniec trąby pasterskie, czyli ligawki.

Skrzypce, basetla, gęśl stanowią muzykę więcej domową, konieczną, gdzie są tańce. Można jednak czasem usłyszeć skrzypce i gęśl w głębi gór najustronniejszych. Kobza i dudy są najczęściej instrumentami śpiewaków żebrzących, muzyków błędnych. Najulubieńsze juhasom i górom są ligawki i cała rodzina piszczałek. Ligawka służy juhasowi głównie do porozumienia się z trzodą, jej to głos wyprowadza trzodę na pastwisko, skupia, ile się razy zanadto rozprószy, i na nocleg do koszar zwołuje. Ligawka jest to drewniana trąba, długa do dwóch łokci, niekiedy więcej. Głos jej donośny i dziki, przypada tylko do gór i lasów, wydaje się, jak żeby z ich piersi był wydobyty, i dziwne robi wrażenie a nawet bardzo miłe, kiedy się rozlegnie po głuszy lasów i dolin, kiedy się łamie na skalistych szczytach i ścianach.

Milsze są od niej łagodniejszym dźwiękiem piszczałki. Są one rozmaitego kształtu. Zajął mię szczególniej jeden rodzaj. Jest to flet otwarty z obu końców i ma tylko dwie dziurki dla dwóch palców. Mimo to ma głos dziwnie miły i rozmaity. Wygrywano na nim jak najdokładniej wszelki śpiew góralski.

Co się tyczy ich muzyki, skala jej nie jest rozległa. Śpiewy ich są posępne, wysilone, przeciągłe, wyobrażają niejako hukanie z jego rozgłosem po górach. Jest w nich pewna jednotonność, dlatego uczenie się ich trudne; udało mi się jeden zrozumieć, i zdaje mi się, że już wszystkie umiem. Mimo to słyszane między górami nie tylko, że nie rażą, że nie męczą, przeciwnie ożywiają, porywają, zachwycają.

Równie trudno dać wyobrażenie o tańcu góralskim. W niektórych częściach przypomina on taniec Rusinów, ale ma jedną figurę właściwą tylko góralom, kiedy góral zamknięty krążącym kołem taneczników, wy-

rabia na środku rozmaite skoki, a razem ciska raz po raz siekierką w górę i chwyta ją w powietrzu ze zręcznością zadziwiającą. Nadaje to jakiś męski charakter tańcowi, przypomina wojenne tańce starożytnych.

Muzyka tańca jest całkiem oryginalna, nie podobna do żadnej muzyki tego rodzaju: jest niby jednotonna, ale tak rozmaita, tak jakaś nieskończona, tak dzika w swoim tonowaniu, że mieszkający nawet od dawna między góralami nie mogą jej wygrać. I rzadki jest, kto by tego w zupełności dokazał.

Seweryn Goszczyński
(Dziennik podróży do Tatrów.)

TANIEC GÓRALSKI

„Lekkie nogi" — nadzwyczajna szybkość biegu i zdolność do skoku — te przymioty bohaterów Iliady są również przymiotami, cenionymi w sposób niezwykły w góralach.

Zbójnik nowozaciężny zdawał rodzaj egzaminu ze swej zręczności i siły skoku „z bucka na jedlickę"... Dość jest przejść się parę dni w towarzystwie górali, żeby widzieć, do czego są zdolni, jak są wytrzymali i jaką jest rzeczywiście lekkość ich nóg...

U takiego też ludu mógł się jedynie urodzić taki taniec z b ó j n i c k i, i tylko oni mogą po kilkunastu godzinach forsownego marszu, z ciężkimi torbami na plecach, zamiast spać jak świstaki, tańczyć jak opętani.

Oto na skrawku łączki, pod lasem lub gdzie bądź przed szałasem, lub schroniskiem, pozrzucali na kupę torby i cuhy, pozrzucali i kapelusze albo je przymocowali pod brodą z a w a d ł a m i, następnie wbijają wszystkie ciupagi w ziemię i zaczynają dokoła nich taniec. Każdy po kolei staje przed grajkiem, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę i puszcza się drobnego. W końcu wszyscy już są w kole i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo, taniec opętany, wariacki, w którym, na tle pewnego ogólnego tempa ruchów, każdy odpowiednio do swego temperamentu i zdolności tancerskich improwizuje rozmaite ruchy i skoki. Ten łagodny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod boki i wyprostowany rzuca sobą w powietrze, padając ukośnie na ziemię jak gwóźdź olbrzymi. Ten drab potężny, o czerwonej, spoconej twarzy, wyrzuca się w górę na sążeń, zgina nogi, uderza z trzaskiem w locie

dłoniami po piętach i spada z hukiem. Ów z nadzwyczajną elegancją i szykiem drepcze w miejscu, pochylony jak gdyby się zachwycał własnymi nogami. Tamten bije z zaciekłością nogą o ziemię, jak gdyby chciał w niej dziurę wybić lub roztrzaskać własną piętę. Ów przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze jak raca. Tamten przeciera obłąkane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętanym, pijanym jakimś szałem, a jego nogi same, bez jego woli i wiedzy, trzęsą się na miejscu w jakichś zygzakowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamoczą się, tupią, śmigają rękami i nogami, i zdają się być zębami jednego koła lecącego w najszybszym obrocie. Znowu muzyka wolnieje, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, sczepiają je ostrzami, trzymając wysoko i tańczą w koło zwolna jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie nad oczyma, ukrytymi pod wystającym jak okap zrębem czoła, ściska konwulsyjnie skrzypki i rznie jeszcze wściekléjszym rytmem, a cała banda tancerzy zaczyna się z jeszcze większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce, nogi, błyska stal ciupag, wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

St. Witkiewicz
(Na przełęczy.)

FLIS NA FRYJORZE [1])

Handel produktami rolnymi, jaki prowadzili Polacy w wiekach minionych, odbywał się przeważnie za pomocą Wisły. Ona stanowiła najdoskonalszą, najłatwiejszą arterię komunikacyjną, łączącą nas z zachodem. Więc też począwszy od wczesnej wiosny liczne tratwy, dubasy, szkuty i galary posuwały się najpierw dopływami wiślanymi, potem zaś samą Wisłą w kierunku Gdańska, wioząc tam to, co kraj produkował, a przywożąc w zamian te towary, których w Polsce brakło. Statkami wiozącymi ładunek kierowali flisacy. Ich praca żeglarska trwała zwykle przez trzy ćwierci roku, od wiosny aż do jesieni. Wyruszywszy na wiosnę, wracali po spławieniu towaru i nieraz zdarzało się, że swą wycieczkę jeszcze w tym samym roku powtarzali, wyruszając powtórnie w czerwcu a niekiedy po raz trzeci w sierpniu. S e b a s t i a n K l o-

---

[1]) Od wyrazu niemieckiego Frühjahr — wiosna.

nowicz, który brał udział w tych flisaczych wycieczkach, opisał nam taką wodną wędrówkę w swym *Flisie.*

Jak juhas tatrzański, jak rybak nadmorski, tak i flisak wiślany przedstawiał typ odrębny i wielce charakterystyczny. Woda była jego żywiołem, a wiosna tą porą roku, której wyczekiwał niecierpliwie. Przez zimę nudził się, spoglądając ze smętkiem na wiosło spoczywające w izbie za piecem. Rąbał lód, łowił ryby w przyrębli, chodził około gospodarstwa, lecz wszystko to robił jakby z przymusu, tęskniąc za fryjorem czyli za tą chwilą radosną, w której Wisła zrzuci skorupę lodową. A gdy zawitał kwiecień, wtedy flis stawał, jak żołnierz, do apelu. Z dumą spoglądał na przystań, rojącą się od statków wszelakiego gatunku, z pogardą mierzył wzrokiem tych, co nie mieli zakosztować jego rzemiosła, i liczył po prostu dni, dzielące go jeszcze od chwili odjazdu.

Roboty nie brakło mu jednak w ostatnich przedwyjezdnych chwilach. Wszakże, jak pisze Klonowicz,

...nauczyła roztropna natura
Urobić szkutę zmyślnego Mazura,
Do której rozum tym niedoskonalszy,
Im będzie dalszy...

lecz podczas zimy niejeden statek uległ uszkodzeniu. To wszystko przed wyruszeniem z przystani należało naprawić. Nie dość jeszcze i na tym:

Potem na brzegu gdyć już stanie szkuta,
Udychtowana i dobrze okuta,
Jeszcze nie zaraz syp żyto na maty,
Kupcze bogaty.

Trzeba szyprowi myśleć o sukience,
Trzeba i szkucie myśleć o kuchence,
Gdzie z sobą nie masz — nie pożyczyć łatwie
Liny i kotwie.

Acz idąc na dół niepotrzebne maszty,
Możesz i bez nich prowadzić swe łaszty,
Bo gdybyś na dół chciał rozwinąć żagle,
Zginąłbyś nagle.

Ale gdy przyjdzie przeciw wodzie płynąć,
Potrzeba żagle wydęte rozwinąć,
Zażywać czasu, póki wiatr po tobie
Dmie w pole obie...

Lecz jeszcze nadto, co by jedli naszy,
Trzeba pomyśleć o grochu, o kaszy,
Lecz chleb fundament i wieprzowe ciało,
Miej go niemało...

Niż z brzegu zepchniesz, pilnie o sobie radź,
Co byś przeżywił i tam i sam czeladź,
Na trzy miesiące miej spiże przynajmniej,
Żyjąc najskromniej.

Bowiem w powiślnych miastach u przekupki
Mierzyć groch albo pokryweczką krupki
Już to ostatnia...

Oczywiście w tych gospodarczych zabiegach brał przede wszystkim udział właściciel statku i szyper kierujący wyprawą, lecz i flisak musiał pomóc w niejednej sprawie.

Nowozaciężni chłopcy, tak zwane fryce, którym było dane wyprawę Wisłą odbyć po raz pierwszy, pomino że nieraz boleśnie musieli opłacić frycowe, by się wkupić do cechu prawdziwych flisaków, chętnie narażali się na żarty a nawet razy, by móc się tylko dostać w szeregi dzielnych żeglarzy.

Obowiązkiem takiego fryca było przede wszystkim dokładne zaznajomienie się z gwarą flisacką. Słusznie więc i o tym poucza Klonowicz:

A jeśliżeś fryc, albo szyper nowy,
Już się tu musisz uczyć inszej mowy,
Byś nie wziął szablą u Nogatu, bracie,
Bo to zła na cię.

Przetoż się naucz wokabuł flisowskich,
Już tam terminów przestań, radzę, szkolskich,

Mów jako mówić, byś zaś od starosty
Nie odniósł chłosty...

Mgła kiedy wstaje, mów, że mamka wstaje,
Bo gdzie inaczej drużynać nałaje,
Potem cię wzbiorą, choć na samym nurcie,
Szablą na burcie.

Kiedy wiatr wieje, stryjemże go witaj,
Tak go wspominaj, tak się o nim pytaj,
Siodłatą wronkę zów ciotuchną, flisie,
Radzęć, nie drwi się...

Choć w rewerendzie nie widzisz kapłana,
Jednak zów księdzem Wojciechem bociana,
Gdy sobie owo kroczy nad żabińcem,
Jak nad zwierzyńcem.

W dawnych czasach, o których pisze Klonowicz, fryc bywał bity drewnianą szablą u Nogatu, już niedaleko Gdańska. Później miejscem egzekucji stawała się najbliższa przystań. Biednego nowicjusza sadzało się na pokładzie statku, cegłą mu nacierano brodę, niby mydłem, golono osełką kamienną, po czym rzucano do wody. Na koniec musiał się on wykupić, zastawiając poczęstunek dla całej flisaczej drużyny.

Oczywista rzecz, że wysyłka zboża do Gdańska była i dla właściciela statku sprawą wielkiej wagi, od której nieraz poważne zyski lub straty mogły zależeć. Nic więc dziwnego, że szyprowie, czyli kierownicy wyprawy otrzymywali dokładne „informacje", jak odbyć należy całą żeglugę. Ciekawy tekst takiej „Informacji" zestawił K. W. W ó j c i c k i w swych *Szkicach historycznych*.

Napisał ją niejaki imć pan Ignacy Ciecierski w 1757 r. dla swego szypra. Dokument ten, rzucający światło na to, jak się odbywał handel polski z Gdańskiem, podajemy tu w skróceniu:

„Informacja Antoniemu Nowakowskiemu, szyprowi memu, płynącemu na dubasie moim dwumasztowym do Gdańska, d. 24 Aprili A. D. 1757 dana.

1) Naprzód spisać na dwie ręce należycie wszystkie statki dubasowe, liny różne . . . szufle, stroisz[1]) szafliki, miski, czółna... także żyta wiele

---

[1]) Pręty, którymi obtykano zboże.

się zbierze, w którą przegrodę jęczmienia, pszenicy, kaszy hryczanej, potem leguminy dla flisów wszelkie, to jest mąki, pęcak, groch, okrasa różna, jako to słonina, sadło, olej, sól... Opisać także flisów po imieniu i przezwisku, i skąd który.

2) Gdy wszystko na statku poładowane będzie, i Żyd kupiec Ciechanowski gdy się zgodzi o frakt [1]) i pieniądze odda, i towary swoje zwiezie na dubas, poprosić którego księdza w pobliskości, aby benedykcję dał na drogę wszystkim na statku idącym, i ruszyć się szczęśliwie w drogę.

3) W drodze rano wstawać, na grochu [2]) długo nie popasać, i owszem, gdy się trafi pochód dobry, to nie zawijając do lądu, mogą zjeść groch flisi, idąc na statku.

4) Na noc zboże zawsze znaczyć i stróżów do pilnowania dobrych, wiernych, trzeźwych naznaczać, samemu nie lenić się w nocy wyjść, jeżeli stróże nie śpią.

5) W Zagórzu nie trzeba cła płacić, bo jest dekret, który posyłam dla informacji, i jeżeli będą pretendowali, pokazać.

6) Daję atestacją, którą na komorze, gdzie będą o nią pytali, pokazać.

7) Przypłynąwszy szczęśliwie do Serocka [3]), pytać się o kolej i zgodzić się rotmanem wiślanym, a bużnego rotmana, zapłaciwszy mu podług ugody, ekspediować i przez niego oznajmić mi o kolei, z kim się trafi iść, i kiedy się ruszać będą w Serocku.

8) Płynąc koło Torunia, zostawić sukna do farby u farbiarza tego, co zawsze farbuje, i cedułki, alias bierki [4]) wziąć od niego, gdyż przy odbieraniu sukna te cedułki powinno się oddać. Daje się sukna postawów cztery, które kazać ufarbować dwa popielato a dwa granatowo.

9) Stanąwszy szczęśliwie we Gdańsku, naprzód u przeróbki zboże

---

[1]) Fracht — opłata, którą składali właścicielowi statku kupcy, zwykle Żydzi, za prawo przewożenia na tymże statku swoich towarów do Gdańska i z powrotem.

[2]) Przy śniadaniu.

[3]) Miasteczko przy zbiegu Narwi i Bugu. Tam ruch statków był większy i przeprawiać się trzeba było ku Wiśle za koleją. Żeglugą kierowali rotmani; było ich dwóch: wiślany i bużny.

[4]) Próbki.

należycie przerobić i nie przedawać go, aż stanie ten, co się pośle do przedania.

10) Nim stanie we Gdańsku ten, co ma sprzedać zboże, dojść do tkacza, gdzie są obrusy i serwety, i opowiedzieć, aby były gotowe przed wyjściem dubasa z Gdańska. Posyła się i kontrakt dla informacji, który przeczytać. Jest w nim i zadatek wyrażony dobrej monety złotych dwanaście.

11) Powracając z Gdańska, sukna w Toruniu wykupić. Pieniądze będą dane w Gdańsku . . .

Co wszystko podług tej informacji zadośćuczynić mocno zalecam i podpisuję się

Ignacy Ciecierski m. p."

Flisacy uprawiali swe rzemiosło rodami. Za ojcem szedł syn i za dziadem wnuk. Ta ciągłość w uprawianiu tego samego fachu pociągała za sobą pewne dziedziczne i bardzo znamienne cechy charakteru. Kląć umiał flisak w sposób straszliwy. Przeklęcia te nazywano żartobliwie „nabożeństwem flisackiem". Ale za to nie zbywało mu na odwadze, pracowitości i dzielności. Wesoła to była brać. Płynąc, śpiewali ochoczo, przygrywając sobie na fujarkach i na skrzypcach. W XVI w. stroili się w bogate kierezje, w czapki, tak zwane magierki i białe szarawary, wpuszczane w długie buty. Radośnie opuszczali swe siedziby, ale niemniej radośnie do nich wracali, przynosząc cichej wsi polskiej echa z dalekiego świata.

M. D.

OD WIELKANOCY DO ZIELONYCH ŚWIĄTEK

Czas pomiędzy Wielkanocą a Zielonymi Świątkami obfituje w obrzędy i obchody, z pracami rolnymi związane. Na wschodnich kresach Polski rolnicy i ogrodnicy baczą pilnie, by ogrody były uporządkowane w dniu św. Jerzego, 24 kwietnia. Dla uniknięcia złych uroków obchodzi się wtedy rolę i błogosławi ją, by należycie plonowała. Na Mazowszu powiązany bywa z dniem św. Wojciecha obyczaj tarzania się po ziemi, dla uniknięcia bolu krzyżów przy żniwie. Niekiedy tarzanie to odbywa się przy pierwszym wiosennym grzmocie.

Bydło, po raz pierwszy wypędzone na paszę, stroją pasterze w gałązki poświęcone, by je od chorób zabezpieczyć.

Dawniej istniał zwyczaj uświetniania uroczystości Wniebowstąpienia widowiskami dramatycznymi, podczas których wznoszono wysoko figurę Zbawiciela, diabła zaś strącano z wieży. Na okres zaś Zielonych Świątek przypadał w niektórych okolicach Polski obyczaj obchodzenia granic w uroczystym pochodzie z tzw. „królewną". Rolę jej odegrywała dziewczyna ustrojona odświętnie i prowadzona przez towarzyszki przy śpiewie:

Gdzie królewna chodzi, tam pszenica rodzi,
Gdzie królewna nie chodzi, tam pszenica nie rodzi.

Na Kujawach pasterza, który na wiosnę pierwszy wygnał bydło na pastwisko, mianowano „królem pasterzy" i obiór tego króla obchodzono wesołą ucztą.

M. D.

ZIELONE ŚWIĄTKI

Po święcie Bożego Narodzenia i Wielkanocy najuroczyściej obchodzą Polacy pamiątkę zesłania Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki.

Wtedy to, od czasów najdawniejszych aż po dni dzisiejsze, stroi się zielonymi gałęziami kościoły, domy, bramy i podwórza a podłogi zasypuje się tatarakiem. Przygotowuje się też w wielu domach rozmaite gatunki słodkiego ciasta, jak na Wielkanoc, tylko że nie w tak wielkiej ilości. Z okresem Zielonych Świątek, podczas których wiosna, aczkolwiek już w pełni, lubi swymi kaprysami płatać figle, wiążą się następujące przysłowia:

Do Świętego Ducha
Nie zdejmuj kożucha,
A po Świętym Duchu
Chodź czasem w kożuchu.

Ponieważ w tej porze roku trawy już się bujnie rozrosły, więc też:

Na Zielone Świątki
Najlepsze z krów wziątki.

O ile w jakim mieście urządzane są na Wielkanoc publiczne zabawy ludowe — powtarzają się one często i na Zielone Świątki. W uroczystość tę Bielany pod Krakowem i pod Warszawą były od dawien dawna miejscem ulubionych, specjalnie urządzanych zjazdów i rozrywek.

M. D.

PONIEDZIAŁEK ŚWIĄTECZNY

W drugi dzień Zielonych Świątek przejażdżka na Bielany tym jest od wilanowskiej w Popielec milsza, że w ciepłej następuje porze roku; a jeżeli prawdziwie piękna służy pogoda, tym jest liczniejsza, tym okazalsza. Jak paryskie Longchamps tak nasze Bielany świetne wówczas bywają i zachwycające.

Kto z cudzoziemców w drugim dniu Zielonych Świątek ujrzy na Bielanach tę ludność, całkiem niemal z stolicy wylaną, to mnóstwo powozów, ten ubiór kobiet, rozmaitością i pięknością zadziwiający, widokiem tylu bogactw i wdzięków tylu zachwyconym bywa. Zawsze bywał na Bielanach August II i III, jak tylko w tym czasie znajdował się w Warszawie. Za czasów Stanisława Augusta przejażdżka ta była modną, i widziano tam powozy przez biegaczów poprzedzane, mnóstwem dworzan na koniach otoczone. Nie ma już laufrów, pajuków, hajduków [1]), nie ma wojsk nadwornych każdego J. W. i J. O. pana.... ale piękne karety, kocze, żokeje, liberia i obok gustu większa skromność. Powab tego miejsca i prostota wspaniałej natury ujmuje każdego. Tu wyższego stanu osób snujące się gromady mile bawią oko, tam mimowolnie pociąga szczerość zabaw ludu, pod namiotami po całym lasku przyległego klasztoru Kamedułów i przyjemnych, wyniosłych nadbrzeżach Wisły rozsypanego. Rozstawione w kilku miejscach przygrywają orkiestry, kuglarze pokazują sztuki, inni przedają trunki, rozmaite jadła i chłodniki. Dwie drogi wyborne do Bielan prowadzą. Jedzie się często dołem (ponad Wisłą) koło Marymontu, a wraca górą. Wielu idzie piechotą.

Był zwyczaj dawniej, że w poniedziałek Świąt Zielonych przepływano

---

[1]) Nazwy pachołków służebnych.

do wsi Golendzinowa na drugą stronę Wisły, gdzie teraz ulica jedna tak zowiąca się na Pradze. Tam odbywało się wesele ubogiej, lecz cnotliwej córy jednego z mieszkańców Starego Miasta, losem wybranej. Promy ozdobione były masztami w gałązki brzeziny obwiniętymi, wstążek mnóstwem ozdobione. Po ukończonej zabawie wójt staromiejski zbierał posag dla nowozaślubionej, a ten bywał niekiedy znaczny. Za Jana Kazimierza, dla obecności srogich Szwedów nad Wisłą (jak powiada Duńczewski), nie płynęli Warszawianie do Golendzinowa i drugi dzień tych świąt, i obyczaj dawny w Lasku Bielańskim dopełnili. Od tej zapewne pory w tym dniu zaczęto odwiedzać Bielany nie dla samego już tylko nabożeństwa.

Ł. Gołębiowski
(Opis Warszawy.)

WIOSENNY PORANEK

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, zlanych rosą, świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwitych... Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptactwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów. Już słychać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował. W borze coś zaszeleściało i umilkło. Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę, popatrzało czarnymi oczyma i pierzchnęło. Zatętniało za nimi — cicho znowu...

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów. Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły. Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszcz rozeznać mogło szmer brzozy z listki młodymi, drżenie osiczyny bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty. Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniej coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną...

Szare zrazu niebo błękitniało u góry, pozłacało się u dołu; obłoczki

białe, jak z rąbku obsłonki pościeli, rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze, noc uciekała. Nad strumieniami i łąkami, jak dymy ofiarne, zakipiały pary przejrzyste, ulatując zwolna ku niebu i ginąc w powietrzu...

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków, wszczął się gwar wielki, ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze, wracało życie... Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

J. I. Kraszewski
(Stara Baśń)

WIOSNA

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk, mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna, zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługa i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły, niby mleko wzburzone przy udoju, zalewały łęgi i pola niziinne. Kokoty zaczęły piać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające się spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagła, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola albo zasię, kieby dymy kadzielne wionęły sinym przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z bladnącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz barzej

nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzieś znów na wyżach jakieś pola szare, przesiąkłe rosą wyleniały się z nocy. To stawy zamigotały poślepłymi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiałe przędze, wlekły się wskróś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe si-ności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze niedojrzałych, i tak się galanto rozwidniało, że ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieniegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że lada pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się źdźiebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaiła — jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka cichuśkie, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą — wystrzelił nagle głos skowronkowy.

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany, tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały. Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino.

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże,

niewidzialne ręce nad sennymi ziemicami, i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagłą padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej, światłości.

Mgły kiej wonne dymy biły z łąk ku rozzłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

Wł. St. Reymont
(Chłopi.)

PORANEK MAJOWY

. . .Naokół, wzdłuż i wszerz płaskich wyżyn i okrągłych, lekkich wzgórków, zbożne niwy rozciągały się, jak okiem sięgnąć. Opar gorący migotał. Suchy i ciepły wiatr chwiał miękką ruń jasnego żyta, ciemnej, łanami rozesłanej pszenicy, ledwo wychodzące z szarej roli pióra jęczmienia. Dech wielkiej przestrzeni wiał z tych dorodnych pól, odsłonionych ku niebu w pieszczotach słońca. Rozległe wąwozy, czyli błonia, kierujące się ku dolinie Wisły, okryte już były darnią zieloną. Strużki i poniki łąkowe słały się żółtymi szlakami jaskrów, a suchsze wzniesienia zasiało nikłe, błękitne albo białe kwiecie. . . Niskie dołki między polami napełnił żyjący połysk gałęzi. Białe brzozy stały tam po małych zboczach. Dotknięte żarem wiosennego ognia, pławiły czuby swoich gałązek w powiewach, omglone młodymi liśćmi. Oziminy spływały ku nim cudnymi zgięciami zagonów, jakoby głosy przerozmaite a wysokie jednego chóru. Chaty, gnieżdżące się w załamaniach parowów albo przylepione do wyniosłych ścian z gliny, odbijały jasnością od zieleni sadów. Już czujny modrzew, sam i sam stojący, okrył ramiona cudnością zieleni, jakoby tuwalnią pajęczą. Już krzywe, grubaśne pnie wierzb nad mokradłami, puściwszy nowotne rózgi, stały w nich nikiej świece, jarzące się od wielkiego blasku.

Jeszcze tylko olchy martwo smutniały w jasnej przestrzeni, a czarne kępy rokicin rzucały mrok na zieloną murawę. Zdało się, że nawet nędzne lepianki zakwitły na wiosnę. Dachy ich wielobarwne od słomianego poszycia, na kalenicach przegniłego, jak stary aksamit złociły się na słońcu. Wiklowy płotek pleciak, snując się od jednej zagrody do drugiej, sam jeden tylko utrzymywał szarą barwę zimy. Zataczał się krzywo i martwo, wspierał na wierzbach. A dokoła niego, wszędzie już radosny jar okrył szarą nędzę ziemi. Od zetknięcia prętów z wietrzykiem wytryskały liście. Nawet na niebie kwitły całkiem nowe, nieznane, jare i zadzierzyste śniade obłoczki.

Stefan Żeromski
(Popioły.)

WIECZOREM

(W skróceniu)

Słońce się chyli ku ziemi,
Ostatnie blaski
Wiążąc w cudowne przepaski,
By niemi
Umierające niebiosa
Owinąć.
Już nad brzegami jeziora,
Z dala od ludzi,
Słowików piosnka się budzi
Tak skora,
By tam, gdzie mieni się rosa,
Popłynąć !

By tam, gdzie rosną w ustroni
Niewinne kwiaty,
Miłosnej szukać zapłaty
I woni —
Przelać się w serce róż czystych
Na wieki.

Wtórzy jej duma pastusza
I łan zielony,
Bór, który powiew stęskniony
Porusza,
I odbłysk gwiazd płomienistych
Daleki.

Patrzcie ! Z sennego łożyska
Miesiąc już wschodzi,
Płynie po niebios powodzi
I błyska.
Albowiem wszędzie żar czuje —
Szczęśliwy !
Gwiazdy, splatając mu wieńce,
W srebrny ślad biegną,
Zanim porannej ulegną
Jutrzence,
Nim zorza blask swój rozsnuje,
Blask żywy !

. . . .

Jan Kasprowicz

W MAJU

Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience, z gwiazd utkanej,
Jakaś powiewna postać wychodzi
Na szmaragdowe łany.

Bielą się z dala Jej śnieżne szaty
Po łąkach i po lesie,

A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Drobne na piersi złożyła ręce
I płynie po przezroczu.
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką,
Na łąkach widzi w dali
Albo rybaków, zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą
Piorące białe chusty.
Patrzy za nimi rzewnie i długo
Z uśmiechniętymi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed Nią kłonią,
Kwiatów u nóg jej klękają rzesze,
Modląc się do Niej wonią.

Grają koników polnych kapele
Z chórami żab złączone.
Echo rozwiewne do stóp Jej ściele
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie.
Płynie po świecie z wieczorną rosą
Jej wniebowzięte imię.

L. Rydel

WIANKI NA BOŻE CIAŁO

Powszechnym jest w naszym kraju zwyczaj zanoszenia wianków i ównianek na Boże Ciało, w pierwszy nieszpór lub inne nieszpory i poświęcenia w kościele w oktawę Bożego Ciała, tj. w nieszpór ostatni. Są o wianuszki małe jak dłoń, z krzewów pachnących, ziół i kwiatów uwite. Voń ziół uważana jest jako symbol cnoty, a kościół w modlitwie, którą dmawia kapłan przy ceremonii poświęcenia, prosi Boga, aby przyjął do iecznej szczęśliwości wonne cnoty tych, którzy składają Mu na ołtarzu ieńce i pęki woniejącego ziela. Zwyczaj rzewny i piękny, ducha pobożnych podnoszący. Pora to najlepsza do zbierania ziół i kwiatów, gdy atka-ziemia pokrywa się w czerwcu wonnym kwiatów kobiercem. Wieńmi zdobią się monstrancje przez całą oktawę. Potem wieńce te i wiązki ół, za powrotem do domu zawieszane na ścianach u obrazów, przechoują się po domach przez cały rok, a lud im przypisuje cudowne własno-i. Okadza nimi chaty przed nadchodzącą burzą, obory i dobytek wypuczany na wiosnę pierwszy raz w pole, uważa je jako ochronę od zarazy wszelkich nieszczęść. Do poświęcenia są zioła i krzewy uprzywilejowane.

W Krakowskiem... znoszą wianki z rozchodnika, kopytnika, boownika, niezapominajek i macierzanki. Ale że z każdej chaty przynoszą h po kilka, więc tylko dworskie, to jest z domu kolatora przyniesione, otyka zaszczyt spoczywania na monstrancji, na której je ksiądz zawiesza. nne sługa kościelny zawiesza na drążkach nad ołtarzem albo wtyka na rzewka, którymi umajono ołtarz w Zielone Świątki. Wianki te ubrane ywają jeszcze bratkami i czerwoną lub kolorową przewiązane tasiemką. o oktawie każda gospodyni przychodzi do kościoła po swoje i następnie wiesza je nad drzwiami stajni, obory i izby.

W Wielkopolsce, w ostatnie nieszpory oktawy Bożego Ciała wiją ianeczki z lipiny, jabłecznika, dzikich goździków, rozchodniku, macieranki, targowniku, rosiczki i ziół innych, a po nabożeństwie obłamują łązki zieleni, którą były ubrane ołtarze, tj. brzeziny, lipiny, niekiedy ierzby, topoli i olchy, i przyniósłszy do domu, zatykają wśród lnu, koopi i kapusty, aby robactwo nie zniszczyło tych roślin.

Na Podlasiu, w dawnej ziemi bielskiej, nad błotnistą Narwią, powiaali mi ludzie, stary zwyczaj szanujący, że w wielu domach wito po dzieięć maleńkich wianków a w każdym razie liczbę nieparzystą, każdy ianek z innego ziela. Zioła te są: macierzynka, kopytnik, rozchodnik,

nawrotek, rosiczka, mięta, ruta, stokroć i barwinek. Wianki takie kładzione bywają pod podwaliny nowobudującego się domu, w stodole pod pierwszy przywieziony z pola snop zboża; kadzą nimi dzieżę chlebną, ten symboliczny, poważny i pełen poszanowania sprzęt w domu polskiego rolnika; okadzają wreszcie chorych na gardło. Niektóre z powyżej wymienionych ziół mają przypisywaną sobie oddzielną własność. Od rozchodnika np. i macierzanki rozchodzą się chmury gradowe i pioruny, gdy w czasie nadchodzącej burzy chata i gumno będą nimi okadzone.

Na Mazowszu zagonowa szlachta łomżyńska wije wianki z ziół wyłącznie polnych, a mianowicie, macierzanki, rozchodnika, kopytnika, rosiczki czyli Bożej rosy i nawrotka. Ziołami tymi w wigilię świętego Jana okadza po trzykroć wymiona krów, aby mleka nie traciły, zawiesza je na czerwonej tasiemce u rogów i także wykadza dzieżę, gdy chleb nie chce w niej rosnąć i zakwaszać się, jak należy.

W Galicji, w oktawę Bożego Ciała święcą wianki uwite z rozchodniku, lubczyka, kopytnika, przywrótka, targownika, macierzanki i dzwonków. Kładą je w rogi stodół, zawieszają nad drzwiami stajen, okadzają nowobudowane domostwa.

W niektórych okolicach zioła i kwiaty układają się w wianek na paskach papieru, z wypisanymi na nich słowami Ewangelii świętego Jana: „A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami". Nadto zaś cztery Ewangelie, czytywane podczas uroczystej procesji Bożego Ciała, przepisują się na osobnych kartkach i poświęcają się w kościele, a po odebraniu z kościoła, zakopują się w czterech rogach niwy, aby chroniły ją cudownie od burzy i gradobicia. Na Podlasiu lud mocno wierzy, że dym ziół poświęconych a szczególniej bylicy, unosząc się kominem znad żarzących się węgli, rozpędza chmury piorunowe.

Procesje Bożego Ciała bywały bardzo wspaniałe i wystawne. Rodziny zamożniejsze ubiegały się o wznoszenie i ubieranie ołtarzy swoim kosztem, co z przepychem wielkim czyniono. „Za dawnych gospodarzów — pisze Haur w swej *Ekonomii ziemiańskiej* — był świątobliwy zwyczaj, że na czterech miejscach (na wschód, zachód, południe i północ) miewali zakopane świętości. Zapraszali do tego kapłana, aby z Przenajświętszym Sakramentem w koło objeżdżał zboże w polu i granice, dla gradów i innych przygód". Chociaż obchód uroczysty Bożego Ciała

nie sięgał dalekiej starożytności, święto jednak powyższe należało do obfitujących w przysłowia. Mówiono:

Jaki dzień jest w Boże Ciało,
Takich dni potem niemało.

Na Boże Ciało, żyto zakściało (zakwitło).

Na Boże Ciało, siej proso śmiało.

O Bożym Ciele, siej tatarkę śmiele.

Na ostatek ostrzegano:

W Boże Ciało — z boską chwałą
Słowo nam się Chlebem stało.
Więc w oktawę puść otawę (nie koś w dniu tym),
Nie tknij zboża, ni kapusty,
Bo znajdziesz rdzeń pusty.

Z. Gloger
(Rok polski)

KONIK ZWIERZYNIECKI

Na równinach przedmieścia Krakowa, ku Zwierzyńcowi, w drugi Czwartek Bożego Ciała, uroczystość konika mnóstwo ludzi zgromadza.

Człowiek, po tatarsku przebrany, w zawoju i w żółtych butach, z wielką buławą w ręku, harce na posuwistym biegunie udaje, w istocie zaś pieszo kroczy na wspaniale przystrojonym koniku drewnianym, przy odgłosie muzyki trąb i kotłów. Za każdym podskoczeniem w tę lub ową stronę, kilkaset ludzi do zamieszania przywodzi, a wielu z niebezpieczeństwem szwanku znęca do włażenia na dachy, parkany, drzewa i kamienie.

Obchód ten, do najweselszych i najdawniejszych w Krakowie należący, dzieje się w następujący sposób. Jak tylko procesja od P. Marii po Rynku miasta ukończy się, wnet cała publiczność rozmaitego stanu, wieku i płci obojej pośpiesza na rozległą równinę za pałacem biskupim, przez Bracką, Wiślną i Franciszkańską ulicę, aby zgromadzenie włócz-

ków [1]) uprzedzić, które powraca z nabożeństwa krokiem wolnym i w porządku stosownym do dawnego zwyczaju.

Tam po niejakiej chwili pokazuje się od Zwierzyńca oczekiwany **k o n i k** z swoim odzielnym orszakiem, postępujący także zwolna na przyjęcie bractwa, z którym niebawem się łączy i zajeżdża przed okna biskupa krakowskiego, dla złożenia mu czci należnej przez trzykrotny powiew chorągwią. Po dopełnieniu tego obrzędu włóczkowie zatrzymują się nieco opodal, a rozweselony Tatarzyn harcuje dopiero na swoim koniku, wpadając między pospólstwo, gdzie najbardziej ściśnione tłumy ujrzy. Wrzawa i popłoch na wszystkie strony znamionują obroty jego rącze. Po kilku takich zawodach, uczęstowawszy buławą w plecy niejednego z biednych, który nie zdąży albo nie chce dobrowolnie ustąpić z drogi, łączy się na powrót z włóczkami i, na ich czele, z powagą wodza, przodkującego zastępom, chwałą zwycięstwa uwieńczonym, jedzie na przedmieście Zwierzyńca, gdzie kończy dostojność swoją na przygotowanej uczcie u starszego, skromnej, ale wesołej. Jeździcem na koniku w 1825 r. był Kulisiewicz, jeden z przedniejszych włóczków około 60 lat mający, lecz pełen żywości i zapału młodzieńca.

Jak wieść powszechna niesie, jak lud prosty utrzymuje, co i z historią zgadza się, około 1281 r., gdy Leszek Czarny panował, Tatarzy, po trzeci raz grasujący w Polszcze, aż pod sam Kraków podsunęli się, który już za Bolesława Wstydliwego dwakroć ogniem i mieczem pustoszyli. Właśnie podczas procesji Bożego Ciała dano znać do miasta, że znaczny oddział tej hordy popełnia gwałty i rabunki na przedmieściach Zwierzyńca. Chwilowa trwoga ogarnęła umysły ludu, płacz, narzekania kobiet, starców i dzieci rozlegały się naokoło; myślano już zdać się na litość krwawych najeźdźców, których pożoga i mordy były jednym hasłem, gdyż w zdolnych do boju nawet zachwiało się męstwo. Wtem jeden spomiędzy włóczków zwierzynieckich, zagrzany odwagą bohatera, porywa za chorągiew, której dotąd jest godłem orzeł biały, i krzyknąwszy na swoich: „Za mną, bracia! uderzmy na tych zbójców! gińmy, a nie dozwalajmy im bezkarnie nachodzić ziemi naszej!", obudza powszechny zapał i na czele uzbrojonego ludu pośpiesza na Zwierzyniec. W kilku godzinach zasłano trupami nieprzyjaciół nadbrzeża Wisły, która się krwią ich zarumieniła, a waleczny dowódca, przy-

[1]) Jest to zgromadzenie trudniących się spławem drzewa na Wiśle.

strojony od ludu w ubiór zabitego naczelnika pohańców, z triumfem prowadzony do miasta, witany był z okrzykami radości, w tym samym prawie miejscu, przy Wiślnej niegdyś bramie, w którym się dzisiaj łączy z powracającą z procesji włóczków chorągwią.

Ł. Gołębiowski
(Gry i zabawy)

OBRZĘD SOBÓTKI CZYLI KUPALNOCKI

Jednym z najstarszych obchodów wiosennych jest obrzęd sobotki, czyli, jak w niektórych okolicach Polski się mówi, kupalnocki. Do głównych rysów tego obrzędu należy palenie ognia, skoki przez ognisko, kąpanie się wieńczenie zielem. Z tego, co nam przeszłość przekazała i co dziś już często bywa niezrozumiałym przeżytkiem dawniejszej uroczystości, poznać łatwo, że sobótka jest pozostałością po święcie pogańskim, związanym z odwiecznym kultem słońca, odradzającego się na wiosnę z mroków zimowych i ożywiającego zmartwiałą przyrodę. Poza tym wieczór kupalnocki uważany był i jest jeszcze do dziś dnia uważany przez lud nasz za feralny. Złe moce mają podczas niego dostęp do człowieka i należy się przeciw nim bronić. Wtedy to zbiera się zioła lecznicze, wtedy odprawia się najróżniejsze wróżby.

Podczas dawnej, pogańskiej jeszcze uroczystości, najistotniejszą częścią obrzędu było gaszenie ognia, splugawionego całorocznym użyciem i zapalenie go na nowo. Przy tym obrzędem poniekąd oczyszczającym i ludzi, i dobytek domowy było skakanie przez ogień. Skakanie to, uprawiane przez długie wieki przez młodzież szczególnie męską, dziś prawie zupełnie ustało. Przetrwał jedynie gdzieniegdzie zwyczaj rozpalania ogniska w noc sobótki, przypadającą w wigilę św. Jana. Zielem kupalnocki jest bylica. Nią dawniej wieńczono bydło, przez ogień przepędzane. Nią stroją się dziewczęta, tańcujące w *Sobótce* J. Kochanowskiego. Lud nasz wierzy, że ona chroni od bolu w krzyżach tego, kto się jej łodygami opasze i że zarazę od bydła odwraca.

Z czasem do obrzędów sobótkowych dołączono szukanie tajemniczego i zaczarowanego kwiatu paproci oraz rzucanie wianków na wodę.

K o l b e r g opowiada, że na Mazowszu zbierają się w kupalnockę starsze gospodynie i młode dziewczęta pod gołym niebem, dookoła rozniecongo ogniska. Dziewczęta tańczą dokoła ogniska, gospodynie

rzucają w ogień zioła rozliczne, jak dziewannę, bylicę. szałwię, ziele św. Jana, śpiewając przy tym, by zażegnać uroki:

Niechaj ruta w ogniu trzeszczy,
Czarownica w ogniu wrzeszczy,
Niech bylicy gałąź pęka,
Czarownica próżno stęka.
Myśmy tu przyszły z daleka,
Nie zabiorą nam już mleka.

to znaczy, „nie rzucą złego czaru na nasze krowy".

Prześpiewawszy to, wlewają w ognisko resztę niedopitej wódki.

Dziewczęta, o ile jest woda w pobliżu, rzucają do niej uwite wianki, zawodząc przy tym śpiew koło ogniska:

Oj, czegoż płaczesz, moja dziewczyno,
Oj, cóż ci za niedola ?
Nie płaczże, Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Oj, będziesz ci go miała!

Wróciwszy do domu, wrzucają uczestniczki kupalnocki resztki ziół na dachy chat, do obór, do chlewków, aby się uchronić od szkodliwych czarów.

Dodać należy w końcu, iż ogniom sobótkowym przypisuje lud moc cudowną, dzięki której:

Gdzie sobótki zapalają,
Tam grady nie przeszkadzaja.

M. D.

O SOBÓTCE

...W wigilię św. Jana Chrzciciela, po nieszporach a czasem twardym zmrokiem, po miastach i wsiach rozpalili spory ogień na ulicach, który się zwał sobótką, przez który młodzież obojej płci, najwięcej atoli męskiej, skakała. Ten zwyczaj... w średnich latach Augusta III już był konający, przy końcu zaś lat jego wcale ustał, dozorem surowym marszałka wielkiego koronnego w Warszawie najprzód, a za przykładem waszawskim, skąd się i złe, i dobre zwyczaje po całym kraju rozlewały,



wszędzie wytępiony, jako złe skutki sprawujący, już to w pożarach budynków, z sobótki zapalonych, już w osobach skaczących sobótkę, które nieraz, ile przy gęstym dymie skacząc naprzeciw siebie i upadając w ogień, raziły sobie płomieniem oczy, twarze, ręce i nogi, mianowicie bose, albo u kobiet u spodu nieopatrzone. Osobliwie, kiedy chłopcy, których kaduk miesza do każdej swawolnej kompanii, klucze prochem ponabijane lub też ładunki z prochem nieznacznie w ogień rzucali. Te, wysadzając ogień do góry i huk niespodziany czyniąc, najczęściej dawały przyczynę, że skaczący, przelękniony lub też w wysadzonych głowniach uplątany, upadł w ogień, za nim rozpędzony drugi i trzeci, którzy nim się podnieśli, tymczasem będący na spodzie dobrze sobie przypiekł pieczeni.

J. Kitowicz
(Opis obyczajów i zwyczajów)

SOBÓTKI

Starożytna ta zabawa odbywa się w wigilię świętego Jana lub w Zielone Świątki, wieczorem, przy ogniu roznieconym z dala od wioski, na najwyższym wzgórzu lub nad wodą, po której dziewczęta wianki swoje puszczają. Do zwyczaju tego, który jest pamiątką po praojcach naszych i dawnych wiekach, należą pieśni:

I

Dzisiaj wieczór krótki,
Zapalmy sobótki,
Hej, dziewki wybrane,
Bylem [1]) przepasane,
Tańcujcie na dworze
Aż do rannej zorze,
Aże do świtania,
Ale nie bez grania.
Hej, grajki wybrane,
Bylem przepasane,
Dudy niechaj zabrzmią,
Kotły, trąby zagrzmią.

Niech skrzypią skrzypeczki,
Piszczą piszczałeczki,
W bęben niech biją,
Miód, piwo piją.
Hej, chłopcy wybrane,
Bylem przepasane,
Z dziewkami skakajcie,
Pożar rozpalajcie,
Kładąc świerkowe
Drzewo cisowe.
Palmy sobótki,
Bo wieczór krótki!

---

[1]) Bylica, ziele.

II

Ku dunajowi, ku głębokiemu,
Oj, ku lasowi, ku zielonemu
Oj, palą, palą, palą sobótkę
I piją piwo, i piją wódkę.
Kto na sobótce nie będzie,
Główka go boleć wciąż będzie!

III

Ku dunajowi, ku głębokiemu — leluja!
Ku gaikowi, ku zielonemu — leluja!
A zapalili sobótkę — leluja!
I piją piwo, i piją wódkę — leluja!
Chodzi, brodzi nadobna Kasieńka — leluja!
— Oj, poczekaj, doczekaj, Kasieńko — leluja!
Oj, mam gadeczkę, zagadnę ci ją — leluja!
— Cóż bym ja była za grzeczna panna — leluja!
Żebym gadeczki zgadnąć nie miała — leluja!
— A cóż rośnie bez korzenia? — leluja!
— Kamień rośnie bez korzenia — leluja!
— A cóż kwitnie bez kwiateczka? — leluja!
— Paproć kwitnie bez kwiateczka — leluja!
— A co gore bez płomienia? — leluja!
— Cnota gore bez płomienia —leluja!

IV

Oj, Janie, Janie zielony!
Padają liście na wszystkie strony,
A ty, Stachu, parobeczku,
Szukaj se żony, szukaj se żony!
— Kędyż jej będę u Boga szukać?
A pójdę ja do Szczepanów w okienko pukać:
— Puk, puk w okieneczko,
Wynijdź, Maryś kochaneczko,
Sama jedyna!

W podobny sposób śpiewa się kolejno do wszystkich we wsi kawalerów i do wszystkich dziewcząt, wymieniając ich imiona.

Do takich, co się nie mają ku sobie, śpiewa się trzecia zwrotka:

Maryś nie wyszła — siostrę wysłała:
— Siostro moja, siostro,
Staw się za mnie ostro,
Jakby ja sama.

Do tych zaś, o których wiadomo, że się mają ku sobie albo że ludzie ich swatają, śpiewa się inaczej, na przykład:

Magdusia wyszła — rączkę mu dała,
— A witajże, witaj,
Witaj, mój najmilszy,
Będę cię chciała!

V

Hej, biały Janie,
Przyjeżdżaj do mnie!
Jeżeli się chcesz ożenić;
My ci żonkę naraim.
Hej, biały Janie!

Po takiej zwrotce śpiewa się do każdej z obecnych dziewcząt w taki sposób:

Jest tam u Stachów nadobna Marysia:
Ma wianeczek z bożydrzewka,
Najładniejsza we wsi dziewka,
Hej, biały Janie!

Jest tam w gospodzie nadobna Magdusia:
Ma wianeczek z pokrzywy,
Z ludzi się tylko wyśmiewa,
Hej, biały Janie!

Jest u młynarzów nadobna Jagusia:
Ma wianeczek z łobody,
Pójdzie za mąż przed gody,
Hej, biały Janie itd.

Gdy tak prześpiewają do wszystkich dziewcząt, śpiewają następnie do obecnych młodzieńców:

Poszły dzieweczki
Precz za góreczki,
Wianki rwać;
I napotkały parobka Kazimierza,
On jedzie,
On jedzie od matki,
Konik pod nim gładki
Mój będzie!
I napotkały parobeczka Stacha,
On jedzie,
On jedzie od siostry,
Konik pod nim ostry,
Mój będzie!
I napotkały Wojtka sołtysiaka,
On jedzie,
On jedzie od baby,
Konik pod nim słaby,
Mój będzie!
I napotkały starego Wawrzyńca,
On jedzie,
On jedzie od licha,
Konik pod nim zdycha,
Jagusi będzie itd.

Ostatnia pieśń sobótkowa łączy w pary młodzieńców i dziewczęta:

Oj, brzmią wozy, brzmią po bukowinie,
Nasieję ja tatareczki na tej nowinie,
W tej tatareczce któż tam przebywa?
Oj, parobeczek Janek, konie pętywa.
Jagusia jego płoty łamała,
Poglądała niżej, wyżej, aż go dojrzała.
Oj, dojrzała go, jego koń siwy,
Radujże się, moje serce, jedzie mój miły.

Z. Gloger
(Obyczaje doroczne)

WIANKI

W wigilię świętego Jana Chrzciciela wieczorem dziewczęta puszczają wianki na płynącą wodę, a młodzieńcy uganiają się za wiankami, z czego czynią sobie wróżby. Śpiewają wtedy następne pieśni, które przy ciszy i rosie wieczornej rozlegają się daleko:

I

Stoi lipeńka w polu zielona,
Listeczki opuściła.
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków wiła.
— Oj, czego płaczesz, moja dziewczyno.
Ach, cóż ci za niedola?
Nie płaczże, Kasiu, smutnaś po Jasiu,
Ach, będziesz go miała.
— O, mój Jasieńku, o, mój jedyny,
Da stałać mi się szkoda,
Uwiłam ci ja parę wianuszków,
Zabrała mi je woda.
— Moja dziewczyno, moja kochana,
Nie frasuj się ty o nie,
Oj, mam ja parę białych łabędzi,
Popłyną one po nie.
Już jeden płynie po rokicinie,
Wianeczka sięgający,
Już drugi płynie, aż się odchynie,
Wianka nie dostający.
— Łabędzie płyną, wianeczki toną,
Bystra je woda garnie;
Moje wianeczki z drobnej ruteczki,
Mam-li was stracić marnie?
— Łabędzie płyną, wianeczki giną,
Bystra je woda niesie,
Nie masz wianeczka, moja Kasieczka,
Już ja cię nie pocieszę.

Łabędzie wróćcie, serca nie smućcie!
 Wianeczka nie przyniosły,
Tylko rąbeczek — to na czepeczek,
 Na twoje złote włosy.

II

Wyszła na pole, stanęła sobie
 Pod jaworem w chłodzie.
I wyglądała swego Jasieńka,
 Z której strony przyjedzie.
Oj, jedzie, jedzie mój kochaneczek,
 Po majowej dąbrowie,
Oj, płynie, płynie z czepkiem wianeczek,
 Kasiuleńce na głowę.
Oj, jedzie, jedzie mój kochaneczek,
 Po majowej dąbrowie,
Rozpuścił-ci te strusie pióreczka,
 Konikowi po głowie.
— Oj, nie żal mi tych strusich pióreczek,
 Com je sobie rozpuścił,
Jeno mi żal cię, dziewczyno moja,
 Com cię marnie opuścił.
Koniczek lata, koniczek pląsa,
 Na cugle następuje,
Kasieńka płacze, Kasieńka krzyczy,
 I rączki załamuje.
—Kasieńko, nie płacz, Kasieńko, nie krzycz,
 Nie psujże sobie główki,
Weź se chusteczki z mej kieszoneczki
 I otrzyj sobie oczki.
— Teraz chusteczka i ta jedwabna,
 I ta nic nie pomoże,
Mojej urody, mojej swobody,
 Pożal się mocny Boże!

III

Nasieję ja jarej ruty w nowym ogrodzie,
 Hej, hej, mocny Boże! — w nowym ogrodzie,

I uwiję dwa wianeczki — puszczę po wodzie,
Hej, hej, mocny Boże! — puszczę po wodzie.
Z tamtej strony jezioreńka jadą dworzanie,
Hej, hej, mocny Boże! — jadą dworzanie.
Jeden mówi do drugiego: — Wianeczek płynie,
Hej, hej, mocny Boże! — wianeczek płynie.
Drugi mówi do trzeciego: Dziewczyna tonie,
Hej, hej, mocny Boże! — dziewczyna tonie.
Trzeci mówi do czwartego: — Ja skoczę po nię,
Hej, hej, mocny Boże! — ja skoczę po nię.
Hej, jak skoczył, konia zmoczył i sam utonął,
Hej, hej, mocny Boże! — i sam utonął.
Oj, idź-że ty wrony koniu z siodłem do domu,
Hej, hej, mocny Boże! — z siodłem do domu.
Nie powiadaj ojcu, matce, żem ja utonął,
Hej, hej, mocny Boże! — żem ja utonął.
Jeno powiedz, wrony koniu — żem się ożenił,
Hej, hej, mocny Boże! — żem się ożenił.
Cóż było za ożenienie? — w wodzie tonienie,
Hej, hej, mocny Boże! — w wodzie tonienie.
Cóż była za panna młoda? — ta zimna woda,
Hej, hej, mocny Boże! — ta zimna woda.
Cóż tam byli za drużbowie? — w wodzie rakowie,
Hej, hej, mocny Boże! — w wodzie rakowie.
Cóż tam były za druchneczki? — w wodzie rybeczki,
Hej, hej, mocny Boże! — w wodzie rybeczki.
Cóż były za dziewosłęby? — nad wodą dęby.
Hej, hej, mocny Boże! — nad wodą dęby.
Cóż tam było za łożeńko? — w wodzie dziareńko [1]),
Hej, hej, mocny Boże! — w wodzie dziareńko .
Cóż tam były za poduszki? — w wodzie kamuszki,
Hej, hej, mocny Boże! — w wodzie kamuszki.
Cóż tam była za pierzyna? — ta wodna trzcina.
Hej, hej, mocny Boże! — ta wodna trzcina!

---

[1]) Piasek, żwir.

IV

Są na boru fiołeczki,
Pójdziewa na nie,
I uwiję dwa wianeczki
Na zalecanie.

Uwiję ja dwa wianeczki,
Puszczę na wodę,
I zobaczę, i zobaczę,
Kogo dostanę?

V

Janie, Janie, święty Janie!
Cóżeś nam przyniósł nowego?
Cóżeś nam przyniósł pięknego?
Janie, Janie, święty Janie!
Przyniosłem ja rosy
Parobkom na kosy,
Dałem macierzanki
Panienkom na wianki.
Czyjże tam wianek płynie po wodzie,
W trawie, w zieleni, z zgrają jeleni?
—To mój wianeczek płynie,
W trawie, w zieleni, z zgrają jeleni
Płynie po wodzie, płynie po dole.

VI

Dziewczę piękne na wodzie,
Liczko jako dwie jagodzie,
Stojała nad brzegiem rzeczki,
I rzucała dwa wianeczki.

Oj, płyną, płyną, oj, toną, toną,
Marysia się smuci,
Jasio jedyny do swej dziewczyny
Oj, pewnie nie wróci.

I rzuciła trzeci wianek,
Czy Jasieńko ukochany,
Tam, jak kościół malowany,
Brać z nią ślub będzie?
Wianek płynął po dunaju,
Gdzie Jasieńko się zadumał:
— Ty, Jasieńku, ty mój pierwszy!

— Jużci nie pójdę do inszej.
Pojedziewa do kościoła,
Moja Maryś bądź wesoła.
Tam nam będą grać
I ślub dawać!

VII

— Żegluję, płynę, moja Maryś,
Ratuj mnie, bo zginę,
Zapal świecę albo dwie,
Ratuj siebie albo mnie.
— Jakże mam cię ratować,
Gdy nie mogę zgruntować,
Zapal świecę albo dwie!

VIII

Oj, był Jasieńko we Lwowie,
A Kasia była w Krakowie.
Kasia do Jasia tęskniła,
Parę wianeczków uwiła,
Na bystry dunaj puściła.
— Płyńże, wianeczku, do młyna,
Gdzie Jasio rączki umywa.
— Płyną wianeczki ze złota —
To mojej Kasi robota.
Płyńcie wianeczki tam nazad,
Przyjdą do Kasi na obiad.

Z *Gloger*
(Obyczaje doroczne)

NA UROCZYSKU

Dzień Kupały najdłuższy w roku, noc Kupały najkrótsza, były jednym ciągiem wesela, śpiewu, skoków i obrzędów.

I na tej górze świętej nad jeziorem, kędy się z sąsiednich mirów na Kupałę najwięcej ludu zbierało, już o wschodzie słońca z kąpieli wychodzące tłumy, przybrane w wieńce, poprzepasywane bylicą, postrojone ziołami kwitnącymi, otaczały starych gęślarzy...

Od rana widać tu już było młodzież, znoszącą suche gałęzie, łuczywo, bierwiona świeżo ucięte, gdyż martwego drzewa jak na budowę chaty nikt nie używał, tak i na ogień święty nosić go nie było wolno. Gałęzie nawet suche z żywego drzewa musiały być obłamywane, bo w tych, które na ziemi leżały, mieszkała już śmierć. Ze wszech stron widać było sunące sznurami niewiasty w bieli, całe w wiankach i opaskach zielonych, chłopaków w narzuconych na ramiona siermięgach. Zewsząd po gajach i lesie brzmiały przedśpiewy, zwiastujące nocną uciechę. Nagotowane ogniska widać było u kraju lasu, pod dębami i głębiej jeszcze. Kamiennymi siekierkami łupano drzazgi na podpał. Każda gromada obejmowała dawne miejsce i zgliszcze swe świąteczne. Swar wesoły i śmiechy przebrzmiewały po lesie...

Słońce zapadać miało. Wszystkich oczy i twarze ku niemu były zwrócone. Czekano, gdy ostatni jego promień zniknie z drzew pozłoconych wierzchołków, aby ognie rozniecić i pieśni a korowody rozpocząć.

Starsze niewiasty siedziały na ziemi, a około nich cebry i garnki, i niecki z mięsiwem, i kołacze, a korowaje świąteczne widać było; młódź się kręciła i goniła po błoni, klaskając w ręce...

— Kupało! Kupało! Łado — odzywały się tu i ówdzie śpiewne głosy... Poglądano ku lasowi, w stronę dworu, bo jednej Dziwy i Żywi nie było, a Dziwa miała pierwsza ogień podpalić i pieśń zanucić o Kupale. Chłopcy tymczasem suche tarli drzewo, aby zrobić ogień boży, który by sam się zrodził, młodym był i nowym a potem przez rok cały na domowym palił się ognisku. Był to ogień, którego z domu nikomu wynosić obcemu nie dawano. Kto ogień wynosił z chaty, brał z niej życie...

Wtem w dali pokazały się dwoje dziewcząt w bieli; szły zwolna, trzymając się za ręce. Zielone wianki miały na głowie, zielonymi przepasane były splotami, snopki ziół niosły w rękach, ale szły milczące, bez pieśni. Były to Dziwa i Żywia, obie jeszcze smutne po ojcu żałobą... Z dala słychać było śpiew:

„Słońce w morzu się kąpało, bo na wesele iść miało! Wiodą, wiodą pannę młodą, w złote szaty przyodzianą. Księżyc jedzie z gwiazd drużyną, witaj, słoneczko kochane. Ty mi będziesz królowała, słoneczko moje jedyne! Kupało!”...

Dziwa patrzyła na zachodzące słońce, którego promienie ozłacały jej twarz i lśniły się we włosach. Ostatni blask zagasł, już tylko łuna czerwo-

na wskazywała, gdzie zapadło, dwa smolne łuczywa ogień obejmował boży, zażegniętą żagiew podano dziewczynie, która żywo i zręcznie pod stos ją podłożyła. W tej samej chwili przy wszystkich ogniskach błyskały już ogniki, i wielkim głosem wołano radośnie: „Kupało!”

Niewiasty stawały kołem, biorąc się za ręce osobno, osobno mężczyźni, i pieśni brzmiały po lesie dokoła...

Zbudzone śpiewem podniosło się wodne ptactwo na jeziorze, zaszeleściało w krzewach, a wokoło stosów dziewy zawiodły uroczystą pieśń kupalną o bogu w złotym wieńcu, co polom niósł ziarna złote, co łąkom niósł rosy, co ludziom chleb dawał, co wypełniał kłosy, co ule zasładzał, który czynił dzień, miłość zsyłał i wesele...

Zrazu śpiew ciągnął się powolnie, krokami szły ociężałymi, potem pieśń żywiej brzmieć zaczęła, ruch coraz szybszym się stawał, rozgorączkowywał głos, miotały ręce, podnosiły głowy i oczy. Stare niewiasty, oparte na kijach, siedzące na ziemi, które pójść nie mogły z korowodem, poklaskiwały siedząc, poruszały głowami, całym ciałem drgały wspomnieniem młodości.

Las płonął światłami i huczał pieśnią, i tętniał skokami...

Hej! Kupało! Kupało!...

Niewiasty jeszcze wiodły tany, gdy chłopcy z zapalonymi żagwiami zaczęli przeskakiwać ogniska a potem wyścigać się po łące i wybiegać na polanki z nimi.

Gdzie indziej lano miód w ogień na ofiarę Białemu bogu; przygasał płomień na chwilę i buchał potem z nową mocą. Parobczaki nieraz spotkali się w skoku, wśród płomieni i dymu uderzyli o siebie, nieraz się śmiejąc chwytali za bary, padali na ziemię i tarzali mocując.

U wszystkich ognisk razem rozpoczęły się te skoki, a wnet potem z ogniem pogony. Z pozapalanymi żagwiami, których ogień w biegu nie powinien był zagasnąć, obiegano posiane zboża, barcie, łąki, wołając Kupały.

Na niebiosach, jakby spod zasłon przypatrując się ciekawie temu, co się działo na ziemi, szła zorza wieczorna całować się ze wschodzącą jutrzenką. Noc zaledwie przysłoniła lasy, a już dzień świtał za nimi.

J. I. Kraszewski
(Stara baśń)

ŚWIĘTO KUPAŁY

Uroczysko zwane grodziskiem na sątopi było w lasach, na wschodniej stronie jeziora. Szło się przez mokrzysko zawalone kłodami jakiegoś dawno poległego lasu, wpół utopionymi w błocie, sterczącymi jeszcze w górę nagimi ramionami gałęzi. Zielska wodne rosły bujnie, woda ciekła leniwie, gromadząc zawałki z liści i chrustu wzdłuż pni leżących.

Za tą sątopią był brzeg twardy, gołaźń leśna, wokół z dala otoczona dębowym lasem, porosła w pas ostrą trawą, sitem, gdzieniegdzie pałczystą trzciną. Inne miejsca były suche i pokryte niską macierzanką i poziomkami. To zwano grodziskiem. Czy tam kiedyś grodzisko było, nikt nie pamiętał. Może Kołacza dziad albo Radochów ojciec, Wit z Lutujewa, wiedzieliby — ale od tych nikt żywy już się nic dopytać nie zdołał ani wyrozumieć, co by mówili.

Na tym grodzisku palono ogień w noc świętego Jana Białego, kiedy słońce w największej mocy i chwale przemaga ciemność, zwiotszałą przed jego obliczem, a zeszedłszy, nie gaśnie prawie i wnet powstaje w różanym łożu na wschodzie.

Pod wieczór, ledwie się słońce słaniało za klasztorne, zachodnie bory na Rudnie, dążyły z bliższa i z dalsza na grodzisko drużyny ludzi, zielem podpasanych, niosąc jadło i napitek, chciwych świątecznej rozkoszy i rozpasania, pragnąc dać się wzbudzić i wzbujać w sobie wesołości na nic niepamiętnej, wedle obrzędu chowanego od dawien dawna na wszystkim okolu ziem nad jeziorami.

Te gromadki przenikały w las i chodnikami znajomymi z zeszłych dorocznych świąt, przez zarośla i paprotniki, przez kłody na moczarze, ścieżkami po grądach [1]) popod spamiętane z dawna krze i drzewa, przebierały się coraz dalej w łono milknącej puszczy, tchnącej świeżym chłodem w gorące powietrze wieczoru.

Już po lesie, nie czekając dojścia na miejsce, poczynały się wesołe przyśpiewki i pokrzyki, a gdy błysnął poprzez gałęzie i gąszcze płonący już ogień, wydzierało się serce do tej radości i, porzucając kolej, jedni przez drugich czesali przez krzaki, zwały i dziury leśne ku uroczysku, ku weselu.

---

[1]) Grądy — suchsze kawałki gruntu.

A tam — przecudne święto jare! Na środku płonie ogromny stos, mocno złożony; wypuszcza przebujne włosy ogniste prosto w górę i ogromne kędziory dymu, zwijającego się aż do nieba. Gdy tchnie w to cichy wiatr, zawija i skręca się wysoki, lecący słup, przypada dymnym czołem kłębiastym, różowym na ścianę z ciemnych dębów, skręca się, zwraca, wionie po krzach, po murawie, podnosi się i znowu biegnie w niebo cały różany od ognia buchającego grzywami, pędzącego czerwonymi strunami równo w górę. Naokoło ciżba nieprzeliczona tłoczy się, śpiewa, krzyczy, już tam i sam brzmią pierwsze piski i bębny radośnej gędźby, wprawiającej w pląsanie ludzkie stopy.

Puszcza stojąca okolem, rozświetlona różowym blaskiem po czołach skrajnych drzew, chowa w łonie ciemność i ciszę.

Mało gdzie ocknie się ptak i zaszczebioce, wyleci, złudzony, że już świt, zatoczy koło ponad jasnym uroczyskiem i zniknie w puszczy, spłoszony wrzawą ludzką.

Święto szło: już tną od ucha skrzypki, walą bębny z mosiężnym brzękiem sowitych kółek, wyrywa się skoczny pląs, targa ludzi: biegną od jadła, napoju, wielkie koło zawija się wokół ognia, przytupuje, pokrzykuje, śpiewa, kręci się, mieni się:

Ej! krasny bożyce, Łado a Łado!
Przed nim zorza rumiana,
Za nim zorza czerwona — Łado a Łado!

Przed nim czarny ginie,
Przed nim ogień płonie — ej, Łado a Łado!

Idą, idą jego siostry — gwiazdeczki,
Idzie, idzie jego syn — księżyc — ej, Łado a Łado!

Pomóc Bóg jego siostrom — gwiazdeczkom,
Pomóc Bóg jego synu — księżycu!
Pomóc Bóg jego wszytkiej rodzinie — ej, Łado a Łado!

Kaleki niedołęgie, słabowici, stare dziady nieruchawe, baby trzęsące, wodzą się każdy sam, stojąc poza kołem; oni także przytupują na miejscu, w ręce pleszczą, bezzębnymi usty krzyczą do ochoty, roześmiani, a gęsto zazierają do dzbanów, zagrzać słabe siły. Małe dzieci wyskakują, krzyczą, radują się jak oszalałe, ponosi je boska radość, jak wiatr suche liście: nie

wiedzą, co robić z rozkoszy. Ogień to olśniewa, czaruje, upija ludzkie źrenice, czyni je ślepymi na wszystko poza nim: pokazuje sobą, co czynić należy, a człowiek wydany, przejęty wskroś jego czarem, pląsa jak płomienie, biega, mknie, skacze, kręci się, krzyczy. Dorośli twardsi są do rozpalenia; ale przyjdzie ono i na nich.

A nowi nadchodzą wciąż z lasa, tłoczą się w ciżbę, w pląsy, do ognia świętego, przepychają się, szukając swoich...

. . . .

Grali teraz drobnego: smyczek latał po strunach, tylko się migał. Grajek cupkał nogą do taktu, wszystek podrygując, głową przybijał, cały się kołysał, podawał na wolę swego grania, jakby skrzypce jego wodziły, a nie on skrzypce... Bębny brzęczące sutym mosiądzem huczały jednostajnym warkotem, a na tym ciemnym tle wodziły pieśń skrzypki niby złoty, skaczący wątek. Jakby ogień z nich się wyrywał pieśnią a z ludzi pląsaniem. Co się obróci tętno grania, utnie, każąc przytupnąć, krzyknąć, to jakby żar buchnął ze krwi, serca, głowy... Znów się obróci: wołają skrzypki długimi wołaniami raz po razu, jakby do kogo poza tłumem, w noc, w puszczę. I znowu bucha zawzięty świergot, smyczek się miota jak szalony, pląsacze przytupują, a jeszcze krzyczą:

Ojże dana, ojże ino!...

Skrzypki cięły:

Obareczek [1]), osiczyna, ja pachołek, tyś dziewczyna,
tyś dziewczyna do ochoty, ja pachołek do roboty!
Ojże ino na dunaju, mocny Boże, złączże naju,
mocny Boże złączyć może, rodzineczka dopomoże...

A słuchaczom wyrywało się samo: „Oj, dana, ojże ino!"

Ognista ochota rozpętała się na uroczysku. Taniec kołem migał przed skrzypkami, śpiewki nieustanne, zmieszane krzyki, wołania wylatywały z ciżby upojonej zarówno gędźbą, jak miodem i piwem... Szał porywał i najstarszych ludzi, miotał, obracał, kręcił nimi jak dla swej igraszki, a gędźba cięła, śpiewała jak złotym głosem na tle dudnienia bębnów i dźwięczenia mosiądzu:

---

[1]) Świerk, smolna szczapa.

A cóżeś ty za pachołek, konie stoją, goły żłobek,
a cóżeś ty za dzieweczka, nie masz chusty, ni płateczka.
Ojże ino na dunaju, mocny Boże, złączże naju,
mocny Boże złączyć może, rodzineczka dopomoże...

J. Powalski
(Nad jeziorem)

ŚWIAT ROŚLINNY W PIEŚNIACH, PODANIACH I WIERZENIACH LUDU NASZEGO

I

ZIOŁA I KWIATY NASZYCH ŁĄK, PÓL I OGRODÓW

Lud nasz kocha kwiaty i ceni zioła. Piękne kwiecie raduje jego oczy. Chętnie je też sieje i sadzi w swym obejściu. Zioła dostarczają mu niejednego leku. W jego naiwnym pojęciu bywają one nieraz obdarzone czarodziejską, tajemną siłą, która zło lub dobro przynosić może. Więc też mnóstwo pieśni, podań, wierzeń i przesądów wiąże się u niego z roślinnością, jaka go otacza. Niektóre z nich tu przytaczamy.

Podwójny kłos zboża wróży szczęście, wróży je też poczwórna koniczyna.

O bylicy, którą się dziewczęta w kupalnockę opasują, śpiewają po wsiach:

Za stodołą bylica,
Za bylicą pszenica,
Za pszenicą biały kwiat,
Pójdźże, Jasiu, jeśliś chwat.

Listeczki ruty, tak ulubionej w ogródkach wiejskich, wyrosły z krwi Zbawiciela, gdy szedł na Golgotę. Wianki ruciane, puszczane na wodę, wróżą dziewczętom, kiedy pójdą za mąż. O nich to śpiewa piosenka:

Nasieję ja ruty w nowym ogrodzie,
Hej, mocny Boże, w nowym ogrodzie,
Uwiję ja trzy wianeczki, puszczę po wodzie.
Hej, mocny Boże, puszczę po wodzie!

Gdy dziewczyna za mąż nie idzie i starzeje, mówi się o niej, że „posiała sobie rutki".

Rozmaryn był zawsze używany na wianki dla panny młodej. Pełno też o zielu tym wzmianek w poezji ludowej. Wesoło śpiewa przed ślubem dziewczyna:

Hej, z góry, z góry
Jadą Mazury.
Jedzie, jedzie Mazureczek,
Wiezie, wiezie mi wianeczek
Rozmarynowy!

Gdy zaś niemiłego zalotnika pozbyć się chciano, wtedy i w dworze, w chacie podrzucano mu grochowy wieniec lub przywiązywano go z tyłu o kolasy. Niefortunny konkurent czytał w grochowinach nieodwołalny wyrok odmowy i był zmuszony poniechać zalotów.

Ziarnu zaś grochowemu przypisywano moc niezwykłą. Kto je spożył na czczo, ten zdobywał siłę urzekania innych. Kto jednak nieopatrznie najadł się grochu przed wigilią — ten się na cały przeciąg roku narażał na ból zębów.

Do róży i do lilii przyrównywują najczęściej pieśni ludowe młodą, piękną dziewczynę:

Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
Jak różany kwiat...

mówi jedna z tych pieśni. Inna zaś śpiewa o dziewczynie opuszczonej:

Stanęła, jako biała lilija przy drodze.

Do lilii też porównywa lud sierotę, co stoi

Zapłakana, jak biała lilija,
Którą wiatr powija.

Kwiat paproci, to oczywiście zapowiedź szczęścia i skarbów niezwykłych. Poza paprocią są jeszcze inne zioła, cudowną moc posiadające. Trójziele, za morzem rosnące, leczy wszystkie choroby. Lubystek daje wzajemność w miłości. Toż samo daje i nasiężrzal, o którym dziewczęta śpiewają:

Nasiężrzale, rwą cię śmiele
Pięciom palicami, szóstą dłonią,
Niech się za mną chłopcy gonią!
Płot, nie płot, wszystko w skok!

Zgodnie z podaniem ludu naszego, sztuki leczenia ziołami nauczona się przypadkiem. Oto wieśniak pewien podsłuchał, jak podczas morowej zarazy tańczyły po wsi Śmierci i tak sobie przy tych tanach wyśpiewywały

Kto będzie pił biedrzeniec,
Dzięgiel, kosajec i tyrniec,
Temu bieda nie zrobi nic.

Oczywiście tą zdradzoną tajemnicą o ziołach leczniczych podzielił się ów chłop podsłuchujący ze swymi sąsiadami — i minęła ich morowa zaraza.

Oprócz roślin leczniczych, wymienionych powyżej, lud nasz wierzy, że kotki palmowe, bylica, boże drzewko, dzwonki, krzyżownik, osika i mak poskramiają złe duchy i odczyniają czary. Barwinek, czosnek bławatek wpływają na dobroć masła i mleka. Jałowiec zaś, leszczyna i tatarak pomagają przy rozpędzaniu burzy. Na ogół zaś wszystkie zioła kwiaty, w Kwietną Niedzielę i w Boże Ciało rade przysłużyć się człowiekowi. Rwane do palm i na wianuszki, szepczą cichutko:

Święć i mnie! Co mogę, to pomogę.

Nie każdy jednak człowiek ma szczęśliwą rękę do zbierania tych ziół. Najlepiej rwać te, które rosną koło wsi lub na miedzach.

Lud nasz wierzy, że rośliny takowe mają wspólnego ojca i wspólną matkę. Ojcem ich jest sejec, a matką lebiodka albo, według niektórych, grzmotnik.

A dlaczego kwiecie rośnie na łąkach tak bezładnie pomieszane, o tym mówi nam następująca legenda:

Chciał Pan Jezus w dniu wiosennym poobsiewać łąki kwiatami. Dwóm aniołom kazał zatem ułożyć w kobiałce pięknie dobrane nasiona i zanieść je do wysiewu, na ziemię. Anioły pokłóciły się w drodze i w sprzeczce pomieszały nasiona. Co było robić? Wysypały ziarenka tak jak były pomieszane, wszystkie, razem. Od tego to czasu łąka mieni się jak pstry kobierzec. Firletki obok jaskrów, rdest przy dzwonkach. Żadnego w tym nie znajdziesz ładu!

II

DRZEWA I KRZEWY NASZYCH LASÓW I OGRODÓW

Lipa była ulubionym drzewem w Polsce. Ona ocieniała nasze dwory. Ona dopomagała nieśmiertelnej pracy Jana Kochanowskiego, cienia chłodzącego w dnie skwarne mu użyczając. Pełno też jej w pieśniach ludowych:

Po lipowym moście
Jadą, jadą goście!

Po lipowym moście ucieka też od swej Kasieńki Jasio, którego zły starosta goni.

Jakaś bardzo żądna tańca matka śpiewa sobie wesoło:

Kołysz mi się, kołysz, kołyseczko z lipki,
A ja pójdę tamoj, gdzie brzękają skrzypki!

Obok lipy, jawor, kalina i olcha często występują w poezji ludu naszego:

Przy zielonym sznurze
Dwoje drzewa tam stoi.
Jedno jaworowe,
Drugie kalinowe,
A oboje zielone.
A pod jaworowym nadobny kochanek
Szabeleczką wywija,
A pod kalinowym nadobna kochanka
Chustkę złotem wyszywa...

Śpiewa jedna z piosenek, w innej skarży się parobczak:

Jaworowe kółka, olszowa rozwórka,
Trzeba by ją okować.
Spodobała mi się u młynarza córka,
Ale mi jej nie chcą dać!...

Jeszcze inna opowiada o kalinowym lesie, gdzie:

...woda kamień niesie.
Maryś na nim stała,
Swe włosy czesała.
Co włosek upadnie,

To woda zagarnie.
— Płyńcież, moje włosy,
Do matki w rozkoszy.
Jak tam przypłyniecie,
Przed wroty staniecie,
Pytajcież ode mnie,
Nie tęsknoż beze mnie?

O leszczynie, osice i jarzębinie mówią liczne legendy, z postacią Zbawiciela i ze wspomnieniem życia Jego związane.

Według jednych osika drży ciągle od czasu, gdy Judasz znękany wyrzutami sumienia powiesił się na niej. Według innych zbrodniarzowi ułatwiła śmierć haniebną jarzębina i dlatego owocu jej nikt nie jada. Osika zaś drży, gdyż przyjęła w swe gałązki śmiertelną trwogę Zbawiciela, który w Ogrodzie Oliwnym, krwawym potem oblany, oparł się o nią w godzinie przedzgonnej męki.

Leszczyna, to w wierzeniach ludowych dobry, poczciwy krzew. Pod jej gałązkami, nisko a szeroko rozłożonymi, znalazła schronienie. Przenajświętsza Panienka z maleńkim Jezusem, gdy przed siepaczami króla Heroda umykała. Owoc leszczyny dostarcza pożywnego i smacznego pokarmu. Ziarnka orzecha, pomiernie zażywane, polecane były od dawna w Polsce jako środek działający dobrze na apetyt. Lud wiejski wplata je chętnie do wianków, a że dojrzewają pod jesień, stąd przysłowie:

Na świętego Wawrzeńca
Idą orzechy do wieńca.

O jabłonce śpiewa w starej piosence ludowej dziewczyna:

A wiernie ja Panu Bogu służyła,
A kiedy ja tę jabłonkę sadziła!...

W bajkach ludowych miewa jabłoń często złote listeczki i złote kwiateczki nosi, a z nich złote jabłka rodzi. Z młodego, po raz pierwszy plonującego drzewa jabłek zrywać nie wolno, bo nie będzie wcale owocu dawało.

W ten sposób tęczową przędzą baśni oplata lud nasz cały świat roślinny, jaki go otacza, doszukując się w ziołach i drzewach lasów naszych, pól i ogrodów sił tajemniczych, wrogich lub przyjaznych ludzkiej doli.

M. D

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE WIOSENNE

1 *kwiecień*: Kwiecień, gdy jest suchy, nie daje dobrej otuchy.

Na kwiecień lada z czego wianek spleciem.

2 *kwiecień*: Po świętym Franciszku, pasą na owsisku.

23 *kwiecień*: Na świętego Wojciecha, rośnie rolnika pociecha.

Na świętego Wojciecha wypada pierwszy siew owsa; stąd powstało stare przysłowie:

Benedykt w pole z grochem, Wojciech z owsem jedzie, Stanisław ze lnem, Filip tatarkę wywiedzie.

25 *kwiecień*: Na świętego Marka, siej lepiej groch do garka (bo na polu zbyt wcześnie).

Święty Marek rzuci do wody ogarek (bo już cieplej na świecie cieplejsza woda w rzekach).

Święty Marek poszedł na folwarek oglądać żytko, czy zeszło wszytko.

Na świętego Marka późny siew owsa a wczesna tatarka.

1 *maj*: Suchy marzec, mokry maj — będzie żyto jako gaj.

15 *maja*: Święta Zofija, kłosy wywija (znaczy to, że ozimina zaczyna kłosować).

Zielone Świątki: Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha, a po świętym Duchu chodź często w kożuchu.

8 *czerwca*: Od świętego Medarda czterdzieści dni szarga.

15 *czerwca*: Na święty Wit słowik cyt.

I słowik tylko po święty Wit śpiewa.

24 *czerwca*: Święty Jan, przynieś oleju dzban (olej z rzepaku, który się w tej porze zbiera).

Gdy się święty Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna utuli (to znaczy, że gdy w dzień świętego Jana deszcz pada, nie ustaje aż w dzień Nawiedzenia N. P. Marii.

Kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba deszcz uprosi.

29 *czerwca*: Jeśli Piotr święty z świętym Pawłem płaczą, to ludzie przez tydzień słońca nie zobaczą.

O. Kolberg
(Lud)

K. W. Wójcicki
(Archiwum domowe)

L A T O

LIPY KWITNĄ

(W skróceniu)

Lipy kwitną... Woń przesłodka dyszy,
Puch się kwietny sypie poprzez płoty,
Wskróś szerokiej, wskróś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu pszczelny rój nasz złoty!

Lipy kwitną... Złoty rój nasz brzęczy,
Miodem pachnie prastara pasieka,
Malowany kolorami tęczy
Tuman siny wieje gdzieś z daleka.

Lipy kwitną... W sinym wskróś tumanie
Ciche, senne w zorzach widać chaty,
A do każdej światła zwiastowanie
Jasną stopą niesie duch skrzydlaty...

M. Konopnicka

O ZMROKU

Wieczór... Wiatr z dala niesie
Zapachy lip, kwitnących w lesie...

Umierający dzień odchodzi
W czerwonych zórz powodzi.

Rubinów barwą i korali
Niebo się pali.

Na drogach pusto i bezludnie,
Lipy tak pachną cudnie.

Po błękitnawej pól roztoczy
Stęsknione błądzą oczy.

Cisza i zapomnienie
Idą przez sennych łąk przestrzenie.

I biorą cały świat w ramiona,
I dzień już kona...

Wiatr falę zbóż pochyla wiotką,
Lipy tak pachną słodko.

A słońce, sypiąc swe rubiny,
Za bór się chowa siny...

Zdzisław Dębicki

BURZA LETNIA

Owe obłoki ranne, zrazu rozpierzchnione,
Jak czarne ptaki, lecąc w wyższą nieba stronę,
Coraz się zgromadzały. Ledwie słońce zbiegło
Z południa, już ich stado pół niebios obległo
Ogromną chmurą. Wiatr ją pędził coraz chyżej,
Chmura coraz gęstniała, zwieszała się niżej,
Aż jedną stroną na wpół od niebios oddarta,
Ku ziemi wychylona i wrzerz rozpostarta,
Jak wielki żagiel, biorąc wszystkie wiatry w siebie,
Od południa na zachód leciała po niebie.

I była chwila ciszy, i powietrze stało
Głuche, milczące, jakby z trwogi oniemiało.
I łany zbóż, co wprzódy, kładąc się na ziemi
I znowu w górę trzęsąc kłosami złotemi,
Wrzały jak fale, teraz stoją nieruchome
I poglądają w niebo najeżywszy słomę.
I zielone przy drogach wierzby i topole,
Co pierwej, jako płaczki przy grobowym dole,
Biły czołem, długiemi kręciły ramiony,

Rozpuszczając na wiatry warkocz posrebrzony;
Teraz jak martwe, z niemej wyrazem żałoby,
Stoją na kształt posągów sybilskiej Nioby.
Jedna osina drżąca wstrząsa liście siwe.

Bydło, zwykle do domu powracać leniwe,
Teraz zbiega się tłumnie, pasterzy nie czeka
I opuszczając strawę, do domu ucieka...

Ptactwo skryło się w lasy, pod strzechy, w głąb trawy;
Tylko wrony, stadami obstąpiwszy stawy,
Przechadzają się sobie poważnemi kroki,
Czarne oczy kierują na czarne obłoki,
Wytknąwszy język z suchej, szerokiej gardzieli
I skrzydła roztaczając, czekają kąpieli,
Lecz i te, przewidując nazbyt mocną burzę,
Już w las ciągną, podobne wznoszącej się chmurze.

. . . .

Na zachód, jeszcze ozłocona,
Ziemia świeci ponuro, żółtawo-czerwona;
Już chmura, roztaczając cienie na kształt sieci.
Wyławia resztki światła, a za słońcem leci,
Jak gdyby je pochwycić chciała przed zachodem.
Kilka wichrów raz po raz prześwisnęło spodem,
Jeden za drugim lecą, miecąc krople dżdżyste,
Wielkie, jasne, okrągłe, jak grady ziarniste.

Nagle wichry zwarły się, porwały się wpoły,
Borykają się, kręcą, świszczącemi koły
Krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach,
Wpadły na łąki, świszczą po łozach i trawach.
Pryskają łóz gałęzie, lecą traw przekosy
Na wiatr, jako garściami wyrywane włosy,
Zmieszane z kędziorami snopów. Wiatry wyją,
Upadają na rolę, tarzają się, ryją,
Rwą skiby, robią otwór wichrowi trzeciemu,
Który wydarł się z roli, jak słup czarnoziemu,
Wznosi się, jak ruchoma piramida toczy,

Łbem grunt wierci, z nóg piasek sypie gwiazdom w oczy,
Co krok wszerz wydyma się, roztwiera ku górze
I ogromną swą trąbą otrębuje burzę.
Aż z całym tym chaosem wody i kurzawy,
Słomy, liścia, gałęzi, wydartej murawy,
Wichry w las uderzyły i po głębiach puszczy
Ryknęły, jak niedźwiedzie.

A już deszcz wciąż pluszczy
Jak z sita, w gęstych kroplach. Wtem rykły pioruny,
Krople zlały się razem: to jak proste struny
Długim warkoczem wiążą niebiosa do ziemi,
To jak z wiader buchają warstwami całemi.
Już zakryły się całkiem niebiosa i ziemia,
Noc je z burzą od nocy czarniejszą, zaciemia.
Czasem widnokrąg pęka od końca do końca,
I anioł burzy, na kształt niezmiernego słońca,
Rozświeci twarz i znowu okryty całunem
Uciekł w niebo i drzwi chmur zatrzasnął piorunem.
Znowu wzmaga się burza, ulewa nawalna,
I ciemność gruba, gęsta, prawie dotykalna.
Znowu deszcz ciszej szumi, grom na chwilę uśnie,
Znowu wzbudzi się, ryknie, i znów wodą chluśnie.
Aż się uspokoiło wszystko. Tylko drzewa
Szumią około domu, i szemrze ulewa.

A. Mickiewicz
(Pan Tadeusz)

LEGENDA O KŁOSIE ZBOŻOWYM

W onych dawnych czasach, kiedy to Pan Jezus po świecie chodził, ...dziło zboże tak bujnie, że kłosy od ziemi samej aż po wierzchołek ziar...m były okryte.

Ludziom, co rolę posiadali, życie płynęło wtedy w dostatkach. Zhar...eli też od tego bogactwa i wszelka litość ku bliźnim w sercach ich wy...rła. Sami używali od rana do nocy, smaczne kołacze i placki bieluchne

jedynie spożywając. Chlebem prostym, szarym, żytnim chlebem gardzili, lecz się nim nie chcieli z biedniejszymi dzielić. Nieraz całe bochny tego chleba szły do chlewów, trzodom na posiłek, a i na śmietnisku znalazła się kromka niejedna. Biedacy zaś odchodzili głodni ode drzwi bogaczów onych. Czasem tylko trochę mąki, przed progiem rozsypanej lub trochę okruszyn spod proga wolno było zgarnąć.

Patrzał na to Jezus i oblicze bladło mu od smutku, a serce wzbierało żalem.

Wreszcie wyczerpała się pobłażliwość Zbawiciela. Postanowił ukarać złość ludzką. Więc białą swą ręką skinął nad łanami szumiącymi dojrzałym zbożem, a wnet kłosy jęły się kurczyć i maleć, i puste, suche źdźbło słomy spod nich wyjrzało.

Strach padł na nieużytych bogaczy. Widzieli, jak dobytek ich marnieje, czuli, że uratować go nie mają mocy. Ziarno zbożowe z szelestem sypało się na ziemię, źdźbła suchej słomy wydłużały się i rosły. Jeszcze chwil kilka, a z bujnego, dobroczynnego plonu nic nie zostanie.

Ale i Matka Boża patrzała na tę srogą karę z rąk najmilszego Syna na złych ludzi idącą, i serce jej przesłodkie, serce przemiłosierne zapragnęło dla nich przebaczenia.

Pochyliła swe czoło do stóp Jezusa i błagać poczęła:

— Daruj choć resztkę winy. Pozostaw choć odrobinę pożywienia tym nieszczęśliwym. Zgrzeszyli — to prawda, lecz nie karz zbyt surowo. Litości okaż trochę.

Rozjaśniły się smutne oczy Zbawiciela. Głowę Matki, tę najdroższą głowę — co się tyle razy nad nim w dniach dzieciństwa z miłością pochylała, do piersi przygarnął i rzecze:

— Uratujże dla ludzi to, co obejmą twe dłonie.

Rzuciła się Przenajświętsza Panienka ku łanowi zbożowemu, drobne ręce rozwiera jak najszerzej; pragnęłaby w nie jak najobfitszą garść ziarn ująć, pragnęłaby jak najwięcej strawy ludziom ocalić.

Lecz wola Syna jest nieodmienna — niezłomna.

Uratowała więc Maria to tylko, co chwyciły jej dłonie.

I dlatego to, od dni onych, puste źdźbła słomy wznoszą się wysoko nad zbożowym łanem, a ziarna na nich niewiele — tyle tylko, ile Matka Boża zdołała ukryć w swe szczupłe ręce.

M. [

POŁUDNIE

Parne południe w czas skwarnego lata —
Żaden liść nie drgnie od wiatru podmuchu,
Tylko z lip starych źdźbła złotego puchu
Sypią się lekko, a rzesza skrzydlata
Owadów, barwą malowanych tęczy,
Cicho jak harfa niewidzialna brzęczy.

Parne południe w czas skwarnego lata —
Staw drzemie, śpią szuwary. W tafli wodnej
Błękit się nieba odbija pogodny,
A słońce płonie jak źrenica świata.

Parne południe w czas skwarnego lata...

Zdzisław Dębicki

LATO

Jak stół biesiadny, żeńcom podany,
Ziemia w przededniu wielkiego żniwa.
Złotą symfonię słońce dogrywa,
Strun mu tysiącem — rozchwiane łany.

Wian zbóż szafirem chabrów dziergany,
Zwichrzonych kłosów złocista grzywa —
Struną mu miodna, hreczana niwa,
Mleczny gościniec, skrzydłem pszczół tkany.

A po ugorach stoją dziewanny,
Tęsknie wpatrzone w szmat nieba siny —
Niby kapłanki białej Marzanny,

Kwiatem wyrosłe z gruzów Gontyny.
I w pieśń wsłuchane oną przedwieczną
Zbożną i polną — kwietną — słoneczną.

Kazimiera Zawistowska

DOŻYNKI. OKRĘŻNE

W życiu narodu rolniczego, jakim jest naród polski, bardzo ważnym radosnym obrzędem było zakończenie żniwa. Obrzęd ten nosi pospolicie nazwę dożynek. W niektórych częściach kraju naszego zwą go obżynkami lub wyżynkami.

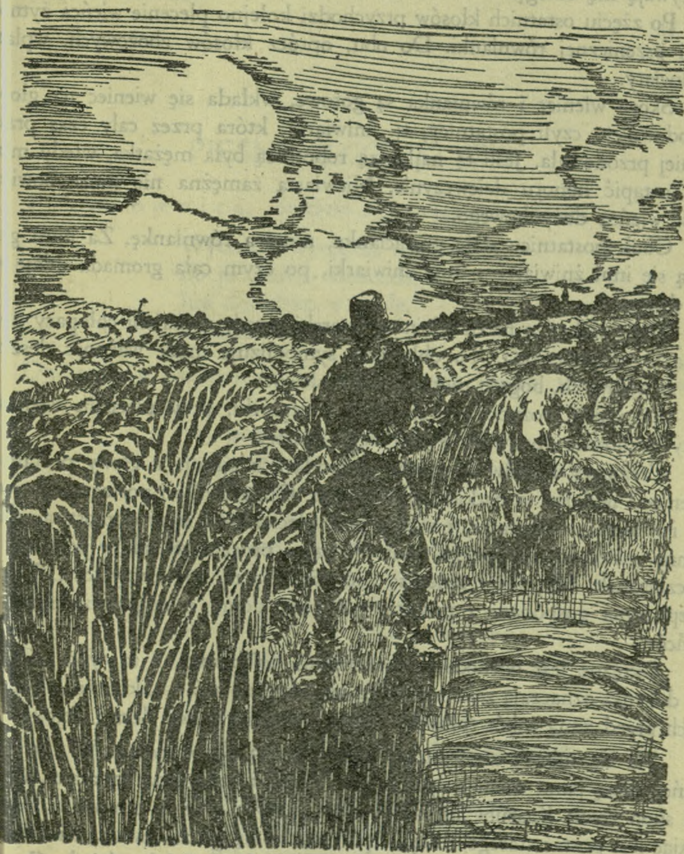
Najpowszechniej odbywają się dożynki na dworskich obszarach. Na Mazowszu jednak i na Pomorzu uroczystość tę odprawiają i włościanie po ukończeniu zbiorów na swych polach, przy czym w najskromniejszym nawet gospodarstwie obfitsza niż zwykle uczta czeka uczestników tego święta.

Gdy żniwo dobiegło do końca, rozpoczyna się obrzęd „strojenia przepiórki". W tym celu pozostawia się na polu, w miejscu widocznym, kępkę zboża. Skoro plon już zebrano, kępkę tę dzieli się na trzy części, z każdej plecie się po warkoczu, a na koniec trzy warkocze wiąże się razem u góry przy kłosach. Pod rodzajem sklepienia, utworzonego z warkoczy słomianych, kładzie się kamień, a na nim, na kawałku płótna, skibkę chleba, grosz i sól, które to przedmioty symbolizują urodzaj i dostatek, zapewniający spokojne życie rolnikowi.

Po ustrojeniu przepiórki, niekiedy zwanej kozą, przychodzi kolej na oboranie jej. Parobcy i dziewczęta, chwyciwszy żniwiarkę, która po raz pierwszy w danym roku z sierpem do roboty stanęła i ująwszy ją za ręce i za nogi, ciągną po rżysku dookoła przepiórki i ta w ten sposób zostaje oborana. Czasem, gdy dobry humor wzbierze ponad miarę — pada ofiarą obrzędu dziewczyna przodująca w żniwie, tj. tak zwana przodownica lub postatnica. Niekiedy i sam pan karbowy musi oborać przepiórkę.

W niektórych okolicach Polski odbywa się „ożynanie oblegi". Oblega jest to kamień, dookoła obrośnięty zbożem, które ma być zżęte na ostatku. Zwykle ostatnia żniwiarka, pewna siebie, wzywa parobków do tego ożynania, wołając:

Wzywam na oblegę,
Póki od niej nie odbiegę,
Po raz pierwszy, drugi, trzeci,
Ten kiep, kto nie przyleci.



Gdy zdoła, zawoławszy to, zżąć zboże przed przybieżeniem parobkc wtedy oczywiście triumf jest po jej stronie. W przeciwnym razie parob oborywają nią oblegę.

Po zżęciu ostatnich kłosów przychodzi kolejno plecenie wieńca żytn go i pszenicznej równianki. Do obu, oprócz kłosów zbożowych, wpla się kwiaty.

Skoro wieniec i równianka są gotowe, wkłada się wieniec na gło przodownicy, czyli postatnicy, tj. żniwiarki, która przez cały czas pra w niej przodowała. Jeśli tą najlepszą robotnicą była mężatka, wtedy mu ona ustąpić honoru dziewczynie. Niewiasta zamężna nie może bowie nieść wieńca dożynkowego.

Obok postatnicy staje postacianka, niosąca równiankę. Za nimi gr pują się inni żniwiarze i inne żniwiarki, po czym cała gromada udaje do dworu.

Kiedy wchodzą na dziedziniec dworski, wtedy zaczajeni chłopacy ob wają postatnicę wodą. To oblewanie symbolizuje może ważność deszc dla szczęśliwych, bogato plonujących zasiewów.

Od chwili rozpoczęcia strojenia przepiórki, przy pleceniu wieńca przy pochodzie do dworu trwają ciągłe śpiewy.

Czekający żeńców na ganku gospodarz zdejmuje z głowy postatni wieniec i obdarza ją datkiem pieniężnym. Obdarowuje i postaciankę, z n jej równiankę odbierając, i wiesza obie plecionki w sieni domostwa, gdz winny wisieć do następnego roku. Po czym prosi uczestników pochodu poczęstunek. Muzyka i tańce są ostatnim aktem tej uroczystości. Tani rozpoczyna gospodarz z postatnicą a pani domu z najpoważniejszym żeńców.

Okrężne jest obchodem, pokrewnym dożynkom, z tą tylko różnic że dożynki oznaczają zakończenie żniwa, okrężne zaś — ukończenie wszy kich przed zimą robót rolnych, a więc nie tylko żniwa, lecz i siejby.

Na Kaszubach uroczystości żniwne zowią się ożniwiny. W czasie i żeńcy niosą panu wieniec upleciony ze zboża i ozdobiony kwiatami. Ost ni snop zowią Kaszubi „bęksem" albo „starym". Snop ten wiąże się, n dając mu postać starego chłopa i przeznacza się go za towarzysza ostatn grabiarce. Czasem ten ostatni snop nazywają „babą" lub „dziadem".

Dodać należy, że pieśni, przy dożynkach śpiewane, mają na og pewne cechy wspólne w całym kraju. Wszędzie czuć radość z ukończon roboty. Wszędzie o gospodarzu i jego rodzinie odzywa się pieśń z życz

ością i respektem, nie szczędząc komplementów. Czasem zaś żartobliwa, czasem zjadliwa krytyka staje się udziałem innych właścicieli-sąsiadów oraz oficjalistów — jak gumienny, ekonom, karbowy, którzy nie zawsze cieszą się sympatią żniwiarzy.

M. D.

PIEŚNI DOŻYNKOWE

Przodownica, co rano zaczynając żąć, śpiewa:

Wychodź, wychodź, dzieweczko,
Bo już zeszło słoneczko,
Już słoneczko w okole,
Bądźcie żeńce wesołe.

Dożynając w ostatnim dniu, przy splataniu wieńca, śpiewają żniwiarze:

Hej, postatnico, pofolguj, pofolguj,
Swojej czeladki nie morduj, nie morduj.
Plon niesiem, plon!
A postatnica folguje, folguje,
Swojej czeladki żałuje, żałuje.
(lub: Czeladka jej dziękuje, dziękuje).
Plon niesiem, plon!
Oj, wyleć, wyleć raba przepiórko!
Bo już nie przyjdziem w to czyste pólko.
Plon niesiem, plon!
Oj, wyleć, wyleć raby sokole!
Bo już nie przyjdziem w to czyste pole.
Plon niesiem, plon!
Latają ptaszki pod samym niebem,
Dożęlim żytka za starym chlebem,
Plon niesiem, plon!
Zostań z Bogiem, przepióreczko,
Już nie przyjdziem w to poleczko.
Plon niesiem, plon!

Zostań z Bogiem i skowronek,
Niesiem panu z pola wianek.
Plon niesiem, plon!
Dożęlim żytka, dożniem pszenicy,
Nie żałuj, panie, wina szklenicy.
Plon niesiem, plon!
Dożęlim żytko aż do odłogu,
Podziękujemy za to Panu Bogu.
Plon niesiem, plon!
Wyrasta byliczka na odłogu,
Dożęlim pszeniczki, chwała Bogu.
Plon niesiem, plon!

Krążyliśmy, krążyli,
Już my żytka dożęli,
Dożęła go dzieweczka,
Za jasnego słoneczka,
Dożął ci go młodzieniec,
Kazał z niego wić wieniec,
Dożęliśmy do łużyka [1]),
Będzie piwo i muzyka,
Beczka piwa i dwie wina,
Niech się ucieszy drużyna!
Dożynaj żytka, dożynaj,
Pana Jezusa wspominaj.
Przepióreczko mała,
Gdzież się będziesz chowała?
My pszenicę już wyżęli,
W snopki powiązali,
W kopy poskładali,
Plon niesiem, plon,
W jegomościn dom!

Niech no jegomość wyjrzy w pole,
Już się oziminka nie chwieje,
Nie chwieje się oziminka ani jareczka,
Sprzątnęliśmy co do ziareczka.
Plon niesiem, plon!
W jegomościn dom!
Bogdaj zdrowo plonowała,
Po sto korcy kopa dała,
Bodaj zdrowo plonowała,
Za tak roczek doczekała!
Plon niesiem, plon!

---

[1]) Do łączki.

Idąc z wieńcem z pola, śpiewa się:

Od zielonego gaju,
Tam żniwiarze się walą,
Niosą wianek ze złota,
Żniwiareczek robota.
Wyżęliśmy wszystko,
Od granic do granic,
Wyjrzyj, panie, wyjrzyj,
Na polu nie ma nic.
Przede dworem wielki kamień,
Nasz jegomość siada na nim,
Siada co dzień, a wygląda,
Co od niego kmieć zażąda.

U naszego pana gęsty sad, gęsty sad,
Nie przeleci go żaden ptak, żaden ptak,
Ale go ta przeleci skowronek, skowronek,
Dla naszej pani przyniesie nam wianek, nam wianek.

Wyjechał-ci nasz jegomość
Na białym koniu,
Pokłonił się niziusieńko,
Nie wiemy komu?
U naszego jegomości
Dębowa podłoga.
Zjeżdżają się zewsząd goście,
Jak do Pana Boga.
Zjeżdżają się na okrężne,
Panie i panowie,
A ja chodzę bez wianeczka,
Nie mam go na głowie!

Nie żałuj, panie, siwego konia,
Ślij po muzykę choćby do Torunia,
Plon niesiem, plon!
Nie żałuj, panie, siwego źrebca,
Ślij po kapelę choćby do Królewca,
Plon niesiem, plon!
Zaścielaj, panie, stoły i ławy,
Jedzie do ciebie gość niebywały,
Plon niesiem, plon!
A na jeziorze głęboka woda,
A nasz pan jedzie jak wojewoda.
Plon niesiem, plon!

A nasz jegomość powraca z wojny,
Koń pod nim pląsa w złoty rzęd strojny,
Plon niesiem, plon!
Dożęli żytko, wygnali lisa,
U naszego pana dukatów misa,
Plon niesiem, plon!
A u jelenia szerokie rogi,
U naszego pana żyta duże brogi,
Plon niesiem, plon!
A na dziedzińcu czerwone goździki,
Naszej pani dzieci, jakby słowiki,
Plon niesiem, plon!

Przed bramą i na dziedzińcu brzmi pieśń:

Otwórz nam, panie, nowe wierzeje,
Bo się na polu już kłos nie chwieje,
Plon niesiem, plon!
Otwieraj, panie, szerokie wrota,
Niesiem wianeczek z szczerego złota,
Plon niesiem, plon!
Otwieraj, panie, nowy swój dwór,
Bo ci niesiemy wszystek twój zbiór,
Plon niesiem, plon!
Wynijdźże, panie, na ten ganeczek,
Przyjm od dziewczyny z plonu wianeczek
Plon niesiem, plon!
Wynijdźże, panie, z całą drużyną,
Przyjm od dziewczyny wianek z kaliną,
Plon niesiem, plon!
Przyjm wianek pszenny, przyjm wianek żytny,
Będzie on panu w plonie pożytny,
Plon niesiem, plon!
A wyjrzyj, panie, wyjrzyj z przysionka,
I talar bity daruj od wianka,
Plon niesiem, plon!
U naszego pana pszeniczka we złocie,
A u pana (nazwisko sąsiada) porosła na słocie,
Plon niesiem, plon!



U pana (nazwisko sąsiada) myszy zboże jedzą,
Do naszego pana i drogi nie wiedzą,
Plon niesiem, plon!
Nad naszego jegomości
Nie masz pana w żadnej włości,
Plon niesiem, plon!
U naszego jegomości dobry rozsądek,
Wystawił nam beczkę piwa, gorzałki sądek,
Plon niesiem, plon!
A sprawże nam, panie, sprawże wyżyneczek,
I wytańcuj, panie, z piętnaście dzieweczek,
Plon niesiem, plon!

A bądźże nam rad,
Bądź nam, panie, rad,
Zabij krowę na śniadanie,
Wołu na obiad!
U naszego jegomości nie marł nikt z głodu,
Dał nam wieprza, dał nam skopa,
Doda i miodu!
Niechże będzie pochwalony,
O, Chrystus nasz — o, Chrystus nasz!
O, jużci nam, mościpanie,
Oj, z wieńcem czas, oj, z wieńcem czas.

Do pokoju nie pójdziemy,
Aże pana zobaczemy,
Plon niesiem, plon!
Do pokoju nie pójdziemy,
Aże panią zobaczemy,
Plon niesiem, plon!
Bodaj zdrowo plonowała,
Tak za roczek doczekała,
Plon niesiem, plon!
W jegomości dom!
Otwórz, panie, okiennicę,
Prowadziemy przodownicę,
Plon niesiem, plon!

Nie żałuj, panie, talara,
Zboże z całego pola zgarniała,
Plon niesiem, plon!
Całe żniwa przodowała,
Wszystkich ludzi pociągała,
Plon niesiem, plon!
Otwórz, panie, drzwi, pokoje,
Położymy plon na stole,
Plon niesiem, plon!
Bodaj zdrowo plonowała,
Cztery korce kopa dała,
Plon niesiem, plon!
Dokoła, mój wianeczku, dokoła,
Będę ja się wykręcała jak pszczoła,
Plon niesiem, plon!
Nie tęgi nasz wianeczek, nie tęgi,
Obiecała mościpani na wstęgi,
Plon niesiem, plon!
Nie z ruty nasz wianeczek, nie z ruty,
Obiecał nam nasz jegomość na buty,
Plon niesiem, plon!
Z pszenice nasz wianeczek, z pszenice,
Obiecała jejmość na spódnicę,
Plon niesiem, plon!
Obróć się dokoła, wianeczku, na głowie,
Niech ci się przypatrzą książęta panowie,
Plon niesiem, plon!
Postawże, dziewczyno, wianeczek na tacy,
Niechże talarami pan ci go zapłaci,
Plon niesiem, plon!
W jegomości dom!

W czasie zabawy huczy wesoła śpiewka:

Pan gorzałkę leje,
A pani się śmieje,
Nie śmiejże się, moje serce,
Bo mi się rozleje.
A u naszej jejmości
Pełno we dworze gości

A po cóż się pozjeżdżali?
Dożynków się spodziewali.
Dworzanie, dworzanie,
U naszego pana,
Każcieże grać sobie
Z wieczora do rana

Od Krakowa wielka burza — wielka burza,
Nasza pani kieby róża — kieby róża,
Nasz jegomość jak lilija — jak lilija,
W tańcu z nami jak wywija — tak wywija!

Ekonomowi dostają się takie komplementy:

A na dziedzińcu siwe kamienie,
U ekonoma krzywe golenie.

Czasem też zwraca się do niego jeszcze na niwie gromada z pobożnym życzeniem:

Już słoneczko zaszło,
Na zachodzie dyszy,
Puśćże nas do domu,
Ekonomie łysy.
Jeśli nas nie puścisz,
To sami pójdziemy
A ciebie, łysoniu,
Tutaj ostawimy.
My sobie pójdziemy
Prosto do dom miedzą,
A ciebie, łysoniu,
Wilki tutaj zjedzą

W tych piosenkach na oficjalistów znajdujemy jednak pewne stopniowanie uczuć. Zależnie od tego, jak postępują oni z podwładnymi, śpiewają im żniwiarze, przeznaczając pewien udział w zbiorach:

A panu rządcy sto kópek,
A włodarzowi dziesiątek.
A gumiennemu powrósła,
A bo mu broda obrosła.
A włodarzowi ściernisko,
A bo nam woła: „Żnij nisko”.
A gumiennemu korzenie,
Bo to paskudne stworzenie.

M. D.

ŻNIWA

W porze żniw, na tej rozległej równinie, ziemia wydawała się złotym fundamentem, dźwigającym błękitną kopułę i okrytym ruchliwym mrowiem drobnych istot. Właściwa barwa ziemi ukazywała się tylko tu i ówdzie, na drogach porosłych rzadką trawą i na wcześnie zaoranych małych szmatach pola; zresztą wszędzie, od wzgórz obrosłych drzewami do wysokiej ściany nadniemeńskiej, dojrzałe zboża płynęły gorąco-żółtą lawą, która miejscami wyginała się w zagłębienia, okryte również gorąco-żółtym ścierniskiem. W tych to zagłębieniach, rozszerzając je coraz i okrywając wypukłościami zżętych snopów, mrowiły się drobne, ku ziemi schylone istoty... Ulewą żaru błękitna kopuła oblewała ich zgięte plecy, a gorący ten oddech nieba skraplał się na ich twarzach i spadał na ziemię deszczem potu.

Na rozległej przestrzeni pola, którą wąska droga od okolicy bohatyrowieckiej oddzielała, żniwiarze wydawali się rojem istot nie tylko ruchliwych, ale i różnobarwnych. Wyglądało to tak, jakby malarz jakiś gorąco-żółte tło bez ładu i symetrii osypał kroplami różnych farb. Biała i różowa przemagały wszystkie inne. Były to koszule mężczyzn i kaftany kobiet. Białość pierwszych była śnieżną, różowość drugich — gorącą.

Przez parę tygodni poprzedzających porę żniw, w Bohatyrowiczach panował wielki ruch prania i szycia. Do kilkunastu dni w roku przygotowywano się tam jak do wielkiego święta. Cała ludność okolicy jednocześnie wylec miała w pole, dla każdego więc było to wystąpienie publiczne, o którego przystojność a nawet i niejaką wykwintność niezmiernie dbano. Kobiety dłużej niż zwykle przesiadywały nad brzegiem rzeki, stukami pralników napełniając powietrze, a pranie to jeszcze poprawiały dopóty, dopóki płóciennej odzieży mężów i braci nie nadały prawie olśniewającej białości. Otwierały one skrzynie i wydobywały z nich najlepszym smakiem na domowych krosnach z lnu i wełny wytkane spódnice...

Kiedy na drodze rozlegał się turkot kół, gwar urywanych i głośnych rozmów, a czasem nawet zapanował ścisk wymijających się albo usiłujących wzajem przegonić się wozów, nad polem, mrowiącym się gromadkami żniwiarzy, wśród upału i blasków słońca stała wielka cisza. Gromadki żniwiarzy, nierównej wielkości i nieprawidłowo wśród szerokiej przestrzeni rozrzucone, zwolna lecz nieustannie posuwały się naprzód w różnych kierunkach. Jedne z nich postępowały ku wzgórzom, inne od wzgórzy ku dwo-

rowi, inne jeszcze poruszały się naprzeciw piaszczystej rozpadliny, stanowiącej wejście do wielkiego parowu Jana i Cecylii. Czasem tylko wzbijał się nad nimi wybuch śmiechu lub powietrzem przeleciało głośno wykrzyknięte imię, stado wróbli zerwało się z krzykiem, tu, tam, ówdzie szybko mignęły stalowe błyskawice sierpów. Zresztą opróżnione wozy jedno i dwukonne, zbaczając z drogi i bez szelestu prawie tocząc się po ścierniskach, stawały w zagłębieniach otoczonych dokoła lasem nietkniętych jeszcze zbóż; owady ćwierkały, czasem przelękniony ptak trwożnie zaświergotał, a wszędzie szeroko, jak okiem zajrzeć i uchem zasłyszeć, płynął po polu suchy, nieprzerwany szelest przecinanych i na ziemię kładących się kłosów.

Parę godzin do zachodu słońca brakowało... Lekkie, przedwieczorne wiatry muskać poczęły wierzchołki nie zżętych jeszcze zbóż i urywanymi akordami szmerów wtórować temu suchemu, monotonnemu, nieustannemu szelestowi, jaki wydawały łamiące się pod sierpami kłosy i z ziemi podnoszone snopy. W tym szeleście i w tych szmerach postaci żniwiarek różnobarwne, milczące, niskie, wysmukłe i przysadziste, prostowały się co chwila i, w tył nieco odgięte, podnosiły w rękach garście długich, kłosistych łodyg, które na rozciągniętym powrośle złożywszy, znowu ku ziemi przypadały. Czasem ta lub owa szybkim ruchem rękaw odzieży po spotniałym czole przesunęła lub odetchnęła głośno. Do stóp im razem z kłosami upadały różowe kąkole, pąsowe maki i siwiejące bławatki; za nimi niskie, liliowe groszki, drobne rumianki, kosmate kotki zostawały nietknięte śród ostrych kolców ścierni, spod ich rąk niekiedy wznosił się i w powietrzu igrał biały puch przekwitłego brodawnika, przed nimi, o kilka czasem kroków, zrywał się ptak spłoszony i, przelękniony lotem przerznąwszy powietrze, nie wiedzieć gdzie, może w gęstwinie zbóż jeszcze stojących przepadał... Wieczór zresztą nastawał. Za okolicą i rzeką słońce połową ognistej tarczy iskrzyło się nad borem. Ostatnimi promieniami jego przeniknięty, kołami wozów i licznymi stopami kurzu podniesiony, złoty tuman pyłu owijał znowu długi szereg domostw i ogrodów, potężne grupy drzew rozłożystych, splątaną sieć płotków i ścieżek. Biały pas drogi i wszystkie ścieżki, wąskie przejścia między ścianami swirnów i stodół napełniły się powracającymi do domów ludźmi i zwierzętami. W powodzi zieleni i tumanie pozłoconego pyłu pojedyńczo i gromadnie przesuwały się, krzyżowały z sobą, tu ukazywały, tam znikały barwiste, kobiece ubrania, głowy w czepkach, chustkach i warkoczach, twarze zmarszczkami okryte, mizerne, smutne lub rumieńcami kwitnące i pomimo przebytego dnia

ciężkiej pracy w wesołych uśmiechach ukazujące perłowe rzędy zębów, ale wszystkie ciemną brunatnością ogorzelizny obleczone i wszystkie lśniące od potu, zaledwie poczynającego wysychać na daleko bielszych niż policzki czołach. Powietrze huczało od gwaru ich głosów, od ryku krów, beczenia owiec, turkotu kół i szczekania psów. Słychać było głuche postękiwania kobiet, usiłujących prostować zbolałe plecy pod odzieżą, na której ciemniały mokre plamy potu, słychać było chichoty dziewcząt, którym niesione sierpy nie przeszkadzały w grubych i ciemnych rękach układać małych wiązanek lub wianków z zerwanych po drodze kwiatów, słychać było cienkie głosy dzieci wybiegających na spotkanie matek, swawolne krzyki podrostków, gdakanie kur, gruchanie gołębi i pianie kogutów.

E. Orzeszkowa
(Nad Niemnem)

OBŻYNKI W POLSKIM DWORZE

. . . Nadszedł dzień urodzin Zofii. Pan Sławiński, chcąc go uświetnić powszechną uroczystością, wybrał go na obżynki. Wkrótce wszyscy w domu nimi zajęci byli. Zakręt ogólny, duże stoły białym płótnem przykryte, obok ciemnozielonych kasztanów; wzniesiony wysoki maszt z chorągiewką, na którym powiewała różnofarbna chustka, w nagrodę umiejącemu ją zdobyć przeznaczona; kilka beczek pod rozłożystą lipą, na których tymczasowo siedziała wiejska muzyka, przegrywając wesoło; dwa kramiki, napełnione wstążkami i różnymi klejnotami wiejskimi, które pan Sławiński swoim córkom do rozdania przeznaczył; krzątająca się z pośpiechem szafarka, stoły kurzącymi się potrawami zastawiająca; ogromne kosze wypieczonym chlebem i białym jak mleko serem napełnione, które Emilka, biegnąc wesoło jak młody konik, po szósty raz tam poprzedzała, kupy gromadzących się wieśniaczek i dzieci przypatrujących się dworowi; śpiewy z daleka słyszane ; dwie nareszcie przednice kłosami uwieńczone, na czele gromady się zbliżające, naokoło i nad wszystkim szklniąca światłość pięknego dnia letniego i naszego jasnobłękitnego nieba północy : taki obraz przedstawiały obżynki w Topolówce... Delfina... z uprzejmością ofiarowany sobie wieniec przyjęła, obróciwszy się w koło z podającą go sobie przednicą. Pan Sławiński hojnie tejże wynagrodził, a dziewczynki, przez

niego zawołane, z równą ochotą do przeznaczonych im kramików pobiegły. Zosia... różnofarbne wstążki i świecące dary do góry wznosiła, rozdając je cisnącym się dziewczętom, podczas gdy Emilka z najserdeczniejszą wesołością, wołając kolejno znajome, zachęcając nieśmiałe, uprzejmie z każdym mówiąc, sumiennym się również troszczyła rozdaniem.

Zasiedli wszyscy do stołów. Śmiały chłopak już schodził przy powszechnych oklaskach z chustką, zdobytą ze śliskiego słupa. Zaczęto spełniać głośne wiwaty za zdrowie państwa, zagrzmiała muzyka i syn wójta z nieśmiałą oracją, gniotąc w ręku kapelusz, pąsową wstążką ozdobiony, przyszedł prosić Zosię w taniec... Emilka poszła wesoło z drugim młodym gospodarzem; za nimi ruszyło kilkanaście par ochoczo, ciężkimi podkówkami murawę tłoczących...

E. Jaraczewska
(Powieści narodowe. Zofia i Emilia)

ŚWIAT ZWIERZĘCY W PIEŚNIACH, PODANIACH I WIERZENIACH LUDU NASZEGO

I

MIESZKAŃCY OGRODÓW, ŁĄK I LASÓW

Świat zwierzęcy często i obficie występuje w poezji i w wierzeniach naszego ludu. Mamy tam oczywiście i stworzenia bajeczne, jak smoka, który połyka ludzi, i bazyliszka, co zabija wzrokiem. Najobficiej jednak i najczęściej pojawiają się zwierzęta, z fauny krajowej znane.

. . . .

Wilk bywa postacią komiczną w pieśniach ludowych. W niektórych okolicach Małopolski taką piosenkę śpiewają o nim podczas wesela:

Wyjdę sobie na góreczkę,
Aż tam wilk tańcuje,
Zapewne on żonki nie ma,
Że się nie frasuje.
Jak się wilczę ożeniło,
Uszy na dół opuściło :
— Au ! Au ! Au !
Przedtem tak nie było.

Lis przynosi szczęście temu, komu drogę przebiegnie. W pojęciu ludu jest jednak uosobieniem chytrości i zdrady.

Bóbr pozostawił o sobie wspomnienie w Małopolsce wschodniej, w ziemi lwowskiej, gdzie się znajdowały liczne żeremie[1]) tego zwierza. Mówi o tem gra „w bobra", podczas której dzieci śpiewają:

A mój miły bobrze,
Schowajże się dobrze,
Od niedzieli do niedzieli,
Żeby cię moje charty nie widzieli.

Soból, spotykany niegdyś w naszym kraju, pojawia się czasem, choć nie często, w pieśniach ludowych. Wzmiankę o nim odnajdujemy w opisie dziewczyny, która

Stoi w okieneczku,
We złotym wianeczku:
Oczka sokołowe
A brwi sobolowe,
Piękna na urodzie,
Twarz, jak dwie jagodzie.

Łasicy trzeba unikać, bo jak parsknie na człowieka — człowiek ten umrzeć musi.

Zając, czasem Kubą nazwany, jest zawsze uosobieniem tchórzostwa. Drży on stale o swe życie i w trwodze śmiertelnej

Siedzi sobie pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą.
Siedzi, siedzi, lamentuje,
Testament sobie spisuje...

Wśród ptaków dopatruje się lud nasz złych i dobrych wróżbitów. Dobrą wieść przynosi jaskółka, żuraw i bocian, złą — puhacz, kruk i wrona.

Sokół bywa nieraz zwiastunem niezwykłych, bojowych wieści.

Hej, hej, nad ciemnym borem,
Nad białym jeziorem,

---

[1]) Nazwa siedzib bobrowych.

Siedzi sokół siwy,
Opowiada dziwy:
Bili się tam długo,
Krew płynęła strugą.
Rolę poorali,
Strzałami zasiali!...

Czasem do oczu jego, bardzo bystrych i widocznie bardzo pięknych, porównywa pieśń ludowa oczy dziewczyny, która

Płakała, idący do ślubu,
Śpiewając piosenkę nielubą,
Oczkami, jak sokół, patrzała,
A łzę z nich, jak rosę, spuszczała.

Czasem sama dziewczyna wzdycha w piosence:

Żebym to ja miała sokołowe oczy,
To by ja leciała do Jasieńka w nocy.
Siadłaby ja, siadła w Krakowie na płocie:
— Przypatrz się, Jasieńku, ubogiej sierocie!

Pokrewny sokołowi, krogulec, bywa też posłem wieści z daleka

A ty, ptaszku, krogulaszku,
Wysoko latasz, wysoko latasz,
Powiedzże mi nowineczkę:
Gdzie się obracasz, gdzie się obracasz?

Tak pyta ptaka młodzieniec i smutną na to pytanie otrzymuje odpowiedź:

Powiem ci ja nowineczkę, ale niedobrą, ale niedobrą,
Że już twoją najmilejszą do ślubu wiodą, do ślubu wiodą.

Niekiedy córka, za mąż wydawana i niechętnie opuszczająca dom matki, pomimo jej wyraźnego zakazu:

Kiedy matuleńka córkę wydawała
Od siebie daleko,
Jak ją wydawała, to jej powiedziała:,
— Nie przychodź tu więcej, córeczko!

odpowiada rzewnie:

Nie przyjdę, nie przyjdę, matuleńko moja,
Ino raz na tydzień,
Stanę się ja ptaszkiem, małym krogulaszkiem,
I przylecę co dzień...

Żurawie występują również często w pieśni ludowej. Ślicznie mówią o nich i o biednej sierocej doli *„Żale sieroty"*.

Leciały żurawie bez pola krzycząco,
Spotkały dziewczynę, do służby idącą.
— Cicho, dziewczę, nie płacz, nie lamentuj sobie,
Ma Pan Bóg staranie i w służbie, i w tobie.

Kukułka była niegdyś dziewczyną. Ponieważ jednak przez swawolę bałamuciła świętą Annę, szukającą jagód w borze, swym kukaniem po gąszczu ją przez cały dzień wodząc, zamieniona została w ptaka i po dzień dzisiejszy kuka żałośnie.

Czasem, gdy się ją na wiosnę usłyszy i gdy się wtedy pieniędzmi w kieszeni brzęknie, bywa ona zwiastunem bogactwa. Czasem też z ilości jej głośnego „kuku" wróżą sobie dziewczęta młode, za ile lat wypadnie im wyjść za mąż.

W pieśni ludowej bywa ona najczęściej uosobieniem żałości lub tęsknoty.

Zakukała kukaweńka za borem,
Zapłakała Marysieńka za stołem,

w dzień ślubu i opuszczenia ojczystej chaty.

Moja mateńka, moja rodzona
Tak płacze i tak czuje,
Jako kukułka, jako kukułka
W zielonym borze kuje,

mówi dziewczyna, żegnając się z matką po weselu.

A Jasieńko w niewoli

...tak żałośnie huka,
Jako kukułka, jako kukułka
W zielonym gaju kuka.

Kania, choćby była najbardziej spragniona, innej wody napić się nie może, tylko deszczowej. Albowiem gdy Matka Boska prała maleńkiemu Jezusowi koszulki, wtedy ptak ten mącił Jej wodę w potoczku. Za karę z żadnego strumyka i żadnej wody, z ziemi wypływającej, nie ma on prawa połknąć ani kropelki. Cierpi więc stale okrutne pragnienie i żałosnym głosem „dżdżu, dżdżu!" woła.

Kruk i wrona krakaniem przepowiadają nieszczęście. Można jednak zapobiec ich złej wróżbie, mówiąc prędko:

Tfy, tfy, tfy! Lepszy Pan Bóg, niż ty!

Czajka woła: „Cztery jajka czajka niesie, cztery!"

Przepiórka prowadzi stały spór z chruścielem. W przednówek dostała od niego zboża i odtąd spierają się oboje o tę pożyczkę. Przepiórka twierdzi, że mniej korcy wzięła i stale: „Pięć, pięć, pięć!..." woła. Chruściel zaś odpowiada z gniewem: „Sześć! sześć! sześć!" Nakłania też przepiórka żeńców do roboty, śpiewając: „Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!"

W piosenkach ludowych czasem pannie młodej nadają nazwę przepióreczki. Stąd znana śpiewka:

Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią, nieboraczek, boso!

Maleńki towarzysz oraczy, szary skowronek, zimę spędza w niebie, bardzo wysoko i dopiero

Święta Agnieszka
Wypuszcza skowronki z mieszka.

Słowiki, to krzykacze i gaduły. Boją się okrutnie kleszcza i wciąż wołają:

Idzie, idzie, idzie, idzie!
— Kto? kto? kto?
— Kleszcz! kleszcz! kleszcz!
— Po co? po co? po co?

i szczują go psami

Chart! ciu! ciu! Chart! ciu! ciu!

Czują jednak respekt przed świętym Witem, więc:

Na święty Wit
Słowik cyt!

Święty zaś ten w ogóle nie lubuje się zbytnio śpiewem ptaszęcym, który mu się zbyt głośny wydaje. Więc też, gdy Pan Bóg pyta o zboże na polu:

Święty Wicie — czy duża piętka w życie?

Odpowiada On z pewną niecierpliwością:

Nie słyszę, Panie — niech polowa ptactwa ustanie.

I dlatego to po Jego święcie milknie w sadach i borach naszych rozgłośny, świergotliwy chór.

Sroczka to wesoły ptaszek. Zapowiada ona gości. Trzeba tylko uważać, gdy skrzeczy na płocie czy się obraca ku domostwu głową, czy też ogonem. W piewszym wypadku zapowiada przybycie pana, w drugim — dziada tylko. Wesoła piosenka opowiada o niezwykłych przygodach tego ptaka:

Sroczka rzegoce...
Syn jej się żeni
W tureckiej ziemi,
A sroka się dowiedziała,
Na wesele przyleciała.

Kiedy żaba patrzy na człowieka, należy ją odpędzić, bo wtedy rachuje mu ona zęby, które będą wypadały po tym obrachunku. Nie można jednak krzywdzić ani jej, ani ropuchy, bo obie mają moc rzucania czarów.

Bawiąc się ze ślimakiem, wołają dzieci wiejskie:

Ślimaczku, pokaż różki, dam ci dwa groszki,

albo też:

Ślimaczku, pokaż różki, dam ci sera na pierożki.

Biedronce zaś, zwanej inaczej owieczką lub patronką, przykazują:

Biedronko, leć do nieba,
Przynieś mi kromkę chleba!

Młode dziewczęta kładą ją na rękę, mówiąc:

Patroneczko, tradradom,
Z której strony do mnie kawalery przyjadom?

Bardzo zabawnym bohaterem pieśni ludowej jest komar wraz z muchą. W jednej z pieśni, poświęconych tej parze, pytają dziewczyny:

Powiedz mi, dziewczyno,
Co w gaju runęło,
A jak w gaju runęło,
Aż korzenie ruszyło.

Dziewczyna zaś odpowiada:

Komar muchę wywalił
I z dębu się obalił.
Połamał se paluszki
O dębowe gałązki,
Połamał se golenie
O dębowe korzenie.

W innej zaś piosence ta sama para, już ustatkowana, podtatusiała. wspomina swą młodość.

Poszła mucha po wodę do zimnego zdroju.
Zastąpił jej komar drogę, nie dał jej pokoju.
— Czy pamiętasz, mucho, jakem był młodzieńcem?
Miałem ci ja pawie pióro z lawendowym wieńcem.

pyta komar:

Czy pamiętasz, komarze, jak ja byłam panną,
Jak mi wszyscy czapkowali i chodzili za mną?

odpowiada mu z pewnym smętkiem podstarzała mucha.

II

NA WIEJSKIM PODWÓRKU

Ze zwierząt domowych — kotu, według wierzeń ludu naszego, słusznie należy się mleko, bo się kiedyś skarżył Panu Bogu, że jest głodny, a Pan Bóg stworzył wtedy krowę, by biednemu stworzeniu dostarczyć pokarmu.

Pies, ten najwierniejszy przyjaciel człowieka, ma moc przeczuwania nieszczęść i wyciem żałosnym je zapowiada. Nie należy go ciągnąć za ogon, boby nie umiał poznać złodzieja.

Znamy wszyscy wesołą piosenkę o tym, że:

Była babuleńka z rodu bogatego,
Miała koziołeczka bardzo rozpustnego.
A ten koziołeczek był bardzo rozpustny,
Wyjadł babuleńce ogródek kapusty,

ale nie wszyscy wiemy o tym, że kozę stworzył diabeł, lecz stworzywszy ją, rozgniewał się na to swoje dzieło i oberwał kozie kawałek ogona. Dlatego ma ona teraz ogon taki krótki.

Z koniem wiąże się niejeden zabobon. Kto go ujrzy w pierwszym dniu wiosennym, ten będzie zdrów i silny. Kupując konia, trzeba go przykryć czapką, by człowieka tak nie opuszczał, jak czapka nie opuszcza go nigdy. Konia, kupionego na jarmarku, należy, przed wprowadzeniem do stajni, przywiązać do zdrowego drzewa owocowego w sadzie, by był tak silny jak ono. Gdy sadu nie ma, winna gospodyni dać mu jeść na dobrze wypchanej poduszce, by się wypasł i był gruby jak ta poduszka. Ponieważ jest on od wieków wiernym towarzyszem człowieka, więc też w pieśniach i podaniach występuje w przeróżnych sytuacjach, z dolą ludzką związanych. Oto zabity żołnierz

...leży w szczerym polu,
Trzyma głowę na kamieniu,
Prawą nogę ma w strzemieniu.
A koń jego wedle niego
Grzebie nóżką, żałuje go.

A potem tak narzeka osierocony rumak:

Kiedym ja miał swego pana,
Tom ja jadał gołe ziarna,
Teraz nie mam prostej słomy,
Rozdziobią mnie kruki, wrony.

Gdy stęskniona dziewczyna czeka na narzeczonego, pociesza ją piosenka:

Konia osiodłał,
Ubrał się pięknie,
Już po cię jedzie,
Zaraz tu będzie.

Ubogi zalotnik martwi się srodze i śpiewa:

Nie pojadę do niej,
Bo ja nie mam koni,
A wołmi niepięknie,
Dziewczyna się zlęknie.

A szczęśliwy młodzian, pośpieszający do ukochanej, woła radośnie:

Hej, zarżyj, zarżyj, mój siwy koniu,
W czystym polu lecący.
Niechaj usłyszy moja dziewczyna,
W okieneczku stojący.

Szczęście sprzyja domostwu, nad którym bociek swe gniazdo uścieie. Zabijać go nie wolno. Zastrzelony — suszę sprowadza. Nie wolno mu też czynić żadnej krzywdy, bo rozgniewany ptak wyciągnąć może głównię z pastuszego ogniska i spalić nią chatę lub użątek zniszczyć w stodole. Żaby mają w nim nieubłaganego wroga, i często o tym wrogu kumkają pomiędzy sobą.

Czasem pytają po prostu:

Kum ! kum ! kum !
— Kuma ! kuma ! kuma !
— Kwa ! kwa ! kwa !
— A kto pan ?
— Pan bocian.

Kiedy indziej troszczą się o los zaginionego towarzysza-współplemiennika:

Ku ! ku !
— A gdzie on ?
— Pon go wzion.
— Pon ?
— Pon bocion.

Odbywają się jednak i radośniejsze rozmowy, w których cieszą się żabki zgonem wroga.

Reg ! reg ! reg !
— Tyś rada, ja rada
— Rade ! rade ! rade !
— Bocian zdechł.

Bociek zaś, często Wojtkiem zwany, póki żyje, łowi je nieubłaganie, bo łowić musi. Przed wielu, wielu laty był on człowiekiem, któremu Pan Bóg powierzył wielki wór, pełen żab, by go zniszczył i w ten sposób świat oczyścił nieco. Ale ciekawy Hryć, bo takie nosił wtedy imię, zajrzał do worka, żaby zeń powyłaziły i na powrót rozlazły się po świecie. Za karę więc został zamieniony w bociana i z długim swym dziobem poluje po mokradłach i bagnach i tak polować będzie aż do końca świata.

Inne podanie opowiada, że Pan Jezus, przechodząc koło kosiarzy, życzył im szczęścia w pracy, ale ci nie oglądnęli się nawet na Niego i nie podziękowali Mu za życzenie. Więc Zbawiciel rzekł rozgniewany: „Kiej się wam tak śpieszy, to wiecznie będziecie kosić", — i zamienił ich w bociany. Dlatego to po dziś dzień można słyszeć jak „Wojtki kosy klepią".

Jaskółki, wracając na wiosnę do swych gniazd pod wiejską strzechę i oglądając gospodarstwo, dziwują się i pytają:

Jak my wędrowały, to były pełne stodoły,
A teraz próżne,
Kto tu gospodarował?

Wróbel zaś, skacząc na jednej nodze, odpowiada:

A to ja! A to ja! A to ja!

Wtedy jaskółki oburzone krzyczą:

Widłami go! widłami go!
Tego psią krew!

Na ogół wróble, to bezczelne szkodniki. Wprawdzie roztropna przestroga poucza je:

Nie pij, wróblu, wody,
Nie rób panu szkody,
Bo cię wsadzi do gąsiora,
Będziesz siedział do wieczora.

One jednak nie baczą na nią i zbierają się gromadami z głośnym świergotem. Przy tym jedne pytają:

Cwi! cwi! cwi! cwi! cwi! cwi! cwi! cwi!
Czy dojrzała pańska pszenica?

Inne zaś im odpowiadają:

Dojrzała do żęcia, dojrzała do żęcia!

Wtedy dzielą się nią, powtarzając z pośpiechem:

Mnie ćwierć! Tobie ćwierć! Mnie ćwierć!
Tobie ćwierć! Mnie ćwierć! Tobie ćwierć!

Moc ich zwykle bywa do świętego Idziego. Ale w dniu tym giną nagle, i ułowić ich nie można, bo wtedy diabeł, wędrujący po świecie, zgarnia je do miarki i miarkę równa strychulcem. Wypuszcza więc to tylko, co ponad brzeg wystaje, resztę zaś szkodników zsypuje do piekieł.

Kogut cieszy się u ludu naszego pewnym poszanowaniem. Żadna moc diabelska się nie ostoi, gdy on zapieje o północy. Jednak czarny kogut, skoro siedem lat pożyje, sam zamienia się w diabła. Kura — gdy zapieje — przepowiada nieszczęście. Wtedy lepiej ją zabić.

Kaczki stworzył Pan Jezus, gdy był maleńki. Stał On nad wodą, do której dzieci rzucały kamienie. Zachęcony przez nie do tej zabawy, jął ciskać kamyczki w wodę. Z każdego zrobiła się mała kaczuszka, pływająca żwawo i wesoło.

Gęś zwykła wołać na swe małe:

Agata! Agata!
Pójdziem ta! pójdziem ta!

Gąsięta pytają:

A kany? A kany?

Gąsior zaś odpowiada:

Do żyta! Do żyta!

Poza tym gęś jest ptakiem wróżebnym.

Dzień świętego Marcina wiele gęsi zarzyna

mówi przysłowie. W dniu tym bowiem z piersi upieczonej gęsi wywróżyć można, jaka będzie zima.

Czasem ptactwu domowemu na gospodarstwie niedobrze się dzieje. Wtedy rozprawia ono z gniewem pomiędzy sobą.

Indyczka woła:

Źle! Źle! Źle! Źle! Źle! Źle!

Indyk się gniewa:

Diabli by tu byli!

Kaczka przytakuje mu:

Tak! Tak! Tak! Tak!

Gąsior podaje radę:

Pójdziema ! Pójdziema !

Kogut wreszcie przyłącza się do kompanii, wołając:

Pójdę i joooooo !

W niektórych utworach wierszowanych występują zwierzęta zbiorowo. I tak np.:

Dwa barany
Młócą żyto ogonami.
Kur z kokoszą
Do młyna żyto znoszą,
Baran miele,
A owieczka mąkę sieje !

Najliczniejsza kompania występuje z okazji jakiego wesela. A więc:

Przed laty, przed laty
Było ptactwa wiele,
Orzeł był za króla,
Sprawił im wesele.

Gąsior sobie pojął
Swoją panią gąskę,
Kaczor sobie pojął
Swoją panią kaczkę.

Kura piwo toczyła,
Kogut je szynkował,
Kto go tylko prosił,
To zaraz częstował.

Świnia marchew skrobała,
Po kuchni chodzący,
A wilk mięso rozdzielał,
Szafarzyk bydlęcy.

Kuropatwa maleńka
Za kucharką była,
Jeno sobie w czeluści
Plecy posmoliła.

Trznadlowie — ptaszkowie
Do stołu służyli,
Wróblowie — panowie
Krajczykami byli.

Sikora tańcowała
Po śmieciach, po stole,
A paw jej przygrywał
Wesoło w stodole.

Tak to żartobliwie, z humorem patrzy lud nasz na otaczający go wiat zwierzęcy.

M. D.

SAD PRZY WIEJSKIM DWORZE

Był sad.
Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, plącząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza,
Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą. Na każdym przykopie
Stoją jakby na straży w szeregach konopie —
Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocząc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni,
Tylą farb żywych, różnych mak źrenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik, licem wielkiem, gorejącem
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

A. Mickiewicz
(Pan Tadeusz

ASTRONOMICZNE I METEOROLOGICZNE ZJAWISKA W POJĘCIACH LUDU NASZEGO

Nie troszcząc się zgoła o dane naukowe, nie pytając fizyki o przyczynę zjawisk meteorologicznych, nie badając słuszności twierdzeń Kopernika, lud nasz ma swój własny pogląd na zjawiska meteorologiczne i w sposób zupełnie swoisty tłumaczy sobie to, co widzi na niebie.

Ogień otoczony jest u niego czcią. Migać nim nie wolno, boby się gniewał. Jeśli jest zażegnięty przez piorun, to się jedynie kozim mlekiem albo łojem da ugasić. Przed wieczorem dobrze jest nakryć go popiołem, by nie wygasł, i tak zaśpiewać:

Święty Aniołeczku,
Siedźże na stołeczku
Przy tym ogienieczku.

Ognie sobótkowe bywają dobroczynne, bo

Gdzie sobótki zapalają,
Tam grady nie przeszkadzają.

Wiatr, jest to płanetnik, chłop duży i mocny. Lata po świecie w połatanym kożuchu. Chmurami kierują też płanetnicy. Noszą oni czerwone fraki i kapelusze woskowe, nadęte jak pęcherz, które ich do góry unoszą. Czasem wyobraża ich sobie lud, jak Murzynów, z tęczowymi rogami. Wyciągają oni na powrozach ciężkie chmury z wód ziemskich i włóczą je po niebie. Gdy się powróz urwie, chmura spada na ziemię i płanetnik musi zejść, by ją z powrotem podźwignąć. Płanetnicy noszą też przy sobie pioruny, ale bez pozwolenia Matki Bożej ciskać im ich nie wolno.

Gdy błyska, wtedy niebo się otwiera, lecz nic ujrzeć w nim nie można, bo światło błyskawicy olśniewa oczy.

Rzeki są to bezdenne, morskie oka. Dna w nich nie ma. Gdy się przepełnią, wtedy część ich wody odpływa do morza.

Ziemia jest płaska, jak bochen chleba, i nie stoi na miejscu, lecz pływa stale po morzu. Niegdyś była zupełnie przezroczysta. Gdy jednak Kain zabił Abla i chciał go ukryć w głębokim grobie, a przejrzystość ziemi zdradzała stale jego zbrodnię, wtedy ją przeklął. Od tego czasu poczerniała. Góry na niej wyrosły z pian, co wykipiały z morza przy stworzeniu świata.

Do nieba można by się dostać z ziemi, kładąc jeden bochenek chleb na drugim coraz wyżej i wyżej, niby schody.

Słońce, gdy płonie czerwono o zachodzie, jest chore. Kto zabija węż lub jakiego innego gada, powinien go zakryć, bo jak słońce nań spojrzy to się zaraz zaćmi. Zaćmienie zaś słońca, to przepowiednia wielkich nieszczęść dla całego świata.

Kiedyś zła czarownica przebiła słonko szpilką i leżało ono trzy dn chore na dnie morza. Wtedy panowały nieprzeniknione ciemności.

Słońce, o ile jest zdrowe, wesołe, bywa dla ludzi wielce życzliwe. Nim zajdzie, codziennie zatrzymuje się i pochyla, jakby składało ziemi ukłon n dobranoc. Ma na niebie swój dom i swoje gospodarstwo. Żywi się mio dem, który zajada wielką kopyścią.

Na księżyc nie godzi się pokazywać palcem, bo to grzech. Jest o pomieszkaniem świętego Jerzego, którego nieraz Matka Boska ze świętym odwiedza. Wtedy święty Jerzy przygrywa im na skrzypeczkach. W niektó rych okolicach Polski lud opatruje na księżycu pokutników, czasem Adam i Ewę, czasem Kaina i Abla, czasem, w Krakowskiem, Twardowskiego.

Gdy księżyc jest na nowiu, dobrze jest wymówić zaklęcie:

Witaj, miesiączku nowy,
Żeby nas nie bolały głowy!

Każdy człowiek ma na niebie swoją gwiazdę. Umarłby jednak wnet gdyby ją odgadł. Spada ona na ziemię w chwili jego śmierci. Gwiazdy ogonami (komety) przynoszą nieszczęścia. Zsyła je Pan Jezus, by sma gały świat za grzechy.

Oprócz gwiazd pojedyńczych, świecą na niebie całe gromady gwiezd ne. Wóz znajduje się tam na pamiątkę gospodarza, który bezbożnie wyje chał na zarobek w dzień Bożego Narodzenia. Uwiązł jednak w błocie, którego nie mógł wyjechać, i wóz jego zamieniony został w gwiazdozbió — ku przestrodze innych ludzi.

O tym W o z i e niebieskim, czyli o W i e l k i e j N i e d ź w i e d z i c y mamy jeszcze inne podania. Oto szły po niebi B a b y, grabiące siano. Zagadały się jednak, jak to zwykle baby, i dał się wyprzedzić K o s i a r z o m, co z kosami na ramieniu wędrują Za Babami i za Kosiarzami jedzie Wóz, na którym niegdyś jeździł święt Jerzy. Dziś wozi na nim woźnica siano, które Kosiarze skoszą, a Bab zgrabią, bo potrzebne ono dla maleńkiego Jezusa. Prosiły więc Baby wo

żnicy, by je podwiózł trochę. On im jednak odrzekł, że wtedy wyprzedziłyby Kosiarzy, a niepięknie jest, gdy niewiasty przed mężczyznami kroczą. Ustąpiły więc, i od tego czasu zawsze baba idzie za chłopem.

W taki to sposób objaśnia lud najważniejsze zjawiska meteorologiczne i astronomiczne.

M. D.

ASTRONOMIA WOJSKIEGO

Mrok gęstniał. Tylko w gaju i około rzeczki
W łozach, błyskały wilcze oczy, jako świeczki;
A dalej, u ścieśnionych widnokręgu brzegów,
Tu i ówdzie ogniska pastuszych noclegów.
Nareszcie księżyc srebrną pochodnię zaniecił,
Wyszedł z boru i niebo i ziemię oświecił.
One teraz z pomroku odkryte w połowie,
Drzemały obok siebie, jako małżonkowie
Szczęśliwi; niebo w czyste objęło ramiona
Ziemi pierś, co księżycem świeci posrebrzona.

Już naprzeciw księżyca gwiazda jedna, druga
Błysnęła; już ich tysiąc, już milijon mruga.
Kastor z bratem Polluksem jaśnieli na czele,
Zwani niegdyś u Słowian: Lele i Polele.
Teraz ich w zodyjaku gminnym znów przechrzczono:
Jeden zowie się Litwą, a drugi Koroną.

Dalej niebieskiej Wagi dwie szale błyskają.
Na nich Bóg w dniu stworzenia (starzy powiadają)
Ważył zkolei wszystkie planety i ziemię,
Nim w przepaściach powietrza osadził ich brzemię;
Potem wagi złociste zawiesił na niebie:
Z nich to ludzie wag i szal wzór wzięli dla siebie.

Na północ świeci okrąg gwiaździstego Sita,
Przez które Bóg (jak mówią), przesiał ziarnka żyta,
Kiedy je z nieba zrzucał dla Adama ojca,
Wygnanego za grzechy z rozkoszy ogrojca.

Nieco wyżej Dawida wóz, gotów do jazdy,
Długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy.
Starzy Litwini wiedzą o rydwanie owym,
Że niesłusznie pospólstwo zwie go Dawidowym,
Gdyż to jest wóz Anielski. Na nim to przed czasy
Jechał Lucyper, Boga gdy wyzwał w zapasy,
Mlecznym gościńcem pędząc w cwał, w niebieskie progi,
Aż go Michał zbił z wozu, a wóz zrzucił z drogi.
Teraz popsuty, między gwiazdami się wala.
Naprawiać go Archanioł Michał nie pozwala...

. . . .

Takie gwiazd historyje, które z książek zbadał,
Albo słyszał z podania, Wojski opowiadał.
Chociaż wieczorem słaby wzrok miał Wojski stary
I nie mógł w niebie dojrzeć nic przez okulary,
Lecz na pamięć znał imię i kształt każdej gwiazdy,
Wskazywał palcem miejsca i drogę ich jazdy.

A. Mickiewicz
(Pan Tadeusz)

ŚWIĘTO MATKI BOSKIEJ ZIELNEJ

W dniu 15 sierpnia przypada uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, ze wszystkich świąt ku czci Bogarodzicy najdawniejsza, bo sięgająca pierwszych wieków chrześcijaństwa i zawsze solennie obchodzona. Z obchodem tym kościelnym, który rozmaite dawniej nosił nazwy, jak Śmierci, Odpocznienia, Zaśnienia i wreszcie Wniebowzięcia, łączy się w kraju naszym starodawny zwyczaj święcenia ziół polnych, które dziewczęta wiejskie, nazbierawszy dnia poprzedniego, przynoszą do świątyń, aby je kapłan przed wielkim ołtarzem poświęcił. Jest to więc po oktawie Bożego Ciała drugi dzień w roku, przeznaczony do święcenia ziół i kwiatów polnych.

Na Mazowszu i Podlasiu niosą do kościoła święcić w dniu Matki Boskiej Zielnej : boże drzewko, hizop, lawendę, dziewannę, rumian i kilka innych ziół leczniczych. W Krakowskiem niosą do poświęcenia dwanaście roślin: 1. włoski Najświętszej Panienki, 2. obieżyświat (żółto kwitnący),

3. trojeść, 4. żabie skrzeki, 5. boże drzewko, 6. rotyć, 7. lubczyk, 8. leszczynę z orzechem, 9. żyto, 10. konopie, 11. len i 12. miętę. Zioła powyższe, w dniu tym poświęcone, można tam widzieć niemal w każdej chacie, wetknięte za siestrzan, czyli tram. Wedle staropolskiego obyczaju, zmarłemu do trumny podkładają ich garstkę pod głowę.

W innych stronach oprócz ziół polnych, wśród których bywa zawsze bylica, zanosi lud do poświęcenia w kościele różne zboża a mianowicie: len, proso, makówki, żyto, pszenicę, jęczmień i owies, każdego choć po kilka dorodnych kłosów. Z tych to kłosów, błogosławionych przed ołtarzem, wykruszają potem ziarna do pierwszego siewu na zagonie swych ojców.

Z. *Gloger*
(Rok polski)

PSZCZOŁY. BARTNICTWO W POLSCE

Lesista Polska rozporządzała od najdawniejszych czasów ogromnymi ilościami wosku i miodu. Dostarczały ich barcie pszczół dzikich, obficie po puszczach rozsypane. Te leśne barcie nie były jednak bezpańskie. Bory miodonośne stanowiły własność indywidualną i to własność drogo cenioną. Prawo bowiem skazywało na karę śmierci tego, kto jako złoczyńca na puszczy szkodę czyniący, był pojman".

K. W. Wójcicki pozostawił nam w swoich *„Szkicach historycznych"* ciekawą rozprawę o bartnictwie w dawnej Polsce. Podajemy z niej wyjątki.

„Na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej widzimy bogactwo bartni w lasach i puszczach, czy w Wielko i Małopolsce, czy na Mazowszu, na Żmudzi, Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie, Rusi Czerwonej. Najwięcej odznacza się Mazowsze i Litwa, a w niej słynne kowieńskie miody. W obu tych ziemiach bartnictwo leśne najdłużej przetrwało, bo do dni naszych.

Hodowanie pszczół i użytkowanie z miodu i wosku, pracą ich zbieranych, jest podwójne... Bartnikiem bowiem nazywamy tego, co się zajmuje pielęgnowaniem pszczół borówek albo zielonych, dzikich, leśnych, żyjących jedynie w barciach wśród borów; pasiecznikiem — hodującego pszczoły w ulach, w miejscu zagrodzonym przy domostwie czy w ogrodzie,

czy też w wybranym miejscu i zabezpieczonym od przystępu dzikich zwierząt, pod lasem. Miejsce takie zowiemy pasieką, a pszczoły już nie noszą nazwy dzikich ani zielonych, tylko domowych albo s w o j a k ó w...

Na Mazowszu najwięcej na całą Polskę rozwinęło się bartnictwo. Dopomagała tu potężnie miejscowość, ogromne puszcze i bory, w nich nieprzeliczone lipowe drzewa, których pamięć pieśni ludowe zachowały; obfitość ziół i kwiatów leśnych, ulubionych przez dzikie pszczoły i nadatnych do utworu słodyczy miodu i wosku; obfite źródła, strugi i rzeczułki, przewijające się pod cieniem wiekowych drzew; osłona, jaką te puszcze i lasy dawały rojom borówek, wylatujących z barci na żerowiska, przed burzą, ulewą i wichrami, wiosną, latem i jesienią, a w zimie przed zamiecią śnieżną i iskrzącym się mrozem. Mnożyły się więc setkami roje borówek i chętnie osiadały przygotowane barcie w starodrzewie.

Leśne pszczoły marniały, przeniesione na pola... Trzeba było niemało trudu i zachodu, aby je przyswoić. Dlatego urządzano pasieki albo w pobliżu borów, albo w ogrodach, pod szpalerami lip, siejąc wokoło ulów ulubione pszczołom kwiaty i zioła, bacząc przy tym, aby nie brakło czystej i bieżącej wody.

W Mazowszu też pokazały się pierwsze ustawy bartnicze, uchwalone w Warszawie w r. 1401...

Z pomienionych ustaw widzimy, że w Mazowszu byli bartnicy, ludzie powołani, biegli w swojej sztuce, stanowiący oddzielną w ludności wiejskiej klasę. Biegłość ich w bartnictwie była tyle doświadczona, że podejmować się mogli nie tylko koło pszczół chodzenia, ale i rozmnażania rojów silnych. A ta ich biegłość i znajomość nie nowa była, nie nowe stanowiła odkrycie, ale ze starodawnego zwyczaju, ze starodawnej wiadomości poczerpnięta...

Na Mazowszu, jak i w osadach Kurpi, bartnicy w późniejszych czasach dzielili się na cechy. Każdy cech miał w swej parafii i księdza, który nosił nazwę p r o m o t o r a c e c h u b a r t n i c z e g o i w dzień św. Bartłomieja, ich patrona, nabożeństwo w kościele odprawiał...

Na barcie w lasach wybierano podług dawnego zwyczaju sosnę lub jodłę, przeszło sto dwadzieścia lat liczącą. Z tego wnosić możemy, jakie to starodrzewy stanowiły nasze puszcze i bory.

Gdy ostre prawa bartne i pilny dozór samych bartników chronił od szkody ludzkiej, był groźniejszy w lasach nieprzyjaciel a chciwy na słodycz miodu, niedźwiedź, zwany b a r t n i k i e m albo m r ó w n i k i e m.

który wdzierał się jeszcze zręczniej, jak bartnik, do podbierania.

Gdzie się pojawiały te szkodniki, które wydzierając miód z barci, cały rój niszczyły, starano się ich, oprócz strzelby, rozmaitymi sposobami łowić i wytępiać. Obijano przeto drzewo bartne o kilka sążni od ziemi szczelnie wokoło gładkimi dylami, w które niedźwiedź pazurów wszczepić nie mógł, i ten sposób nazywano o b w i e s z a n k ą.

Poniżej bartni, w wysokości kilku sążni od ziemi, przybijano do drzewa cztery krzyżownice, po ośm stóp długie, a do tych od wierzchu przytwierdzano dyle. W takowy pomost zabijano kołki drewniane, ostrzami ku ziemi; stanowił on tarczę bezpieczną dla barci. Poniżej tego pomostu dokoła wbijano haki żelazne, ostre, do góry zakrzywione, które wprawdzie niedźwiedź przy włażeniu umiał omijać, lecz złażąc z drzewa, nieomylnie się na nich zaczepiał i rozdzierał wnętrzności. W bartników mowie sposób taki ochrony nazywał się p o d k u r, p o ł a t k a, t e r, w e r e k.

Urządzano nadto d z w o n albo samobitnię. Był to gruby kloc drzewa, wiszący na mocnej wici, poniżej z a t w o r u[1]), właśnie w tym miejscu, którędy niedźwiedź do d z i e n i, czyli ula pszczelnego musiał dołazić. Kloc, przeszkadzający mu do dopięcia zamiaru, rozjątrzał go. Zwierz, chcąc usunąć tę zawadę, odpychał go ; ten, wracając siłą ciężkości, uderzał w łeb albo łapy. Wtedy niedźwiedź, bardziej jeszcze rozgniewany, silniej kloc odpychał, od którego mocniejsze razy odbierając, znużony daremnym pasowaniem się i pobity, drzewo opuszczał.

Takimi sposobami odstraszano tych łupieżców borowych i ochraniano pszczoły. Ale bartnicy umieli zręcznie żywcem ich łowić... Sposób ten nazywano k o l e b k ą. W oznaczonej wysokości przywiązywali drąg mocny, ale sposobny do zgięcia, u którego na jednym końcu zawieszano plecioną koszałkę, tak przyciągniętą do przodu zatworu, aby za jego otwarciem drąg odskoczył i porwał ze sobą koszałkę. Niedźwiedź, dolazłszy do barci, a znajdując dla siebie wygodę, siadał do koszałki. Lecz skoro zatwór otworzył, natychmiast drąg odskakiwał i niedźwiedzia z koszałką daleko od drzewa unosił i odsadzał. Tym sposobem łupieżca leśny, zawieszony w powietrzu, bujał tak długo, dopóki bartnik nie nadszedł i w łeb mu nie wypalił. Gdyby zaś na ziemię odważył się skoczyć, przebiłby się na palach ostrych, gęsto w ziemię wbitych pod kolebką i około barci.

---

[1]) Zatwór — deska, zatykająca główny otwór barci.

Przykład Mazowsza wpłynął przeważnie i na inne okolice Polski
Zjawiały się bartne przepisy stosowane do zwyczajów i potrzeb miejsco-
wych.

Litwa i Ruś ogromną ilość pszczół żywiły. Było ich pełno w puszczach
i na stepach.

Świetne i zasobne gospodarstwo bartne na całych obszarach staro-
żytnej Polski kwitło do XVI wieku. Nie tylko wosk i miód w naturalnym
stanie były przedmiotem ważnym w potrzebach domowych i w handlu, al
zanim wino upowszechniło się w Rzeczypospolitej, miód obok piwa był
jedynymi trunkami.

Niszczenie puszcz i lasów, na które już Jan Kochanowski narzeka
i jakby głosem proroczym przepowiada niedalekie czasy, w których brak
będzie drzewa, napady tatarskie i dwie wojny szwedzkie ciężkie zadały
klęski bartnictwu...

Już od połowy XVI wieku poczęli ziemianie nasi zakładać pasieki
domowe w ogrodach dworskich, a kmiecie w swoich sadach. Szczególnie
okolice mniej lesiste rzuciły się do hodowli pszczół s w o j a k ó w, lub
i mieszkańcy borowi dla korzyści większych z miodu i wosku, oprócz barc
leśnych, zakładali także pasieki".

. . . .

Surowość prawa bartnego w Polsce, o której wspomnieliśmy powy-
żej, wynikała oczywiście z oceny bogactwa, jakiego pszczoły przymnażają
właścicielom. Ale tkwiło w niej co innego jeszcze. Oto pszczoła uważana
była za stworzenie szczególnie miłe Panu Bogu. Pracuje ona bowiem na
jego chwałę, dostarczając wosku do kościołów. Lud nasz w niektórych
okolicach twierdzi dziś jeszcze, że pszczoły mają cześć dla Hostii. Na
Białorusi istnieje przesąd, że aby się owady te lepiej darzyły, należy
Hostię włożyć do ula. W Wielkopolsce rozpowszechniona jest wiara w
zdolności wróżebne pszczoły. Ona czuje, kto cnotliwy, a kto grzechem ska-
lany, i dobremu nie uczyni szkody. Nie mówi się też o niej, że zdycha
lecz że umiera.

Na Mazowszu istnieje przekonanie, iż aby się pszczoły wiodły, należy
podczas podbierania uczęstować gościnnie, po bratersku miodem nie tylko
gości wtenczas obecnych w domu, lecz i przechodniów. W Krakowskiem
gospodarz sprasza w święto miodobrania liczną drużynę krewniaków i przy-
jaciół i częstuje ich krupnikiem, przyrządzonym z tylko co podebranego
miodu.

Ten szacunek dla drobnego, pracowitego owadu, ta ocena skarbów, jakich nam udziela, przebijają z licznych kart naszego piśmiennictwa. Już kronikarz Gallus pisze o Polsce, że obfituje ona w miód dostatecznie, gdyż posiada „miodopłynne lasy”. Rej w *Żywocie* poczciwego człowieka udziela rad, aby z wiosną pszczoły „w czas podchędożyć, chorym miodu podstawić, także też chwastów i niepotrzebnego plugastwa między nimi nie dopuszczać”. Klonowicz w *Worku Judaszowym* pisze:

Więc też pszczelne złodziejstwo i miodowych dzieni
Wydzieranie nasz bartnik świętokradztwem mieni,
Toteż robotę pszczelną swą praktyką wiejską
Zowie świętym brzemieniem i rosą niebieską.

Haur w swej *Oekonomice* poucza, że podczas rojenia się pszczół, które wypada „nie tylko od św. Jakuba, ale dobrze przedtem”, trzeba pieczę nad pasieką komuś umiejętnemu i znającemu się na rzeczy powierzyć, „rój zaś, gdy na jakie wypadnie miejsce, brzękać należy i dzwonić, na ten czas pszczoły podbierać”.

Cześć dla pszczelnego daru stała się też w r. 1818 powodem bardzo wesołego poetyckiego turnieju pomiędzy Zanem a Czeczotem. Wśród sędziów tej walki na rymy zasiadał Adam Mickiewicz wraz z resztą filomackiej drużyny, a obaj współzawodnicy wychwalali kolejno miód, który

Byt swój wiedzie od plemion, znamienitych pracą,

Lepszej dodaje miny,
Najeża wąsy, stroi czupryny,
Moc leje w piersi, odwagę w oczy. . .

dzięki któremu

Polska dawna Piastowi z Kruszwicy
Oddała ster i życie swojego narodu.

M. D.

WIATR OD MORZA

Była to czarująca noc ostatnich dni lipca. W bezchmurnym niebie lśnił księżyc jaskrawy, żywosrebrny, rozsiewający światło niemal dzienne. Tysiące gwiazd zalegały nieboskłony i zenit najwyższy. Wiatr, powiewający od morza, niósł w kaszubskie i lechickie lądy zapach wody słonej i zapach jodowy, szczególną rzeźwość i siłę. Podnosił z dalekich nad głębiną rozpostarć fale duże i poganiał je ku brzegom zalewem tak szerokim, jak zatoka. Fale biegły chyżymi bryłami, a napotkawszy brzegi w swej drodze, zwijały się na nich świdrem zielonym wokół samych siebie, rozpryskując niezliczone piany. Wiatr odbijał się od ruchomej i szumiącej powierzchni i padał na wzgórza gliniaste, na prastare moreny [1]), zbożami dostałymi okryte — wiał w doliny płaskie i długie, od wiecznym załadowane torfowiem, pomiatał mgłami ciągnącymi od dolin ku leśnym pagórkom. W locie swym kołysał łany żyta przelewające się ze wzgórz na wzgórza, wysuszał ziarna w kłosach i żóto-białą barwę nadawał zielonym źdźbeł kolankom. Fale żyta szumiały własnym swym głosem nad własnym głosem fal morza, bytując w świetle księżyca. Wiatr od morza przypadał na wyżyny Oksywia, dął w lasy wejherowskie, w puckie łąki i niże, piaski, wydmuchy i zarośla Helu, w błota karwińskie i jeziorzyska Żarnowca. Każda pierś ludzka oddychała radośniej i szerzej wiatrem od morza. Serce krzepiło się i uderzało swobodnie, gdy pochłonęły go płuca... Błogosławili go ludzie silni, robotni i potężni w ramieniu, których chwila wytchnienia krótka jest, jako ten wieczór. Błogosławił go rybak, zwiastuna pogody... wrzucając sieci w czarną łódź, schłostaną od pienistych grzyw... U drzwi domków ceglanych, na progach siedząc kamiennych, starcy... wsłuchiwali się z rozkoszą w znajomy jego szum przyjaciela, który wznosi wały z tamtej strony Helu, a na łyse głowy i zmarszczkami porznięte oblicza padając, dawne przypomina sprawy, walki, burze młodociane i męskie lata...

Stefan Żeromski
(Wiatr od morza)

[1]) Moreny — zwały kamienne, które pozostawiły topniejące lodowce.

TY MI SZUMISZ POLSKIE MORZE...

Ty mi szumisz, polskie morze,
O piaszczyste bijąc łoże,
O piaszczysty bijąc brzeg,
Że jak pies się tu położę,
Z duszą wziętą na obrożę
Ciebie będę strzegł.

To ojczyzny mojej wrota,
To jej miłość i tęsknota
Od zamierzchłych dawnych lat,
Stąd skrzydlata polska flota,
Mając Boga za pilota,
Płynąć będzie w świat.

Nie ukąsi nikt wybrzeża,
Co polskiego ma żołnierza,
Jako świętą swoją straż.
Tam, gdzie biegnie twoja ścieża,
Piasek krokiem swym przemierza
Stary szyldwach nasz.

Myśmy twojej — morze — fali
Swym pierścieniem ślubowali,
Z tobą wzięli wieczny ślub;
Z tobą w jedno się związali,
Stój — kto obcy — bo krok dalej
A tu znajdziesz grób.

Gdzie bałtyckich wód głębina,
Tam się Polska rozpoczyna
Wolna jak w przestworach ptak,
Już wybiła jej godzina,
Okręt żagle swe rozpina,
Mknie w swobodny szlak.

Na maszt wspięła się bandera,
Żeglarz w siną dal spoziera,
Marynarski sen swój śni;
Odrodzenia przyszła era,
Stary ląd we mgłach umiera,
Gwiazda morza lśni !

Patrz — latarnia jedna, druga
Swoim światłem ku nam mruga,
Blask swój ku nam śle.
Czy jesiennych dni szaruga,
Czy zimowa noc trwa długa,
Ona lśni we mgle.

Płonie jasno jak zarzewie
Światło pierwsze — to Rozewie,
A te drugie światło — Hel.
Okręt zbłądził, drogi nie wie,
Polskie światło w burz powiewie,
Ty mu drogę ściel !

Z. Dębicki

DLACZEGO FLĄDRA MA KRZYWY PYSK

Przed laty, stworzywszy niebo i ziemię, oddzielił Pan Bóg wodę od piasku i z wody tej zrobił jeziora i morze. W morzu i w jeziorach z Jego rozkazu zamieszkało wiele ryb, i ryby one zebrawszy się razu pewnego na naradę, postanowiły obrać sobie króla. Spierały się długo pomiędzy sobą, kto najbardziej urzędu tego jest godny, i wreszcie tak uradziły: „Kto najpierwszy w białym fartuchu na oznaczonym miejscu stanie, ten niech nam panuje".

Gdy wieść o tym postanowieniu rozbiegła się po rybiej dziedzinie, rzucił się, kto żyw, do szukania białego fartucha. Najrychlej ustroił się w niego śledź, co żywo przybieżał na oznaczone miejsce i królem też zaraz obrany został. W chwilę po nim pędzi flądra, też w biały fartuch odziana, ale z daleka już słyszy głośne okrzyki: „Za późno, flądro, za późno. Śledź tu był przed tobą ! On też już nam panuje !"

Rozgniewała się okrutnie flądra, że taki mizerak jak śledź ma panować, i w złości szpetnie doń pysk wykrzywiła. Ale za tę złość ukarał ją Pan Bóg, bo jej skrzywienie ono na wieczne czasy zostało.

M. D.

(Z opowiadania kaszubskiego w Wielkiej Wsi)

POŁÓW RYB

...Zajechały niezwłocznie powozy, i wkrótce za laskiem zielonym... spostrzeżono kilka chałup, z których kominów gęste kłęby unoszącego się dymu, jak fantastyczne obłoki po niebie się przesuwały. Ujrzano potem wielki staw, zastawiony młyn, koło niego budkę z chrustu, w której duże rozpalone ognisko oświecało snujących się przed nim Żydów, o ryby się targujących, i starą wieśniaczkę, co, w kuczki siedząc, dla robotników jeść gotowała. Dalej przy wesołych okrzykach wyciągali pracowicie rybacy ciężkie siecie i, starannie rozplatując uwięzłe w nich różnego rodzaju ryby, wrzucali je w duże naczynia, wodą napełnione. Obok bawiące się dzieci, komicznie ich naśladując, ciskały w staw małe płotki, ze wzgardą na bok odrzucone. Z drugiej zaś strony widać było rozwieszone w festony na wierzbach suszące się sieci, jadące z turkotem po grobli wozy z beczkami, krążące po stawie czółna, zarzucane po nim sieci, za którymi się ciągnęły, jak wieńce szerokolistne, biało kwitnące, wodne rośliny; gdy tymczasem pluskające się małe rybki, ozłocone od promieni słonecznych, po wierzchu wody igrały, a w odległości figlarny ptak, rybołów zwany, czatując na pastwę, nagle się spuszczał i szybko ze swoją zdobyczą uciekał.

E. Jaraczewska

(Powieści narodowe. Zofia i Emilia)

POŁÓW JACICY

Jacicą zowie lud litewski, tak polski jak i ruski, pewien gatunek małego motyla, który i jako poczwarka, i jako uskrzydlony owad jest doskonałą przynętą na ryby. Nic dziwnego więc, że połów jacicy stanowi bardzo ważne zajęcie nadniemeńskich rybaków.

Od połowy czerwca rybacy ci wydobywają z dna Niemna, z miejsc im dobrze znanych, duże bryły rzecznego iłu. Ił ten tym szczególnie się

odznacza, że jest podziurkowany, pożłobiony w drobne otwory, które w przecięciu przypominają nieco osie gniazda. W otworach kryją się poczwarki jacicy. Wydobyte i następnie przyczepiane do węd, stanowią one przysmak, który wabi rozłakomione ryby.

Jacica wylatuje nad wodę w drugiej połowie lipca pod postacią całych rojów motyli o skrzydłach długich do dwóch centymetrów, jak śnieg białych i zupełnie przeźroczystych. Wtedy to w ciche, pogodne letnie noce wypływają na Niemen liczne łodzie, zaopatrzone w płonące pochodnie. Jacica zwabiona światłem spuszcza się jak biała mgła na głowy, ręce i ramiona rybaków, którzy zręcznymi, jednostajnymi ruchami zgarniają rozedrgane miliardy motyli do przygotowanych poprzednio worów. Oryginalnie wyglądają ci ludzie, gdy z pełnymi worami do domów wracają, pokryci całkowicie bielą konających owadów. Jacica rozsypana na trawie, na strychach lub w śpichlerzach i należycie wysuszona, miesza się potem z gliną. Z tak spreparowanej gliny ugniecione kule, zarówno jak i poczwarki jacicy, przy łowieniu ryb czy na wędę, czy w sieci walną przysługę rybakom oddają.

M. D.

NA NIEMNIE

Spod topoli widać było długi szlak Niemna, z jednej strony, naprzeciw korczyńskiego dworu, za wysoki brzeg skręcający, z drugiej niknący w przestrzeni za dalekimi piaskami...

Naprzód ciężkimi chmurami był podszyty a z powierzchnią wybuchającą promienistymi ognikami świateł i skrzydłami jaskółek muskaną; potem wzburzony, ponury, wzdęte fale i białe piany toczący, z wlokącymi się w deszczowej zawiei żółtymi płyty i chyżo mknącym stadem czarnych czółen; potem jeszcze po burzy, najczystszym błękitem i złotem płynący, w złote dymy ubrany, z poważnym nad sobą chórem śnieżnych wron morskich i płochliwą gromadą atłasowych rybitew; teraz pozornie nieruchomy, słał się on w dole wstęgą, na dwa podłużne pasma przeciętą: głęboko-czarne pod długim cieniem boru, a z drugiej strony ciemnostalowe.

W tym pasie roztopionej stali nie błyskały odbicia gwiazd, dymnymi, strzępiastymi obłokami przysłaniane, ale natomiast ślizgały się po nim blade połyski i wypływać nań poczęły czerwone, jaskrawe, z daleka kształt

okrągły mające ognie. Spod stóp wysokiej góry wysuwały się one na różnych punktach, aż z rzadka uszykowanym szeregiem rzekę usiały. Gdy płynąć zaczęły, rozpoznać było można, że były to płomienie, rozniecone na drobnych czółnach i przez siedzących przy nich ludzi wciąż podsycane.

Sunęło ich ze dwadzieścia. W głębokim dole, po nieruchomej z pozoru rzece płynęły bardzo powoli, powoli też ich odbicia kołysały się w ciemnej toni, a w blasku ich zaczerwienione profile ludzkich postaci i twarzy, z wypukłością rzeźby a zarazem widmową tajemniczością odrzynały się od ciemnego tła nocy i przestrzeni.

Lecz najdziwniejszym i prawie fantastycznie wyglądającym zjawiskiem była jakaś mgła gęsta, która niepojętym mnóstwem drobnych, jakby śniegowych płatków osypywała czółna i siedzących w nich ludzi, często blask ogniów białą niby parą przyćmiewając.

W powietrzu jej nie było, nie było też na przestrzeniach rozdzielających czółna; nie wiedzieć skąd się brała. Jednak wkrótce widocznym się stało, że składały ją niezliczone roje śnieżnych, malutkich motyli, które na skrzydłach, jakby z krepy utkanych, wylatywały z wody. Może było ich tyle, ile ziarn piasku na dnie Niemna, w którego głębiach zrodzone, opuszczały swój żywioł rodzinny, aby z żądzą niepowściągnioną i nieścignioną chyżością wpadać w blask i upał płomieni. Podstępni rybacy, z żywymi ruchami ramion, cicho, szybko zgarniali do worów tę skrzydlatą zamieć, która ich głowy, odzież, czółna okrywała białością śniegu.

Cicho, bardzo powoli, bez najlżejszego odgłosu, który by trwożliwe stworzenia wodne mógł spłoszyć i odstręczyć, nawet bez plusku wioseł, czerwone ognie i siedzące przy nich zaczerwienione profile ludzkie płynęły z dala od siebie, w ciemnej przestrzeni, po ciemnym szlaku rzeki, aż całą jego widzialną długość zajęły.

Cicho było wszędzie: pod niebem, w powietrzu, na ziemi i na wodzie; tylko w górze gdzieś nad drzewami, wysoko wzbite i w ciemności niewidzialne, brzęczały roje nadniemeńskich muszek. Było to brzęczenie monotonne, nieustanne, metaliczne; zdawać się mogło, że wydawała je z siebie struna rozciągnięta i drżąca pomiędzy usianą płomienistymi punktami ciemną wstęgą rzeki a niebem, pod którym wisiały obłoki do rozwiewających się dymów lub do podartej krepy podobne.

E. Orzeszkowa
(Nad Niemnem)

POLOWANIE NA PARDWY

...Nazajutrz słońce podniosło się nad obszarami Szepety ostro wykrojone w złotym błękicie, nie jak płomień dnia wchodzący łaskawie między chaty i drzewa, lecz astralnie, w samotnym majestacie, nad ziemią jednobarwną i wypukłą jak morze. Coraz bledsze i ognistsze, wznosiło się, znacząc godziny bez cienia na uprażonych moczarach — jedną — dwie — trzy...

Michał ocknął się, zbudzony ostrym dźwiękiem stłuczonego szkła... Podstępem, właściwym ludziom rozleniwionym w łóżku, udawał, że śpi, ale już był ciekaw, co się koło niego dzieje. Zobaczył przez rzęsy, że Talmont i Czerwiński całkowicie gotowi do polowania piją przy oknie herbatę. Łowczy musiał przed chwilą stłuc szklankę, bo zgarniał kawałki szkła ze stołu wielką, niezgrabną dłonią. Promienny dzień w izbie zaniepokoił nagle Michała, więc odezwał się:

— Dzień dobry. Która godzina?

— Dzień dobry panu. Już siódma.

— Bójcie się Boga! czemu mnie nie zbudziliście?

— A już tak...

Rajecki wyskoczył z łóżka, przeciągnął się gimnastycznie, i chwyciwszy w płuca pachnącego powietrza, które szło od otwartego okna, zaprawne trochę dymem tytuniu, poczuł się zdrowym i ochoczym do trudów nowego dnia.

Po kwadransie trzy pary chodaków klapały pośpiesznie po stoku wzgórza, spuszczając się ku poziomowi Szepety. Ledwie ścieżka zabrnęła w łąkę, już wyżły zaczęły stawać do dubeltów. Aby nie tracić czasu i nie znarowić psów, trzeba było je wziąć na paski, bo zaczynały dziwić się i spoglądać ze zgorszeniem na myśliwych, że nie strzelają do dubeltów.

— Idźmy prosto tam, gdzie pardwy — rzekł Michał. — Już późno.

Dążyli więc po linii prostej, prowadząc psy między karłowatą, wężowo pokręconą sośniną, nie przenoszącą wzrostu człowieka. Grunt coraz bardziej ustępował pod stopami i napełniały się wodą zagłębienia śladów...

— Już tu należałoby psy spuścić — rzekł Czerwiński — ale panowie pozwólcie mnie naprzód. Tu już nie wszędzie iść można nie wiedzący.

Poszedł więc pierwszy w szeregu przez rzadsze porosty...

Myśliwi doznawali wrażenia, że kroczą po napiętym nad próżnią grubym samodziale ze mchu; wokoło nachylały się ku nim czuby traw, nawet

krzaki coraz mizerniejsze. Mszar zdawał się pełzać pod stopami powolną falą, z niepokojącym pod powierzchnią glukaniem.

Oba psy stanęły metodycznie, wzorowo.

— Są! — szepnął Czerwiński, schodząc na bok i ustępując miejsca. — Tu nie co innego, tylko pardwy.

Zapomniano o przezorności stąpania, idąc gorączkowo i śpiesznie za psami, prowadzącymi po linii prostej, z krótkimi przystankami. Zanim psy doszły, rozległ się ogromny chlupot i wołanie:

— Uuch! do diabła ty prowadzisz, Czerwiński!

Talmont po pas zapadł w błoto.

W tej chwili przed psami wzniósł się najpiękniejszy z litewskich ptaków, stary kogut pardwi, prowodyr stada. Rudozłote pióra długiego ogona i jaskrawa pstrokacizna skrzydeł zagrały w słońcu i alarm napełnił powietrze:

— Gargar — gargar — gargar...

Rajecki obejrzał się szybko na towarzysza i, dojrzawszy, że gramoli się skutecznie z błota, wziął koguta na cel i zwalił strzałem już dalekim. Za samcem, prawie jedną chmurą, porwało się stado młódek bez głosu, ale z suchym hałasem skrzydeł, migających śnieżnymi końcami. Jeszcze jedną sztukę zabił Rajecki z lewej lufy, drugą Czerwiński. Już stado uniosło się o kilkadziesiąt kroków, gdy od ziemi huknęły dwa strzały Talmonta. Zawzięty łowczy, jeszcze tkwiący w błocie, ścigał pardwy szrutem. Jedną zeskrzydlił — opuściła się ukośnie ku ziemi, podczas gdy reszta, zwarta w kupę, leciała nisko i szybko nad mszarem, lotem podobnym do kuropatwiego i zapadła całym stadem w oddaleniu ćwierci wiorsty.

Pomożono najprzód wydobyć się z błota Talmontowi, który drwił wesoło z samego siebie:

— Ja tylko przykucnąłem, panowież moi, żeby łatwiej na cel chwycić, a to kołyszesz się na tym mszarze, jak na hojdawce.

Wyżły zaaportowały sumiennie koguta i trzy młódki. Michał wyrwał czerwone piórko z ogona samca i zatknął za wstążkę swego kapelusza.

— Ot, gargatun piękny — chwalił leśnik — jak te fazany, które ja widział w Białowieskiej Puszczy...

Rajecki zwrócił się do Czerwińskiego:

— Cóż, czy pójdziemy tam, gdzie zapadło stado?

— Wszak można — odrzekł leśnik — tylko ich naleźć trudno, kiedy spłoszone; padną w mech i nie ciekną, do wieczora jak martwe leżą. Nie

bój się pan, najdziem inne, ich tu stad mało tysiąc.

— Tylko prowadź, panie Czerwiński, na bardziej ludzkie miejsca, żeby choć jakkolwiek po nich przesunąć się można było.

— A kiedy na pardwy tak już po żółtym mchu, panie łowczy, a żółty mech na przepaściach...

Idąc znowu na czele pochodu, Czerwiński opowiadał dalej:

— A w samym środku Szepety, jeszcze o milę stąd, jest jeziora niezarośnięta, czarna. Tak z jej dniem i nocą para idzie ciężka, woniejąca jak dym torfowy, i w górę nie podlatuje, tylko rozłazi się nisko po brzegach. Jaka tam zwierzyna wodzi się — i nie wiadomo, bo dojść nie można ani blisko. Czasem, kiedy spłoszysz idąc którego z wielkich kulonów albo inne zwierzę do czorta podobne, tak ono ciągnie na ta jeziora fajka palić... Zimą podszedłem i to nie blisko. Nie marznie ona i wszystko dymi, i wokoło bagna nie marzną. Latem i podsuwać się tam straszno...[1]).

. . . .

...Przez nagie połacie wybladłego mchu trzeba było teraz ślizgać się chodakami po powierzchni niby zwartej, lecz prawie płynnej. Dawało to Michałowi wrażenie postępowania po fali, cudne i podniecające: skoro się zwyciężyło tyle już przestrzeni, może dzisiaj właśnie dotrze się do widoku, choć z daleka, dziwnego, środkowego jeziora!... Pardwy ciągnęły strzelców w kraj coraz bajeczniejszy, pływający na odmętach błotnych, ziejący wonią przemocną... Nie pijanice wydawały tę woń ani inne jagody, bo i ich dziedzinę pozostawili już myśliwi za sobą: wiały tu już pono dymy czarnego jeziora.

Nowe stado pardw furknęło spod wyżłów. Kogut prowadził je nisko nad mszarem nagim, gładkim i puszystym, jak strzyżony kobierzec zgniłej barwy. Głos koguta jakoś triumfalnie i złowrogo śmiał się:

— Gargar — gargar — gargar...

Michał zajęty samą trudnością postępowania, rozkołysany na chwiejnym gruncie, strzelił późno i zeskrzydlił jedną tylko młódkę, która opuściła się daleko, na goły mszar.

Przystanął i Czerwiński...

---

[1]) Litwini, słabo mówiący po polsku, mają stałą skłonność do przerabiania rzeczowników na rodzaj żeński i do używania ich generalnie w pierwszym przypadku.

— Tutaj już, pan, my nie przeleziem. A przeleźliby raz, powrócić ciężko...

Powracali, omijając ślady własne, zagłębione we mchu, ogromne, pełne ciemnorudego błota. Iść bez nadziei strzału wydawało się trudniej niż za pardwami...

Czerwiński prowadził teraz łukiem ku miejscom suchym i bliższym brzegu. Na tych miejscach znalazły się cietrzewie w niemniejszej ilości, jak pardwy na moczarach. Od czasu do czasu zabił Michał jakiegoś rzadkiego ptaka: to czupurnego bataliona, to przelotną kaczkę nieznanej odmiany. Kręcili się tak po równinie bez granic. Już Michał tracił czasem świadomość, kędy droga do domu, kędy zaś do środkowych przepaści Szepety. Tedy objaśniał Czerwiński, wskazując nikłe wytyczne na horyzoncie:

— Ot, tam sosna na pagórku — mój dom. A tam na prawo, jak chmurka, kiedy wschodzi na niebo — ta brzezina, z której panowie wczoraj ruszyli łosia...

Nie późny wieczór ani brak zwierzyny wyrwały myśliwych z Szepety, po prostu — brak ładunków... Trzeba było wracać do brzegu najkrótszą drogą. Wzięli psy na paski i przebrnęli tę ostatnią przestrzeń mszaru najcięższą, bo beznadziejną. Spod nóg ich furknęło jeszcze kilka cietrzewi.

Gdy wydobyli się na brzeg twardy, o parę wiorst od leśniczówki, rzucili się z rozkoszą na suchą, gruntową murawę. Odpasali torby i troki pełne skrzydlatej zwierzyny: było czterdzieści dwie pardwy, dwadzieścia osiem cietrzewi i kilka sztuk rozmaitego ptactwa.

J. Weyssenhoff
(Soból i panna)

PIEŚNI MYŚLIWSKIE

I

Siedzi zajączek pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,
Po chruścinie zaszczuwają,
Trąbią, krzyczą i wołają.

Zając w kniei śpi, dyszy,
A myśliwi zmokli, jak myszy.
Po chruścinie rozpuścili
Konie, szaty porosili,
Także psy...

Zając, skoro trąbki usłyszał,
Bieży prędko, aż się zadyszał,
Wybiegł nieboraczek w pole,
Jedni w górze, drudzy w dole
Czekają...

Obejrzy się zając po chwili,
A myśliwi charty spuścili.
Wszyscy gonią, nadszczuwając —
A on, testament zmyślając,
Narzeka:

„Cóżem ja komu zawinił,
Lub takiego złego uczynił?
Ja ubogi, trawką żyję,
Zamiast wina, rosę piję,
Sierota...

Gęsi, kur, kaczek nie tropię,
Śpiąc patrzę, nie krzykam, nie chrapię,
Nie przebudzę i czujnego,
Nie rozgonię i małego
Ptaszęcia..."

Rozforowane już charty
Lecą rączo, w skok zażarty,
A tu, tu, tu, sa, sa, sa, sa,
Już zajączek blisko lasa,
Już on pan.

Skoro zajączek już w lesie,
Na myśiwych kosmyk podniesie:
„Wy ogary, wy, myśliwcy,

Całujcie mię w kurtę wszyscy.
Ja tu pan!...”

Postanęli wszyscy w paradzie,
Myśląc zajączkowi o zdradzie.
Cetnar prochu wystrzelali,
I zajączka nie dostali.
Żal by cię!...

II

Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój.
Hej, na łów, na łowy,
Do zielonej dąbrowy
Towarzyszu mój!

A tam biegnie zając, zając,
Towarzyszu mój.
Puszczaj charta ze smyczy,
Niech zająca uchwyci,
Towarzyszu mój!

A tam biegnie sarna, sarna,
Towarzyszu mój.
Puśćmy charty na wonią,
Niech tę sarnę dogonią,
Towarzyszu mój!

A tam bieży soból, soból,
Towarzyszu mój.
Puśćmy charta ze smyczy,
Niech sobola uchwyci,
Towarzyszu mój!

A tam biegnie panna, panna,
Towarzyszu mój.
Puszczaj charty ze smyczą,
Niechaj pannę uchwycą,
Towarzyszu mój!

A teraz się dzielmy, dzielmy,
Towarzyszu mój.
Tobie zając i sarna,
A mnie soból i panna,
Towarzyszu mój!

A kiedy ci krzywda, krzywda,
Towarzyszu mój.
Tobie siodło, a mnie koń,
Terazże się ze mną goń,
Towarzyszu mój!

A kiedy ci krzywda, krzywda,
Towarzyszu mój.
Moja szabla, a twój kij,
Terazże się ze mną bij,
Towarzyszu mój!

Żegota Pauli
(Pieśni ludu polskiego w Galicji)
Wacław z Oleska
(Pieśni ludu galicyjskiego)

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE LETNIE

Lipiec — ostatek starej mąki wypiecz.

4 *lipca*: Źle na Prokopa, jak zmoknie kopa.

Święty Prokop, marchwi ukop.

16 *lipca*: Wraz ze Szkaplerzną Matką idź na zagon z czeladką.

25 *lipca*: Na święty Jakub już chleba nie kup.

Jaki Jakub do południa, taka też zima do grudnia; jaki Jakub po południu, taka też zima po grudniu.

26 *lipca*: Od świętej Anki, chłodne wieczory i poranki.

29 *lipca*: Od świętej Marty, płać za żniwa, dawaj kwarty.

Kto we żniwa patrzy chłodu, nacierpi się w zimie głodu.

1 *sierpień*: Do świętego Piotra Palikopy, nie twoje w polu snopy. (Lud nazywa go Palikopą, gdyż o tej porze pioruny często zapalają kopy w polu).

4 *sierpnia*: Na święty Dominik — kopy z pola myk, myk, myk.

6 *sierpnia*: Na Pańskie Przemienienie, lepsze gospodarza mienie.

10 *sierpnia*: Na święty Wawrzyniec, bez pole gościniec (bo już żniwa zaczęte).

Święty Wawrzyniec był opiekunem pasiek. W dniu tym święcono miód, świeżo podebrany i udzielano go wszystkim domownikom; stąd przysłowie:

Przez przyczynę świętego męczennika, chroń Boże pszczółki od szkodnika.

Na święty Wawrzyniec — czas orać w ozimiec.

Na święty Wawrzyniec, dostaje kapusta wieniec, a od Tadeusza — dostaje kapelusza.

Od świętego Wawrzyńca — szukają baby we lnie promieńca (włókna).

Święty Wawrzyniec uwija z orzechów wieniec.

16 *sierpnia*: Na święty Boch — w stodole groch.

17 *sierpnia*: Na święty Jacek, będzie nowy placek.

24 *sierpnia*: Święty Bartłomiej wszystko w polu potłumi.

1 *wrzesień*: Święty Idzi w polu nic nie widzi (bo już żniwa pokończone).

14 *września*: *Podwyższenie św. Krzyża*. Na święty Krzyż owce strzyż.

21 *września*: Po świętym Mateuszu — każdy durny w kapeluszu.

Niech chuchą chudeusza, gdy zabył Mateusza. (Gdyż był to dzień walnych jarmarków, w którym zaopatrywano się w kożuchy).

29 *września*: Święty Michał kopy z pola pospychał.

O. Kolberg
(Lud)
K. Wł. Wójcicki
(Archiwum domowe)

J E S I E Ń

JESIENIĄ

Jak gwiazdy spadłe na czarne zagony,
Jaśnieją sterty pszenne i żytniane,
A czoła w mleczną owinął im pianę
Pajęczych przędziw łańcuch wysrebrzony.

Z ognisk pastuszych bije blask czerwony,
Złocą się iskry przez dymy przesiane,
I słychać głosy tęskne, rozśpiewane —
Rusińskich dumek rozełkane tony.

I cisza znowu. Chłopskie wierzby siwe
Opadłym liściem mącą wodę w stawie —
Słychać ciągnące odlotne żurawie.

Białe przędziwa gdzieś lecą przez niwę,
Białe przędziwa płyną — wiatr je miota —
I płynie z stepów bezdenna tęsknota...

Kazimiera Zawistowska

SIELANKA JESIENNA

Skończył się sierpień. Przyroda wygląda jak człowiek, który dużo w życiu miał do roboty, wyczerpał swą dzielność, pożółkł, dostał zmarszczek, ołysiał, stracił zęby i zaczyna nabierać chęci do trwalszego wypoczynku w grobie.

Słońce opiekło ziemię, wyskwarzyło jej kwiaty, barw ją pozbawiło. Łamią się teraz łodygi, wykruszają się i sypią nasiona roślin. Pyły grubą warstwą oplugawiły przydrożne drzewa, krzewiny, zioła; ni tam dojrzysz koralowego owocu róży polnej, ni ciemnogranatowej kulki tarniny czy jeżynowej jagody.

W powietrzu snuje się pajęczyna, więźnie na drzewach, osiada po ścierniach, osnuwa skiby roli, i wczesnym rankiem widać nanizane na jej nitkach brylanciki rosy.

Błękitnym dymem kurzą się po polach ogniska pasterzy. Stada rogacizny wygryzają resztki traw, a między bydłem — białe i czarne owce, gromady podskubanych gęsi i brudne szczeciniaste czworonogi.

Jeśli tu jeszcze jest gdzie przepiórka, to przycupnęła cichutko, nie zdradzi się głosem, ruchem. I skowronek milczy, wyrwie się tylko, wyda głos jakby zdziwienia i zapada.

Zając od rana zasiedział się w kotlinie, wygrzał się do słońca, a pod wieczór marzy o wyprawie w ogrody do obiecanej ziemi kapust.

Dokoła tych niw szarzejących rżyskami, czerniejących skibami świeżej roli, wloką się szlaki lasów, co z dala na błękicie odbijają czerwienią, żółtością, niewyraźną zielenią — płaszcz spłowiały. A ponad polami nieustannie przeciągają całe pokolenia ptaków śpiewnych. To młodzież wylęgła tego lata, razem z rodzicielskimi parami gromadnie przelatuje za żerem tu i ówdzie...

Skończył się sierpień! Na ogrodach opadły białe i pąsowe korony maków, a pozostały tylko brudne plamiste makówki. Potworne łby słoneczników górują nad zeschłymi badylami kartofli i brudne ich tarcze wyglądają, jak strachy na wróble. Wypłowiały do biała szerokie wstęgi liści kukurydzy, sczerniały jej kołtuny, otaczające żółte lub czerwone ziarna. To się modrzą, to zielenią twarde a grube głowy kapuściane. Żółtawoczerwonym rumieńcem zdają się wdzięczyć do słońca pomidory pulwiaste, jakby nalane. W poprzek zagonu wyciągnął się grubaśny ogórek, przy łbie żółty, nadgniły na brzuchu, w nogach ospowaty, bladozielony...

Sierpień się skończył...

Kiedy w noc ciemną idziesz przez las czy ogród i słyszysz dziwne szmery, wiedz, że to liście opadają. To szmery śmierci! Niemiły chrzęst, co się spod stóp odzywa, gdy depczesz suche liście — to także odgłos śmierci, ścierającej życie na prochy.

A. Dygasiński

(Na odlocie)

SPOTKANIE Z NIEŻWIEDZIEM W TATRACH

OPOWIADANIE SABAŁY

. . . Idziemy spod Krzywania ku Ciemno-Smrecynom, ale my nie jedli już drugi dzień, i dopiero jo patrzem: — Niedźwiedź! Idzie, rusa kudłami jak Madziar gaciami. — Widzis go! Juźci brat myślal, co Luptacy, porwie się biec — dopiro go wołam — hipnął ku mnie. Pokazujem mu niedźwiedzia: idzie proci nas — dy to teli, jak sałas!

— Wyjmuj lotki, bij kulkę, a hybaj za wode, siądź za smrekiem, a puść blisko!

Juźci on przeleciał za wode, syćko my odbiegli, i torby, i cuhy, prasnąłek i kapelus, ino flinte do jednej, ciupage do drugiej garzści — lecem! No, juz zaleciałek, póżrem, nic nie widzem. Co się to mogło stać. Pazieram pilno po tyk zieleninak, widzem jego pośrzodku — pasie sie — obraca... Przypadłek poza smreka — flinta lotkami nabita a na wierzchu kulka w kłaku, proku nasułek dość, co by niedźwiedź nie myślał, co mu żałujem. Ale z tej grońki strzelić było nijako, smrek prawie zasłaniał — a tu śtyrbno, takie turnie gładkie do dołu. Juźci rzekę: — Nie porada — mnie ku tobie zejść! Toz to na grzbiecie, na łokciak zjechałek dołu, on się przykręcił bokiem — strzeliłek!

Spadł — ani nie beknął!

Wartko nabijam flintę, juze prawie kapślik nakładam — przyleci Józek i zabiadkał. — O, mocny Boze! Juze on nam useł! — Dopiro mu ukazujem, ten się porwie do niego: — Stój! — rzeke — póki ja sie nie sprawie, a odwiedź flinte, bo jak on jesce zywy, to my by z telo zdrowi nie wyśli. Dopiro chodzem z daleka, patrzem, a mu ta ocy mgłom zielonom zasły, ale jesce mruga, hej! Wziołek skale, bar w niego. Sarpnął się w jeden bok i lezy. Kula, jakok zamierzował, przesła bez serce, zaś jeden lotek był w pięcie a drugi za usami.

No i dobrze nie bardzo. Wyjąłek nóz z torbki, toz to kiej mu nożem brzuk ozepruł, on się cofa, cofa i palcami rusa.

Co tchu nakładli my ognia. Józek wątrobę piók. Ja zaś sadła nawinął na patyk — wnet naciurcało to w kapelus. Pojedli my sytno, ino soli nam chybiało — ono by jesce lepse było ze solom. Bo niedźwiedzie mieso je godne!...

Jak juz potem trza było iść, niedźwiedzia tego my zabrali, ale nie mogli zdoleć w pięci chłopów zabrać syćkiego — kark ostał.

St. Witkiewicz
(Na przełęczy)

KUROPATWY

Jakże dobrze być pisklęciem, żyć pod opieką czułą pary rodzicielskiej w gąszczu koniczyny albo pszenicy !

Świat uśmiecha się pogodą słoneczną, pachnie kwiatami. Pieśni skowrończe, przepiórcze i przygrywki świerszczów brzmią naokoło. Zające młodociane wyprawiają pląsy ucieszne przy księżycu.

Raj życia !

Przyszłość rozkosznie przemawia do wyobraźni ptaszęcia, które, otoczone pieszczotami matki, szczerze wierzy, że żywot ziemski jest jednym pasmem szczęścia !

Szesnaścioro braci i sióstr wylęgło się w gnieździe, ogrzewanym piersią macierzyńską. Ciepło serca tkliwego powołało tę dziatwę do życia.

Kurczątka drobne, kuse, przyodziane w puch miękki, opuściły chatę natychmiast po urodzeniu. Skorupki jaj jeszcze wisiały u skrzydełek, tkwiły na czubkach główek. Maleństwo utykało, chwiało się na nóżkach wątłych, a i tak, popiskując ,ciekało za panią matką po bruzdach.

Tatuś, bohater dzielny, strażuje gdzieś po kresach niwy, odwraca niebezpieczeństwa groźne od strzechy rodzinnej. Matusia, bóstwo dobroci, ciągle przebywa z drobiazgiem, a karmi, a naucza — wychowuje.

Oj, droga jest ta pierś rodzicielki naga, pozbawiona pierza od długiego wysiadywania na gnieździe !

Taka miłość serdeczna i poczucie wspólności ożywiają rodzinę, że tu nie ma: „ja, ty, on"; tylko „my" tkwi w duszy każdego. Jest nam bardzo dobrze ! Ale matka biedactwo zawsze gotowa oddać życie za dzieci; nie dojada, nie dosypia — szczyt poświęcenia.

Aż tu jednego dnia sierpy zadzwoniły poczęły żąć pszenicę, niszczyć kraj rodzinny.

Koniczyna zwalona już leżała na pokotach, schła, pachniała.

Była to chwila wielce pamiętna, kiedy o zmroku ojciec chrobry, stojąc na miedzy, przemówił do swej czeladzi:

— Wziąć nogi za pas i ruszać w derdy na niwę grochową ! A pomykać chyłkiem, cichutko, bez szmeru najmniejszego ! Za mną, dzieci !

W kilkanaście dni potem rodzina musiała się znowu przesiedlać z grochu w kartofle i proso. Zające, przepiórki robiły to samo.

Świat się zmieniał, szpetniał. Ziemia coraz bardziej łysiała, płowiała.

Jastrząb na stałe wyniósł się z lasów w pola, krążył ponad rżyskami, badał z wysoka paprzyska kuropatw, kotliny zajęcze. Na szczęście ojciec umiał zapobiegać napaści.

To gorsza, że człowiek rozpoczął teraz polowania codzienne z wyżłem i bronią palną. Rodzic stary, zawsze waleczny w obronie swoich, pierwszy zginął od kuli ołowianej. Był taki mądry, taki mężny i zginął!

Zlany krwią spadł na rżysko, trzepotał skrzydłami, konał. Wyżeł nadbiegł, wziął go w zęby, przyniósł do ręki pana. Klęska!

Strata ojca-wodza stanowiła początek rozbicia rodziny. Matka owdowiała miała tylko serce dla dzieci, nie umiała trzymać gromady w karbach karności. Pies zawzięcie tropił stado, a huki strzałów zabójczych nieciły przestrach ogromny, rozrzucały rodzeństwo po okolicy. Rozbitki głosem smutnym, trwożnym zwabiały się o zmroku, aby codziennie opłakać stratę brata lub siostry. Nareszcie jednego razu — o, żałości przesmutna — zabrakło matki. Na próżno sieroty wołały tęskliwie:

— Bywaj, matusiu nasza luba, bywaj!

Przepadła dla nich na zawsze. Syn pierworodny, głowa zdolna, zastąpił z czasem ojca i hetmanił gromadzie; ale serca matki nikt nigdy nie zdoła zastąpić. Taka tkliwa, taka dobra, piękna w czynach swoich i zginęła...

A. Dygasiński
(Na odlocie)

ZALOTY I WESELE

Zagonowa szlachta, a nawet i chłopi majętniejsi, chodząc w oględy, występowali jak najokazalej, zalecając się przynajmniej z pół roku. Nadskakiwał hoży parobczak swej Zośce, wąsik muskał, cholewki smalił... Ubiorem okazałym starali się chłopcy zacność swojej wystawić osoby, o czym tak się wyrażała broszura stara:

A gdy jeszcze obaczy ten żupan podarty,
Rzecze zaraz, żem ja łotr i że grywam w karty.
Trzeba by mi mieć żupan tak piękny i nowy,
Żebym się nie powstydził grzecznej, białej głowy.

. . . .

Po oględach i ostatecznym ze strony zalotnika postanowieniu żenienia się, oświadczał tenże przez uproszonych na to przyjaciół, że chce zaślubić dziewkę. Czyniących to oświadczenie nazywano dziewosłębami. Jeżeli przyjęto oświadczenie, następowały zrękowiny, czyli zaręczyny, a następnie naznaczano dzień na wesele. Nie podały nam dzieje, jakim się to odbywało sposobem, i nic w tej mierze nie posiadamy, nad same okruchy, a i te jeszcze skąpo wytrzęsła z siebie historia. Zanim je opiszę, zwracam uwagę na pieśni ludu, które dziwnie piękny przedstawiają wątek do narodowego dramatu...

Od początku aż do końca wszystko jest dramatyczne, pełne scen i widowisk wspaniałych, jakimi są rozliczne przedstawienia, a mianowicie: zdobycie zamku, wykradzenie z niego królewny (panny młodej), upomnienie się o nią rodziców i układy w tej mierze, przez pana młodego robione, ażeby ją zatrzymać u siebie. Są tu umowy, odbywane przez posłów o pannę młodą, które, gdy pożądany wzięły skutek, znowu się nowe otwierały sceny, życie ludu przedstawiające. Wesołość je cechuje i delikatne uczucie serca, dając wielkie wyobrażenie o wysokim wykształceniu gminu.

O weselu wieśniaków to nam podały dzieje, że z kwiecia, które sama pielęgnowała w ogródku, wiła sobie panna młoda wianek do ślubu, przy tym śpiewając:

Ach! mój wianeczku różany,
Liliami przewijany,
Otoczysz mi kołem
Nad mym wdzięcznym czołem.
Jużem cię ostatnia wiła,
Pókim jeszcze panną była;
Teraz za mąż idę,
Więcej tu nie przydę.



Następnie żegnała rodzinę, od pana ojca zaczynając, żegnała alkierz i komnatę, ziele i kwiatki w ogrodzie, a odszedłszy od ołtarza, stawała się żoną zaślubiającego ją mężczyzny.

We wyższych także stanach, panna młoda, ubrawszy się do ślubu, padała do nóg ojcu i matce, płacząc i prosząc ich o błogosławieństwo. Po ślubie następowała uczta szumna i huczna, tak że czasem wyprawione wesele zniszczyło grafa lub księcia. Gruntem uczty weselnej był kołacz u wyższych i niższych stanów, bo gdzie nie było kołacza, tam i wesela nie

było. Matka, wyprawiając córkę z domu i mężowi ją oddając, albo kołacz albo chleb przed nią stawiała. Po uczcie dawano wody do umycia, i zaraz następowały tańce. Jeden z krewnych brał w taniec pannę młodą, a jedna z krewnych pana młodego. Pan młody ukłonił się pannie młodej, i zaraz taniec rozpoczynano. Kiedy przyszło w odbijanego, wtedy dopiero tańczyło z sobą państwo młode, niżej jeszcze ukłoniwszy się sobie... Drużki i przydanki, czyli bliższe i dalsze druchny, usługiwały przy weselu pannie młodej, szczególne mając staranie o sukniach, w których mażonkowie ślub brali... Małżonkowie suknie te chowali pilnie, troskliwie ich strzegąc aż do samej śmierci, kiedy niekiedy i to tylko w dni świąteczne biorąc je na siebie dla przewietrzenia.

W. Al. Maciejowski
(Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII wieku)

OBRZĘDY WESELNE

Na kilka dni przed weselem chodzą drużbowie, których pan młody wysyła, po wsi od gospodarza do gospodarza. Starosta, najstarszy drużba, pierwszy swat lub też i marszałek weselny (na niego obierają zwykle gospodarza dojrzałego, wymownego i żartobliwego) zaprasza na wesele całą rodzinę w imieniu pana młodego mową żartobliwą. Przed ślubem rano schodzą się goście do rodziców panny młodej. Tu sadzają swaszki pannę młodą najczęściej na dzieży, rozplatają jej warkocz i stroją głowę w kwiaty i wstążki. Ubrana panna młoda rzuca się śród płaczu rzewnego wraz z panem młodym do nóg rodzicom, którzy nowożeńców błogosławią. Starosta prosi wszystkich do ślubu. Siadają na wozy i jadą z muzyką do kościoła, drużbowie zaś wyprzedzają ich konno. Po ślubie chowa się panna młoda za ołtarz, skąd ją drużbowie wyprowadzają. Z kościoła udaje się cały orszak weselny do domu rodziców albo najczęściej do karczmy, gdzie się uczta i tańce odbywają. Późno w nocy następuje najważniejszy akt weselny: czepiny. Stara się panna młoda zamknąć, lecz drużbowie ostro jej pilnują i ułapioną sadzają na stołku. Starościna zdejmuje jej z głowy wianek z wstążkami (które panna młoda muzykantom rozdaje), bije ją stłuczonym garnkiem po plecach, aby się jej w nowym stanie naczynie nie tłukło i uderza ją ręką po licu...

W kilka dni po weselu schodzą się znów wszyscy na ucztę i tańce, co poprawinami zowią.

ORACJA DRUŻBÓW, ZAPRASZAJĄCYCH NA WESELE

Szczęśliwa była godzina, jak się Bóg narodził,
I ta szczęśliwa, co ja was nawiedził.
Mamy afekt z przyjścia swego
Do domu waszego.
Jeszcze z większym afektem
Od Boga w Trójcy Świętej jedynego
Prosi pan ojciec, pani matka,
Pan młody, panna młoda
Na to wesele,
Co się znaczy [1]) przez trzy niedziele.
Chcąc my też to stadło przyozdobić,
Jako Bóg przyozdobił niebo
Słonkiem, miesiącem, gwiazdami,
Wodami, rybami,
Liściami, kwiatami,
I cały świat trawnikami.

Oto wy, mój panie ojcze, pani matko,
Chciejcie to stadło przyozdobić,
Do kościoła Bożego przywodzić,
Do kościoła Bożego,
Do stanu małżeńskiego,
Do stołu Piotra świętego.
A z kościoła Bożego
Prosi pan ojciec i pani matka w dom swój,
Na krotochfilę grzeczną,
Na muzykę skoczną,
Na beczkę piwa lub na dwie,
Na baryłkę wódki lub na trzy,
Na tego jelenia [2]),
Co go z obory wyprowadzamy,
Na te jarzębie,

[1]) Zapowiada.
[2]) Wołowina.



Co siedzą na grzędzie [1]),
Na tę gadzinę,
Co rzuca pierzynę [2]),
Na te kszyki,
Co siedzą u rzeki [3]),
Na te korzenie,
Co się ciągną ze ziemie [4]),
Na te liście,
Co się składają czyście [5]),
Na te koła,
Co się toczą do stoła [6]),
A do tego, co nam Pan Bóg obiecał darować,
A kucharz zgotować,

Byście też nami,
Wszelkimi sługami,
Nie gardzili
My też waszeciom potrafić będziem
Wszelkimi sposobami.
Chciejcie się nam też nie wymawiać,
My też wam lub waszecim dziatkom
Wymawiać się nie będziemy,
Jeśli wam tego będzie potrzeba.
Prosimy o przebaczenie,
Bo kiepskie umienie.
Bakałarza my kiepskiego mieli,
Do karczmy nas puszczał,
Rózgą nas nie chlustał,
Kałamarz z kołka spadł,
Uciekł z piórem ptak...

---

[1]) Kury.
[2]) Gęsi.
[3]) Ptaki błotne.
[4]) Kartofle.
[5]) Kapusta.
[6]) Kołacze.

ŚPIEW DRUŻBÓW I DRUCHEN PRZY WYJEŹDZIE DO KOŚCIOŁA

Wychodź, Marysiu, z izby,
Nie rób matuni ciżby,
Dosyceś jej robiła,
Kiedyś maluśką była.

Siadaj, Marysiu, z nami,
Nie zalewaj się łzami,
Siadajże, Maryś, siadaj,
Ojcu, matce żalu zadaj.
Niech się jej serce kraje,
Że cię młodą za mąż daje.

PANNA MŁODA DO PANA MŁODEGO

Oj, hola moja, hola,
Jeszcze ja nie twoja.
Wtedy będę twoja,
Jak pójdę z kościoła.

PAŃSTWO MŁODZI PRZED BŁOGOSŁAWIEŃSTWEM

Już idziemy do kościoła,
Błogosławże nas, matusiu moja,
Błogosław, matuleńko,
To twoje dzieciąteńko,
Pobłogosław oboje,
Te dzieciąteczka twoje.

PANNA MŁODA ŚPIEWA

Zostajcież z Bogiem te matczyne progi,
Już tu nie postoją nigdy moje nogi.

MATKA PANNY MŁODEJ ŚPIEWA

Boże cię też prowadź, Boże cię błogosław,
A ino mi chusteczkę na uciechę zostaw.

ŚPIEW PODCZAS JAZDY DO KOŚCIOŁA

Prowadźże nas, o Boże,
Po tej szczęśliwej drodze,
Żebyśmy tam zajechali,
Kędyśmy się obiecali,
Do kościoła świętego,
Do stanu małżeńskiego.

ŚPIEW DRUCHEN PO ŚLUBIE

Gdzieżeś się nam, panno młoda, podziała?
Powróćcie, mili swatowie, powróćcie,
Pannę młodą zza ołtarza wykupcie.
Podziękujmy Panu Bogu,
Wzięliśmy ślub, chwała Bogu
I Najświętszej Panience,
Przy dzisiejszej niedzieleńce.

Skąd idziecie? — Z kościoła.
Co wieziecie? — Sokoła.
Będzie się matusia pytała,
Komuś, Maryś, ślubowała.
Ołtarzowi wielkiemu
I Jasiowi swojemu.

Oj, leciały czarne kawki przez morze,
Padły, siadły u pana ojca na dworze.
Wyjdźże do nich, pani matko, proszący,
Czyście nie widzieli mojej Marysi jadący.

— Widzieliśwa twoją Marysię jadący,
Ocierała swoje oczęta, płaczący.

PO KOŚCIELE W KARCZMIE

Stawiaj, karczmarzu, ławeczki,
Niech sobie posiądą drużeczki,
Stawiaj, karczmarzu, i ławy,
Niech sobie posiądą sąsiady.
Stawiaj, karczmarzu, i stół,
Gdzie swachniczka idzie samowtór.

ŚPIEWY PRZED CZEPIENIEM

Jak cię będą starościny czepić,
Będą mieć starościny co jeść i co pić.
Jak ci będziemy mieć panią młodą w czepcu,
Będziemy mieć gorzałeczkę w skopcu.

PANNA MŁODA ŚPIEWA

Baby nie piły, matusiu,
Baby nie piły, matusiu !
Trza ich pognać do jeziora,
Będą piły do wieczora.

ŚPIEW DO PANA MŁODEGO

A mój panie młody,
Dawaj gorzkiej wody [1]),
A my ci za wodę
Dziewkę, jak jagodę.

Kiejżeś się podział, drużbo najbliższy,
Skoro do czepin zjadły cię myszy.
Oj, chmielu, oj, nieboże,
To na dół, to po górze !
Chmielu, nieboże !

---

[1]) Gorzałki

ŚPIEWY W CZASIE CZEPIENIA

A w tej nowej komóreczce, w tej nowej,
Czesa sobie Marysia nadobna len biały.
Przyszedł do niej nadobny Jasieńko, zapukał,
— A puśćże mnie, moja Maryś, do siebie.
— Ja ciebie, mój Jasieńku, nie puszczę,
Miałeś ci ty, mój Jasieńku, czasu dosyć,
Było sobie matuli poprosić.
Kukułka kukała w sadeczku,
Główkę chowając w listeczku,
A kukając, powiedziała:
— Ja nie tak mieć będę
U świekruchy mojej,
Jakom miewała
U matki mojej.

STAROŚCINA ŚPIEWA

A wy, wstążeczki, już zwijajcie się,
A ty, czepeczku, rozwijajże się.

PO OCZEPINACH ŚPIEW PANNY MŁODEJ

Wianeczku ruciany,
Jużeś się mi zmienił,
Już się mi nie będziesz
Na głowie zielenił.

Żegota Pauli
(Pieśni ludu polskiego w Galicji)

PIEŚNI WESELNE

I

Kiedy matulinka córkę wydawała
Od siebie daleczko,
Jak ją wydawała, to jej powiedziała:
— Nie przychodź tu więcej, córeczko.

— Nie przyjdę, nie przyjdę, matulinko moja,
Jeno raz bez tydzień,
Stanę ja się ptaszkiem,
Ptaszkiem, krogulaszkiem,
A przylecę każdy dzień.

I przyleciał ptaszek,
Mały krogulaszek,
I padł na liliją.
Najmłodsza siostrzyczka
W okienku stojała,
Na ptaszynę wołała:

— Oj, ty mały ptaszku,
Ptaszku — krogulaszku,
Nie depcz mi liliją,
Aniś na nią nie rył,
Aniś jej nie sadził,
Nie będziesz z niej wianka wił.

— Dobrze tobie, siostro,
Ty moja siostrzyczko,
U matuli bujać,
A nie mnie, sierocie,
Jak biednej sierocie,
Za mężem się poturać.

II

Lelija, lelija wysokiego ziela,
Nie będziesz widziała mojego wesela,
Bo moje wesele pod Krakowem będzie,
Na mojem weselu siedmiu królów siędzie.

Będą tam królowie, będą monarchowie,
Będą mi upinać wianeczek na głowie,
Wianeczek, wianeczek, perłami sadzony,

Trzeba go szanować, jak matki rodzonej.
Wianeczek, wianeczek, sadzony perłami,
Co spojrzę na niego, zaleję się łzami!

III

Ja wam się schowam,
Wy mnie szukajcie;
Jak mnie nie znajdziecie,
Mamy pytajcie.

A ja będę się wzdragała,
Że nie będę z wami chciała,
A wy mnie bierzcie...

A w kościele przy ołtarzu
Rączkę mu dała,
Posłuszeństwo i małżeństwo
Zaprzysięgała:

— Ślubuję ci aż do śmierci,
Dopomóżcie wszyscy święci,
Sam Panie Boże!

Zebrała

M. D.

WESELE W ZAŚCIANKU

Ranek był jeszcze, bo może trzech godzin do południa brakowało, gdy okolicę napełnił gwar niezwykły. Długo i nieustannie turkotały tam koła, parskały konie, rozlegały się powitalne wykrzyki. Ze wszystkich dróg, przerzynających równinę, ku Fabianowej zagrodzie zjeżdżały się bryczki, cwałowali jeźdźcy, pieszo dążyli mieszkańcy bohatyrowickich zagród. Na koniec kilkanaście niewyprzężonych żółtych i zielonych, jedno i dwukonnych bryczek napełniło podwórko zagrody i kilka jeszcze najbliższych podwórek; kilkanaście osiodłanych koni stanęło u różnych płotów; może sto osób różnej płci i wieku pstrą i ruchliwą falą okryło ogród, zieloną

pomiędzy ogrodem i śliwowym gajem ulicę, i rozlało się aż na drogę, białym pasem u pustego pola sunącą...

W całym tym zebraniu, na parę godzin przed południem uczuć się dało niecierpliwe i trochę niespokojne oczekiwanie. Państwo młodzi i asysta weselna, jako to dwaj swatowie, dwie swanie i sześć par drużbów nie ukazywali się wcale przybyłym gościom, z których bardzo nieliczni tylko wchodzili do domu, a prawie wszyscy przechadzali się po ogrodzie i drodze albo siadali na długich ławach, tu i ówdzie ustawionych, na stosie desek pod stodołą, na kamieniach, na niskich płotkach. Wiedziano dobrze, że panna młoda już jest do ślubu ubrana i że pora już była wielka wyruszać w drogę do kościoła, lecz brakło jeszcze jednej z najważniejszych osób asysty, mianowicie pierwszego „drużbanta". We wszystkich siedzących, stojących i przechadzających się gromadkach o tym tylko opóźniającym się a tak ważnym gościu była mowa...

Wtem na zielonej uliczce, od bramy ku domowi wiodącej, coś rączego, gromkiego, świetnego zaturkotało, zaparskało, przegalopowało i pod gankiem stanęło. Pierwszy drużbant przyjechał...

Prawie galopem jadąc — bo sam zapewne czuł, że się spóźnił — Kazimierz Jaśmont w jednej ręce trzymał rzemienne lejce, drugą nieustannie zdejmował z głowy granatową czapeczkę, tym sposobem wszystkich znajomych witając, a gdy to czynił, oprócz okuć bryczki i aksamitnej sierści konia, błyskały jeszcze pod słońcem jego złociste, kędzierzawe, w tył od szerokiego czoła odrzucone włosy. Jednemu z młodszych synów Fabiana wodze oddał, a sam do wnętrza domu wpadł, gdzie kilka minut zaledwie zabawił, po czym, znowu na ganek wpadając, gromko zawołał:

— Muzyka!

Na ten okrzyk, z tłumu wypadli trzej młodzi, szeroko naokół znani bracia Zaniewscy, którzy sztukę muzyczną gorliwie uprawiając, na weselach sąsiedzkich, bezinteresownie i tylko dla własnego ukontentowania a grzecznego sąsiadom usłużenia, do tańca grywali. Od dwu już godzin o ścianę domu stały oparte dwoje skrzypiec i basetla. Amatorowie-muzykanci porwali je i z nimi do domu wbiegli. Ku domowi też pocisnęli się weselnicy wszyscy, jedni do wnętrza jego wchodząc, inni otwarte drzwi i okna tłumnie obstępując.

Świetlica Fabiana obszerną była... Zwykłego jej umeblowania nie było dziś ani śladu, lecz każdy mógł się domyślać, że łóżka z wysokimi pościelami, komody i skrzynie wyniesiono, dla uczynienia z niej sali ja-

dalnej. Pod trzema ścianami stały tam teraz trzy długie stoły, z des
naprędce zbite, białym płótnem ponakrywane, dobrze już napoczęty
pieczeniami, pierogami i serami zastawione a zydlami i stołkami otoczon
Pomiędzy stołami, w głębi dość ciasnej przestrzeni, stali rodzice pan
młodej i rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Elżusia
sukni z białego muślinu i z kawałkiem tiulu, który jej od włosów aż
ziemi spadał, u boku swego miała narzeczonego, którego szyję obwiąza
białym krawatem, tak szerokim i twardym, że najlżejszego nią poruszen
uczynić nie mógł. Dalej plecami do drzwi stało sześć par drużbów...

Tymczasem Kazimierz Jaśmont uczynił poruszenie, które go ze z
tej w ścisk kompanii nieco wyosobniło, stanął naprzeciw państwa młody
tuż obok umieszczonej na stole, wiązkami mirtu piętrzącej się tacy, rę
w białej rękawiczce po złocistej czuprynie przeciągnął i głosem tak d
nośnym, że go za oknami i aż w ogrodzie słychać było, mówić zaczął:

— Oto jest wianek, uwity nie z pereł, ani z diamentów, ale z zielon
mirty, znak panieński, oku ludzkiemu przypodobujący się, a tobie, pan
młoda, w dniu dzisiejszym chwalebną ozdobą być mający.

Mówiąc to, wskazywał na tacę napełnioną mirtem. Wziął z niej ma
mirtowy wianek i delikatnie go w wyciągniętej ku państwu młodym rę
trzymając, ciągnął dalej a coraz dobitniej i głośniej:

— Teraz, bierz sobie na uwagę, przenajdostojniejsza paro, te kil
moich myśli, które w następującej zawrą się formie. Wszak widzisz, pa
no młoda, że już ostatni przyszedł termin, w którym ten wieniec, prz
oczy twoje reprezentowany, nosić będziesz, bo od dzisiejszego dnia znikn
i nie powróci więcej na twoją głowę!

Tu Elżusia zaczęła z cicha chlipać i z wielką trudnością z kiesze
ślubnej sukni wydobywać chustkę od nosa. Ale drużbant, z oczyma w n
wlepionymi, nieprzerwanie ciągnął.

— Ach!... I jakże go nie żałować? Trzeba go oblać rzewnymi łz
mi, bo jakieżby to było serce tej pięknej panny, gdyby w dniu dzisiejszy
nie płakała? Ale ja tak powiadam, że nic nie ma na świecie przyrodni
szego nad stan małżeński i że Bóg, który utworzył niebo, ziemię i złot
gwiazdy, dla szczęśliwości ludzkiej i ten stan ustanowił. Nie ma tu prz
czyny smęcić się i biedować. Bo ty, panno młoda, choć pozbywasz s
piastowania ojca i matki, ale nabywasz przyjaciela wiernego na wiek w
ków, aż do końca. A ty, panie młody, to weź na uwagę, że Bóg słońce
a mąż dobrą żoną świat sobie weseli. Gdy tedy już nadszedł ten dzi

weselny, od całej tu zgromadzonej asysty i wszystkich tu znajdujących się państwa krewnych, przyjaciół i znajomych, tobie, najdostojniejsza paro, jako wasz pierwszy i najstarszy drużbant, najlepsze życzenia wypowiadam!

Tu głos nieco zawiesił, a w ścisku już nawet głośnych oddechów słychać nie było, z takim wytężeniem oczekiwano dalszych słów drużbanta, które też jeszcze dobitniej i uroczyściej niż przedtem zabrzmiały:

— Niechaj wam życia dzionek wije się jako wianek, w którym jasny kwiat z ciemnym się przemienia, ale wszystkie rozkosz czują, bo się wzajem obejmują. Troski po szczęściu i szczęście po troskach znosić będziecie w spokojności, jedno od drugiego czerpiąc pocieszenie w przyjaźni i miłości. Cieszcie się, że dnia dzisiejszego w kościele świętym złączy się para, a przez mężczyznę i kobietę wzajemnie sobie będzie dana wiara. Oto już grzmi muzyka!

Tu istotnie dwoje skrzypiec i basetla zagrzmiały czymś trochę do hucznego marsza a trochę do zawiesistego mazura podobnym. Tę huczną muzykę głosem przenosząc i tacę mirtem napełnioną w obie ręce ujmując, pierwszy drużbant kończył:

— Czas do kościoła po siódmy Sakrament święty jechać, a wprzódy do kolan rodzicielskich po ojcowskie i macierzyńskie błogosławieństwo upaść. Proszę tedy, panno drużko, niezmarszczonym czołem, wesołym okiem i łaskawą ręką te mirty przyjąć i drużbującym na znak dnia weselnego rozdać!...

. . . .

...Przed zachodem słońca, gody weselne Elżusi miały się ku końcowi. Przeszło o połowę zmniejszona kompania przechadzała się po zagrodzie i drodze; w gumnie, tak jak wczoraj na oścież otwartym, Zaniewscy jeszcze niekiedy niekiedy na skrzypcach rzępolili i basetlą pohukiwali, a przy tej niedbałej i przerywanej muzyce dwie lub trzy pary od niechcenia czasem okręciły się na toku...

Na podwórku ożywienie było największe. Zaprzągano tam do bryczek i wózków...

Pierwszy drużbant komenderował należytym szeregowaniem orszaku, mającego państwu młodym do domu ich, więc do jaśmontowskiej „okolicy” towarzyszyć. Naprzód tedy na drogę dotykającą pola wyprawił wóz, mający wieźć muzykantów. Za nim ustawił parokonną bryczkę państwa młodych, potem te, którymi według zwyczaju jechać mieli rodzice pana młodego, dwie swanie i dwaj swatowie. Teraz następowała kolej na pierw-

szego drużbanta. Więc Kazimierz Jaśmont sam za uzdę poprowadził swego pięknego, czarnego konika, ładną uprzężą połączonego z bryczką, na majowo-zielony kolor pomalowaną, po czym już ustawieniem ordynku zajmować się przestał, bo co do dalszego jego ciągu żadne przepisy nie istniały. Kto łaskaw czy też zaproszony, pojedzie sobie, jak zechce, na czele czy z tyłu, osobno, czy hurtem — wszystko jedno... Tylko jeszcze u końca orszaku jechać koniecznie powinien brat panny młodej, z kuframi i skrzyniami, wyprawę jej zawierającymi. To już niezbędne. Jeżeli brata nie ma, najbliższy krewny spełnić tę czynność musi. Ale Elżusia miała kilku braci, z których najstarszego obowiązkiem było wieźć za orszakiem weselnym wyprawę siostry...

Kazimierz Jaśmont, od bryczek wracając, tu i ówdzie po zagrodzie się okręcił, aż u zamkniętych drzwi domu stając, z całej siły zawołał:

— A teraz, panny drużki i panowie drużbantowie, pożegnanie pannie młodej zaśpiewamy !

W mgnieniu oka po obu stronach drzwi utworzyły się dwie gromadki, jedna z młodych mężczyzn, druga z dziewcząt złożona. Nie byli to koniecznie sami drużbantowie i drużki, ale wszyscy, którzy pożegnanie panny młodej na pamięć umieli i chcieli śpiewać.

Chór męski... na nutę butną, urywaną, prawie rozkazującą, rozpoczął:

Siadajże, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie,
Nic płakanie nie pomoże:
Stoją konie, stoją wrone,
Już założone !

Jak uciął, umilkli. Po kilku zaś sekundach chór dziewcząt wzbił się smętną, przewlekłą nutą:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem ojcu swemu nie dziękowała,
Dziękuję ci, miły ojcze,
Żem u ciebie chodziła w złocie:
Teraz nie będę !

Mężczyźni huknęli znowu tą samą co pierwej rozkazującą strofą.

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swej matce nie dziękowała.
Dziękuję ci, moja matko,
Żem żyła przy tobie gładko:
Teraz nie będę!

Po trzecim rozkazie siadania odpowiedź brzmiała:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem swemu bratu nie dziękowała.
Dziękuję ci, drogi bracie,
Że mieszkałam w jednej chacie,
Teraz nie będę!...

Po czym nagle huknęli znowu:

Siadajże, siadaj, moje kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie,
Nic płakanie nie pomoże,
Stoją konie, stoją wrone.
Już założone!

A dziewczęta odpowiedziały:

Jeszcze nie będę siadała,
Jeszczem stołom, ławom nie dziękowała.
Dziękuję wam, stoły ławy,
Żeście były zawsze białe,
Teraz nie będziecie!
Dziękuję wam, rodzone progi,
Że chodziły po was moje nogi,
Teraz nie będą!...

..Na drodze, dokoła wyciągniętych szeregiem bryczek i wozów, podniosła się wrzawa pożegnań, pocałunków, zaprosin, przywoływań, nawet sprzeczek. Nie tak to łatwo było wszystkich w porę i w należytym porządku usadowić. Muzykanci kłopotu nie sprawiali; pierwsi umieścili się na przodującym wozie i smyczki wysoko wznieśli, aby je w czas a ostro na struny znów spuścić... Kazimierz Jaśmont na cały głos zakomenderował:

— Muzykanci, rznijcie! Jazda, panowie!

Na przodzie orszaku smyczki dotąd w powietrzu sterczące na strun opadły; z dźwiękami skrzypiec i basetli, wygrywających marsza, zmiesza się turkot kół i tętent koni. Bryczki jedna za drugą skręcały na drog przerzynającą pole, a od każdej, niby rozwiewne skrzydło, leciał w jedn stronę złotawy tuman kurzu...

Zachodzące słońce bladym blaskiem spłowiały kobierzec ziemi ozło ciło i wyrastającym zeń drzewom wróciło chwilową świeżość; niebo roił się na tle błękitnym mnóstwem białych smug i różnobarwnych obłoków

E. Orzeszkowa
(Nad Niemnem)

WESELE BORYNY

I

DO KOŚCIOŁA

Niedzielny to był dzień i chociaż dzwony jeszcze nie przedzwaniały do kościoła, a już we wsi wrzało kieby w ulu. Z pół wsi szykowało się na wesele Borynowe z Jagną.

Między chałupami, przez oszroniałe sady biegały dziewczyny z pękami wstążek, a wełniakami, i stroikami różnymi... A w chałupie Dominikowej uczynił się gwałt i zamieszanie, jak to zwyczajnie w dzień taki!

Dom był świeżo obielony, choć nieco oblazł z wapna na wilgoci, a widniał już z daleka, bo i umajony był jak na Świątki... A i wewnątrz wyporządzone było galanto... Dominikowa tęgo się zwijała — pilnowała warzy, uprzątała i na wszystko oko miała, a często naganiała chłopaków, bo się ociągali, a co któren ino mógł, to się z chałupy wyrywał na wieś do wójta, bo już tam byli muzykanci i zbierali się drużbowie...

A zaraz po obiedzie jęli się zjeżdżać ze wsi pobliskich, kto był zaproszon...

Jak tylko przedzwonili na nieszpory, muzyka wywaliła się od wójta na drogę.

Najpierwsze szły skrzypki w parze z fletem, a za nimi warczał bębenek z brzękadłami i basy przystrojone we wstęgi wesoło podrygiwały.

Za muzyką szły oba dziewosłęby i drużbowie — sześciu ich było.

A wszystkie chłopaki młode, dorodne, kiej sosny śmigłe, w pasie

cienkie, w barach rozrosłe, taneczniki zapamiętałe, pyskacze harde, zabijaki sielne, z drogi nieustępliwe — same rodowe, gospodarskie syny.

Walili środkiem drogi, kupą całą, ramię przy ramieniu — aż ziemia dudniła pod nogami, a tak radośni, weselni i przystrojeni pięknie, że ino w słońcu grały pasiaste portki, czerwone spencerki, pęki wstęg u kapeluszów i rozpuszczone na wiatr, kiej skrzydła, kapoty białe...

Muzyka grała polskiego, bo zaś ciągnęli od domu do domu zapraszać weselników. Gdzie im wynosili gorzałki, gdzie zapraszali do wnętrza, gdzie zaś śpiewaniem odpowiedzieli — a wszędy wychodzili przystrojeni ludzie, przystawali do nich i szli dalej społem, i już wszyscy w jeden głos śpiewali pod oknami druchen:

Wychodź, druchenko, wychodź, Kasieńko,
　　Na wesele czas —
Będą tam grały, będą śpiewały
　　Skrzypice i bas —
A kto się nie naje, kto się nie napije,
　　Pójdzie do dom w czas!
Oj, ta dana, dana, oj, ta dana, da!...

...Doprowadzili gości do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego...

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi na roścież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła...

Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli do izby szumno z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze...

Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory, i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druchny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między nimi najśmiglejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksamitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie — że się widziała niby ten obraz, co go naszają na procesjach.

Aż przycichło z nagła, tak poniemieli i dziwowali się ludzie...

Wnet drużbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaj —
Rozgłaszaj, flecie, rozgłaszaj!
A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaj!

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklęknęli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi...

Wysypali się przed dom, ustawili się w porządku należytym i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staje.

Muzyka szła przodem i rznęła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli drużbowie — szła bujno... niby ten kierz kwietny i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią, i furkotały kieby ta tęcza; spódnica biała, rzęsisto zebrana w pasie, gorset z błękitnego jak niebo aksamitu, wyszyty srebrem, koszula o bufiastych rękawach, a pod szyją bujne krezy, obdziergane modrą nicią, a na szyi całe sznury korali i bursztynów aż do pół piersi opadały.

Za nią druchny prowadziły Macieja.

Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi... A za nim dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi.

Na ostatek zaś całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisiało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek, kapot białych — jakoby ten zagon rozkwitłymi kwiatami pokryty, szedł i pod wiatr zwolna się kołysał — a pośpiewywał, bo druchny raz wraz zawodziły cieniuśkimi głosami:

A jadą, jadą, wozy kołaczą —
A moja Jaguś, po tobie płaczą!
Hej!

A da śpiewają, śpiewają sobie —
A da na smutek, Jagusiu, tobie!
Hej!... —

W kościele już Jambroży zapalał świece na ołtarzu... Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały...

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli już ona państwa młodych witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem nuż się ze wszystkmii znowu witać, a obłapiać i do izby zapraszać!

II

WIECZERZA

Przepili i z miejsc się podnieśli, bo już zaczęli szykować do wieczerzy i wszelki sprzęt potrzebny znosić na stoły, i ustawiać... Starsze kobiety zaśpiewały chórem:

A dokoła, drużbeczkowie, dokoła
Zapraszajcie dobrych ludzi do stoła!

A na to, rumor czyniąc ławami, odkrzykli drużbowie:

Adyć my już poprosili — już siedzą.
Dajcie ino co dobrego — to zjedzą!

I zwolna zaczęli za stoły iść, a usadzać się na ławach.

Juści, że na pierwszym miejscu państwo młodzi, a wpodle nich ze stron obu co najpierwsi, po uważaniu, po majątku, po starszeństwie, aż do druchen i dzieci — a ledwie się pomieścili, choć stoły ustawili wzdłuż trzech ścian.

Tylko drużbowie nie siedli, by posługi czynić, i muzykanci.

Gwar przycichł, organista stojący odmawiał w głos modlitwę — jeno kowal powtarzał za nim, bo pono na łacinie się rozumiał, a potem przepijali po tym kieliszeczku na zdrowie i dobry smak.

Kucharki wraz z drużbami wnosić poczęły dymiące, ogromne donice z jadłem i przyśpiewywały:

Niesiem rosół z ryżem
A w nim kurę z pierzem!

A przy drugiej potrawie:

Opieprzone, słone flaki,
Jedzże siaki taki!

Muzyka zaś zasiadła pod kominem i przygrywała z cicha piosneczki różne, by się smaczniej jadło.

Pojadali też przystojnie, wolno, w milczeniu prawie, bo mało kto rzucił jakie słowo, że ino mlaskanie a skrzybot łyżek zapełniały izbę, a gdy sobie już nieco podjedli i głód pierwszy zasycili, kowal znowu flaszkę puścił w kolejkę, przy czym już i poczynali prawić z cicha i przemawiać do się przez stoły...

Kucharki znowu zaśpiewały:

Niesiem miskę tłustej jagły,
By se chudzielce podjadły!...

Podali na ostatku, dla wybranych, krupnik, miodem i korzeniami zaprawiony, a reszcie szczodrze stawiali tęgą okowitę i piwo... W izbie wrzało już i kotłowało się coraz bardziej, gdy Ewka z Jagustynką weszły, niosąc przed sobą z wielką paradą przystrojoną warząchew. — Muzykant który szedł za nimi, przegrywał na skrzypcach, a one śpiewały:

Da powoli, powoli —
Da od stołów wstawajcie!
Po trzy grosze za potrawę,
Po dziesiątku za przyprawę, —
Da kuchareczkom dajcie!

Naród był syty, podochocony i zmiękły dobrym jadłem i napitkiem częstym, to niektórzy i srebrne pieniądze rzucali na warząchew.

III
OCZEPINY

Jagnę wprowadziły kobiety do komory. Boryna na przyzbie z Dominikową siedział, a co starsi zalegli ławy i kąty i poredzali, że ino na izbie dziewczyny ostały i prześmiewały się pomiędzy sobą, ale że im się to zmierziło rychło, zarządziły zabawę w gry różne, by prędzej chłopaków rozruszać... Z dobrą godzinę trwała zabawa, gdy starszy drużba dał znak, by przycichli.

Kobiety wyprowadzały z komory Jagusię, nakrytą białą płachtą, i usadziły ją w pośrodku na dzieży pokrytej pierzyną — druchny porwały się

niby to ją odbić, ale starsze i chłopi bronili, więc się zbiły naprzeciw i smutno, jakby z płakaniem w głosach zaśpiewały:

A już ci to, już!
Po wianeczku tuż.
Kornet wity, czepiec szyty,
To la ciebie przyzwoity;
To na główkę włóż!...

Odsłonili ją wtedy.

Czepiec już miała na zwiniętych, grubych warkoczach, ale jeszcze urodniejsza wydała się w tym przebraniu, bo i roześmiana była, wesoła i jarzącymi oczyma wodziła po wszystkich.

Muzyka zagrała wolno i cały naród zebrany, starzy i młodzi, dzieci nawet, zaśpiewali „chmiela" jednym, ogromnym głosem radości. A po prześpiewaniu same ino gospodynie brały ją do tańca...

Muzykanci rznęli ze wszystkiej mocy i naród w tany szedł; zadudniało z nagła, jakby sto cepów biło w boisko, i nierozplątana gęstwa zaroiła się w izbie... Przeszedł pacierz i dwa, a oni cięgiem tańczyli bez wytchnienia, bez przestanku; podłoga dudniła, ściany się trzęsły i izba wrzała hukiem, a ochota jeszcze rosła jak te wody po ulewie, to ino kotłowało się i przewalało po izbie.

A gdy skończyli, odprawować poczęli obrządki różne, jak to jest zwyczajnie przy oczepinach. Najpierw Jagusia musiała wkupywać się do gospodyń!

A potem, jednym cięgiem odprawiali drugie ceremonie, aż parobcy uczynili długie powrósło z nieomłóconej pszenicy i opasali nim wielgachne koło, które druchny pilnie trzymały i strzegły, a Jagusia stojała w pośrodku: chciał z nią któren tańcować, podchodzić musiał, wyrywać przez moc i hulać w kole, nie bacząc, że go ta i prażyły długimi powrósłami... Zaś na dokończenie, młynarzowa i Wachnikowa zaczęły zbierać na czepiec.

Więcej niźli trzysta złotych zebrali.

Sielny karwas grosza, ale mucha to la Dominikowej, nie stojała ona o darmochy, bo swojego miała dosyć, jeno że dla Jagusi tak się ochotnie szkodowali, to ją całkiem rozebrało, że rzewliwego płakania wstrzymać nie mogła; krzyknęła na chłopaków, by podawali gorzałkę, a sama jęła częstować, przepijać i przez te łzy, co jej ciekły, kumy i kumów całowała... Jaguś znowu dziękowała od siebie za dobrość i co starszych podejmowała za kolana!...

IV

TANIEC

...Z nagła huknęli w instrumenty obertasa, że mróz przeszedł kości, a Boryna do Jagny skoczył, przygarnął ją krzepko i z miejsca rymnął takiego oberka, aż dyle zaskowyczały, a on wiał po izbie, zawracał, podkówkami trzaskał, a przyklękaniem z nagła zawijał, to trząchający, po izbie się nosił szeroko od ściany do ściany, to przed muzyką piosneczki śpiewał, że mu po muzycku odkrzykali, i dalej hulał siarczyście, i tan wiódł zapamiętale, bo za nim drugie pary jęły się z kup wyrywać i przytupywać, śpiewać, tańcować i co ten największy pęd brać, że jakby sto wrzecion, pełnych różnobarwnej wełny, wiło się po izbie z furkotem i okręcało tak szybko, że już żadne oko nie rozeznało, gdzie chłop, gdzie kobieta; nic, ino jakby kto tęczę rozsypał i bił w nią wichurą, że grała kolorami, mieniła się i wiła coraz prędzej, wściekiej, zapamiętalej, aż światła chwilami gasły od pędu, noc ogarniała tanecznników, a tylko oknami lała się miesięczna poświata rozpierzchłą, świetlistą smugą...

I tańcowali!

..Owe krakowiaki, drygliwe, baraszkujące, ucinaną, brzękliwą nutą i skokliwymi przyśpiewkami sadzone, jako te pasy nabijane, a pełne śmiechów i swawoli, pełne weselnej gędźby i bujnej, mocnej, zuchowatej młodości...

Hej!

..Owe mazury, długie kiej miedze, rozłożyste jako te grusze Maćkowe, huczne a szerokie niby te równie nieobjęte, przyciężkie a strzeliste, tęskliwe a zuchwałe, posuwiste a groźne, godne a zabijackie i nieustępliwe, jako te chłopy, co zwarci w kupę, niby w ten bór wyniosły, runęli w tan z pokrzykami i mocą taką, że choćby w stu na tysiące iść, że choćby świat cały porwać, sprać, stratować, w drzazgi rozbić i na obcasach roznieść, i samym przepaść a jeszcze tam i po śmierci tańcować, hołubce bić i ostro po mazursku pokrzykiwać: „da dana!"

...Owe obertasy, krótkie, rwane, zawrotne, wściekłe, oszalałe, zawadiackie a rzewliwe, siarczyste a zadumane i żalną nutą przeplecione, warem krwie ognistej tętniące a dobrości pełne i kochania, jako chmura gradowa z nagła spadające, a pełne głosów serdecznych, pełne modrych patrzań, wiośnianych tchnień, woniejących poszumów, okwietnych sadów;

jako te pola o wiośnie rozśpiewane, że i łza przez śmiechy płynie, i serce śpiewa radością, i dusza tęskliwie rwie się za te rozłogi szerokie, za te lasy dalekie, we świat wszystek idzie marząca i „oj da dana!...” przyśpiewuje.

Takie to tany nieopowiedziane szły za tanami... Godziny biegły za godzinami i przepadały niepamiętliwie we wrzawie, w krzykach, w radości szumnej, w tanecznym zapamiętaniu, że ani się spostrzegli, jako się już przecierało na wschodzie, i przedświtowe brzaski ściekały zwolna i rozbielały noc. Gwiazdy pobladły, księżyc zaszedł i wiatr wstawał od lasów, i przeciągał, jakby rozdmuchując rzednące ciemności; oknami naglądały kudłate, poskręcane drzewa i coraz niżej chyliły oszroniałe i senne łby, a dom wciąż śpiewał i tańcował...

Wywarli drzwi na roścież, wywarli okna, a dom buchał wrzawą, światłami, dygotał, trząsł się, trzeszczał, pojękiwał i coraz mocniej hulał, że się już zdawało, jako te drzewa i ludzie, ziemia i gwiazdy, i te płoty, i ten dom stary, i wszystko ujęło się w bary, zwiło w kłąb, splątało i pijane, oślepłe, na nic niepomne, oszalałe, taczało się od ściany do ściany, z izby do sieni, z sieni na drogę płynęło, z drogi na pola ogromne, na bory, we świat cały wirem tanecznym szło, toczyło się, kołowało i nieprzerwanym, migotliwym łańcuchem w brzaskach zórz wschodzących przepadało.

Muzyka to ich wiedła, to granie, te piosneczki!...

Basy pohukiwały do taktu i buczały drygający niby bąki, a flet wiódł wtór i pogwizdywał wesoło, świergotał, figle czynił jakby na sprzeciw bębenkowi, któren, ucieszny, wyskakiwał, brzękadłami wrzaskliwość niecił... a skrzypice wiedły, szły na przedzie, niby ta najlepsza tanecznica, śpiewały zrazu mocno a górnie, jakby głosu próbowały, a potem jęły zawodzić szeroko, przenikliwie... aż zakręciły w miejscu i spadły z nagła, nutą krótką, migotliwą, ostrą, jakby sto par trzasnęło hołupcami, i sto chłopa zakrzykło z pełnej piersi, aż dech zapierało, i dreszcz szedł po skórze, i wnet jęły kołować, pośpiewywać, zawracać, drobić, przeskakiwać a śmiać się i weselić, że ciepło do serca szło i ochota do łbów biła kiej gorzałka. To znowu śpiewały tą nutą ciągliwą, żałosną i płakaniem kiej rosą osutą; tą nutą naszą, kochaną, serdeczną, pijaną mocą wielką i kochaniem i wiedły w tan ostry, zapamiętały, mazowiecki.

Wł. St. Reymont
(Chłopi)

JESIEŃ W TATRACH

Zrudziały i zżółkły upłazy; czerwieniły się porosłe suchymi trawami wirchy; regle pokryły się czerwonymi liśćmi buków, wszytych w ciemną gęstwę smreczyny; jesień ciągnęła w hale, wyganiając pasterzy do dziedzin. Redykały [1]) też drogami beczące kierdele [2]) owcze i stada krów, gazdowie odbierali od baców swój statek, poznając go po gębie albo po umyślnych znakach. Zabrano się do strzyży.

Jesień jednak była niezwykle pogodna, i owce wygnano jeszcze raz na paszę, na jesieniowisko. Dzień był szary, ale pierzaste chmury stały wysoko w niebie, nie dotykając nawet najwyższych wirchów.

Łożem potoku, który wsiąkł kędyś w ziemię, płynął ciemnymi, ukrytymi drogami, aż nagle wypadał ze zbocza góry wielkim wywierzyskiem, szliśmy przez las gęsty i stromo wznoszący się w górę. Bezładne kamienie piętrzyły się coraz wyżej aż do równego dna doliny, okolonej wysokimi, połogimi wirchami, rudymi od traw zwiędłych, zasypanymi gruzem skał odrywających się od szczytowych turni i zlatujących na dół, między pnie i pogruchotane wykroty.

Ogromna polana, otoczona skalnym, usypanym ze skał wałem, roztaczała się szeroko, zwiędła i ruda, wśród amfiteatru pustych, wysoko na niebie zachodzących przestrzeni.

Czarne szałasy stały pustkami; rozwarte drzwi pokazywały puste, ciemne wnętrza. Wiatr zrywał się chwilami i szalał w dolinie, leciał w górę, podginał gałęzie świerków i cichnął.

Daleko u stóp góry widać było owce rozsypane jak małe robaczki na rudych trawskach.

Polanę w górnym końcu otaczały pagórki, jakby stopnie, przystawione do wielkich wirchów; kosodrzewina rosła tam, obwieszona pękami szyszek, stały skarłowaciałe pnie świerków, a małe płytkie stawki, zarosłe trawą, zasypane piargiem, szarzały odbitym w wodzie niebem wśród grubych mszarników.

Juhas czarny, z zapadłym nosem, w pasie, z torbą pasiatą, w czarnej koszuli, stał oparty o kamień, mało się różniąc od otoczenia traw zwiędłych i ciemnych porostów; świeciły tylko na nim sprzączki pasa, wielka, mosiężna spinka na piersiach i białka wyłupiastych oczu.

---

[1]) Szły, biegły.

[2]) Stada.

Owce, ostrzyżone, smukłe i zgrabne, pasły się wszystkie zwrócone nosami w jedną stronę i ciągle idąc naprzód. Pięć kóz brodatych włóczyło po trawach sierść długą i wielkie wymiona — one to karmią juhasa na jesieniowisku, gdy owce się już nie doją.

Był to ostatni kierdel i ostatni juhas w halach. Pasł tam samotny, aż go wygnały kurniawy śnieżne.

Góry ukryły się w chmurach, szalały wichry halne, doliną deszcz romolił[1]). Po kilku dniach ponad mgły siwe wyjrzały wysokie, rozłożyste obielone śniegiem wirchy i szare od okiści i szronu lasy.

W górach nie było już nikogo; cisza zapanowała na halach i w opuszczonych szałasach, tylko niedźwiedź przychodził na szałasiska i pasł się, zrywając pyskiem spod śniegu tłustą i smaczną trawę.

Owczarze wrócili do chat, owce i krowy pasły się dokoła obór albo żuły siano po szopach; jagnięta i cielaki karmiły się w izbach z dziećmi. Hale zapadły w sen zimowy.

St. Witkiewicz
(Na przełęczy)

KIERMASZ

Panowie i szlachta odwiedzali się, kiedy ich do odwiedzin wzięła ochota, chłop odwiedzał chłopa w dnie świąteczne, mianowicie też w dnie kiermaszu. Wtedy gospodarz był rad gościowi wykwintnymi potrawami, a do takich liczono miłosierdzie (mizerię) z octem tudzież wątrobę z czarną juchą (sosem), pieprzem dobrze zaprawioną. Gospodyni mianowicie, jeżeli dziewką będąc, sługiwała po dworach i nasłuchała się pomiędzy dworską czeladzią wiele melodyjek, prześpiewywała gościowi rozliczne piosenki, ubrawszy się w strój świąteczny. Zajadała sama dobrze, dobry przykład gościowi dając. Uraczywszy jadłem kmosia[2]), zaproszono go do karczmy, gdzie przyjaciel, częstując przyjaciela, zapijał zarówno z nim i z żoną. Na takowe przyjęcie gościa przysposabiał się gospodarz, sprzedawszy na kiermaszu zboża, ile mógł, kazawszy obić (omłócić) dwie kopie (kopy) jarego żyta, owsa kopę i grochu, ze dwie kście (snopki), i on bowiem trzymał się tej zasady, że cała rozkosz człowiekowi tyle, co zażyje.

W. Al. Maciejowski
(Polska i Ruś aż do pierwszej połowy w. XVII)

---

[1]) Padał, zacinał.

[2]) Kum, kumotr.

NA JARMARKU

...Jeszcze przed świtaniem, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark...

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Na topolowej drodze za kościołem i hen, aż do lasów, widny był łańcuch wozów, toczących się wolno, krok za krokiem, taka ciżba była a bokami po obu stronach ino się mieniło od czerwonych wełniaków i białych kapot chłopskich.

Tyla narodu szło, jakby cała wieś wychodziła... Kto co kupić, kto sprzedać, a jensi byle jarmarku użyć.

Któren wiódł na postronku krowinę albo i ciołaka, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętami, co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było cięgiem oganiać i stróżować, by pod wozy nie wpadły; jenszy człapał na szkapie, drugie oganiały wystrzyżone barany, gdzieniegdzie zaś bieliło się stadko gęsi z podwiązanymi skrzydłami, to grzebieniaste koguty wyzierały spod zapasek kobiecych... I szli tak całą drogę, że choć szeroka była, a pomieścić się trudno wszystkim było, że jaki taki schodził na pole w bruzdy...

..Jarmark był sielny, i choć to jeszcze dość rano, a narodu już się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza zawalone były ludźmi, wozami i towarem różnym... Gwar już był znaczny, a wzmagał się z każdą chwilą; głucha wrzawa huczała niby bór, kiej morze się kolebała, biła o ciany domów i przewalała z końca w koniec, że tylko niekiedy słychać było ryki krów, to granie katarynki przy karuzeli, to płaczliwe lamentacje dziadów albo ostre przenikające piszczałki koszykarzy..

..Narodu skupiło się tyla, że i przejść było niełatwo... taki gąszcz się czynił między kramami.

Było też tego, było, że ani przeliczyć, ni objąć, gdzieby zaś tam kto poradził!

A najpierw te płócienne, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym — a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach, i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zasię całkiem żółte się widziały, a insze buraczkowe — i kto je tam wszystkie spamięta...

A potem znów szły kramy, co się aż lśniły od paciorków, lusterek,

szychów, a wstążek, a kryzków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie, czego jeszcze.

Gdzie znów święte obrazy sprzedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć stały pod ścianami albo i zgoła na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego...

Gdzie czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny, zawieszone od góry do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których szczepione za uszy, wisiały szeregi butów i takich zwyczajnych... i takich już pod glanc przygotowanych, i ciżem kobiecych z czerwonymi sznurowadłami a na wysokich obcasach.

A za nimi ciągnęły się rymarze z chomontami na kołkach i uprzężą rozwieszoną.

A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali.

I ci, co z sitami po świecie chodzili...

A kołodzieje, a garbarze!

Gdzie znowu krawce i kożuszarze rozwiesili swoje towary, od których bił taki zapach, aże w nozdrzach wierciło...

A potem całe rzędy stołów nakrytych płóciennymi daszkami, a na nich zwoje kiełbas czerwonych i grubych kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, połcie słoniny, szynki spiętrzały się na kupach, a gdzie znów na hakach wisiały całe wieprzki wypaproszone i broczące jeszcze posoką, że trza było odganiać piesków, co się cisnęły.

A wpodle rzeźników, jako te braty rodzone, stali piekarze i na podesłanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w koszach, i gdzie się dało leżały góry bochnów wielkich jak koła, placków żółtych, bułek, kukiełek.

Gdzie zaś i kto przeliczy, i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali?

Były z zabawkami i takie z piernikami, gdzie z ciasta lepione były zwierze różne, a serca, a żołnierze i cudaki takie, że i nie rozeznać bele komu; były takie, gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historie o zbójach i srogich Magielonach przedawali, i lementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki i gliniane kuraski, i jensze muzyckie rzeczy — w które juchy żółtki la zachęty grali, że taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było — bo ci tu kurasek piszczy, tam trąbka potrębuje, gdzie z piszczałek przebieraną nutę wyciągają, tam ci znowu skrzypki piskają, a ówdzie bęben pobekuje stękający — jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś w pośrodku Rynku dookoła drzew rozciągali się bednarze, blacha rze i garncarze; porozstawiali tyle misek i garnków, że ledwie przejść możn było, a za nimi stolarze; łóżka i skrzynie malowane i szafy, i półki, i sto ły, aże grały tymi farbami, że oczy trza było mrużyć.

A wszędy, na wozach, pod ścianami wzdłuż rynsztoków, gdzie ino miejsce było, rozsiadły się kobiety sprzedające; która cebule w wiankach albo i we workach, która z płótnami swojej roboty i wełniakami, która z jaj kami a serkami, a grzybami, a masłem w osełkach, poobwijanych w szmat ki ; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kurę, to len pięknie wyczesany albo i motki przędzy miała, a każda siedziała przy swoim, i poredzały se godnie, jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa, a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorącości — po gospodarsku, nie tak, jako te Żydy, co wykrzykują, handryczą i ciskają się kiej głupie...

I dziadów zlazło się ze wszystkich stron co niemiara; ślepych, kulawych, niemych i zgoła bez rąk i nóg tyla, jak na odpuście jakim; wygrywali na skrzypicach pieśni pobożne, drugie śpiewali pobrzękując w miseczki, a wszystkie spod wozów, spod ścian i prosto z błocka żebrali lękliwie i wypraszali sobie ten grosik jakiś albo jensze wspomożenie.

Wł.St. Reymont
(Chłopi)

PRZESĄDY I OBYCZAJE SIEWNE

Siew ozimy dobrze jest rozpoczynać przed M. Boską Siewną. W wigilię święta tego każdy chłop winien wysiać choćby garść ziarna, choćby na niezoranej roli, aby się zboże darzyło.

Chcąc sobie zapewnić obfity urodzaj ozimego żyta, trzeba w dzień św. Jana Chrzciciela rzucić na wybrany szmat roli kilka ziarnek na krzyż, a potem uklęknąwszy, odmówić „Anioł Pański".

Najlepiej siać na pełni księżycowej i zboże sypać z płachty, która leżała na stole pod święconym na Wielkanoc. Dla obfitszego zaś plonu należy pokropić ziarno wodą święconą w Trzy Króle lub w dzień M. B. Zielnej.

Złe uroki, które mógłby rzucić ktoś niechętny, odpędza miotła. Zatyka się ją przy siewie w ziemię ze słowami:

Miotła ! będziesz kluski gniotła !

Często rozpoczyna się siew ziarnem, wykruszonym z wieńca dożynkowego. Dobrze jest mówić przy tym: „Panie Boże, zródź i dla Żydów, i dla Cyganów, i dla biednych ludzi, co nic nie mają".

Polecenie przyszłego urodzaju opiece Bożej jest zwykłym obyczajem. Nawet tam, gdzie siew ręczny zastąpiły siewniki, fornal, ruszając na rolę, robi batem w powietrzu znak krzyża świętego.

W niektórych okolicach pierwszą garść rzuca w ziemię właściciel jej lub jego żona. W innych nie powierza się siejby temu, kto sam nie jest gospodarzem. Na Podlasiu zwyczajowym obrzędem jest obsiewanie pana danego majątku, ze słowami:

Obsiewam pana nie srebrem, nie złotem,
Tylko darem Bożym.
Życzę panu długiego życia,
I kłosy pod niebiosy,
Słomy do poszycia.

M. D

SIEW OZIMINY

Ledwie żniwo się skończyło, już i o zasiewach myśleć potrzeba. Tradycja rolnicza, z doświadczenia wieków wysnuta, zalecała w klimacie polskim siew wczesny. Każdy więc dobry gospodarz musiał w wigilię św. Bartłomieja siew zacząć, choć kilku garncami ziarna. Zagon tam, gdzie siew był rozpoczęty, potrząsano słomą, żeby nie tylko w ziarno, ale i w słomę przyszłoroczny plon był obfity. Pobożniejsi ze słomy tej na początku zagona krzyż układali, przyciskając go w pośrodku kamieniami. Kto się w wigilię św. Bartłomieja urodził, o tym mówiono, że będzie dobrym gospodarzem lub dobrą gospodynią. Do siewów jesiennych odnosiły się następujące przysłowia staropolskie:

Gdy w święty Idzi pogoda,
Wielka dla siejby wygoda.

Czas około Narodzenia Matki Boskiej uważano za najlepszy do siewu oziminy ani za wczesny, ani za późny. I dlatego powtarzano sobie starą przestrogę:

Gdy o Matce Boskiej bywa siano,
To ani późno, ani za rano.

Doświadczeni gospodarze zalecali:

Przed Bogarodzicą
Siej żyto przed pszenicą,
A po Bogarodzicy
Chyć się do pszenicy.

Mamy znowu z roku 1681 zapisane przysłowie, że jaki dzień Narodzin Najśw. Panny Siewnej, takich potem dni czterdzieści. Zwykle bowiem około tego czasu ustalała się owa piękna polska jesień i pogoda trwała kilka tygodni, kończąc się babim latem.

Gospodarze pocieszali się, gdy dzień św. Michała był ciepły i dozwalał się krzewić młodej oziminie:

Grzmot na świętego Michała;
Żywność przyszła, Bogu chwała.

Siew oziminy powinien być skończony we wrześniu. Gdy go kto przeciągał w późną jesień do św. Urbana lub tylko do św. Gawła, mówiono:

Urbanów owies, Gawłowe żytko,
Kata warte wszytko (lub diabli wzięli wszystko).

Prace w polu zakończono, więc były i przysłowia odpowiednie do tego:

Na święty Francisz, czego się w polu, chłopie, kręcisz?
Na św. Łuka — schowaj pług i włóka.
— Święty Łukasz, czego w polu szukasz?
— Szukam rzepy. — Alboś to ślepy?

Po św. Franciszku pasano na bujnych runiach oziminy, jak wskazuje to stare przysłowie:

Po świętym Franciszku pasą bydło na żytnisku.

Z *Gloger*
(Rok polski)

JESIENNA PRACA

Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach, rozlegał się grochot zsypywanych do wozów kartofli, miejscami orano jeszcze pod siew, stada krów srokatych pasły się na ugorach, długie popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących, to gęsi, niby płaty śniegów, bieliły się na wytartych, zrudziałych łąkach, krowa gdzieś zaryczała, ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami. Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie, to cisza znów obejmowała ziemię na chwilę, że słychać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych. To znów śpiewka się zerwała lub krzyk, nie wiadomo skąd powstały, leciał nisko, tłukł się po bruzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych, sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach. To włóczono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze, i opadał, a spod niego, niby z obłoku, wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą. Szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi. Dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i zwolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca, z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył, kolistym witem padało na ziemię.

Wł. St. Reymont
(Chłopi)

PRZĘDZA MATKI BOSKIEJ

Gdy chłodna jesień, poprzedniczka zimy, rdzawić zaczyna swoim tchnieniem kwiaty i zwiędłe liście już z gałęzi strąca, Najświętsza Panna przez nadziemskie światy płynie w obłokach blaskiem promieniąca.

I wonczas niebu znów przybywa krasy: zda się, że słonko w letnią kolej wraca, spłowiałe łąki, poczerniałe lasy swoim spojrzeniem czarownym wyzłaca.

Królowa Niebios płynie, jako prządka i zamiast berła prostą kądziel trzyma. Zanim z obłoków spadnie biała zima, Ona, jak macierz dbała o dzieciątka, idzie policzyć duszyczki niebogi, co się pod raju ogrodzeniem

tulą i upatrują smutne jakiej drogi, aby do niego wcisnąć się ukradkiem i choć najlichszym wyrosnąć tam kwiatkiem.

Wstępu im bowiem do raju nie dają, jeśli pomarły nieochrzczone jeszcze, i pierworodny grzech je dotąd plami; więc za rajskimi kulą się wrotami i drżące z zimna wyczekują łaski.

Dla nich to Maria, Pani litościwa, cienką nić przędzie, a z tego przędziwa anioły potem tkają giezła miękkie i rozwierzają one na błękicie niby na polu płótna bieluteńkie, by zmarłe dziatki miały z nich okrycie.

Także sierotkom nagim, opuszczonym Mateńka Boża swej pracy nie skąpi i w dnie jesienne na obłokach przędzie.

Więc drżącym dziatkom w zimie ciepło będzie.

Błogosławionaś Ty, Niebios Panienko, Pani litosna i litości wzorze! Gdy przez niebieskie przepływasz przestworze, by pracowicie snuć swą nitkę cienką, i widzisz z góry, z tronu obłocznego, że tu na ziemi serca niepamiętne na ludzką nędzę patrzą obojętne — Ty, Miłosierna, znieść nie możesz tego; zrywasz garść przędzy i rzucasz ją na dół, jak upomnienie swe na ziemski padół, a wiatr ją nosi w powietrzu i snuje, przed oczy ludzi zwija i rozwija, i zda się splatać w tajemnicze zgłoski: „Otom ja przędza samej Matki Boskiej! Dla biednych sierot snuję się z kądzieli: pomnijcie ludzie, byście litość mieli i tu sierotkom nie szczędzili serca!"

I cienka nitka zza ziemskiego świata, co tam od nieba aż do ziemi sięga, około ludzi sama się oplata i z sobą serca miłosierne sprzęga, a że ją Matka Boska miała w ręce, więc jak talizman szczęścia z niebios spływa: kogo się czepi choć cząstka przędziwa, ten polecony Najświętszej Panience, w dniu onym z ducha pogodniejszym bywa; takiemu jedna choć chwila szczęśliwa zdarzyć się musi w ciągu doby całej.

Gdy babie lato uśmiechnie się światu, zaraz się jaśniej człowiekowi robi i wśród jesieni ma wiosenne złudy: zanim zimowe osypią go grudy, raz jeszcze w słońcu rzeźwiejszy się czuje.

A tylko pająk swym jadem się truje i patrzy w górę z zawiścią ukrytą, bo jego Pan Bóg skazał za zuchwałość, że taki mały miał tak wielką śmiałość Panience Świętej sprzeciwiać się kiedyś i z grzeszną dumą śmiał rozgłaszać wszędzie, że on od Marii Panny cieniej przędzie.

Za brzydką zawiść i za czelną pychę odtąd prowadzić musi życie liche, kryć się po kątach, mieszkać po ruinach i prząść swą siatkę z marnego przędziwa, którą podmuchem lada wiatr rozrywa...

M. Gawalewicz
(Królowa Niebios)

O OBRZĘDACH POGRZEBOWYCH

Lud nasz wierzy w to, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę, która gaśnie z chwilą jego śmierci. Śmierć ta i pogrzeb otoczone zwykle bywają całym szeregiem obrzędów, które mają chronić pozostałych przy życiu od złych wpływów zmarłego, a jednocześnie nieboszczykowi ułatwić drogę na tamten świat.

Oczy przymyka się zmarłemu, gdyż mogłyby one rzucić zły urok na otoczenie. Przerywa się też wiele robót domowych, gdyż i te nie darzyłyby się, wobec zwłok w chacie.

Obecność tych zwłok sprowadza psucie się jedzenia i wody. Więc lepiej, póki martwe ciało jest pod dachem, nie gotować i wody nie nanosić. Należy w chwili śmierci kogoś z rodziny budzić tych, co śpią, żeby też nie pomarli.

Po ubraniu nieboszczyka składa się ciało jego do trumny i dodaje mu się nieraz rzeczy najpotrzebniejsze za życia, by po śmierci nie wrócił i nie upominał się o nie. Przy zwłokach musi płonąć światło, gdyż ono odpędza złe duchy.

Dla duszy, która jeszcze przez czas pewien błądzi po ziemi, zostawia się nieco jadła i napoju. To prowadzi również do częstowania jadłem tych, co czuwają przy zwłokach i na koniec do ogólnej uczty wszystkich uczestników pogrzebu — uczty, zwanej stypą.

Za przestarych czasów słowiańskich było we zwyczaju głośne opłakiwania zmarłego. Dziś jako szczątek tego zwyczaju pozostało w niektórych okolicach hałaśliwe zawodzenie najbliższej rodziny nieboszczyka, szczególniej kobiet. W innych miejscowościach płacz głośny bywa uważany za coś, co może odeszłą duszę zbytnio niepokoić.

Trumnę wynosi się tak, by nie głową, lecz nogami naprzód wyprowadzić zmarłego z chaty. Trzykrotne uderzenie trumny o próg oznacza ostateczne pożegnanie.

Kto pogrzeb na swej drodze spotyka, winien przystanąć. Kto podczas przejścia konduktu jest przy pracy lub przy jedzeniu — winien przerwać i jedno, i drugie.

A gdy już padną grudki ziemi na trumnę, gdy mogiła się nad nią wzniesie, a na tej mogile kwiecie wyrośnie wiosną — nie należy rwać tego kwiecia, bo to by mogło przynieść nieszczęście.

Świętem, poświęconym pamięci zmarłych, jest Dzień Zaduszny, w którym tysiącami świateł płoną cmentarze. Niegdyś w dniu tym noszono

na groby pokarmy, by nieboszczykom dostarczyć pożywienia. Obyczaj ten ustał pod wpływem zakazów duchowieństwa. Jego pozostałością szczątkową było rozdawanie w Dniu Zadusznym jadła licznym rzeszom żebraków, którzy się zbierają w obrębie ogrodzenia cmentarnego. Aczkolwiek Zaduszki nie są świętem kościelnym, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, jednak lud nasz wystrzega się w dniu tym pracy około lnu i przędziwa, by „duszyczkom nie zaprószyły się oczy".

Z Dniem Zadusznym związane jest następujące przysłowie:

Wszyscy Święci — śnieg się kręci,
A w Zaduszki — pada deszcz jak ze strużki.

M. D.

ZADUSZKI

U wszystkich ludów były zawsze pewne dnie w roku, poświęcone na cześć umarłych. Szczególniej zaś pod tym względem odznaczały się narody północne. Lud w Litwie do dziś dnia choć po kryjomu obchodzi Zaduszki, uroczystość, ubarwioną częstokroć niepoliczonymi zabobonami.

Niemniej są pod tym względem skłonni do podobnych obrządków mieszkańcy nie tylko w Rusi na pograniczu, ale nawet ponad brzegami Wisły, łacińskiego wyznania. W wigilię Dnia Zadusznego każda gospodyni domu piecze pierogi, bułki pszenne, a uboższe placki, które wieczorem łamią, rozdają domownikom do jedzenia, poprzedzając, na zawołanie gospodarza, pacierzem za dusze zmarłych. Po spożyciu tych pokarmów skrzętnie zbierają szczątki i chowają je wraz z zostawionymi bochenkami dla dziadów i różnych ubogich, którym nazajutrz albo chodzącym po wsi, albo siedzącym pod kościołem, jako upominek za zmarłych, oddają. Wnoszą oni, że następnej nocy, to jest pomiędzy wigilią a Dniem Zadusznym, dusze w czyściu będące i ratunku potrzebujące patrzą na ich serca, na chęć modlitwy i na ofiary, i że wtenczas mają wolność wychodzenia i bawienia przez czas niejaki w tych progach, w których przebywały za życia. Niepoliczone opowiadają przykłady o zjawieniach się podówczas dusz nieboszczyków i o ich wybawieniach przez jałmużnę dla dziadów, przez wypominki kapłana w czasie żałobnego nabożeństwa i przez różne pobożne ofiary.

K. Wł. Wójcicki
(Archiwum domowe)

PIEŚNI ŚPIEWANE PO POGRZEBIE PODCZAS POCZĘSTUNKU W KARCZMIE

I

Oj, umarł Maciek, umarł,
Już się nic nie rusza.
Po kacie to taka sprawa,
Wyszła z Maćka dusza.

Oj, a wieząć go, wiezą
Przez sam środek wioski,
Oj, schodzą się do niego
Z całej wsi kumoszki.

Oj, wieząć go, wiezą
W marmurowej trumnie.
Oj, a wychodzi arendarz:
„Wróć się, Maćku, do mnie!"

II

Umarł, Maciek, umarł, już ci go nie staje
Odpuść jemu grzechy, Miłościwy Panie,
Boć to człek był grzeczny,
Szkoda, że nie wieczny.

Umiał nas ucieszyć, umiał pięknie śpiewać,
Lubiał często także w karczmie przesiadywać.
Piwa często kupił,
Każdy się z nas upił.

Sprawiał nam ochoty i skrzypiec najmował,
Czasem do białego dnia z nami tańcował.
Aż nam wspomnieć miło,
Jak to z Maćkiem było.

Już teraz do karczmy nie ma po co śpieszyć,
Maciek już nie przyjdzie — kto nas będzie cieszyć.
Już nam nie zaśpiewa,
Już nie kupi piwa.

A w cóż się obróci karczma jegomości,
Że w niej już nie będzie tyle razy gości!
Któż piwo wypije,
Gdy Maciek nie żyje?

Już teraz nie będzie takiego odbytu,
Jak przedtem bywało do samego świtu.
Z Maćkiem się pijało,
Póki piwa stało.

Teraz karczmarz piwem nie będzie szynkował,
Kiedy Maciek umarł, któż będzie targował.
Karczmę chcą porzucić,
Do roli się wrócić.

Oto pożałujmy wszyscy, mili bracia,
Karczmarz i z karczmarką, i panowie swacia:
Już wszystko ustało,
Gdy Maćka nie stało.

Żegota Pauli
(Pieśni ludu wiejskiego w Galicji)

WIGILIA ŚWIĘTEJ KATARZYNY I ŚWIĘTEGO ANDRZEJA

Są dni do wróżby przeznaczone u ludu naszego, to jest wigilia św. Andrzeja i św. Katarzyny; w pierwszym dziewczęta mogą się dowiedzieć, kogo będą miały za męża, w drugim młodzianie, jaką żonę dostaną...

W Polsce tak u mieszczan, jak u szlachty i kmieci ustawiają dwa zwierciadła naprzeciw siebie a między tymi dwie świece. Wpatrująca się, w chęci ujrzenia postaci przyszłego męża, musi odliczyć w odbitym świetle zwierciadeł świec 24 i każdej rozróżnić światło. Głębokie milczenie powinno otaczać ją wokoło; wtedy ujrzeć ma w zacieniu stojącą postać narzeczonego.

Znajomych imiona spisują na karteczkach i te pod poduszkę kładą. Przez cały dzień dziewczęta zwykły suszyć, a potem kładą się na podu-

szkach, pod którymi znajdują się popisane kartki. Miane sny w przeddzień św. Andrzeja są pewną wróżbą i dla tej przyczyny stara się każda jak najlepiej spamiętać to wszystko, co się jej śniło. Nadto, kładąc się spać, odmawiają formułę w następujących wyrazach:

Panie Boże, proszę Ciebie,
Niech mi się ten przyśni,
Co mi ma być najmilszy.

Położone kartki z imionami spisanymi pod poduszką po obudzeniu wyjmują, a jakie imię znajduje się na najpierwszej wyciągniętej kartce, z takim imieniem niezawodnie będzie miała męża.

Duńczewski pisze, że od bardzo dawnych czasów panny pilnie uważają, co im się będzie tej nocy śniło, z takowych snów wróżą o przyszłym postanowieniu i pożyciu. Przytoczył wiele przykładów i wierszy wykazujących obraz owych czasów. Wypisujemy tu jeden z nich, zapisany przez pannę stolnikównę, Kunegundę Jasielską:

W wigilię świętego Andrzeja,
Spełniona moja nadzieja,
Bogdaj się to sprawdziło,
Co mi się ongi wyśniło,
Że z rąk ojca dobrodzieja
Zostałam wydana,
Za pana Stefana.
Bo też to galant cacany,
Wąs misternie wymuskany,
Tak ułożona zgrabnie czupryna,
Jakby za szatnego miał Kupidyna.

W łupiny orzecha włoskiego zasadzają rozpalone świeczki, z przylepionymi imionami osób płci obojga i puszczają na wodę; które imiona płyną ku sobie i łupiny się zetkną, to i same osoby pobiorą się niezawodnie...

Na Mazurach, w Lubelskiem i Sandomierskiem dziewczęta używają następnego sposobu dla dowiedzenia się, która pierwej za mąż pójdzie. Każda z nich z osobna piecze placek, który naznacza, ażeby go potem między innymi mogła rozróżnić; takie placki kładą na stołku i puszczają psa mocno wygłodzonego. Który z tych placków pies porwie najpierwej, ta najprędzej pójdzie za mąż. Oprócz placków używają gałek z ciasta lub kości z nóżek cielęcych.

Jako dziewczęta uważają pilnie w przeddzień św. Andrzeja, co si im będzie śniło, tak też podobnie chłopcy w wigilię do świętej Katarzyny, kładąc kamień pod głowę, sny mają za wyrocznię nieomylną w tym względzie...

Jeszcze wspomnę o dwóch zwyczajach w Polsce, od dnia św. Andrzeja przywiązanych.

Od ściany naprzeciwko drzwi panny mierzą trzewikami przestrzeń aż do proga. Pierwszy raz trzewik, nosem ku drzwiom obrócony, znaczy że pójdzie za mąż, drugi raz wykręca się piętą, co znaczy przeciwnie. Co będzie u proga, nosek czy pięta, to przyszłe jej stanowi losy. Tego rodzaju przepowiednie szanowano i u szlacheckich niewiast. Równo też ze świtem młode dziewczęta czy to na wsi, czy w mieście, wychodziły, a kogo spotkały pierwszego, ten miał zostać małżonkiem.

K. Wł. Wójcicki
(Zarysy domowe)

WOSK SIĘ LEJE

Ogień płonie u komina,
Żwawo krząta się dziewczyna...
Północ... Kur już pierwszy pieje...
Czar się zaczął... Wosk się leje...

Już!... A teraz patrz, na ścianie
Jaki cień przed tobą wstanie.
Cienia pytaj się, dziewczyno.
Jaką dolą dni ci spłyną.

. . . .

Wosk się leje... Idą wróżby...
Wianek z mirtu... drużki... drużby...
Cuda prawią cienie szare,
Byle tylko dać im wiarę.

. . . .

Nić się marzeń snuje złota,
Serce mota... mota... mota...
Ogień płonie, wosk się leje
Na kochanie, na nadzieję.

M. Dynowska

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE JESIENNE

8 *paźdź.*: O świętej Placydzie — babie lato przyjdzie.

18 *paźdź.*: Święty Łukasz — czego w polu szukasz? Rzepy! — Alboś jej to w dole ślepy?

21 *paźdź.*: Święta Urszula — perły rozsuła, miesiąc wiedział — nie powiedział, słońce wstało — pozbierało.

Święta Urszula i Kordula, dzieci do pieca przytula.

25 *paźdź.*: Na świętego Kryspina, każda pijana szewczyna.

28 *paźdź.*: Jak przyjdzie Szymona i Judy, zagoń bydło z pola do budy.

Na świętego Szymona i Judy, spodziewaj się śniegu i grudy.

9 *list.*: Na świętego Teodota, zapełnione gumno i komora.

10 *list.*: Na święty Jędrzej, szukają baby przędzy.

11 *list.*: Dzień świętego Marcina, dużo gęsi zarzyna.

Na Marcina — gęś do komina.

Święty Marcin po wodzie — Boże Narodzenie po lodzie.

25 *list.* i 30 *list.*: Święta Katarzyna — adwent zaczyna, święty Jędrzej — jeszcze mędrzej.

26 *grudnia*: Na święty Szczepan, każdy se pan [1]).

O. Kolberg
(Lud)
K. Wł. Wójcicki
(Archiwum domowe)

---

[1]) Bo się w tym terminie służba zmienia i na nowe miejsca przenosi.

BIBLIOGRAFIA

Spis ten zawiera ważniejsze dzieła, na podstawie których opracowan artykuły wstępne do każdego działu.

Anczyc Wł. Lud. *Obrazy krakowskie*. Tygodnik Illustrowany, 1862 r.
Bielawski T. *Myśliwiec*. Wyd. kryt. w książce *O myślistwie, koniach psach łowczych*, wydał J. Rostafiński. Kraków, 1914 r.
Bystroń St. J. *Obyczaje żniwiarskie w Polsce*. Kraków, 1916 r.
— *Polska pieśń ludowa*. Kraków, 1925 r.
— *Studia nad zwyczajami ludowymi*. Kraków, 1917 r.
Cygański M. *Myślistwo ptasze*, wyd. kryt. w książce *O myślistwie, koniach i psach łowczych*, wydał J. Rostafiński. Kraków, 1914 r.
Czerniawski K. *O tańcach narodowych*. Warszawa, 1860 r.
Federowski M. *Lud z okolic Żarek, Siewierza i Pilicy*. Warszawa, 1888
Fiszer A. *Lud*. Lwów, Warszawa, Kraków, 1926 r.
— *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*. Lwów, 1921 r.
Gawełek F. *Bibliografia ludoznawstwa polskiego*. Kraków, Ak. Um 1914 r.
Gloger Z. *Encyklopedia staropolska*. Warszawa, 1900—1903 r.
— *Obrzędy rolnicze*. Biblioteka Warszawska, 1867 r.
— *Obyczaje doroczne*. Warszawa, 1881 r.
— *Pieśni dawne*. Warszawa, 1905 r.
— *Rok Polski*, Warszawa 1900 r.
Gołębiowski Ł. *Domy i dwory*. Warszawa, 1830 r.
— *Gry i zabawy*. Warszawa, 1831 r.
— *Lud polski*. Warszawa, 1830 r.
Gustawicz B. *Zabobony myśliwskie*. Lud, organ Tow. Ludoznawczego w Lwowie, 1908 r.
Haur J. K. *Oekonomika ziemiańska generalna*. Kraków, 1679 r.
Kitowicz J. *Opis obyczajów i zwyczajów w Polsce*. Kraków, 1926 r.
Kolberg O. *Lud*. Kraków, 1865—1910 r.
Lud. Organ Tow. Ludoznawczego we Lwowie.
Maciejowski W. Al. *Polska i Ruś aż do pierwszej połowy XVII w* Warszawa, 1842 r.
Materiały antropologiczne, archeologiczne i etnograficzne. Kraków Ak. Um.

Matusiak S. *Olimp polski.* Lud, organ Tow. Ludoznawczego we Lwowie, 1918 r.
Mickiewicz A. *Literatura słowiańska.* Lwów, 1900 r.
Ostroróg J. *Myślistwo z ogary*, wyd. kryt. w książce *O myślistwie, koniach i psach łowczych*, wydał J. Rostafiński. Kraków, 1914 r.
Pawiński A. *Młode lata Zygmunta Starego.* Warszawa, 1893 r.
Siemieński L. *Wigilia, Boże Narodzenie, Jasełka, Kantyczki.* Kronika Rodzinna, 1876 r.
Windakiewicz St. *Teatr ludowy w dawnej Polsce.* Kraków. Rozpr. Ak. Um. Wydz. Filozof., 1913 r.
Wisła. Miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Warszawa.
Wodzicki K. *O sokolnictwie.* Warszawa, 1858 r.
Wójcicki K. Wł. *Archiwum domowe.* Warszawa, 1856 r.
— *Obrazy historyczne.* Warszawa, 1842 r.
— *Stare gawędy i obrazy.* Warszawa, 1840 r.
— *Zarysy domowe.* Warszawa, 1842 r.
Zbiór wiadomości do antropologii krajowej. Kraków, Ak. Um.
Żegota Pauli. *Pieśni ludu polskiego w Galicji.* Lwów, 1839—40 r.

SPIS RZECZY

ZIMA

Str

WIOSNA

LATO

Str.

JESIEŃ

WAŻNIEJSZE BŁĘDY DOSTRZEŻONE W DRUKU

Strona	Wiersz	Zamiast	Ma być
11	22	stołu gości	stołu i gości
23	3	perfectum")	perfectum" ¹)
47	16	o tem	o tym
73	35	Oopowiedź	Odpowiedź
87	23	Zagrzyś	Zagryź
93	18, 19	osimnastu	ośmnastu
98	4	dzik,	dziki,
99	34	mężny de	mężny pan de
104	32	osim	ośm
146	23	osim	ośm
155	17	święconem	święconym
191	26	wigilę	wigilię
259	14	rozplatując	rozplątując
300	24	ciany	ściany

